



**Michelle Richmond**

**Nikt kogo znasz**

*Są trzy główne cele, jakie można sobie postawić, studiując prawdę.*

*Pierwszy - to szukać i odkryć.*

*Drugi - to udowodnić to, co się odkryło.*

*Trzeci - oddzielić prawdę od fałszu podczas badania.*

Blaise Pascal, *O duchu geometrii i o sztuce perswazji*

## 1.

Spotkałam go w końcu, mimo że upłynęło wiele lat od chwili, kiedy przestałam szukać. Był bardzo późny wieczór i zupełnie sama jadłam kolację w małej kafejce w Diriomo w Nikaragui. Polubiłam ją podczas moich corocznych pobytów w tym miasteczku. Miejsce, gdzie człowiek mógł zamówić talerz fasoli i filiżankę kawy o każdej porze dnia i nocy.

Wieczór spędziłam, wędrując po ciemnych i pustych uliczkach. Lipcowe dni w Diriomo były skwarne; kiedy przychodziła noc, budynki promieniowały gorącem, a powietrze miało zapach zakurzonej spiekoty. Wreszcie doszłam do znajomego skrzyżowania. Idąc w lewo, dotarłabym do mojego hotelu, co oznaczało twarde łóżko i niechętny do współpracy wentylator pod sufitem. Na wprost było boisko, gdzie widziałam kiedyś, jak okoliczne dzieciaki zatłukły szczura na śmierć starym drewnianym kijem baseballowym. Na prawo odchodziła szeroka droga przechodząca w krętą uliczkę, na końcu której czekała moja kafejka.

Jakiś czas po północy stanęłam na jej schodkach, dzwoniąc małym miedzianym dzwoneczkiem. Pojawiła się bosa Maria ubrana w długą niebieską spódnicę i białą bluzkę. Miałam wrażenie, że czekała na mnie.

- Obudziłam panią?

- Nie - odpowiedziała. - Witam.

To było nasze zwyczajowe przywitanie. Nie mogłam wiedzieć, czy w takie wieczory Maria już spała, czy cierpliwie czekała w kuchni na klientów.

- Co dzisiaj pani podaje? - zapytałam.

To też było prawie jak rytuał, bo obie wiedziałyśmy, że menu nigdy się nie zmieniało bez względu na porę dnia czy roku.

- *Nacatamal*\* - odpowiedziała. - *Esta usted sola?*

- *Si, señora*, jestem sama.

\* Danie kuchni środkowoamerykańskiej i meksykańskiej. Rodzaj gołąbków - pikantne ciasto, mięso i jarzyny zawinięte w liście bananowca.

Moja odpowiedź, tak jak i menu, pozostawały niezmiennie od lat. Mimo wszystko za każdym razem zadawała to pytanie, jakby wierząc, że któregoś dnia szczęście uśmiechnie się do mnie.

Kafejka była pusta, ciemna i jakoś chłodna pomimo upału na zewnątrz. Maria wskazała mały stół, na którym w dzbanuszkach paliła się świeca. Podziękowałam i usiadłam. Słyszałam, jak w kuchni przygotowywała kawę. Kuchnia była oddzielona od jadalni wąskim przejściem, w którym wisiała czerwona zasłonka. Patrzyłam na wzory, które światło świecy rzucało na ścianę. Obrazy były zbyt piękne i symetryczne, żeby mogły być przypadkowe - ptak, żaglówka, gwiazda, a po nich następowała seria prostokątnych plam światła. To one stwarzały szczególne wrażenie, które często miałam w tej miejscowości i to był jeden z powodów, dla których tu wracałam, kiedy moja praca - kupca kawy - sprowadzała mnie do Nikaragui. Wrażenie, jakby nawet najprostsze, naturalne czynności były jakoś odgórnie ustalone. Jakby jakiś nienazwany porządek rządził światem ożywionym i nieożywionym. Rzadko czułam coś takiego w domu, w San Francisco. Nic dziwnego, że miejscowi nazywali *Diriomo pueblo brujo*, czyli zaczarowanym miasteczkiem.

Maria właśnie stawiała przede mną talerz, kiedy na zewnątrz zadźwięczał dzwonek. Obie popatrzyłyśmy w kierunku drzwi, jakby miało się zmaterializować coś cudownego. W czasie tych wszystkich posiłków, jakie zdarzyło mi się jeść o północy u Marii, pośród porcelanowych lalek i mięsożer-nych roślin, rzadko zjawiał się inny klient.

Maria podeszła do drzwi i nieco je uchyliła. Przez moment mój stół zalało światło księżyca.

- *Buenas noches*, Maria - powiedział męski głos.

- *Buenas noches*.

Drzwi się zamknęły i w pomieszczeniu znów zapanowała prawie całkowita ciemność.

Mężczyzna minął mój stół. Głowę miał odwróconą ode mnie, ale w bladym świetle padającym z kuchni zauważyłam, że nosił się tak jak wielu wysokich mężczyzn - nieco pochylony, jakby przepraszając, że zajmuje tyle miejsca. Na głowie miał czapkę baseballową naciągniętą nisko na czoło, pod pachą ścisnął książkę w twardej oprawie. Podeszedł do stołu w rogu, tym najbardziej oddalonym od mojego. Kiedy siadał tyłem do mnie, krzesło zaskrzypiało tak gwałtownie, że myślałam, iż się rozpadnie.

Maria wyjęła z kieszeni fartucha zapalną, potarła o ścianę i zanurzyła płomień w szkarłatnym dzbanuszkach na stoliku mężczyzny. Dopiero kiedy wróciła do kuchni, aby przynieść mu kawę, ten odwrócił się i zerknął na mnie spod daszka czapki. W tańczącym, czerwonym świetle świecy widać było tylko jego nieco wystającą brodę, reszta twarzy niknęła w cieniu.

- Dobry wieczór - powiedziałam.

- Dobry wieczór.

- Jest pan Amerykaninem - stwierdziłam zdziwiona.

W *Diriomo* obcokrajowcy byli rzadkością. A spotkanie krajana właśnie w tej kafejce w środku nocy było absolutnie niezwykle.

- Tak - odpowiedział.

Zanim pochylił się nad stołem i zerknął do książki - zrobił przepaszający gest ręką. Trzymał świeczkę nad stroną, a ja zastanawiałam się, czy go nie ostrzec, że czytanie w ciemności jest niezdrowe dla oczu. Wydawało mi się, że to tego typu człowiek, któremu trzeba takie rzeczy mówić, który potrzebuje, żeby ktoś się nim opiekował. Wkrótce Maria przyniosła kawę. Było coś w sposobie, w jaki podnosił filiżankę, w sposobie, w jaki obracał kartki, nawet kiedy skłaniał głowę ku Marii, żeby podziękować bez słów za serwetkę i miseczkę z kostkami cukru, co uderzyło mnie jako znajome. Bacznie go obserwowałam, zastanawiając się, czy wrażenie, że go znam, było spowodowane jedynie samotnymi podróżami przez zbyt wiele lat. Im dłużej tam siedziałam, tym miałam silniejsze wrażenie, że to nie tylko kwestia podobieństwa jednego Amerykanina do drugiego, tu było coś osobistego.

Kiedy pił kawę i czytał książkę, wydawał się nieświadomy mojej obecności, a ja usiłowałam przywołać w pamięci jakiś kontekst, w którym mogłam go spotkać. Czułam, że to było z pewnością bardzo dawno temu i musiał być jakiś stopień zażyłości między nami. A poczucie zażyłości w połączeniu z niemożnością przypomnienia sobie bardzo mnie niepokoiło. Przyszło mi do głowy, że może spałam kiedyś z tym człowiekiem. To musiało być bardzo dawno temu, tak dawno, że teraz wydaje się, jakby to było w innym życiu.

Maria przyniosła moje jedzenie. Czekałam, aż liście bananowca nieco przestygną, bym mogła je odwinąć i zabrać się za *nacatamal*. W domu wielokrotnie próbowałam odtworzyć tę mieszankę Marii: wieprzowina, ryż, ziemniaki, liście mięty, rodzyнки i przyprawy, ale nigdy nie wychodziło tak jak trzeba. Kiedy usiłowałam wyciągnąć od niej przepis, tylko się śmiała i udawała, że nie rozumie mojej prośby.

- Powinien pan spróbować tego - odezwałam się do mężczyzny pomiędzy kęsami.

- Och, ja znam *nacatamal* Marii - odpowiedział, zerkając ponownie w moją stronę. - Pyszne, ale ja już jadłem.

Zastanawiałam się, co on może tu robić tak późno w nocy, skoro już jadł kolację? W Dirio mo mężczyźni nie siadywali samotnie w kafejkach, żeby czytać książki, nawet Amerykanie. Kilka minut później, kiedy wyjmowałam portfel, żeby zapłacić, on zamknął książkę, przez kilka sekund wpatrywał się w okładkę, jakby zbierał odwagę, żeby wstać i przejść koło mojego stolika. Maria obserwowała nas zupełnie jawnie, stojąc w przejściu z kuchni. Czerwona zasłonka była odsunięta na bok i miękkie światło wypełniało jadalnię. Przemknęło mi przez myśl, że Maria to wszystko zaaranżowała dla mojego dobra, może próbowała troszkę zabawić się w swatkę.

Mężczyzna zdjął czapkę i trzymał ją w rękach. Jego nastroszona czupryna zamiotła po niskim suficie i zgarnęła elektryczność statyczną.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział.

Teraz mogłam zobaczyć całą twarz: duże, ciemne oczy, szerokie usta, wysokie kości policzkowe i wystającą brodę pokrytą kilkudniowym zarostem - od razu wiedziałam, kim był.

Nie widziałam go od osiemnastu lat. Miałam taki kilkumiesięczny okres w college'u, kiedy wciąż o nim myślałam. Szukałam jego nazwiska w gazetach, specjalnie odbywałam przejażdżki koło jego parterowego mieszkania w Russian Hill, jadałam obiad w tej samej restauracji w North Beach, do której on przychodził, mimo że ceny potraw niemożliwie przekraczały mój studencki budżet. Wówczas chodziłam za nim jak cień i skoro robiłam to nieustannie, powinnam była coś zrozumieć, może nie to, co zrobił, ale sam mechanizm, który umożliwiał mu zrobienie tego. Byłam pewna, że ten mechanizm był nienormalny z psychologicznego punktu widzenia; brak moralnego kamertonu, który mieli inni ludzie, a on nie.

I potem, któregoś sierpniowego popołudnia w 1991 roku - zniknął. Tego dnia poszłam do restauracji w North Beach pół godziny po południu, tak jak robiłam to co tydzień przez trzy miesiące. Mój wzrok natychmiast powędrował w kierunku stolika w rogu, nad którym wisiała miniaturowa reprodukcja olejnego obrazu przedstawiającego katedrę w Mediolanie. Właśnie tam zawsze siadywał, przy stoliku jakby zarezerwowanym wyłącznie dla niego. Przychodził tam zawsze w poniedziałki kwadrans po południu, siadał i wyciągał na stół notes, umieszczając go po prawej stronie talerza z pieczywem. Rzadko zadawał sobie trud, żeby rozejrzeć się po wnętrzu. Z zapamiętaniem pisał coś automatycznym ołówkiem w notesie. Przeszawał tylko po to, żeby zamówić spaghetti z krewetkami w sosie morskim, które następnie szybko zjadał. Potem zamawiał espresso, które powoli popijał. Cały czas pracował, notując prawą ręką i jedząc lewą. Ale owego sierpniowego dnia - nie było go tam. Weszłam i natychmiast poczułam, że coś się zmieniło. Zamoczyłam chleb w oliwie i czekałam. Kiedy kelner przyniósł mi sałatkę, już wiedziałam, że nie przyjdzie. O pierwszej piętnaście telefonicznie zawiadomiłam bibliotekę Uniwersytetu San Francisco, że jestem chora (jako studentka miałam tam dodatkową pracę) i pojechałam autobusem do Russian Hill. Tuż przed mieszkaniem stała tabliczka *do wynajęcia*, a żaluzje były odsłonięte. Przez wielkie okna zauważyłam zupełnie puste mieszkanie, wszystkie meble zniknęły. Wtedy przyszło mi do głowy, że mogę go nigdy nie zobaczyć.

## 2.

„Opowiadanie nie ma ani początku, ani końca - zwykł był mówić mój wykładowca na drugim roku. - Człowiek arbitralnie wybiera taki moment ze swoich doświadczeń, z którego może popatrzeć wstecz albo w przód". Andrew Thorpe umiał wprowadzić to motto do tematu każdych zajęć, bez względu na to, jaką książkę omawialiśmy. Potrafiliśmy już nawet wyczuć moment, w którym zamierzał to powiedzieć, ponieważ właśnie to stwierdzenie było zawsze poprzedzone dłuższą pauzą, podniesieniem brwi, szybkim zaczerpnięciem powietrza.

Wybrałam pewną środę w grudniu 1989 roku. Nawet ponownie roztrząsając wszystkie szczegóły - wybrałam właśnie ten dzień jako początek, od którego potoczyły się wszystkie inne wydarzenia. Moment, który podzielił moje życie na dwie części: lata z Lilą i lata bez niej.

Tego ranka byłam w kuchni i słuchałam przez radio Jimmy'ego Cliffa, czekałam, aż się kawa zaparzy. Rodzice już poszli do pracy. Lila zeszła na dół ubrana w czarną bluzkę, zieloną sztruksową spódnicę i trampki firmy Converse. Ze zdumieniem stwierdziłam, że płakała, miała czerwone oczy. Nie pamiętałam z ostatnich lat, żeby Lila płakała.

- Co się dzieje?

- Nic. Po prostu stresujący tydzień.

Machnęła lekko ręką, jakby chciała zapomnieć o całej sprawie. Na palcu miała pierścionek, którego nigdy dotąd nie widziałam: delikatna złota obrączka z małym czarnym oczkiem.

- Zatańcz ze mną - powiedziałam, aby ją rozchmurzyć. Porwałam ją za ręce i chciałam okręcić dookoła, ale się wyrwała. Ekspres do kawy dał sygnał. Wyłączyłam radio i nalałam jej filiżankę.

- To z jego powodu? - zapytałam.

- O kim mówisz?

- To od niego, prawda? Chodź, powiedz mi.

Wyglądała przez okno kuchenne, patrzyła na małą gałąź, która spadła na nasz taras w poprzednim tygodniu podczas nawałnicy. Dopiero później, kiedy przypominałam sobie po kolei wszystkie wydarzenia z tamtych dni, zdziwiłam się, że nikt z nas jej nie usunął.

- Jak długo już tam leży?

- Jakaś chwilę.

- Trzeba by ją sprzątnąć.

- Trzeba by.

Ale żadna z nas nie ruszyła w kierunku drzwi.

- Powiedz mi, jak się nazywa? Znam chłopaków z drużyny baseballowej. Przefasonują mu twarz - zażartowałam, ale tylko częściowo.



Lila nie odpowiedziała, jakby mnie wcale nie słyszała. Ale ja już dawno nauczyłam się nie obrażać z powodu jej milczenia. Kiedyś, kiedy miałam do niej pretensje, że mnie ignoruje, powiedziała:

- Wiesz, to jest tak, jakbym chodziła po domu, wchodzę do innego pokoju i drzwi się za mną zamykają. Wtedy angażuję się w to, co się dzieje w tym drugim pokoju i wszystkie inne sprawy jakby znikają.

Wyciągnęłam rękę ponad blatem, dotknęłam jej ręki, by „przywołać” ją z powrotem do kuchni.

- Ładny pierścionek. To opal? Schowała rękę do kieszeni.

- To tylko świecidełko.

- Skąd go masz? Wzruszyła ramionami.

- Nie pamiętam.

Lila nigdy nie kupowała sobie biżuterii. Pierścionek musiał być prezentem od *niego*, kimkolwiek był. Sama myśl o własnym romantycznym związku była dla Lili czymś zupełnie nowym. W szkole średniej i podczas studiów Lila nie była nawet na dziesięciu randkach. Przez te wszystkie lata matka lubiła mówić, że chłopcy nie umieją docenić dziewczyny o tak wyjątkowej inteligencji, ale ja myślę, że ona to opacznie rozumiała. Chłopcy interesowali się Lilą, a ona po prostu nie znajdowała zastosowania dla nich w swoim życiu. Kiedy ja zaczynałam szkołę średnią, Lila ją kończyła. Widziałam wtedy, jak faceci patrzyli na nią, ale to ze mną rozmawiali, mnie zapraszali na prywatki i randki. To ja byłam wesoła i na luzie, na mnie można było liczyć, że zorganizuję jakieś wyjście grupowe, przygotuję wymyślne żarty z nauczycieli. Ale Lila nie była niewidoczna, o nie. Z tymi swoimi długimi, ciemnymi włosami, rezerwą wobec ludzi, ze swoistym poczuciem humoru, pasją do matematyki, Lila, jak mi się wydawało, mogła budzić w chłopakach takie onieśmienie, jakiego ja nigdy bym w nich nie wywołała. Kiedy szła sama korytarzem bardzo zamyślona, ubrana w ekscentryczne szmatki, które szyła sobie na starym, maminy singlerze, musiała wydawać się istotą zupełnie nieprzystępną. Wprawdzie chłopcy nie podchodzili do niej, ale to było jasne, że ją *widzieli*. Ja byłam lubiana, a Lila była tajemnicą.

Nawet po ukończeniu University of California w Berkeley i rozpoczęciu studiów doktoranckich z matematyki w Stanford, Lila była całkiem szczęśliwa, mieszkając w swoim starym pokoju, jadając obiady z rodziną przez większość tygodnia, a w weekendy oglądając z rodzicami filmy z wypożyczalni. W tym czasie ja przebywałam z przyjaciółmi. Później zaczęła jednak wychodzić wieczorami w niektóre dni tygodnia i wracać po północy z uśmiechem na twarzy. Kiedy naciągałam ją, by mi powiedziała, z kim chodzi, zawsze mówiła:

- Po prostu kolega.

Nasza matka, zupełnie jak ja, też była podekscytowana faktem, że Lila zaczęła się z kimś spotykać.

- Nie chcę, żeby przez całe życie szła samotnie - powiedziała kilka razy.

Chociaż podejrzewałam, że Lila nie była w stanie tak dogłębnie odczuwać samotności, jak większość ludzi. Tyle się działo w jej głowie, że nigdy nie pragnęła towarzystwa znajomych. Wprawdzie potrafiłyśmy przegadać ze sobą całe godziny w ciemnościach i po cichu, ale wiedziałam, że równie dobrze czuła się z ołówkiem w ręce, pracując nad jakimś skomplikowanym problemem matematycznym. Myślę, że dla innych dziewcząt posiadanie siostry było jak stanie przed mleczną szybą, w której twoja własna przeszłość i osobowość odbija się na różne ciekawe sposoby. Pomimo fizycznego podobieństwa, Lila i ja byłyśmy tak różne, że gdybyśmy pochodziły z różnych rodzin, to wątpię, czy mogłybyśmy się zaprzyjaźnić.

Lila skończyła kawę, wzięła jabłko z misy stojącej na blacie, chwyciła plecak i rzuciła:

- Powiedz mamie, że dzisiaj wrócę późno.

- Jak późno?

- Późno.

- Ktokolwiek to jest - powiedziałam - nie pozwól mu wejść sobie na głowę. Niech sobie nie myśli, że on tu rządzi.

Zauważyłam, że zaczęła się uśmiechać.

- Czy to zasada?

- Kardynalna zasada.

Patrzyłam, jak poszła do korytarza, zdjęła z kołka koło schodów czarną bosmankę. Kiedy pomagałam jej ją założyć, zapytała po namyśle:

- Są szanse na to, żebym miała dzisiaj samochód?

Dzieliłyśmy się niebieską toyotą, odkąd trzy lata wcześniej zrobiłam prawo jazdy. To właśnie Lila pisała grafik na każdy miesiąc i w tym miesiącu środy były moje.

- Tak, ale kończę pracę w bibliotece o czwartej, a o wpół do piątej mam dentystę na drugim końcu miasta. Autobusem nigdy nie dojadę na czas.

- Nieważne - powiedziała.

Zanim wyszła, pożegnałam ją naszym zwyczajowym półsalutem. Jeszcze przez kilka sekund słyszałam znajome dźwięki z zewnątrz, sączące się do naszego cichego domu, takie jak przejeżdżający samochód, dziecko sunące na desce po stromym chodniku, urywek melodii z otwartego okna po przeciwnej stronie ulicy. A potem drzwi frontowe cicho zatrzasnęły się za siostrą i już jej nie było. W kolejnych miesiącach, kiedy przypominałam sobie ten moment zatraskiwania drzwi, podejrzewałabym, że to nie był dźwięk zamykanych drzwi - to coś zatrzasnęło się w mojej głowie, ledwie słyszalny sygnał w mojej psychice. Potem powtarzałam sobie, że gdybym tylko wsłuchała się, gdybym tylko zwróciła uwagę, mogłabym jakoś zmienić bieg spraw.

Tego wieczoru przekazałam rodzicom wiadomość od Lili i jak zwykle, jak gdyby nigdy nic poszliśmy spać. Następnego ranka, kiedy zesłam na dół, matka stała przy kuchennym blacie i jadła płat-



ki, przeglądając dokumenty procesowe, a ojciec siedział przy stole ze swoją gazetą i posmarowaną masłem grzanką.

- Idź i obudź swoją siostrę, Ellie - powiedziała matka. - Nie mogę uwierzyć, że jeszcze nie wstała. O dziewiątej ma zajęcia.

Poszłam na górę i zapukałam do jej drzwi, ale nie było odpowiedzi. Otwarłam i zobaczyłam, że jej łóżko jest nietknięte, biała poduszka bez wklęśnięcia, a narzuta nawet bez zmarszczki. Mała łazienka, którą dzieliłyśmy, przylegała do mojego pokoju, a Lila zawsze słuchała rozgłośni KLIV, kiedy szykowała się rano. Nie mogła wziąć prysznicza i ubrać się tak, żebym nic nie słyszała.

Zeszłam na dół. Matka płukała swoją miseczkę w zlewie.

- Nie ma jej - potwierdziłam. - Wygląda na to, że nie wróciła na noc do domu.

Matka odwróciła się do mnie z mokrymi rękami.

- Co?

Ojciec popatrzył zdumiony znad gazety.

- Nie dzwoniła?

- Czy powiedziała ci wczoraj, gdzie się wybiera wieczorem? - zapytała mama.

- Nie. Rano była zmartwiona, ale nie powiedziała, dlaczego.

- Ten człowiek, z którym się spotyka - powiedziała do mnie matka. - Wiesz, kto to jest?

- Nic mi nie chciała powiedzieć.

Poszłam do jej pokoju i zdjęłam rozkład zajęć z tablicy nad jej biurkiem. Zadzwoniliśmy do redakcji „Standford Journal of Mathematics”, gdzie pracowała na pół etatu. Okazało się, że nie przyszła na spotkanie, które było o piątej poprzedniego dnia.

- Dziwne - powiedział redaktor. - To pierwsze spotkanie, jakie opuściła w ciągu dwóch lat.

Następnie zadzwoniliśmy do człowieka o imieniu Steve, który prowadził zajęcia z grupą o siódmej wieczorem, na które Lila chodziła - też jej nie było.

W tym momencie ojciec zawiadomił policję i telefonicznie wypełnił kwestionariusz o osobie zaginionej. Przyszedł do nas policjant po zdjęcie Lili, wsunął je do plastikowej koszulki. Kiedy wyszedł, poszliśmy do salonu i czekaliśmy na dzwonek telefonu. To był czwartek. Przez dwa następne dni nie mieliśmy żadnych wiadomości. Jakby moja siostra poszła na dworzec autobusów Greyhound, kupiła bilet do Gdzieś Indziej i zniknęła.

W sobotę znaleziono plecak Lili w jakimś pojemniku na śmieci w Healdsburgu. Wciąż był tam jej portfel, klucze do domu i książki. Jedyne, czego brakowało, to pięknie oprawiony notes, gruby na ponad dwa centymetry, z niebieską okładką w szkocką kratę. Wiedziałam, że kiedy wychodziła, notes musiał być w plecaku, ponieważ nigdy się bez niego nie ruszała. To nie był dziennik w dosłownym sensie. Zamiast słów były w nim liczby i strona za stroną wzory matematyczne. Jeśli o mnie chodzi, to samo usiłowanie przeczytania jej obliczeń porównałabym do prób wypowiedzenia zwykłego słowa tak

szybko, jak tylko się da, i to kilkanaście razy pod rząd. Cyfry i litery, kiedy się je ułoży osobno, wyglądają znajomo, ale zgrupowane tak gęsto razem - są tajemnicze jak jakiś pozaziemski kod, który tylko specjalista danej dziedziny potrafi złamać. Kiedy ja zanurzałam się w muzykę niezależnych wytwórni i w powieści wschodnioeuropejskich autorów, Lila wypełniała swój czas równaniami i algorytmami, długimi sekwencjami liter i cyfr rozciągającymi się poziomo i pionowo na stronach kratkowanego papieru.

- Co to wszystko jest? - zapytałam kiedyś, siedząc na jej łóżku i kartkując notes.

Głośno czytałam ze strony o zagiętym rogu. - Każda parzystość liczb większa niż dwa może być wyrażona jako suma dwóch liczb pierwszych.

Lila przymierzała nową sukienkę. Matka zawsze kupowała jej modne ubrania, usiłując ulepszyć ekscentryczną zawartość jej szafy, na którą składały się rzeczy domowej roboty. Lila przymierzała przez grzeczność, robiła rodzicom pokaz i mówiła kilka pozytywnych uwag, zanim je odwiesiła do szafy. Tkwiły tam nietknięte dotąd, aż ja dokonywałam przejęcia ich na swój użytek.

- To tylko jeden z najslawniejszych matematycznych problemów wszech czasów, hipoteza Goldbacha - powiedziała Lila. - Matematycy próbują to udowodnić od 1742 roku.

- Niech zgadnę: moja błyskotliwa siostra zamierza być tą, która to rozwiąże.

- Hipotez się nie rozwiązuje, tylko dowodzi.

- Cóż to za różnica?

- Kłania się podstawowa matematyka - powiedziała, wciskając stopy do bucików, które nasza matka kupiła jej, żeby pasowały do sukienki. - Hipoteza to jest matematyczne stwierdzenie, które wydaje się być *prawdopodobnie* prawdziwe, ale nie zostało oficjalnie *udowodnione*, że jest prawdziwe. A kiedy mamy już dowód, to staje się ono twierdzeniem. Kiedy jest hipotezą, to można go użyć do konstruowania innych matematycznych dowodów, ale do czegokolwiek dojdiesz, używając hipotezy - pozostaje tylko hipotezą. Chwytasz? - Lila odwróciła się do mnie plecami, żebym mogła zapiąć jej zamek błyskawiczny.

- Dzięki, że jesteś naszym rodzinnym geniuszem - powiedziałam.

- To zdejmuję ze mnie presję.

Lila zrzuciła buty, pocierając jeden o drugi, i padła na łóżko.

- Kiedy już to udowodnię, mogę nazwać się geniuszem, ale tylko w połowie. Mam partnera. Zawarliśmy pakt; zamierzamy udowodnić to razem, nawet, jeśli zabierze nam to następne trzydzieści lat.

- Partner, ej? Kto to?

- Taki facet, którego znam.

- Jeśli to może zająć wam trzydzieści lat, to równie dobrze możesz za niego wyjść.

- Jego żona mogłaby mieć coś przeciwko.

- Czy ona wie, że jej mąż jest matematycznie zaręczony z tobą? Lila dopasowała ramiączko stannika i poprawiła górę sukienki.

- Jest artystką. Wątpię, czy kiedykolwiek słyszała o hipotezie Goldbacha.

Kiedy dotarła do nas wiadomość o plecaku, poszliśmy na mszę. Nawet ojciec, którego jedynym udziałem w religii było, jak pamiętam, wyjście do kościoła raz w roku w niedzielę wielkanocną - zgodził się iść. Razem zapaliliśmy świeczkę dla Lili. Kiedy matka głośno się modliła - ja też dołączyłam, robiąc coś, czego nie robiłam od dziecka. Nie do końca wierzyłam, ale jeśli była szansa, że Bóg słucha - chciałam zrobić wszystko, co trzeba.

W poniedziałek, dwa dni po znalezieniu plecaka, jakiś wędrowiec idący przez Armstrong Woods niedaleko miasta Guerneville na brzegu Russian River zszedł ze szlaku i potknął się o częściowo przykryte liśćmi ciało, przy którym nie było żadnych przedmiotów umożliwiających identyfikację. O czwartej po południu rodzice pojechali do Guerneville, około stu dwudziestu kilometrów na północ od naszego miasta. Stałam w wielkim oknie naszego domu i patrzyłam, jak ich ciemnoszare volvo rusza z garażu pod domem. Czwartek to dzień, kiedy zabierają śmieci z naszej ulicy i w tym zamieszaniu spowodowanym zniknięciem Lili nikt z nas nie pomyślał, żeby schować pojemniki. Samochód zatrzymał się na podjeździe, ojciec wysiadł i potoczył je do garażu. Potem znów wsiadł i usłyszałam szmer zamykania bramy garażowej. Jeszcze przez przednią szybę zobaczyłam rodziców, ale tylko od ramion w dół. Granatowa spódnica matki przesunęła się nad kolana, na których leżała torebka. W przestrzeni pomiędzy przednimi siedzeniami obydwój z ojcem trzymali się za ręce. Kiedy samochód oddalał się powoli w kierunku ulicy, poczułam panikę.

Siadłam przy stole kuchennym i czekałam, patrząc na zegarek. O 5.43 zadzwonił telefon. To był ojciec. Telefonował z kostnicy i połączenie było słabe. W tle słyszałam muzyk\*, *Little Surfer Girl* Beach Boysów. Wsłuchiwałam się, żeby zrozumieć słowa ojca, musiał powtórzyć dwa razy.

\* Nazwa muzyki funkcjonalnej, przejęta od nazwy amerykańskiej firmy Muzak, która rozprowadzała drogą kablową muzykę do sklepów, hoteli, banków itp. jako tło muzyczne.

- Jest potwierdzenie, że to ona.

Kiedy już usłyszałam słowa, to jeszcze wymagało wysiłku, żeby zrozumieć ich znaczenie.

- Nie ma naszyjnika - dodał bardziej jako pytanie niż stwierdzenie.

Pomyślałam o cienkim, złotym łańcuszku z maleńkim topazem przymocowanym do delikatnego, złotego wisiora, który zawsze nosiła. Ten naszyjnik był prezentem ode mnie na jej osiemnaste urodziny, kupionym za pieniądze zarobione przez trzy miesiące opieki nad dzieckiem. Ojciec mówił dalej.

- Jako przyczynę śmierci koroner podaje uderzenie w głowę tępym narzędziem.

W tamtym momencie nie mogłam przestać dziwić się niezwykle spokojnemu głosowi ojca, albo temu, że przekazał mi tę potworną wiadomość przez telefon, kiedy wiedział, że byłam sama w domu. Z perspektywy czasu rozumiałam, że był w takim szoku i bólu, że nie wiedział, co robi. W takiej chwili nie można było oczekiwać od niego racjonalnych działań. Kiedy odłożyłam słuchawkę, pomyślałam o samochodzie. Gdybym go dała Lili w środę, tak jak prosiła, czy łańcuch wydarzeń potoczyłby się inaczej? Czy Lila żyłaby, gdybym ja nie myślała o wizycie u dentysty?

Kiedyś próbowała mi wytłumaczyć dziwne pojęcie liczb urojonych i zacytowała Leibniza, który nazwał je „czymś pomiędzy bytem a niebytem”. Po śmierci siostry czasami sama czułam się złapana w pułapkę takiego stanu. Przez całe życie byłam młodszą siostrą Lili. A potem nagle, bez ostrzeżenia, zostałam jedynaczką. Rodzice, muszę im to przyznać, zrobili wszystko, co mogli, żeby zachować jedność naszej rodziny, odtworzyć harmonię, jaka w niej panowała przed śmiercią Lili. W świecie, gdzie słowo „dysfunkcyjne” jest częstym określeniem życia domowego, my pozostaliśmy szczęśliwą rodziną i mogliśmy uznać się za wybrańców losu. Ale bez względu na to, jak dobrze rodzina może być przystosowana do życia, jak bardzo jej członkowie się starają - ból po stracie kogoś nie jest czymś, z czym można sobie po prostu poradzić. Kształt naszej rodziny zmienił się.

Prawie natychmiast zaczęłam określać świat w kategoriach „przed” i „po”. W moich wspomnieniach dotyczących przed - była pewna lekkość odczuć, intensywność kolorów, wygodny chaos rodzinnego życia. Po - to była inna historia. Po - składało się z ciężaru winy i żalu z powodu śmierci. Żaluzje były zasłonięte, w domu było cicho. Wieczorami matka raczej przebywała w ogrodzie, rzucając się na prace polowe przy świetle lamp elektrycznych: wyrywała chwasty i sadziła nowe cebulki. Po północy słyszałam, jak wracała przez wejście do garażu, łopatkę i nożyce ogrodowe wrzucała do wielkiego metalowego wiadra. Potem kilka chwil ciszy i szum wody w rurach oraz drgania pralki budzącej się do życia. Następnie kroki z garażu na parter wewnętrznymi schodami i wreszcie szusz-szusz, szum prysznic w ceramicznej wannie. W tym czasie ojciec siedział w swoim krześle firmy Sticklej w sypialni i czytał, a obok na stole stała szklanka wody. To krzesło nie było wygodne, przedtem zawsze czytał w fotelu w salonie, z ręką na nóżce kieliszka, w którym było wino. Na stereo cichutko grali Bob Dylan albo Johnny Cash. Potem - nie było ani wina, ani muzyki.

Kilka lat po śmierci Lili, na wyprzedazy garażowej w Collingwood sięgnęłam do kartonu z książkami i wyciągnęłam *Koniec romansu* Grahama Greena w twardej oprawie. Okładka była potargana i sklejoną taśmą, kartki rozlatywały się, a całość napęczniała od wilgoci. Na nalepce na okładce była cena 25 centów. To był ciepły, sobotni, wrześnieowy ranek, przede mną malowała się perspektywa całego weekendu. Nie musiałam nigdzie iść, a słońce miło przygrzewało w nagie ramiona. Odwróciłam pierwszą stronę. „Ta historia nie ma ani początku, ani zakończenia” - tak się zaczynało. „Człowiek arbitralnie wybiera ten moment ze swojego doświadczenia, z którego może popatrzeć wstecz albo do przodu”. To było stare motto Andrew Thorpe'a, tu widoczne czarno na białym.

Dwa, trzy razy przyjrzałam się tej linijce, żeby się upewnić, że przeczytałam ją dobrze. Potem położyłam ćwierć dolara na stole, wsadziłam książkę pod pachę i odeszłam. To już mi się przedtem zdarzało i przypuszczam, że jeszcze się zdarzy, właśnie wtedy, kiedy już myślałam, że zostawiłam w tyle za sobą sprawę Lili, coś zupełnie nieoczekiwanego wychodziło na powierzchnię i wszystko do mnie wracało. To mogło się zdarzyć gdziekolwiek, kiedykolwiek: zauważyłam kogoś, kto był podobny do niej, informacje w prasie o jakichś matematycznych odkryciach, urywek pewnej piosenki z radia, omówienie jednej z książek Andrew Thorpe'a.

To nie powinno mnie zdziwić, że człowiek, który zrobił karierę na książce opisującej historię Lili, przywłaszczy sobie słowa powieściopisarza jako własne. To, co mnie rozczarowało, to moja własna naiwność, chęć wiary w coś, co mi powiedziano, bez sprawdzania, czy to nie ma jakichś skaz, bez nieustannego docierania do źródła, by sprawdzić.

Każda historia jest wymysłem, podlega kaprysom autora. Dla czytelników znajdujących się po drugiej stronie kartki słowa maszerują naprzód z pewną nieuchronnością - jakby historia mogła istnieć tylko w jeden sposób, w jaki jest napisana. Ale żadnej historii nie da się opowiedzieć tylko w jeden sposób. Ktoś wybrał początek i koniec. Ktoś zdecydował, kogo kreować na bohatera albo bohaterkę i kto zagra rolę łajdaka. Każdy wybór jest dokonany na podstawie nieskończonej liczby wariantów. I kto ma opowiedzieć, która z wersji powieści jest prawdziwa?

### 3.

W ciągu roku po śmierci Lili Andrew Thorpe rozmawiał z kilkunastoma osobami, włącznie z redaktorem „Stanford Journal of Mathematics”, trzema jej profesorami i kilkoma doktorantami. Gdyby miała przyjaciół, toby Thorpe też i z nimi porozmawiał, ale Lilę zawsze bardziej interesowały liczby niż ludzie. Nawet moi rodzice zwierzali się Thorpe'owi kilka razy, ale było to jeszcze, zanim ktokolwiek z nas wiedział, że on zamierza napisać książkę.

Przed rozmową z kimkolwiek innym - rozmawiał ze mną. W ciągu pierwszego semestru drugiego roku na uniwersytecie w San Francisco Thorpe był moim profesorem współczesnej literatury amerykańskiej. Lila zmarła na początku grudnia, kiedy semestr miał się ku końcowi. Nie przyszedłam na ostatni egzamin i trzy tygodnie po pogrzebie poprosiłam Thorpe'a o spotkanie w kawiarence naprzeciw naszego kampusu. Jesienią spotykałam się z nim kilkakrotnie, aby omówić pracę semestralną, którą pisałam o Richardzie Yatesie i jego *Drodze do szczęścia*. Każde z naszych spotkań odchodziło od tematu i przedłużało się dobrze ponad przeznaczoną na to godzinę. Przekonałam się, że jest przyjazny i zabawny, dobrze zorientowany w wielu tematach. Był fanem filmów akcji, zespołu Tears for Fears i puszkowanego ravioli. Pochodził z Tuscaloosa w Alabamie i ciągle słyszałam u niego ślady akcentu,

co było urocze. Mimo że miał tylko trzydzieści lat i stanowisko adiunkta, a nie profesora, był najlepszym nauczycielem, jakiego kiedykolwiek miałam.

- Żaden kłopot - powiedział, kiedy poprosiłam go o zaliczenie warunkowe. - Możesz to robić tak długo, jak chcesz.

Siedzieliśmy na dwuosobowej kanapce wciśniętej we wnękę. Nalegał, żeby kupić mi kawę i sandwicz, który ledwie tknęłam i odłożyłam.

- Nie jesteś głodna?

- Przez ostatnie trzy tygodnie ludzie przychodzili do nas do domu, przynosząc dużo świetnego jedzenia, ale my nie byliśmy w stanie nic jeść. Sam pomysł jedzenia wydawał się absurdalny. Wreszcie zaczęliśmy przekazywać to sąsiadom.

- Kiedy kilka lat temu zmarł mój tato - powiedział Thorpe - jego przyjaciele w Tuscaloosa zrobili to samo. Mieliśmy tyle smażonych kurczaków i puddingu bananowego, że mogliśmy wykarmić całą Crimson Tide\*.

\* Drużyna piłki nożnej Uniwersytetu w Alabamie.

Przez dobrą chwilę patrzył mi w oczy, po czym zapytał:

- Jak ty sobie radzisz, Ellie?

Hamowałam łyzy. Cóż mogłam powiedzieć? Było zbyt wcześnie po tych wydarzeniach, żeby w sensowny sposób ująć to słowami. To wciąż był dla nas szok. Ni stąd, ni zowąd zaczęłam opowiadać Thorpe'owi o tym, co się zdarzyło tamtego ranka. Obudziłam się, odsłoniłam zasłony i popędziłam do łazienki wziąć prysznic przed Lila, bo ona zawsze używała prawie całą gorącą wodę. Kiedy odkręcałam kurek, pamiętałam, że Lili już nie ma i nie będzie brała prysznic ani tego, ani żadnego innego dnia. Ze świadomością jej śmierci stawałam twarzą w twarz dziesiątki razy od chwili, gdy to się stało. Za każdym razem była to świeża rana. Czasami budziłam się w środku nocy i przez chwilę wszystko było świetnie, dopóki nie przypominałam sobie, że jej nie ma. Potem leżałam, nie mogąc sobie wyobrazić, jak nasza rodzina będzie dalej funkcjonować bez niej.

- Jedną z najdziwniejszych rzeczy w tym wszystkim to samotne życie w domu z rodzicami - powiedziałam.

Siedzieliśmy obok termowentylatora, ale i tak drżałam z zimna.

- Przedtem była jakaś równowaga: my dwie i dwoje rodziców. Teraz czuję się jak piąte koło u wozu w moim własnym domu, bardziej jak gość niż córka. Kiedy rodzice i ja nie mogliśmy się dogadać, gdy wpadałam w jakieś kłopoty - Lila była zawsze buforem między mną a nimi. A teraz bez nadziei siedzimy, próbując sklecić jakąś rozmowę - wytarłam oczy. - Nie wiem, czemu ci to wszystko opowiadam.



Thorpe miał na twarzy wyraz zainteresowania, nie współczucia.

- Opowiadaj mi, co tylko chcesz - powiedział. - Może to ci pomoże.

Rozmowy, które prowadziłam z Andrew Thorpe'em w tygodnie i miesiące po śmierci siostry nie były, tak jak ja to rozumiałam, wywiadami. Rozmawiałam z nim, bo był najbliższym, bo był współczujący i nigdy nie odczułam, żeby w jakiś sposób oceniał mnie czy moją rodzinę. Trudno było rozmawiać o śmierci Lili z moimi rówieśnikami, którzy starali się być ponurzy w mojej obecności, jakby wesołość miała zlekceważyć mój ból. Nie dało się rozmawiać z rodzicami, którzy w pewien sposób wyciszyli się, ale przecież nie przestawali normalnie funkcjonować. Wstawali rano i wychodzili do pracy, a wieczorami, tak jak zawsze, na zmianę przygotowywaliśmy kolację. W co drugi piątek ojciec grał jak zwykle w golfa, matka nie przestawała pracować w ogrodzie, plewiąc, sadząc i podlewając późnymi wieczorami po całym dniu pracy w kancelarii adwokackiej. Różnica nie polegała na zmianie w działaniu, raczej na zmianie emocji. Moi rodzice zawsze byli radosnymi ludźmi, ale po śmierci Lili rzadko się śmiali. Tylko czasami któreś z nich uśmiechnęło się - był to uśmiech wymuszony. Spokój, który zazwyczaj panował w naszym rodzinnym domu - przepadł. Miłość, wciąż utrzymujący się element ich małżeństwa, którą przyjmowałam za coś oczywistego - spłowiła całkowicie.

Kiedy rozmawiali o Lili, to tylko wtedy, gdy na chwilę zapominali, że nie żyje. Kilka tygodni po jej śmierci, kiedy zabierałam samochód na cały dzień, ojciec przypominał:

- Tylko nie zapomnij uzupełnić paliwa dla Lili.

Innym razem wyjmowałam talerze z szafki, żeby nakryć stół, matka powiedziała:

- Jeszcze jeden - i sięgnęła po czwarty, zanim uświadomiła sobie, że moja kalkulacja była poprawna.

Wyglądało na to, że moi rodzice świadomie zdecydowali, żeby zapomnieć. Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się dziwne, że nie siedzieliśmy razem i nie rozmawialiśmy o Lili, wspominając najmiłsze momenty, jakie z nią przeżyliśmy. Wówczas było dla nas naturalne, że krążyliśmy wokół tematu, jakby wykluczenie Lili z rozmów mogło jakoś usunąć ból.

Ale przed Thorpe'em niczego nie ukrywałam. Opowiadałam mu o rzeczach, które jako dzieci robiłyśmy z siostrą. Podkreślałam jej dziwne przyzwyczajenia i neurozy. Zawsze najpierw wkładała lewy but, robiła parę kroków po pokoju, jakby chciała sprawdzić podłogę, i dopiero drugi but. Wytworzyła sobie osobiste relacje z niektórymi liczbami na podobnej zasadzie, jak namiętny czytelnik tworzy relację emocjonalną z postaciami powieści. Jedną z jej ulubionych liczb było 28.

- Czemu 28? - zapytał Thorpe.

- Bo jest to jeden z tych rzadkich przypadków, który należy do kategorii liczb doskonałych - odpowiedziałam. - Dzieli się przez 1, 2, 4, 7 i 14, dając w sumie 28. Jest też sumą kolejnych po jedynce liczb pierwszych. Istnieje dokładnie 28 jednakowych, wypukłych struktur plastra miodu. Nasz wszechświat rozciąga się na 28 miliardów lat świetlnych od krańca do krańca. Dwadzieścia osiem jest

także liczbą harmoniczną, liczbą Keitha oraz dziewiątą i ostatnią liczbą w kwadracie magicznym Kuber-Kolama.

- Ciekawe - powiedział Thorpe.

Zachęcana, powiedziałam mu więcej. Mimo że była bardzo ładna, Lila nie znosiła luster i robiła wszystko, żeby je ominąć. Dlatego nie było luster w jej pokoju, a kiedy na ostatnim roku college'u matka wreszcie przekonała ją do używania szminki, to często nakładała ją trochę nierówno, bo na ślepo.

Często pojawiała się w naszych rozmowach pytanie, kto zabił Lilę. Zupełnie nie miałam pomysłu. Z tego, co wiem, nie było nikogo, kto by jej nie lubił. Nie umiem sobie wyobrazić, żeby się komuś mogła narazić. Powiedziałam Thorpe'owi to, czego nie powiedziałam rodzicom. Ktokolwiek to był, mam nadzieję, że był to nieznajomy. Trudno by mi było znieść myśl, że to ktoś, kogo znała i komu ufała.

- A co z mężczyzną, z którym się spotykała? - zapytał kiedyś Thorpe. - Czy on mógł ją zamordować?

Wzdrygnęłam się.

- Proszę, nie używaj tego słowa.

*Morderstwo* to ulubiony termin reporterów, ale ja nie byłam w stanie go wypowiedzieć; było zbyt obrazowe. Dobrze, że istniała oficjalna terminologia, słowo *zabójstwo* było jakoś delikatniejsze.

- Oczywiście policja się nim bardzo interesuje - powiedziałam. - Ale nikt nie wie, kim on jest. Obydwoje byli bardzo skryci.

Thorpe coś zapisał w notesie, a ja mówiłam. Przy nim czułam się swobodnie, mogłam powiedzieć wszystko. Słuchał, kiwał głową, zadawał pytania. Kiedy teraz o tym myślę, powinnam była być zaniepokojona tym piórem zawsze gotowym do pisania, faktem, że czasem w trakcie naszej rozmowy zaczynał coś notować. Zwykle, kiedy się z nim spotykałam, czytał prace studentów lub robił notatki do wykładów, więc się tym nie przejmowałam. Na kolejny semestr, już po śmierci Lili, zapisałam się do Thorpe'a na zajęcia z literatury wschodnioeuropejskiej. To były jedyne, na jakie solidnie uczęszczałam. Nasze prywatne rozmowy zawsze zaczynały się tym, co czytaliśmy na zajęciach w danym tygodniu. Na przykład *Księga śmiechu i zapomnienia* Milana Kundery, *Kuszenie* Václava Havla czy *Zbyt głośna samotność* Bohumila Hrabala i kończyliśmy Lilą. Zaczęłam przypuszczać, że moi znajomi mogli mnie uważać za osobę ponurą i trudną do zniesienia. Rozumiałam, że ból nie jest miłym towarzystwem, jednak nie mogłam przestać myśleć o tym, co stało się z moją siostrą. Thorpe, jako jedyna osoba, jakoś nigdy nie był zmęczony tym tematem. Czasami przychodziło mi do głowy, że jest mną zainteresowany prywatnie. No bo niby dlaczego, zastanawiałam się, stale ciągnął ten temat?

Najczęściej spotykaliśmy się w kawiarence, ale czasami zostawałam po zajęciach. Nasza sala miała wielkie, półokrągłe zakończone okna, przez które widziałam ujście zatoki i most Golden Gate.

Jego widok wyłaniający się z mgły, tak daleki i jednocześnie tak znajomy, dodawał otuchy. Obie z Lilą wielokrotnie chodziłyśmy po nim, robiłyśmy to zwykle dwa razy do roku od tak dawna, jak tylko pamiętam, zawsze w jej urodziny i pierwszy dzień jesieni. Rozmowa o niej w takiej scenerii, z człowiekiem, którego uważałam za przyjaciela, wydawała się naturalną.

Semestr letni się skończył - a my dalej byliśmy razem. Spotykaliśmy się w parku Dolores, niedaleko jego mieszkania, albo w cukierni Creighton's Bakery w Glen Park. Kilka razy poszliśmy na film do Roxie.

Dopiero w czerwcu, sześć miesięcy po tym, kiedy zaczęły się nasze rozmowy, Thorpe powiedział mi, że pisze książkę. Jedliśmy obiad w Pancho Villa. Siedzieliśmy przy oknie i zanim wbiliśmy widelce w burritos\*, Thorpe nieustannie komentował przechodzących ludzi. Dla każdego z nich wymyślał historyjkę: ta kobieta o wyglądzie żebraczki, popychająca wózek spacerowy za pięćset dolarów, ukradła go od niczego się niespodziewającej młodej, nowoczesnej mamy; ta atrakcyjna para trzymająca się za ręce udaje, że jest w mieście w podróży służbowej - obydwójce oszukują swoich formalnych małżonków. Thorpe kreował tło i motywację działania zupełnie obcych ludzi. Podejrzywałam, że ich prawdziwe życiorysy były o wiele mniej ciekawe od tych, które on dla nich wymyślał.

\* Meksykańskie naleśniki.

W którymś momencie, sącząc oranżadę, Thorpe powiedział:

- Właściwie, to mam interesującą wiadomość.
- Tak? Co takiego?
- Piszę książkę.
- To świetnie - powiedziała i naprawdę się ucieszyła.

Najpierw wyznał mi, że jego skrytym pragnieniem było zostać pisarzem. Kończąc studia, zamierzał wydać kilka opowiadań, ale po całej serii odmownych odpowiedzi - dał spokój. Wiem, że gdzieś tam w szufladzie miał częściowo napisaną powieść.

- Połowa wydziału filologii angielskiej ma coś napisane - powiedział mi kiedyś, machając ręką na lata własnej pracy.

- Powieść? - zapytałam.
- Nie, to literatura faktu.
- O czym?

Przygryzł wargę, chwilę bawił się sztuczkami i po długiej przerwie powiedział:

- To jest o Lili.

Najpierw byłam pewna, że się przesłyszałam.

- Co?

- Upamiętnienie jej życia i śledztwo w sprawie śmierci.

To zabrzmiało, jakby było wcześniej przewidziane. Sam pomyślałem, że miałby napisać książkę o Lili, był tak niewiarygodny, że przez moment potraktowałam to jak żart.

- To nie jest zabawne - powiedziałam. - Dlaczego mówisz coś takiego?

- To fascynująca historia. Myślę, że ludzie będą chcieli o tym przeczytać.

Odsunęłam talerz.

- Nie mówisz serio.

Czekałam, żeby potwierdził, że żartował sobie ze mnie, ale tego nie zrobił. Minał nas mężczyzna trzymający kilka psów na smyczach i Thorpe usiłował rozpogodzić nastrój żartem.

- Ten znów porzucił lukratywną karierę w medycynie i spełnia swoje marzenia jako wyprowadzacz psów na spacer.

- Lili nie jest historią do opisywania w książkach - powiedziałam tak głośno, że para przy stoliku obok odwróciła się, by spojrzeć. - To moja siostra.

Thorpe zerknął przepraszająco na tę parę i mówił spokojnie.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego powiedzieć w taki sposób. Widzisz, chodzi o to, że słuchając twoich opowiadań o Lili przez te kilka miesięcy zauważyłem, że jest wiele elementów, które nie ujrzały światła dziennego. Policja nie ma na czym bazować. Dla nich rozwiązanie sprawy kryminalnej to tylko zwykła robota, niepotrzebna komplikacja w pracy. Może ja popatrzę na to świeżym okiem.

- Do czego jeszcze masz nadzieję się dokopać, czego oni nie odkryli?

- Zobacz, ktoś coś musi wiedzieć. W końcu może ja dotrę do tego, z kim Lila się spotykała.

- Jeśli chcesz się bawić w prywatnego detektywa - nie ma sprawy. Ale nie opisuj tego w książce. Lila nie zniosłaby tego.

Mówiąc to, patrzyłam na Thorpe'a i widziałam, że już układa sobie odpowiedź.

- Była wyjątkową osobą, bardzo utalentowaną - odparł. - Ta książka jest hołdem dla niej.

Czułam, że robi mi się gorąco.

- Ale przecież ty jej nawet nie znałeś.

- Jednak czuję, jakbym ją znał. Gdyby nie ty, byłaby dla mnie niczym więcej niż nagłówek w gazecie. Ale ty sprawiłaś, że stała się dla mnie realna. Dzięki tobie nabrała dla mnie znaczenia.

- Błagam cię - powiedziałam. - Poważnie, jak przyjaciela.

W przeszłości powiedziałam Thorpe'owi, że Lila miała prawie obsesyjne pragnienie prywatności. To był powód, dla którego mieszkała w domu, a nie w wynajętym mieszkaniu, które człowiek dzieli z innymi ludźmi. Dlatego rzadko odbierała telefony i miała tak niewielu znajomych. Może to był powód, dla którego lubiła liczby, to one utrzymywały dystans. Z nimi można się było komunikować bez emocji. Liczby posiadają właściwy dla siebie porządek, którego darmo by szukać w relacjach

międzyludzkich. Byłaby chora, gdyby jej twarz pojawiała się co i rusz w gazetach, a nazwisko było wymieniane w telewizyjnych wiadomościach. Książka jest jeszcze gorsza. Książki są przekazywane z rąk do rąk, przechowywane w bibliotekach. W książce zawsze byłaby ofiarą.

Thorpe odchylił się do tyłu.

- Jestem już za daleko, żeby się teraz cofnąć, ale czułbym się lepiej, gdybym miał twoją zgodę. Wersja robocza jest już w połowie gotowa. Bardzo bym chciał, żebyś rzuciła na nią okiem. Już znalazłem agenta.

- A nie przyszło ci do głowy, żeby mnie zapytać, nim zacząłeś? Nic nie odpowiedział.

- Zaufałam ci - powiedziałam, czując się głupio.

Pomyślałam o tych niekończących się pytaniach, nieustannym robieniu notatek, moich odpowiedziach na wszystkie zadane pytania i o tym, że nigdy nie pomyślałam o powodach tego wszystkiego.

Wyciągnął rękę przez stół i położył na mojej. Cofnęłam dłoń.

- Przypuszczałem, że może będziesz niechętna i doskonale to rozumiem. Dlatego chciałem, żeby książka była mocno zaawansowana, zanim ci o niej powiem. Sięgnął do torby i wyciągnął segregator, który przesunął po stole w moją stronę. Otworzyłam. Plik papierów wewnątrz był gruby na pięć centymetrów. Przeczytałam stronę tytułową i poczułam mdłości w żołądku.

MORDERSTWO NAD ZATOKĄ

Prawdziwa historia mrocznych zakątków San Francisco *Andrew Thorpe, Ph.D.*

Podczas dwóch następnych tygodni widziałam się z Thorpe'em jeszcze kilka razy. Za każdym błagałam go, żeby nie kończył książki i zawsze odmawiał.

- Czytałaś? - pytał w napięciu. - Gdybyś przeczytała, to myślę, że zmieniłabyś zdanie.

Ale ja nie chciałam tego czytać. Nie miałam potrzeby przeżywania ponownie koszmaru związanego ze śmiercią Lili, oglądanego oczami innego człowieka.

Ostatni raz rozmawialiśmy pewnego mglistego dnia na plaży Ocean Beach, po tym jak powiedziałam rodzicom o książce. Byli zdruzgotani, a mój zwykle spokojny ojciec nie był w stanie ukryć gniewu.

- Ty przyprowadziłaś Andrew Thorpe'a do tego domu - powiedział. - Jadł z nami kolację. Zaufaliśmy mu, bo był twoim przyjacielem.

Szliśmy z Thorpe'em wzdłuż brzegu, mieliśmy twarze zimne i mokre od mgły.

- Proszę cię po raz ostatni - błagałam. - Przez wzgląd na mnie, na moich rodziców, na Lili. Daj sobie z tym spokój.

- Ellie - powiedział. - Nie mogę.

- To jest twoja ostatnia odpowiedź? - zapytałam.

Patrzył na ocean, gdzie ogromne statki torowały sobie drogę w kierunku zatoki.

- Przepraszam - powiedział.

Odwrociłam się i odeszłam. Kiedy byłam w połowie promenady, coś krzyknął do mnie, ale jego słowa utonęły w szumie fal.

## 4.

Przez kilka lat po śmierci Lili jeździłam po kraju. Dokończenie mojego licencjatu z literatury trwało dłużej niż powinno. Pracowałam jako kelnerka i dorywcza pomoc biurowa, żeby zarobić na moje podróże po Stanach. Podróże po drogach bez kresu, w rozpadających się samochodach z trochę przypadkowymi, często odchodzącymi i powracającymi do mnie chłopcami. Wreszcie pojechałam sama do Europy. Tego lata, kiedy skończyłam szkołę średnią, a Lila Berkeley, nasi rodzice opłacili nam sześciotygodniową podróż do Europy z plecakami z firmą Eurail. Podróż była świetna, przyrzekłyśmy sobie powtórzyć ją za pięć lat. Ale kiedy nadszedł ten wyczekiwany moment - Lili już nie było, więc przeszedł bez fanfar. Żyłam w swego rodzaju zawieszeniu, nie mogąc znaleźć swojej własnej, jasnej drogi w przyszłość. Cztery lata później, niż to było planowane, kupiłam bilet w jedną stronę przez Atlantyk. Lato spędziłam, idąc naszymi starymi śladami, miałam wtedy dwadzieścia siedem lat. Przebyłam tę samą trasę, którą razem podróżowałyśmy od Amsterdamu do Paryża, od Paryża do Barcelony przez Wenecję, do Niemiec i znów do Holandii. Zwiedziłam te same muzea, nawet starałam się spać w tych samych hostelach, chociaż najczęściej nie mogłam ich odnaleźć, ponieważ wtedy nie myślałam, żeby prowadzić jakiś dziennik podróży. Kupiłam małą książeczkę - minibiografie sławnych matematyków, i odwiedziłam kilka grobów: Blaise Pascala na Saint-Étienne-du-Mont w Paryżu, Karla Gaussa na Albanifriedhof w Getyndze w Niemczech, Leibniza w Hanowerze, Christiana Dopplera na Cimitero di San Michele w Wenecji. Odwiedzanie grobów sławnych matematyków, których Lila podziwiała, było pośmiertnym prezentem dla mojej siostry, nie służyło żadnemu praktycznemu celowi, ale w jakiś sposób - nie umiem tego wyjaśnić - dawało mi poczucie bliskości z nią.

Kiedy wróciłam do domu, dalej szukałam dorywczych prac, przenosząc się z jednego biura do drugiego, nie znajdując w tym ani sensu, ani radości, ani celu. Często zastanawiałam się, co by teraz robiła Lila, gdyby żyła. Zdecydowanie byłoby to coś o wiele bardziej sensownego niż to, co ja robiłam. Wiedziałam, że jej życie na pewno doprowadziłoby ją wysoko. Dziesięć lat po jej śmierci wciąż nie mogłam się pozbyć przeświadczenia, że żyję życiem liczby nierzeczywistej.

Potem, gdy już zaczynałam wątpić, że kiedykolwiek zacznę się czymś pasjonować - odkryłam swoje powołanie do kawy. Był to przypadek, ktoś mógłby go nazwać łutem szczęścia. Jeżeli chodzi o Lilę, to ona nigdy nie wierzyła w takie rzeczy. Kiedy wygrała walkmana na loterii w średniej szkole, wykrzyknęłam z zachwytem, że ma szczęście. Wtedy powiedziała:



- To, co nazywamy szczęściem, jest rezultatem działania praw naturalnych, kwestią prawdopodobieństwa.

Kiper, tak jak sommelier\* albo twórca perfum, musi mieć doskonały nos. Ja odziedziczyłam swój po matce, zagorzałej ogrodniczce, która sadziła kwiaty nie według kolorów, ale według zapachu. W dzieciństwie spacerowałam po naszym ogrodzie i byłam oczarowana faktem przenikania się silnego, słodkiego zapachu jaśminu z cierpką wonią drzewek cytrynowych, albo piżmowej glicynii spotęgowanej pikantnym zapachem szaławii. Uwielbiałam świeżość mięty rosnącej obok dywanu pokruszonej kory cedrowej, prostotę woni róż rosnących przy delikatnej lawendzie. Kiedy byłam w szkole podstawowej, mama powiedziała mi, że mam dobry węch. Cieszyłam się tym komplementem przez lata. Mama zawsze mnie wspierała i sprawiało jej radość chwaleń mnie z różnych powodów. Podczas gdy intelektualne możliwości Lili wywoływały wszelkie pochwały w sposób spontaniczny i naturalny, to wiem, że nade mną mama musiała trochę mocniej popracować.

\* Specjalista w dziedzinie wiedzy o winie i jego degustacji.

Wiele, wiele lat po tym wydarzeniu, jakim było wypicie pierwszej filiżanki kawy, wciąż ją pamiętałam. Rozkoszowałam się, pijąc ją ukradkiem z ojcem, kiedy mama i Lila były w kościele. Miałam wtedy osiem lat i musiałam siedzieć w domu z powodu alergii, której nabawiłam się w kontakcie z trującym dębem podczas naszej rodzinnej wycieczki.

Zawsze kochałam zapach kawy, wypełniał nasz dom rano, kiedy rodzice wybierali się do pracy. Tamtego dnia zauważyłam w kuchni coś nowego. Na blacie stała mała, drewniana skrzyneczka, która do górnego wieczka miała przytwierdzony metalowy pojemnik z korbką z boku. Na jego dnie leżało kilka ciemnych fasolek. Tato siedział przy kuchennym stole i czytał gazetę.

- Co to? - zapytałam.

- Młynek do kawy.

- Skąd on jest?

- Kupiliśmy go z mamusią w Wenecji.

- Co to jest Wenecja?

- Miasto we Włoszech. Pojechaliliśmy tam w podróż poślubną.

- Dlaczego nigdy dotąd go nie widziałam?

- Znalazłem go, kiedy sprzątałem garaż. Pokręć korbką.

Kręciłam korbką raz za razem, patrząc jak zęby na dnie pojemnika miażdżą fasolki na coraz mniejsze kawałki, wydając bogatą, orzechową woń. Mełłam dotąd, aż ziarenka zniknęły. Potem wyciągnęłam małą szufladkę, gdzie wsypała się zmielona kawa, podniosłam do nosa i powąchałam. To było cudowne.

- Chcę trochę - powiedziałam.

- Nie jesteś na to za mała? - uśmiechnął się tatuś.

Wiele lat później podjęłam chwilową pracę w administracji firmy Golden Gate Coffee w South City. Kiedy właściciel, Mike Stekopolous, zaproponował mi stałą pracę jako swojego zastępcy - przyjąłam bez wahania. To było pierwsze miejsce pracy, w którym czułam, że naprawdę tu pasuję. Już kilka lat pracowałam w Golden Gate Coffee, kiedy po raz pierwszy towarzyszyłam Mike'owi w jednej z jego podróży. Miałam trzydzieści jeden lat i szukałam czegoś, czego nie umiałam określić - poczucia spokoju i ogólnie dobrego samopoczucia, które straciłam wraz ze śmiercią Lili. Na małym kawałku ziemi w regionie Quezaltenango w Gwatemali stałam w towarzystwie trzech pokoleń rolników, czyli *campesino*, i zbierałam dojrzałe jagody z błyszczących krzewów. Pod koniec dnia bolały mnie plecy, palce miałam poodcierane, a w moim jutowym worku była tylko połowa. Byłam zdumiona, że potrzeba aż dwóch tysięcy ręcznie zebranych owoców na pół kilo kawy. Następnego dnia zwiedziłam szopę, w której kawa była poddawana różnym procesom. Tutaj uszkodzone ziarna oddzielano od dobrych, potem segregowano według wielkości, wreszcie wrzucano do bębna, który wyplukiwał ziarna z miąższu i pozbawiał je twardej łupiny. Widziałam kadzie do fermentacji, zanurzałam ręce w pęczniejących ziarnach i splukiwałam kleistą maź, odkrywając gładkie, zielonkawe fasolki o delikatnych nacięciach. Wreszcie pomagałam rozsypywać ziarno na gigantyczne płachty brezentu i przegarniać je specjalnymi grabiami w tę i z powrotem, żeby wyschły na słońcu.

Dopiero, kiedy doświadczyłam całego procesu od początku do końca, Mike pozwolił mi wejść do pomieszczenia, w którym próbowaliśmy kawę. Była to stojąca na polu mała chatka o ścianach pobielonych wapnem i klepisku zamiast podłogi. Tam, kiedy odsuwałam ciężką łyżeczką ciemny kożuszek, który utworzył się na powierzchni, przypominałam sobie ten rano, kiedy siedziałam z ojcem i popijałam kawę. Wtedy zdarzył się ten pierwszy raz w moim dorosłym życiu, kiedy mogłam przewidzieć jakąś wersję swojej własnej historii, w której niepowiązane części jakoś zaczęły się łączyć i splatać ze sobą.

## 5.

*Morderstwo nad Zatoką* pojawiło się w księgarniach w pewien czerwcowy wtorek, osiemnaście miesięcy po śmierci Lili. W niedzielę zaś niejaki Semi Chellas, krytyk „San Francisco Chronicle”, zamieścił na pierwszej stronie entuzjastyczną recenzję, obiecując czytelnikom, że książka wejdzie do „kanonu prawdziwej klasyki powieści kryminalnej”. Wiele dni później natknęłam się na tekst, który Thorpe napisał dla czasopisma „San Francisco” pod tytułem *Historia Lili*, w którym opisywał szczegóły przyjaźni ze mną i zapewniał, że podczas gdy Lila była główną bohaterką powieści, to ja byłam jego muzą. Poczulałam się okropnie, dostałam mdłości. Miałam nadzieję, że rodzice nie dowiedzieli się o artykule, a jeśli jednak - to nic nie powiedzieli.

Przeglądałam dział książek w „Chronicle” i z przerażeniem zobaczyłam, że zadebiutowała z numerem siódmym na liście bestsellerów literatury faktu. Z tygodnia na tydzień szła w górę, wspięła się na miejsce piąte, potem drugie, wreszcie pierwsze, i tam pozostała przez dwadzieścia trzy tygodnie. Nie dało się przejść obok wystawy jakiegokolwiek księgarni, żeby nie była wystawiona na widocznym miejscu, często obok dużego plakatu. Na nim okładka książki - zdjęcie twarzy Lili, które raczej straszło jak duch na tle mostu Golden Gate w towarzystwie głowy Thorpe'a. Ofiara i autor obok siebie. Z uczuciem nienawiści myślałam o tych wszystkich ludziach czytających o Lili oraz o fakcie, że jej osobista tragedia stała się publiczną rozrywką.

Podczas trzeciego tygodnia, kiedy książka dalej była wyłożona na stojakach, siedziałam w poczekalni serwisu samochodowego przy Geary Boulevard, gdzie mi zmieniali olej i zauważyłam, że kobieta naprzeciw czyta *Morderstwo nad Zatoką*. Zobaczyła, że przypatruję się okładce jej książki i zapytała:

- Czytała pani to już?

- Nie.

- Powinna pani. Jest fascynująca. Miejscami dość nudna, tam, gdzie autor pisze szczegółowo o tej całej matmie, ale ogólnie rzecz biorąc polecam. Aż dreszcz przechodzi, kiedy człowiek pomyśli, że to się stało dokładnie tutaj, w San Francisco. Znam te ulice, o których autor pisze, nawet jadłam w tych samych restauracjach i mój syn chodził do Lovell, tej samej szkoły średniej, co Lila. On ją pamięta, była bardzo spokojna, ładna i trochę dziwna. Przeczytałam już trzy czwarte. Autor podaje mordercę, po nazwisku.

- Tak?

- Tak. Ale nie będę psuła pani całej zabawy.

Popatrzyła na okładkę, a potem znów na mnie.

- Właściwie, pani jest trochę do niej podobna.

Zapłaciłam za wymianę oleju i pojechałam do księgarni Green Apple Books przy Clement. Aż do tamtej chwili byłam zdecydowana nie czytać książki Thorpe'a. Ale kobieta u mechanika zaskoczyła mnie. Czy to było możliwe, że Thorpe rzeczywiście zrobił to, co zapowiedział? Czy wreszcie on znalazł coś, czego policja nie umiała? Książka leżała na półce z nowościami na samym froncie i w głębi. Złota nalepka na okładce tuż nad lewym okiem Lili mówiła, że ten egzemplarz ma osobisty komentarz pracownika księgarni.

Ręcznie napisana kartka przez kogoś o nazwisku Pate mówiła, że książka „przypomina *Z zimną krwią*\*, przerażające sprawozdanie z potwornego morderstwa, które wciśnie cię w fotel". Gdyby sprzedawcy nie patrzyli na mnie, oderwałabym tę kartkę i przeniosła cały stos książek do działu kalendarzy na samym końcu sklepu. Ale zamiast tego po prostu wzięłam jeden egzemplarz, położyłam na kontuarze i zapłaciłam gotówką za historię życia i śmierci mojej własnej siostry. Tego wieczoru w sypialni zaczęłam czytać.

\* Powieść Trumana Capote'a.

Powieść zaczyna się szczegółowym opisem pozycji, w jakiej leżało ciało Lili, kiedy je znaleziono. Thorpe cytował tego wędrowca, który ją znalazł w lesie. „No i stałem tam, odpinałem spodnie, żeby się odlać, kiedy moja stopa nadepnęła na coś i się potknąłem. Kiedy złapałem równowagę, to zobaczyłem, że to było ciało, wkurzyłem się. Oparłem się o najbliższe drzewo i chciałem wyrzygać z siebie flaki".

Przez kolejne tygodnie nie mogłam pozbyć się obrazu obcego człowieka z rozpiętym rozporciem, wymiotującego obok ciała mojej siostry. Wszystko bym dała, żebym to ja mogła ją znaleźć, przygładzić ręką włosy, zetrzeć błoto z twarzy. Zrobiłabym wszystko, żeby wyglądała bardziej jak ona lubiła, żeby była mniej obnażona, zanim policjanci dotarli ze swoimi notesami i polaroidami.

Dla Thorpe'a nie było żadnych zbyt intymnych albo zbyt makabrycznych szczegółów. Opisał zdjęcia procesowe, jakby mówił o serii malarstwa: bladoniebieskawy kolor skóry siostry, wysokie łuki jej ciemnych brwi, sposób, w jaki zakrwawione włosy otaczały twarz. Nawet, co było dla mnie męką, sposób, w jaki policja robiła notatki, kiedy podeszli do ciała, jakby to było wiele dni od jej śmierci. Leżała na plecach, w linii prostej, ramiona spoczywały po obu bokach, kupka liści pod głową - jak poduszka, ta pozycja zasugerowała oficerom śledczym, że morderca musiał ją znać.

*Zabójca musiał odczuwać trochę współczucia dla swojej ofiary - pisał Thorpe. - Tak, jakby kładł ją do łóżka, otulając na długą noc.*

Była ubrana, kiedy wędrowiec ją znalazł, ale w rozerwanej pod bosmanką bluzce brakowało czterech guzików od góry. Opisanie jej bladożółtego stanika zajęło Thorpe'owi kilka zdań, cały ustęp poświęcił na mały tatuaż ponad lewą piersią. Zrobiła go sobie kilka tygodni przed śmiercią i dumnie pokazała mi któregoś wieczoru przed spaniem.

- Co to jest? - zapytałam, sunąc palcem po ciemnofioletowej linii atramentu.

- Podwójny torus albo przynajmniej jego dobre wykonanie, na tyle podobne do prawdziwego, na ile mogłam znaleźć na Haight Street.

- Co to jest podwójny torus?

- To jest kula z dwoma uchwytami i dwoma otworami, uformowana za pomocą dwóch połączonych torusów. Przedstawia jakby dwa obwarzanki położone obok siebie i sklejone.

- Co cię napadło, żeby sobie robić dwa obwarzanki? - zapytałam.

- Podwójny torus to bardzo elegancka topologiczna konstrukcja. Można ją wykreślić w ten sposób:

Podeszła do biurka, naskrobała coś na kawałku papieru i wręczyła mi:  $z^2 = 0,04 - x^4 + 2x^6 - x^8 + 2x^2y^2 - 2x^4y^2 - y^4$ . Kilka dni po znalezieniu ciała natknęłam się na tę kartkę przypiętą do jej tablicy na ścianie. Uświadomiłam sobie, że to była ostatnia rzecz, którą napisała specjalnie dla mnie. Nigdy jej nie wyrzuciłam. Schowana w portfelu podróżowała ze mną przez całe lata, jak tajemniczy kod.

Lila zapięła guziki góry od piżamy, żeby schować tatuaż.

- Ktoś mi rzucił wyzwanie.

- Kto?

Uśmiechnęła się skrytym uśmiechem, jakby mnie nawet nie było w pokoju.

- Nikt, kogo znasz.

Stojąc obok ciała Lili w kostnicy w Guerneville i trzymając się za rękę, moi rodzice po raz pierwszy zobaczyli tatuaż. Ta scena także została opisana przez Thorpe'a, którego oczywiście tam nie było, ale zapewniał we wstępie do swojej książki, że „udramatyzowanie tego czy innego wydarzenia jest wprawdzie fikcją, ale było konieczne, żeby historia brzmiała wiarygodnie”. Pewne rzeczy opisał dobrze: zdziwienie moich rodziców na widok tatuażu, zapach chińskiego jedzenia na wynos dochodzący z biura kostnicy, monotony głos ojca, kiedy telefonował do mnie. O tym wszystkim Thorpe wiedział tylko ode mnie.

Dla niego był to temat na opowiadanie, czysty i prosty. Przed napisaniem książki przez kilka lat uczył na różnych uniwersytetach w okolicy Zatoki. Powiedział mi, że jedyny powód, dla którego wyładował na University of San Francisco, to piękne widoki i najkrótsze semestry.

- Kiedyś wydawało mi się, że nauczanie to idealna kariera - powiedział na początku naszej przyjaźni. - Myślałem, że każdy, kto w tym siedzi, robi to z miłości do literatury. Ale tak było, zanim odkryłem, ile zazdrości i małostkowej polityki jest w to wmieszane. Bardzo lubię studentów, ale nie nawidzę systemu. Muszę znaleźć jakąś drogę wyjścia.

Tym wyjściem była dla niego książka. Miał trzydzieści dwa lata, kiedy *Morderstwo nad Zatoką* uczyniło go nieco sławnym. Za każdym razem, kiedy patrzyłam na dział poświęcony książkom w „Chronicle” - on zawsze tam był. Któregoś dnia jadłam przed telewizorem, zobaczyłam go w programie *Today*, Bryant Gumbel przeprowadzał z nim wywiad. Wyglądał zupełnie inaczej niż Andrew Thorpe, którego znałam; gładki, wypolerowany, opakowany w pięknie skrojone ubranie i drogie buty. W następnym tygodniu *Morderstwo nad Zatoką* pojawiło się na liście bestsellerów „New York Timesa”. Jego nazwisko można było znaleźć w takich szpanerskich czasopismach jak „Harper's” czy „GQ” i

wreszcie wylądowało na jego własnej kolumnie w „Esquire”. Thorpe poszedł dalej, napisał trzy kolejne książki w typie prawdziwego kryminału, wzbogacając się na każdym kolejnym morderstwie. Od czasu do czasu widywałam go w CNN, opowiadał o różnych nierozwiązanych przypadkach, jakby był biegłym w dziedzinie medycyny sądowej. A może wtedy już był?

Podczas gdy ja pogardzałam *Morderstwem nad Zatoką* i faktem, że wykorzystywał drugiego człowieka - nie mogłam autorowi odmówić jednej rzeczy: wykonania wnikliwych badań.

W ostatecznym efekcie dowody w sprawie były bardzo skromne, a policyjne śledztwo nie napawało optymizmem. Sprawa Lili nigdy nie była priorytetem dla policji w San Francisco, a na dodatek została uwikłana w skandal, w który zamieszany był syn szefa. Policja z Guerneville była niedofinansowana i brakowało tam ludzi do pracy. Pomimo że śmierć Lili była traktowana jako zabójstwo - nigdy nikogo nie oskarżono. Jednak Thorpe miał swoją teorię, którą poskładał z różnych kawałków, używając serii skomplikowanych tropów i przypuszczeń wyglądających na dobrze przemyślane. Całe swoje rozumowanie przedstawił drobiazgowo i przekonująco na 296 stronach. Do tych szczegółów związanych ze sprawą dodał długie ustępy o samej Lili, naszych rodzicach i mnie.

*To nie jest tylko historia zamordowanej dziewczyny - pisał Thorpe we wstępie. - To także historia jej siostry, która pozostała samotną jedynaczką.*

*Znałem ją osobiście. Powinienem nawet napisać, że znałem ją bardzo dobrze. Część tej książki jest bezpośrednim zapisem rozmów z Ellie Enderlin, która przez kolejne tygodnie i miesiące po morderstwie zmagala się ze sobą, by zostać dokładnie taką córką, jakiej oczekiwali rodzice, starała się zmienić jakby za pomocą czarodziejskiej różdżki w dobrą córkę.*

O ironio, jeśli kiedykolwiek była szansa, żebym była „dobrą córką” - skończyła się ona wraz z publikacją książki Thorpe'a. Podczas gdy moja matka dzielnie starała się traktować mnie tak jak do tej pory, ojciec nie umiał ukryć swojego rozczarowania. Słyszałam to w jego głosie, kiedy mówił do mnie, widziałam w jego twarzy, kiedy na mnie patrzył. Moja rodzina była ambitna, ojciec z dużym powodzeniem prowadził firmę konsultingową związaną z finansami, matka miała praktykę adwokacką o dobrej renomie, a Lila była rozkwitającym geniuszem. Może z powodu jakiegoś załamania kodu genetycznego tylko jedna z nas była przeciętna, ale dążenie do sukcesu w rodzinie Enderlin było w moim przypadku mocno osłabione. Moja średniość była wadą, na którą ojciec zdecydował się nie zwracać uwagi, kiedy Lila żyła. Mając takie cudowne dziecko jak Lila, mógł sobie pozwolić, żebym ja była przeciętną. Nawet po jej śmierci nastąpił taki łaskawy okres, kiedy podejrzewałam, że próbował obrócić te wątpliwości w pewne korzyści dla mnie; otóż pierwszy raz zainteresował się moimi studiami, często pytał o zajęcia, o moje cele. Usiłowałam wychodzić mu naprzeciw z odpowiedziami, dając takie, jakie były pytania. Nigdy mu nie powiedziałam, że opuszczałam większość zajęć, albo że jego nadzieje na moje pójście w ślady matki-adwokata były bezpodstawne. Przez pewien krótki czas rzeczywiście pokładał we mnie prawdziwe nadzieje. Ale po ukazaniu się książki - wszystko się zmieniło.



Nasze rozmowy były coraz krótsze i krótsze, a w ciszy między nami - coraz więcej napięcia. Przymuszczałam, że z jego strony to był wysiłek, żeby nie powiedzieć tego, o czym myślał. Jego zdaniem ja ponosiłam winę za książkę, to moja niedyskrecja naszą prywatną, rodzinną tragedię zamieniła w publiczny spektakl.

## 6.

Szósty rozdział *Morderstwa nad Zatoką* pokazywał nasze życie domowe. Zatytułowany *Opowiadanie o dwóch siostrach*, koncentrował się na relacjach między Lilą i mną. Kiedy tamtej nocy przeczytałam książkę, a było to w trzy tygodnie po jej wydaniu, wzdygałam się na wizerunek nas obu, który Thorpe namalował, nie mogłam znieść, że tak łatwo nas podsumował.

*Jedna była wysoka i ciemna, zaczynał się rozdział, druga drobna i jasna. Jedna była wybitnie uzdolniona matematycznie, podczas gdy druga zagubiona w książkach.*

Oba te zdania były zasadniczo prawdziwe, aczkolwiek takie sformułowanie wskazywało na rodzaj dychotomii z bajeczek dla grzecznych dzieci, który nie istniał w naszym prawdziwym życiu. Lila rzeczywiście była ode mnie wyższa o prawie osiem centymetrów i miała tak jak ojciec oliwkową cerę i brązowe włosy, podczas gdy ja odziedziczyłam bladą cerę, rude włosy i drobną sylwetkę po szkocko-irlandzkiej rodzinie matki. Pominąwszy te różnice, wyglądałyśmy zupełnie jak siostry, fakt, na który ludzie często zwracali uwagę, kiedy widzieli nas razem. Obie miałyśmy ciemne, brązowe oczy, dołeczki i okrągłe twarze. Podobnie do matki, nasze kości policzkowe były delikatne, a nosy proste, poważne, tak jak u ojca. Obu nam udało się, jeśli chodzi o usta, szczęśliwe genetyczne połączenie łukowatego wygięcia naszej matki i pełnych warg ojca.

Na kolejnej kartce szóstego rozdziału była zamieszczona fotografia moja i Lili stojących razem w dniu wręczenia dyplomów w Berkeley. Ona wyglądała bardzo naukowo i szacownie w birecie i to-dze, włosy miała spięte nisko na karku w koński ogon. Ja wpasowałam się w wizerunek beztroskiej młodszej siostry w letniej sukience z dużym dekoltem i sandałach, z włosami luźno opadającymi na ramiona. Żeby pogłębić kontrast, Lila nigdy nie malowała oczu, ledwie zaznaczała rzęsy tuszem, a na ustach miała nikły ślad bladej pomadki. Ja używałam odcieni mocnych czerwieni. To zdjęcie było w oryginale kolorowe, kiedy zostało wydrukowane na czarno-białym, tanim, szorstkim papierze, moja szminka wydawała się jeszcze ciemniejsza. Po przyjrzeniu się fotografii czytelnicy mogli nabrać przekonania, że byłyśmy dokładnie takie, jak Thorpe opisał.

Zdecydował się przedstawić Lilę jako nieśmiałą do bólu, a mnie - żywiołową i towarzyską. Ale dla wszystkich, którzy nas znali, było oczywiste, że mocno przesadził z różnicą pomiędzy nami, a zrobił to dla efektu dramatycznego. Pomiął wszystko, co mogło przeszkodzić w takiej narracji, jaką chciał osiągnąć. Nie wspomniał ani słowem, że do śmierci Lili pilnie uczęszczałam na te zajęcia, które

mi odpowiadały. Nigdy nie napisał, że Lila, zasadniczo samotnik, potrafiła być całkiem przyjazna w stosunku do nieznajomych.

Ale rozumiałam, dlaczego.

Na pierwszym dla mnie, jednym z kilku, wykładzie poświęconym sztuce pisania powieści powiedział:

- Tutaj cały czas chodzi o postaci.

Wprawdzie zajęcia były ze współczesnej literatury amerykańskiej, ale Thorpe pozwalał sobie na naginanie programu i często wymagał od nas pisania własnych, krótkich opowiadań.

- Fabuła, miejsce akcji, styl - żaden z tych elementów nic nie pomoże, jeśli nie będziecie mieć interesujących postaci, najlepiej, żeby były ze sobą w konflikcie.

Teraz rozumiem, że z jego punktu widzenia kontrast nieśmiałej intelektualistki i szalonej, artystycznej siostry powodował, że książka stawała się lepszą rozrywką. Wydaje mi się, że tego poszukiwał. Jemu nie chodziło o szczegóły, ale o ogólny efekt.

Ten nastrój można było wyczuć już od pierwszej strony *Morderstwa nad Zatoką*: „przybliż się, a ja ci opowiem historię przyprawiającą o gęsią skórę”. Sama przez lata przeczytałam mnóstwo takich książek. Lubiłam „mojego” Czechowa, Flauberta, O’Henry’ego czy Pavese’a, zawsze mogłam zagłębić się w dobrze napisany kryminał albo przykuwającą uwagę kryminalną historię opartą na prawdziwych wydarzeniach. *Z zimną krwią* było jedną z moich ulubionych książek z literatury faktu. To, że Truman Capote rzekomo poczynał sobie z prawdą dosyć swobodnie, nigdy mnie zbyt nie wzruszało. Całe lata po tym, jak pierwszy raz przeczytałam tę książkę w średniej szkole, wciąż miałam przed oczami zupełnie wyraźny obrazek szesnastoletniej Nancy Clutter, lokalnej ślicznotki błagającej o życie w swojej sypialni na górze. Wciąż widzę dom na farmie, który opisał Capote, każdy członek rodziny Clutter odizolowany od pozostałych podczas swojej śmierci. To niewiarygodne morderstwo dokonane z wyjątkową brutalnością nie przeszkodziło mi w odczuwaniu dreszczy, jakie może przeżywać podglądacz, przewracający kolejne kartki tej powieści.

Są tam dwie postaci wspomniane tylko mimochodem, czytelnik łatwo o nich zapomina.

Najstarsza córka, Eveanna, wyszła za mąż, miała dziesięciomiesięcznego synka i mieszkała na północy Illinois, ale często odwiedzała Holcomb... Beverly, następną w kolejności po Eveannie, też już nie mieszkała na farmie River Valley, była w Kansas City, studiowała pielęgniarstwo.

W efekcie morderstwo musiało być dla Eveanny i Beverly o wiele większym ciosem niż dla kogokolwiek innego. Ciekawa byłam, czy one kiedykolwiek czytały tę książkę, a jeśli tak, to co o niej myślały. Kiedy Capote pisał powieść, która miała przynieść mu sławę, czy przyszło mu do głowy pomyśleć, jakie to może być bolesne dla tych sióstr, które przeżyły?

Tamtej nocy, kiedy tak sobie siedziałam sama w pokoju i czytałam, usłyszałam, że korytarzem idzie mama, szurając pantoflami. Zastukała do moich drzwi, a ja wcisnęłam książkę pod narzutę.

- Chodź.

Weszła i siadła na brzegu łóżka.

- Świeciło się u ciebie - powiedziała, uśmiechając się.

W tamtym okresie zauważyłam, że wciąż uśmiechała się albo usiłowała uśmiechać, ale efekt końcowy nigdy nie był naturalny. Wyciągnęłam rękę i ujęłam ją za dłoń. Była miękka i wilgotna od kremu na noc. Była kobietą, która wierzyła w drobne luksusy. Jak długo sięgam pamięcią, używała tej samej drogiej emulsji do rąk i twarzy. Twierdziła, że patrząc na ręce kobiety, zawsze można powiedzieć, jak ona o sobie dba. U niej to działało, pomimo całych godzin spędzonych na pracy w ogrodzie, jej ręce były piękne.

- Nie musisz tego robić, mamó - powiedziałam.

- Czego nie muszę robić?

- Uśmiechać się. Nie musisz się dla mnie uśmiechać.

Popatrzyła na kołdrę i wolną ręką przesunęła po czerwonej kropce wyschniętego czerwonego lakieru do paznokci, która była tam od miesięcy.

- Windex\* by sobie z tym poradził.

- Mamó?

\* Amerykański płyn do czyszczenia.

Wreszcie popatrzyła wyżej i powiedziała:

- Ja nie robię tego dla ciebie, kochanie. Przeczytałam gdzieś, że jeśli zmusisz się do uśmiechu, to poprawi ci się nastrój.

- Działa?

- Jeszcze nie.

Wpadłam na pewien pomysł.

- Ty i tato powinniście pojechać na wakacje.

Popatrzyła na mnie, jakbym proponowała jej porzucenie pracy i przystąpienie do życia w komunie.

- Na litość boską, a po co?

- Może to by pomogło.

Zastanawiałam się, czy w ogóle zrozumiała, co do niej mówię. Przez ostatnie półtora roku moi rodzice tak oddalili się od siebie, że zaczęłam się martwić, czy ich związek przetrwa. Taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy przed śmiercią Lili - nie znałam innego tak dobranego i oddanego sobie małżeństwa, tak pewnego wzajemnej miłości. Ale ostatnio zachowywali się w domu jak ludzie,

których łączy wspólnie wynajmowane mieszkanie, którzy nie chcą wchodzić w przestrzeń tego drugiego. Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem się dotykali.

Matka pogładziła mnie po włosach.

- Moglibyśmy pojechać do Timbaktu, to jest bez znaczenia; tak za nią tęsknię, że aż trudno mi oddychać.

W tym momencie miałam ochotę prehandlować swoje życie za Lili. Wyobrażałam sobie scenariusz, w którym ból mojej matki byłby mniejszy, łatwiejszy do zniesienia; scenariusz, w którym ona nie straciła swojego najstarszego, genialnie utalentowanego dziecka. Oczywiście, gdyby straciła tylko mnie, to jej powrót do normalnego emocjonalnego funkcjonowania byłby szybszy, a straty mniejsze. Może wtedy rodzina raczej zbliżyłaby się do siebie, zamiast oddalać.

Matka uściskała mnie na dobranoc, wstała i zamknęła za sobą drzwi.

Była czwarta rano, kiedy skończyłam książkę. Schowałam ją pod łóżko i wyłączyłam światło. Moje uczucia w stosunku do Thorpe'a można było określić tylko jednym słowem - obrzydzenie. Kiedy czytałam te długie ustępy o Lili, te, w których była opisana jako geniusz matematyczny, samotnik, coś w rodzaju dziwaczki, późno rozkwitającej piękności - wiedziałam, że Thorpe użył mnie. Jak głupia i ślepa - włożyłam mu Lilę wprost w łapy.

Jeśli jednak chodzi o sprawy związane z samym morderstwem, był bardzo przekonujący. Kiedy doszłam do końca książki, skłonna byłam wierzyć w jego wersję wypadków. Dowód, który przeprowadził, nie był wzięty z powietrza. Od biegłych sądowych nie było ani jednego dowodu, a wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Teoria Thorpe'a w żaden sposób nie spełniała rygorystycznych wymogów, jakie Lila sobie stawiała, czyli standardu absolutnego dowodu. Pewnie by ją wydrwiła, nazywając po imieniu tym, czym naprawdę była - zaledwie przypuszczeniem. Ale pierwsze podejrzenie Thorpe'a padło na Petera McConnella i ono doskonale pasowało.

## 7.

Któregoś popołudnia, kilka miesięcy po śmierci Lili, Thorpe powiedział:

- Z biegiem czasu każdy z nas konstruuje sobie tysiące różnych małych narracji, żeby przetworzyć i zapamiętać nasze dni i te mininarracje składają się na większą historię, taką, w jakiej widzimy siebie w świecie.

Mówił to do studentów podczas wykładu luźno opartego na *Księdze śmiechu i zapomnienia*, ale ja wiedziałam, że tak naprawdę jego słowa były skierowane do mnie.

Patrząc z perspektywy czasu, łatwo jest powiedzieć, że głównym tematem mojego życia była śmierć siostry. Książka Andrew Thorpe'a miała głęboki wpływ na to, jak ja skonstruowałam swoją

historię. Miałam dwadzieścia lat, kiedy wyszło *Morderstwo nad Zatoką*, byłam wystarczająco młoda, by uwierzyć, że to, co napisał o morderstwie Lili i te rzeczy, które napisał o mnie, były prawdą.

*W świecie matematyki - pisał - Lila znalazła swoje miejsce. Kiedy Lila została zamordowana, Ellie dopiero miała znaleźć swoje miejsce. Poczucie przynależności i jasność kierunku, te elementy, które wytyczyły prostą drogę dla krótkiego życia Lili, będą się nieustannie wymykać Ellie.*

Bywały takie okresy, że się zastanawiałam, czy opisując szczegółowo moje wady w sposób tak niepohamowany, używając mnie do stworzenia postaci, która mu pasowała do całej historii, jaką chciał opowiedzieć, zmienił przebieg mojego życia. Ta Ellie, którą umieścił na kartkach książki, nie była pewna siebie, nie była zakotwiczona, nie była w stanie znaleźć swojej własnej drogi. Czyżbym zbyt mocno wzięła sobie do serca te słowa?

Ale była jedna część historii, której nawet jej autor nie mógł przewidzieć.

Prawie dwadzieścia lat po tym fakcie, w Południowej Ameryce, w małej kafejce ten łajdak z książki Thorpe'a stanął przede mną. Był wysoki i mówił miłym głosem.

- Wiesz, kim jestem? - zapytał mnie nerwowo jak uczeń.

Patrząc w ciemne oczy Petera McConnella miałam to samo wrażenie, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy przed jego pokojem w Stanford. Odczułam wtedy, że jego twarz składała się z absolutnie zwykłych cech, a kiedy się je razem poskładało, tworzyły całość, którą się musiało zapamiętać.

- Tak - wykrztusiłam.

- Czy mogę usiąść?

To nie była część mojej historii, nie była to fabuła z mojego życia - przynajmniej ja to tak widziałam. Morderca mojej siostry nie mógłby tak po prostu podejść do mnie w kawiarni i zapytać, czy może się przysiąść. Widocznie musiałam znów potwierdzić skinieniem głowy, albo zgodziłam się, odpowiadając zdaniem oznajmującym, ponieważ McConnell zbliżył się i usiadł na krześle naprzeciwko mnie, położył swoją książkę na stole, czapkę na książce, a po obu stronach książki i czapki położył swoje duże dłonie, jakby nie wiedząc, co z nimi zrobić.

- Jak mnie znalazłeś?

Byłam rozczarowana swoim głosem, wydawał mi się słaby i niepewny. Cała złość, jaką kierowałam do tego człowieka w przeszłości, całe obrzydzenie zostało zamknięte gdzieś we mnie, w miejscu, do którego nie mogłam się dostać w tym tak ważnym momencie. Jedyne, na co umiałam się zdobyć, to zdumienie, które musiało być dla niego tak oczywiste, jak kroki Marii w kuchni.

- Nie szukałem cię. Ty mnie znalazłaś.

- Jestem tu służbowo - zaprotestowałam.

Wciąż starałam się skoncentrować na jego obecności, zrozumieć, jak to się mogło stać, że pojawił się ze wszystkich możliwych miejsc właśnie tutaj, tak niespodziewanie.

- Od lat przyjeżdżam do tego miasteczka - dodałam.

Już dawno temu przestałam szukać Petera McConnella. Moje podróże do różnych terenów na świecie, gdzie rosła kawa - Huatusco, Yigacheffe, Poas, Sumatra - miały różne podteksty, także taki, żeby pozostawić moją przeszłość za sobą, spróbować wymazać ją tak dokładnie, jak się tylko da, z geografii mojego życia. Mimo że wciąż uważałam San Francisco za swój dom, sporą część czasu spędzałam gdzie indziej, wśród ludzi, którzy nie mówili moim językiem, w krajobrazach, które niczym nie przypominały mojego rodzinnego miasta, w miejscach, które nie przypominały mi o Lili. Czułam się swobodnie, wędrując pomiędzy krzakami kawy, w mgiełce obcego klimatu i wdychając zapach nieprzyjaznej ziemi. W domu zawsze byłam nerwowa, zawsze oglądałam się przez ramię za siebie. Za granicą znajdowałam pewien spokój.

- Wiem - powiedział. - Widziałem cię tu już przedtem.

- Słucham?

- To małe miasteczko. Widać cię. Pierwszy raz to było prawie pięć lat temu. Byłaś na targu. Miałem zamiar coś powiedzieć, ale potem zaczęło padać i gdzieś pospiesznie odeszłaś.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Przyszło mi na myśl, że może jeździł za mną, że planował zrobić ze mną to samo, co z moją siostrą. Poczułam się jakoś nierealnie, jakbym go wywołała z niebytu. Popatrzyłam na Marię, żeby przekonać się, że istnieje naprawdę, albo - jakie to absurdalne - szukając jakiejś ochrony, nie jestem pewna. Ale ona tylko się uśmiechnęła.

- Powiedziałaś „pierwszy raz”. Były inne?

- Tak.

- Ile razy?

Na moment się zawahał.

- Trzy.

- Mieszkasz tu?

- Przez ostatnich siedemnaście lat.

Zauważyłam, że przyglądam się dłoniom i długim rękom Petera. To były ręce, które według Thorpe'a zabiły moją siostrę. Ręce, które zawlokły ją do lasu i zostawiły tam.

- Przyjechałem do Nikaragui z powodu książki - powiedział. - Moja żona, Margaret, oczywiście nie wierzyła w to, co Thorpe napisał. Ale to było dla niej za dużo. To nie miało znaczenia, że ona wiedziała, że ja nie jestem mordercą, ale wszyscy inni tak myśleli.

Chciałam dodać: „Przecież byłeś, jesteś”. Ale McConnell mówił dalej spokojnym, nieprzerwanym rytmem, aby powiedzieć, co miał do powiedzenia, nie robiąc przerw, zanim nie skończy.

- Margaret i ja byliśmy razem jeszcze przez krótki czas - kontynuował. - Ale to nie ze względu na nas, między nami wszystko się skończyło dawno temu. Czyniliśmy wysiłki, żeby być razem ze względu na naszego syna, Thomasa. On miał trzy lata, kiedy ukazała się książka. Zebraliśmy się pod



koniec letniego semestru i przenieśliśmy do Midwest, tam mieszkali rodzice Margaret. Mieliśmy nadzieję zostawić za sobą ten cały medialny cyrk i podejrzenia w Zatoce. Do tamtej pory policja indagowała mnie dwukrotnie. Nie mieli żadnych dowodów, żeby mnie oskarżyć, ale to nie miało znaczenia. Jeśli chodzi o opinię większości ludzi, to ja byłem winny. Nawet w Ohio nie mogliśmy uciec od tej książki. Wyglądało na to, że wszyscy mieszkańcy rodzinnej miejscowości mojej żony czytali ją. Właściwie nie winię Margaret, że odcięła się ode mnie. Ona miała Thomasa pod opieką, obawiała się, jaki wpływ może mieć na jego dorastanie życie pod taką obserwacją, z tego rodzaju stygmatem. No i oczywiście była Lila. Margaret wiedziała, że nigdy nie przestanę kochać Lili.

McConnell mówił z niecierpliwością człowieka, który przez długi czas z nikim nie rozmawiał. Uderzyło mnie, że bronił przede mną swojej żony. Zastanawiałam się, na ile jest to istotne. Jego żona, ich syn - pomyślałam sobie, że to były tylko drobiazgi, dodatki do większej historii - tego, co zrobił mojej siostrze.

- Kiedyś chodziłam za tobą - powiedziałam. - Po tym, jak przeczytałam książkę, pojechałem do Stanford i znalazłam twój pokój. Twoje godziny były wywieszane na drzwiach. Obawiałam się być z tobą sam na sam, ale chciałam się z tobą zobaczyć, chciałam skojarzyć twarz z nazwiskiem.

- Moje zdjęcie było w gazecie.

- Chyba chodziło o coś więcej niż zdjęcie. Ja chciałam zobaczyć cię z bliska, osobiście. Więc któregoś poniedziałku czekałam w korytarzu przed twoim pokojem. Miałam duży kapelusz i okulary, czułam się idiotycznie. Twoje drzwi były zamknięte. Wciąż słyszałam imię Lili. To było oczywiste, że ci wszyscy studenci nie przyszli tam rozmawiać z tobą o zajęciach. Bardziej prawdopodobne, że chcieli być częścią tej sprawy, uczestniczyć w akcji. Jeden chłopak, pamiętam, chciał, żebyś mu podpisał książkę Thorpe'a. Byłam wściekła. Lila nie żyła, a oni traktowali cię jak jakąś sławę.

Mówiąc, starałam się panować nad głosem, żeby nie zdradzić swojego strachu.

- Po kilku godzinach wreszcie wyszedłeś. Ale nie byłeś takim, jakiego oczekiwałam, to było pierwsze, co zauważyłam. Twój wygląd, cały podstawowy fizyczny opis - tak, to Thorpe uchwycił dobrze. Ale wszystko inne, sposób, w jaki się ruszałeś, jak mówiłeś - to zupełnie źle opisał.

- Oczywiście, że źle. Nigdy się nie spotkaliśmy.

- Co?

- No tak - powiedział McConnell. - Z książki odnosi się wrażenie, że on spędził całe godziny, przeprowadzając ze mną wywiady, ale naprawdę rozmawialiśmy tylko raz, pięć minut przez telefon. - Pocierał kciuk w tę i z powrotem nad daszkiem czapki; materiał w tym miejscu spłowieł do bladofioletowego. - A czego oczekiwałaś?

- Oczekiwałam, że będziesz wydawał się, nie wiem, bardziej niebezpieczny? Myślałam, że będzie w tobie coś takiego - i tu się zatrzymałam, dziwiąc, że mówię do niego takie rzeczy.

Pamiętam dokładnie, co myślałam, że powinno być w nim coś odstręczającego, może w jego oczach czy zachowaniu, coś, co nazaczałoby go jako mordercę, ale nie było.

- Wsiadłeś do pociągu i wróciłeś do miasta - kontynuowałam. - Zostawiłam swój samochód i pojechałam za tobą. Wylądowałeś w Enrico's na North Beach. Siadłam przy stoliku i obserwowałam cię, jak jadłeś. Potem już nigdy nie pojechałam do Stanford, ale każdego poniedziałku chodziłam do Enrico's. I za każdym razem tam byłeś, jadłeś spaghetti z krewetkami w morskim sosie, piłeś wodę z lodem i espresso. Zawsze byłeś sam, zawsze pracowałeś, pisząc coś w notesie, jakbyś zapomniał o całym świecie. Ja zawsze nosiłam kapelusz i słoneczne okulary, ale oczekiwałam, że któregoś dnia mnie rozpoznasz.

McConnell posunął swoje krzesło. W świetle świeczki jego twarz była uderzająca. Teraz zobaczyłam to, co Lila mogła w nim widzieć: interesujące załamania, głębię oczu, ogromne źrenice i szczerłość płaskich, szerokich ust.

- Rozpoznałem.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Lila pokazywała mi zdjęcia, na niektórych byliście razem w Europie, inne z plaży, z dzieciństwa. I w książce Thorpe'a. Ale nawet gdybym nie widział zdjęć, tobym wiedział - jego głos stał się spokojniejszy, a spojrzenie przesunęło się na usta i szyję. Popatrzyłam w kierunku kuchni za Marią, ale nigdzie jej ani nie widziałam, ani nie słyszałam.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś? - zapytałam.

- Przypuszczałem, że podejdziesz do mnie któregoś dnia. Wtedy chciałem z tobą porozmawiać. Przez kilka miesięcy przed śmiercią Lili widywaliśmy się z nią nieustannie. Poza czasem, który spędzałem z synem, ona była najlepszą częścią każdego dnia. Uwielbiałem z nią rozmawiać. Co więcej - uwielbiałem jej słuchać. A potem już jej nie było. Ty byłaś taka do niej podobna. Zastanawiałem się, czy i głos masz podobny. Chciałem usłyszeć twój głos. Ale ty tylko siedziałaś w kącie i patrzyłaś.

- Planowałam stanąć z tobą twarzą w twarz - powiedziałam. - Ale nigdy nie mogłam się zdobyć na odwagę. Nawet w tamtym otoczeniu, gdzie było tylu ludzi dookoła. Nie wiedziałam, jak się zachowasz. A potem, któregoś dnia - zniknąłeś.

Był taki czas, wiele lat, kiedy szukałam Petera McConnella wszędzie i ponieważ szukałam tak intensywnie, to kilka razy wydawało mi się, że go widziałam. Na ulicy mignął mi profil i pospieszyłam za tym mężczyzną tylko po to, żeby stwierdzić, że to nie on. Albo zauważyłam jakiś ruch w muzeum, skłonienie głowy albo szczególny gest rąk, więc przemykałam do tej osoby, która rozwiewała moje iluzje, zwracając twarz do mnie.

Po śmierci Lili, po dziwnym, niespokojnym roku pełnym seksu i alkoholu, kolejne lata mojej dwudziestki minęły mi na seriach krótkich związków, w które tak naprawdę nie chciałam się angażować. Wtedy mówiłam sobie, że jestem zbyt zajęta, ale potem zdałam sobie sprawę, że moim

problemem był Peter McConnell. Wytworzyłam sobie w umyśle pewien rodzaj mitu na jego temat. Dokonał on tak ogromnych zniszczeń w mojej rodzinie, zajął w moim umyśle tak absurdalnie ogromną przestrzeń, że nikt inny nie mógł sprawić, żebym poczuła głębię uczuć silniejszą niż tę, którą on wywołał. Czułam do niego nienawiść, a kiedy nienawiść zakorzeni się głęboko, żadne inne uczucie nie może się przebić. Żeby uczucie miłości mogło się utrzymać, w głowie i sercu musi być odpowiednio duża, wolna przestrzeń. Ja byłam tak wyniszczona złością na niego, że na inne uczucia już nie znajdowałam miejsca.

- Czemu to zrobiłeś? - zapytałam spokojnie.

To pytanie zadawałam sobie przez prawie połowę mojego życia. Już bardzo dawno temu porzuciłam nadzieję, że znajdę odpowiedź. Kiedy rozmawialiśmy, nie przyszło mi do głowy, żeby uwierzyć w jego zapewnienia o niewinności. Już za długo wierzyłam w jego winę, żeby to przekonanie mogło we mnie wygasnąć.

Czekałam. A on siedział, wpatrując się na zmianę w swoje ręce lub we mnie. Maria wyłoniła się z kuchni, niosąc słoik wypełniony insektami. Podeszła do parapetu przy oknie, gdzie stała jej muchołówka\*, otworzyła słoik i delikatnie wytrząsnęła zawartość na roślinę. Wreszcie McConnell powiedział:

- Właśnie to usiłuję ci powiedzieć. To nie byłem ja.

\* Muchołówka amerykańska (*Dionaea Ellis*), mięsożerna bylina.

## 8.

Krażyły pogłoski, że w Diriomo zawsze działy się dziwne rzeczy.

Jakieś duchy tańczyły na placu kościelnym, świece same się zapalały, muzyka dochodziła z nieznanych części miasta i snuła się po pustych ulicach. Mnie się to nigdy nie przydarzyło aż do tamtej nocy.

- Nie przeczę, że byłem najbardziej prawdopodobnym podejrzanym - powiedział McConnell, patrząc mi prosto w oczy. - Ale to nie czyni mnie przestępcą - mówił to z kamienną twarzą, nie uciekał wzrokiem.

- Miałeś romans z moją siostrą.

- Tak. Zeznałem to na policji.

- Ale dopiero wtedy, kiedy już wiedzieli, kiedy wyszła książka. Na początku nic im nie powiedziałeś.

- To na polecenie Margaret zdecydowałem nic nie mówić. Nie dość, że była zła z powodu Lili, to jeszcze przerażona, co się stanie, jeśli podejrzenia padną na mnie. Teraz, kiedy patrzę na to z

perspektywy lat, wiem, jakie to było głupie. Ale w tamtych okolicznościach, wydaje mi się, że nie mogłem niczego odmówić Margaret.

- Tego dnia, kiedy Lila zniknęła, jadłeś z nią kolację - powiedziałam. - Po opublikowaniu książki zgłosiła się hostessa, która powiedziała, że byliście razem w Sam's Grill.

- Nie zaprzeczam temu.

- I razem wyszliście z restauracji.

- Tak było.

- Odprowadziłeś ją do stacji Muni o dziesiątej wieczorem. Kiwnął głową.

- Więc jesteś ostatnią osobą, która ją widziała. A hostessa powiedziała, że Lila wyglądała na zmartwioną, kiedy wychodziła z restauracji. Tamtego ranka, kiedy wychodziła z domu - płakała.

McConnell znów kiwnął głową.

- No więc? - czułam, jak stary gniew znów zaczyna we mnie wzbierać. - W jej życiu wszystko układało się dobrze. Na nią była zwrócona cała uwaga w związku z tą pracą, którą przedstawiła na Uniwersytecie Columbia. Była faworytką do Nagrody Hilberta w Stanford. Wszyscy wiedzieli, że do tego zmierza. A ty byłeś oczywiście źródłem jej cierpienia - to nie mogło być nic innego.

- Pamiętasz, co Thorpe proponował jako mój motyw? - zapytał McConnell.

- Napisał, że tego wieczoru w restauracji zerwaliście ze sobą i że Lila zagroziła, że powie o was twojej żonie.

Popatrzył na mnie w milczeniu.

- No i? - zapytałam.

- Powiedz mi, czy Lila byłaby gotowa to zrobić?

Miał rację. Chociaż nie byłam skłonna mu tego przyznać, to ta część argumentacji Thorpe'a zawsze mnie gnębiła. Taka rzecz nie leżała w charakterze Lili. Nigdy by nie powiedziała żonie McConnella ani nie groziłaby, że to zrobi. W trakcie mijających lat usunęłam poczucie dyskomfortu spowodowane tym szczegółem, tłumacząc sobie, że widocznie nie znałam tak dobrze Lili, jak mi się wydawało.

- Zerwaliście wtedy ze sobą?

- Wprost przeciwnie. Kilka dni wcześniej powyjaśniałem wszystko z żoną.

Maria wychyliła się z kuchni i wskazała na zegar na ścianie. Była druga w nocy.

- *Cerrado*\* - powiedziała.

- Jeszcze tylko kilka minut - błagałam.

Nie byłam gotowa na zakończenie tej rozmowy. Jeszcze o tyle rzeczy chciałam zapytać.

\* *Zamknięte* (hiszp.).

- *Cerrado* - powiedziała ponownie, pokazując rękami, że pora spać.

- *Por favor* - poprosiłam, ale bezskutecznie.

Kiedy wstaliśmy, Maria uśmiechnęła się do mnie i puściła oko. Musiała chyba uważać, że robi mi przyjemność, wysyłając w noc z przystojnym Amerykaninem.

Kilka chwil później McConnell i ja staliśmy na ścieżce przed kafejką. Znow włożył na głowę baseballówkę i wcisnął głęboko na czoło. Dawało to taki efekt, że wydawał się młodszy niż w rzeczywistości, a był siedem lat starszy od Lili. Wobec tego miał teraz około pięćdziesiątki. Książkę, którą czytał w kawiarni, trzymał pod pachą. Kiedy wstawaliśmy, żeby wyjść, udało mi się zerknąć na tytuł: *Dzieje świecy*, Faradaya.

Miasteczko było ciche, jakby opustoszałe. Białe budynki lśniły w świetle księżyca.

- Nie powinnaś włączyć się sama o takiej porze - powiedział. - Odprowadzę cię do hotelu.

Gdybym nie była tak przestraszona, to może zaśmiałałabym się z absurdalności tego pomysłu.

- Chyba nie mówisz poważnie - powiedziałam, patrząc na zamknięte drzwi kafejki. - Poza tym zawsze chodzę tutaj sama.

- Nie powinnaś.

Sięgnęłam do torebki, szukając *tryera*. Ten próbnik to podstawowe narzędzie w handlu kawą, długi, metalowy cylinder ścięty ostro z jednej strony i zaopatrzony w uchwyt na drugim końcu. Aby uzyskać przypadkową próbkę, wciska się go ostrym końcem do worka z kawą, a ziarna zesypują się po trzonku do zasobnika. Jedną ręką wysunęłam próbnik ze skórzanego pokrowca.

Ręka mi drżała, poczułam, że puls przyspiesza. Przez tyle lat wierzyłam, że McConnell jest potworem zdolnym do najgorszego przestępstwa. Ale też tyle lat spędziłam, pragnąc stanąć z nim twarzą w twarz, by odkryć prawdę o śmierci Lili bez względu na to, jak miałyby być bolesna. Nie chciałam spędzić reszty życia zastanawiając się, jak wyglądał jej koniec. I w tamtym momencie chciałam po prostu gadać, żeby sprowokować McConnella do opowiedzenia mi wszystkiego. Może pragnienie dotarcia do tego, co się naprawdę stało mojej siostrze, było większe niż strach.

Szliśmy wąską ścieżką do głównej drogi, spod naszych stóp unosił się kurz. Za każdym razem, kiedy McConnell przybliżał się do mnie, odsuwałam się.

- Jeśli to prawda, że nie rozstaliście się, to dlaczego była taka zmartwiona?

- Wiesz, jaka była Lila. Przez cały czas, kiedy byliśmy razem, miała straszne poczucie winy. Nie chciała, żebym powiedział o nas Margaret, nie chciała być odpowiedzialna za wszystko. Usiłowałam jej wytłumaczyć, że to nie jej wina, tylko moja, i że nasze małżeństwo skończyło się o wiele wcześniej, zanim ją poznałam.

Doszliśmy do skrzyżowania, na którego straży stał mały, biały kościółek. Naturalnej wielkości Matka Boska patrzyła na nas stłuczonym szklanym okiem z bocznego ołtarza. W świetle księżyca

kamienie nagrobne na placu cmentarnym przy kościele wyglądały jak gigantyczne kawałki białego mydła.

Nagle McConnell chwycił mnie za łokieć i chciał przyciągnąć do siebie. Wyrwałam się z jego uchwytu i cofnęłam dwa kroki. Wyciągnęłam próbnik z torebki i trzymałam go przed sobą. Chciałam odzyskać głos, zastanawiałam się, czy ktokolwiek by mnie usłyszał, kiedy on pokazał na długiego węża leżącego na ścieżce kilka centymetrów od jego stopy. Wąż nie ruszał się, jego ciało pokrywały ciemnozielone desenie.

- To żararaka - powiedział spokojnie i wyciągnął rękę w moim kierunku. - Daj mi to.

Nie miałam wyjścia, zaufałam mu. Wręczyłam próbnik. Prawą ręką uchwycił rączkę i jednym szybkim, silnym ruchem wpakował ostry koniec kilka centymetrów od głowy węża, odcinając ją od tułowia. Długie zielone ciało wilo się i drżało przez chwilę, aż znieruchomiało. Żółty pysk pozostał szeroko otwarty.

McConnell stał nieruchomo, był mocno poruszony; wytarł próbnik o spodnie, zanim mi go oddał.

- Jeśli cię ukąsi, to wykrwawiasz się na śmierć bez ratunku.

- Przepraszam, ja...

- W porządku - powiedział, przekroczył węża i popatrzył na mnie. - Jeśli chcesz, to ja teraz skrucę w prawo. Stąd już bez kłopotu dojdziesz.

Przez chwilę się wahałam, zanim dołączyłam do McConnella stojącego na ścieżce. Odwróciłam się, by popatrzeć na węża, a potem na niego. Szliśmy dalej drogą, a serce waliło mi jak młotem.

- Czemu Lila? - zapytałam. - Musiałeś wiedzieć, jaka jest niedoświadczona. Jeśli chciałeś oszukiwać żonę, to czemu nie znalazłeś sobie kogoś innego?

- To nie tak. Razem z Margaret wiedliśmy przyzwoite życie, a nasz syn był dla mnie wszystkim. Ale ona nie rozumiała mojej pracy. To wszystko, co robiłem, nie miało dla niej znaczenia. Zadowolona była tylko wtedy, kiedy robiłem karierę naukową, zdobywałem kolejne stopnie. Właśnie to mi się w niej podobało, kiedy ją poznałem. Ona zajmowała się sztuką, tańcem, rzeczami, których ja nigdy nie rozumiałem. To była dobra równowaga, wierzyłem, że jest kobietą, która zajmie się domem, da naszym dzieciom szczęśliwe życie, podczas gdy ja będę koncentrował się na pracy. Ale potem spotkałem twoją siostrę i zrozumiałem, że potrzebuję czegoś więcej.

- Jak ją spotkałeś?

Tak dawno temu usiłowałam wydobyć tę informację od Lili. Przez lata mówiłam jej o wszystkich chłopakach, z którymi się umawiałam. Znajdowała przyjemność w moich eskapadach i nieraz powiedziała mi, że żyje moimi sprawami. Było mi przykro, kiedy wreszcie ktoś pojawił się w jej życiu, a ona nie chciała mi nic powiedzieć.



- Byłem na czwartym roku studiów doktoranckich - opowiadał McConnell. - Ojcostwo było dla mnie ogromną radością, ale także obciążeniem, praca naukowa posuwała się o wiele wolniej niż to planowałem i przez pewien czas próbowałem pracować nad tematem, który prowadził donikąd.

Tej spokojnej nocy głos McConnella brzmiał głęboko, gładko i kojąco. Wyobraziłam sobie Lilę tej ostatniej w jej życiu nocy siedzącą z nim u Sama przy jednym z tych odgradzonych stolików dających trochę prywatności. Czy to jego głos był ostatnim, jaki słyszała, czy był ktoś jeszcze, ktoś kogo nawet nie próbowałam sobie wyobrazić: kierowca taksówki, jakiś obcy na ulicy?

Pewna liczba z książki Thorpe'a była wprasowana w moją pamięć. 23 370, to liczba ludzi zamordowanych w USA w 1989 roku, wtedy, kiedy to się przytrafiło także Lili. *Tylko 13,5 procent ofiar morderstw nie znało swoich zabójców* - pisał Thorpe. - *Morderstwo rzadko jest przypadkowe*. Pamiętam, że jego dobór słów wydawał mi się nieodpowiedni. Nie ma nic dziwnego w 13,5 procent. 13 i pół procent z 23 370 to właściwie ogromna liczba. Nie pamiętam dokładnie, jak ten ustęp brzmiał, ale jedną rzecz pamiętam na pewno, Thorpe oskarżył Lilę, że była *tragicznie kiepska w ocenianiu ludzkich charakterów*. I byłam rozżłoszczona, że manipulował słowami, jakby Lila była w jakiś sposób odpowiedzialna za swoją własną śmierć, jakby tylko ofiary „przypadkowych” aktów gwałtu były naprawdę niewinne.

- I potem pojawiła się Lila - ciągnął McConnell. - Pamiętam dzień, kiedy weszła do redakcji „Stanford Journal of Mathematics”. Miała na sobie tę pomarańczową sukienkę i fioletowe pantofle, a włosy w takim nieładzie, jakby właśnie wygrzebała się z pościeli.

- Pamiętam tę sukienkę - powiedziała zdumiona, że dokładałam się do tego opowiadania, dodając swoje wspomnienia do jego. - Sama ją uszyła. Wszystkie swoje ubrania szyła sama. Nie używała gotowych wykrojów. Po prostu mierzyła się i rysowała sukienkę w notesie, robiła obliczenia i zaczynała. - Strój wychodził zdumiewająco nietypowy - dodałam.

Patrzyłam prosto przed siebie, ale uchwyciłam drobną zmianę w jego głosie i wiedziałam, że się uśmiechnął. To było dziwne, kiedy sobie pomyślałam, że facet idący obok mnie był w intymnych kontaktach z moją siostrą, nawet był przez nią kochany. Nie mogłam zaprzeczyć, że było w nim coś magnetycznego, coś w tonie głosu, coś w bezpośrednim spojrzeniu, które wcale nie było przepraszające. Było coś bez wątplenia zmysłowego, czego nie zauważyłam podczas moich misji do Enrico's, kiedy go śledziłam.

- Wyglądała pięknie - mówił. - Redaktor, stary nudziarz, niejaki Bruce, popatrzył na nią i zapytał, w czym mógłby jej pomóc. Myślał chyba, że trafiła tam przez pomyłkę. Lila wcisnęła mu do ręki skoroszyt. To był artykuł na temat numerycznych rozwinięć funkcji specjalnej. Chciała, żeby jej to wydrukowali.

- Bruce popatrzył na nią, jakby zwariowała. Musisz zrozumieć, że to czasopismo drukowało artykuły wysoko cenionych matematyków. A tu przyszła jakaś wspaniała, rozczochrana dziewczyna,

bardzo młoda, wparowała do tego pokoju, jakby miała prawo tam być i prosić o opublikowanie jej artykułu. Coś niesłychanego. Zakochałem się w niej natychmiast. Wziąłem ten artykuł ze sobą do domu i - kompletny odlot. Zadzwoiłem do niej jeszcze tamtego wieczoru i zaprosiłem na obiad na następny dzień.

Doszliśmy do następnego skrzyżowania. Nie otrzymawszy ode mnie żadnej wskazówki, McConnell skręcił w prawo, w kierunku mojego hoteliku. Zapytałam siebie, co zrobię, jeśli poprowadzi mnie wprost do hotelu. Czy wreszcie to spowoduje, że zacznę sensownie myśleć i działać?

Minutę później staliśmy przed małym, żółtym budynkiem otoczonym dużymi drzewami o poplątanych, powiązanych w węzły konarach. Białe światełka bożonarodzeniowe zwisały z gałęzi i połączone były z budynkiem hotelu grubym pomarańczowym kablem.

- Jesteśmy - powiedział.

I znów zrobiłam krok do tyłu.

- A jak ty...

- To małe miasteczko.

Wciąż nie byłam gotowa, żeby zakończyć tę rozmowę. Było jeszcze tyle rzeczy, które chciałam wiedzieć. Pamiętałam coś, co powierzyłam Thorpe'owi w zaufaniu i co zacytował w książce. „Mam nadzieję, że nie był to ktoś, kogo znała i komu ufała”, powiedziałam mu to kilka razy. A to, co McConnell proponował mi po tylu latach, było alternatywną wersją tej historii, taką, w której morderca Lili nie był jej kochankiem. Jakakolwiek była prawda, musiałam ją poznać.

Poczułam ciepłą kroplę wody na rękę, potem następną. McConnell popatrzył na niebo.

- Możemy jutro porozmawiać? - zapytałam. Dłubał czubkiem buta w ziemi.

- Już się więcej nie zobaczymy. Chciałem cię spotkać i powiedzieć to, co miałem do powiedzenia. Minęło już dużo czasu. Nie wiem, co się według ciebie wydarzyło, nie mam pojęcia, co sądzisz o tej okropnej książce. Nawet nie wiem, czy ty w ogóle myślisz o tym wszystkim. Ellie, dla mnie jest ważne, żeby ci powiedzieć, że ja tego nie zrobiłem, nigdy nie byłbym w stanie tego zrobić. Kochałem twoją siostrę. Kochałem ją bardziej niż ty czy ona mogłybyście przypuszczać. Ale twoja opinia ma dla mnie znaczenie, ponieważ Lila wciąż mówiła o tobie, jesteś osobą, która była jej najbliższa na świecie.

W tym nie miał racji. Kochałam ją, ale nie byłyśmy sobie tak bliskie, jakbym sobie tego życzyła. Nie powiedziała mi o nim. Nie chciała mi powiedzieć, czemu płakała tamtego ranka. Podejrzywałam, że Peter McConnell, a nie ja, był tą osobą, przed którą niczego nie ukrywała.

Deszcz zaczął już solidnie padać, uderzając w liście drzew, rozpryskując błoto na ulicy.

- Nie odchodź jeszcze - powiedziałam impulsywnie i weszłam pod markizę hotelu, a McConnell za mną.

- Zapraszasz mnie do środka?

- Tak.

José, właściciel tego *pensión*, zawsze zamykał drzwi o północy. Był przyzwyczajony do moich nocnych spacerów, więc dał mi klucz. Rozległo się kilka zbędnych zgrzytów podczas otwierania zamka, tyle, żeby wiedział, że przyszedłam. Przeszliśmy przez pusty hall. We wnęce za kontuarem była kapliczka Matki Boskiej. Świece już się wypaliły. McConnell szedł za mną, a jego długi cień wyprzedzał mnie, wspinając się po schodach. Kiedy mijaliśmy pokój Joségo, zaczęłam głośniejszym głosem rozmawiać. Jeśliby mi się coś zdarzyło, ktoś powinien wiedzieć, że nie byłam tej nocy sama. Z pokoju Joségo usłyszałam skrzywienie sprężyn na łóżku, powłóczenie stóp do drzwi i otwieranie przykrywki judasza.

Na końcu korytarza wsunęłam klucz do zamka, otworzyłam drzwi mojego pokoju i czekałam, aż McConnell wejdzie do wnętrza. W pokoju nie było lampy pod sufitem, tylko pojedyncza lampka z wiekowym abażurem, która dawała nieprzyjemny, żółty poblask.

## 9.

Mój pokój był oszczędnie umeblowany: łóżko, krzesło z twardym oparciem, szafka i mały stół. Wąskie drzwi otwierały się do maleńkiej łazienki. W pokoju było gorąco. Włączyłam wentylator umieszczony pod sufitem, który zaczął postukiwać i mrużyć.

- Mam rum - powiedziałam. - Wypijesz?

- Odrobinę, proszę.

Wyjęłam butelkę, dwie szklanki i nalałam. Wciąż trzymałam torbę zawieszoną na ramieniu, a próbnik pod ręką.

- Siadaj - powiedziałam, wskazując krzesło.

Meble, według wszelkich standardów, były bardzo małe i kiedy siadł, kolana miał groteskowo wysoko. Czapkę i książkę położył obok siebie na podłodze. Ja siadłam na łóżku dokładnie naprzeciwko niego, torba na materacu obok mnie.

Spróbował łyk rumu, przymknął oczy, przetykając.

- Bardzo dobry.

Matka zawsze dawała mi różne rady zaczerpnięte z jej praktyki adwokackiej. Nauka, do której często wracała, polegała na tym, że jeśli chcesz powiedzieć komuś coś bardzo ważnego, musisz zbudować zaufanie poprzez zaoferowanie tej osobie jakiejś bardzo osobistej informacji.

- To podarunek - powiedziałam. - Od miejscowego rolnika uprawiającego kawę. Właśnie dlatego tu jestem. Jutro odbędzie się próbowanie kawy i pojutrze odlatuję do San Francisco. Zawsze tutaj się zatrzymuję, kiedy przyjeżdżam po kawę i zawsze czeka na mnie butelka rumu. - Wypiłam łyk i poczułam ciepło rozchodzące się w gardle.

- Matematyk to maszyna do przerabiania kawy na twierdzenia - powiedział McConnell. Kiedy zobaczył, że nie rozumiem, dodał: - Paul Erdos. Coś w tym jest. Ja wypijam dziewięć do dziesięciu filiżanek dziennie.

- Ta książka - powiedziałam, zerkając na *Dzieje świecy*. - Co to jest?

- To pochodzi z serii odczytów wygłoszonych podczas Bożego Narodzenia w London Royal Institute w 1860 roku. Faraday pisze, że „nie ma więcej otwartych drzwi, przez które można przejść do studiowania filozofii naturalnej niż przez rozpatrywanie fizycznych zjawisk na przykładzie świecy”. Faraday wygłosił te odczyty uczniom ze szkoły podstawowej. Jest ich całkiem sporo. Wspaniały esej jest jak dowód matematyczny przez to, że jego dowodzenie jest eleganckie, a prawda uniwersalna. - Znów łyknął rumu.

- Dużo czytasz? - zapytałam.

- Dla zabicia czasu. Jak zapewne zauważyłaś, jest to całkiem zaciszny kącik we wszechświecie.

- Mówiłeś, dlaczego jesteś w Diriamo.

- Kiedy mnie żona wykopała, nie wiedziałem, gdzie się podziać. Nie mogłem wracać do San Francisco, bo tam byłem oszkalowany, byłbym niebezpiecznym psem. Nie mogłem wrócić do Stanford. Przez kilka miesięcy dryfowałem w okolicy Ohio, pracując jako malarz pokojowy. Tak sobie kombinowałem, że jeśli pozostanę w pobliżu, to może od czasu do czasu będę mógł zobaczyć Thomasa. Ale Margaret przekonała sędziego, żeby dał jej wyłączne prawo do opieki nad synem. Mnie nawet nie przyznano prawa odwiedzania dziecka - oczywiście z powodu książki. Byłem zdruzgotany. Najpierw straciłem Lile, a potem syna. Moja praca naukowa się zatrzymała i kariera skończyła. W takiej sytuacji trudno było znaleźć jakiś powód, dla którego warto dalej żyć.

- Dlaczego?

- Słyszałaś o Alanie Turingu? - zapytał.

- Coś mi się kojarzy.

- W 1950 opracował test Turinga, żeby udowodnić zdolności maszyny do zademonstrowania jej inteligencji. Sędzia - człowiek prowadzi rozmowę w języku naturalnym jednocześnie z maszyną i innym człowiekiem.

Musiał wyczytać niezrozumienie na mojej twarzy, bo uśmiechnął się i dodał:

- Proszę, wybaczyć. Właśnie masz okazję zobaczyć, dlaczego byłby ze mnie fatalny nauczyciel. Kiedy mówię, to poruszam się tymi ścieżkami, jakiegokolwiek by one były, po których przebiegają moje procesy myślowe w danym momencie, ale zapominam, żeby zrobić konieczne połączenia dla osoby, z którą rozmawiam. W przypadku Lili, kiedy odchodziłem od styczeńskiej, zawsze miałem wrażenie, że podążała rozumowaniem za mną. Nigdy nie musiałem zapisywać kolejnych kroków zmierzających do dowodu, ona sama łączyła kolejne punkty, jakby czytała w moim myślach. No i masz, znów to robię.

Wlałam mu kolejną porcję rumu. Bez wahania wypił do dna.

- Turing skończył ze sobą, jedząc jabłko zamoczone w cyjanku kilka dni przed swoimi czterdziestymi drugimi urodzinami - powiedział. - To samobójstwo nastąpiło w wyniku prześladowań przez rząd brytyjski z powodu jego homoseksualizmu. To wszystko doprowadziło mnie do następującego wniosku, który chciałem postawić: nigdy nie wierzyłem, że samobójstwo jest sensowną czynnością, z wyjątkiem zupełnie ekstremalnych przypadków. Za takie rozumiem sytuację, kiedy człowiek ma być pojmany przez wroga, albo gdy z powodu śmiertelnej choroby cierpi potworne bóle fizyczne. Wprawdzie nie widziałem żadnego bezpośredniego powodu do życia, jednak pozbawianie się go nie było rozsądnym wyjściem z naukowego punktu widzenia. Lila odeszła bezpowrotnie, ale zawsze była możliwość, że połączę się z synem, albo że, pomimo mojego odsunięcia od społeczności matematycznej, dokonam jednak jakiegoś znaczącego matematycznego odkrycia.

Usłyszałam hałas na korytarzu tuż obok naszych drzwi, on też usłyszał, przestał na chwilę mówić i obydwójce patrzyliśmy na drzwi.

- To José - powiedziałam. - Pewnie chce się upewnić, że ze mną wszystko w porządku.

Kroki Joségo oddaliły się, a ja trochę się rozluźniłam. Zastanawiałam się, czy to była część jego zdolności, część jego uroku, może Lila czuła dokładnie to samo kilka godzin przed śmiercią.

- Minęło siedem miesięcy, jak nie widziałem syna. Wtedy mój opiekun naukowy ze Stanford powiedział mi o swoim domku wypoczynkowym w Nikaragui - ciągnął McConnell. - Kupił go parę lat wcześniej, ale skorzystał z niego tylko kilka razy. Ja nie miałem nic do roboty, nic do stracenia, więc przyjechałem tu. Od razu poczułem się dobrze. To takie miejsce, gdzie człowiek może zacząć od nowa. I już tu pozostałem.

- A co z pracą?

- Mam zlecenia dla firmy inżynierskiej z San Marcos, obliczenia, planowanie przewidywanego obciążenia dla mostów, tego typu rzeczy. Robię to ręcznie, ołówkiem na papierze. To bardzo satysfakcjonujący sposób pracy. Nawet sobie nie wyobrażasz, ile czasu zajmuje wykonanie żmudnych rachunków. Mijają całe dnie i noce, kiedy prawie nie wychodzę z mojego domku, chociaż słowo „domek” jest chyba dużą przesadą. Wraz ze śmiercią Lili tyle mi odjęto z życia, wydawało mi się, że już nigdy nie zdarzy się żadne dodawanie, które wyrównałoby to, co straciłem. To jest oczywiście prawda. W ostatnich latach zacząłem myśleć o mojej przeprowadzce do Nikaragui w kategorii daru. Przed przyjazdem tutaj polegałem prawie wyłącznie na komputerach. Bez nich czuję wspólnotę z Ramanujanem, Gaussem, nawet Archimedesem. Oczywiście nie porównuję siebie do nich, chcę tylko powiedzieć, że jest coś szlachetnego, jeśli podchodzisz do matematyki tylko z podstawowymi przyrządami: własnym intelektem, czystą kartką papieru i ołówkiem.

Zerknął na butelkę rumu i znów mu napelniłam szklaneczkę. Tym razem przyglądał się jej przez chwilę, wprawiając rękę w ruch tak, że brązowy płyn zawirował. Ruch jego ręki był obliczony i delikatny, a wir rumu w słabym, żółtym świetle lampy - prawie hipnotyczny. McConnell był cały czas



oczywistym wyborem, najbardziej prawdopodobnym podejrzanym, ale zaczynałam wątpić, czy on mógłby uderzyć Lilę kamieniem w głowę, jak to Thorpe teoretyzował. Rana była zbyt wielka, sposób śmierci i wszystko potem - zbyt bałaganiarskie dla człowieka o tak wielkiej precyzji: krew na włosach, ciało tylko częściowo przykryte liśćmi. Doszłam do wniosku, że nawet w najbardziej wyjątkowych okolicznościach McConnell był człowiekiem, który powiązałby wszystkie luźne końce. Guziki przy jej bluzce to jedno, oczywiście, gdyby to był on - nie zostawiłby bluzki tak rozchełstanej. Inna sprawa, jej tani naszyjnik z topazem - prezent ode mnie - zniknął. Ale pierścionek z opalem, który musiał być prezentem od niego, był na jej palcu, kiedy ją znaleziono. Gdyby to był McConnell, to dlaczego pozostawił pierścionek, a zabrał naszyjnik? Ten szczegół, że Lila zagroziła opowiedzieć żonie McConnella o ich romansie, nigdy nie dawał mi spokoju. Ale narracja Thorpe'a miała taką siłę i była tak powszechnie zaakceptowana jako prawda, że nie ufałam moim wątpliwościom.

- Taki zabawny drobiazg - powiedział McConnell. - Jeśli chcesz zbudować most i powiesz mi, gdzie go chcesz postawić, jakich materiałów chcesz użyć i podasz głębokość rzeki - ja ci powiem z dokładnością co do grama, ile ten most wytrzyma. Ale nigdy nie byłem w stanie zastosować tej samej naukowej dyscypliny do mojego własnego życia. Nie udało mi się zgadnąć, jak wiele Margaret zdoła wytrzymać, jeszcze zanim zabrała mi syna. Po prostu liczyłem na nią, nie na jej miłość, ale na potrzebę prowadzenia życia w pewien sposób. Wierzyłem, że ona niczego nie przeoczy.

Nasłuchiwałam jakiegoś fałszywego tonu w jego głosie, wpatrywałam się w jego twarz i ręce, żeby zobaczyć choćby drgnienie mięśnia albo nieświadomy gest, który mógłby sugerować, że kłamie. Zdałam sobie sprawę, że część mnie chciała wierzyć we wszystko, co mówił. Jeśli Lila naprawdę go kochała - i teraz rozumiałam, że to było możliwe, bo widziałam jego urok - nie chciałam, żeby był tą osobą, która zabrała jej życie. Czy mogłam obciążać tym problemem samą naturę miasteczka Diriamo? Nigdy nie byłam przesadna, ale zaczynałam czuć, jakby rzucono na mnie jakiś dziwny urok.

- Książka Thorpe'a - podjęłam. - Przeczytałam ją dwa razy od deski do deski.

- Naprawdę? - zapytał McConnell, patrząc na mnie z intensywnością wyprowadzającą z równowagi. - Wiesz więc, że Thorpe niczego nie dowiódł. Jego oskarżenia wobec mojej osoby były wyłącznie domysłami. Nie mógł znaleźć ani jednego kawałeczka fizycznego dowodu wiążącego mnie z przestępstwem. Żadnego świadka. Kiedy to przeczytałem, byłem wściekły. Jedyne, o czym mogłem wtedy myśleć, to to, że Lila nazwałaby to napastliwością, ten brak precyzji i dziury w logice rozumowania wyzierały z każdego zdania.

- Byłeś najbardziej prawdopodobnym wyborem.

- Prawdopodobieństwo jest dziwną rzeczą - stwierdził McConnell. - Jeśli weźmiemy ewolucję, to instynkt prawdopodobieństwa powinien być wbudowany w nasze mózgi jako sposób na uniknięcie niebezpieczeństwa, ale prawda jest taka, że większość ludzi jest bardzo niezaradna, jeśli chodzi o przekalkulowanie prawdopodobieństwa. Na przykład to, jak ludzie się przypadkiem spotykają, może



wydawać się na pierwszy rzut oka zupełnie nieprawdopodobne. Ale ty jesteś podróżnikiem, ja banitą i Dirियो nie jest znów tak daleko od utartych ścieżek. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie lubią wierzyć, że świat jest bezpieczny. Przypadkowe akty gwałtów powodują, że zaczynają się czuć zagrożeni. Wobec tego, kiedy ktoś zostaje zamordowany, podstawowy instynkt podpowiada, żeby obarczyć winą osobę najbliższą ofierze, pomimo że prawdopodobieństwo dyktuje, że wszyscy wchodziliśmy w bliskie relacje z niebezpiecznymi indywiduami w codziennych kontaktach.

- A co z matematyką? - zapytałam. - Goldbach. Co z sugestią Thorpe'a, że obydwójce byliście blisko rozwiązania tego problemu i nie chcieliście dzielić się sławą?

- Blisko *udowodnienia* hipotezy - poprawił mnie. - Ale to jest absurdalne. Wcale nie byliśmy blisko. Thorpe w ogóle nie wiedział, o czym pisze. Ale to nie dlatego dałem sobie z tym spokój. Kiedy się tutaj przeprowadziłem, większość czasu spędzałem nad tą hipotezą. To było kojące, to pozwalało zająć czymś czas. Co więcej, przyznam, że hipoteza Goldbacha przypominała mi o Lili. To był pakt, który zawarliśmy ze sobą, że kiedyś udowodnimy ją raz na zawsze. Czułem się taki winny po jej śmierci. Cokolwiek jej się przydarzyło, nie było tam mnie, żeby jej pomóc. Tego dnia po kolacji powinienem był odwiedzić ją do domu. Ale nie zrobiłem tego, bo zasiedzieliśmy się i musiałem wrócić do domu, do syna. Nie zasnęłyby beze mnie, bez mojego utulenia. Więc odprowadziłem ją do stacji Muni. Każdego dnia żyję z tą myślą, że ją zawiodłem.

Deszcz padał bardzo mocno, smagając drzewa i wydobywając zewsząd zapach ziemi i zieleni. Ponieważ pokój nie miał klimatyzacji, to zostawiłam otwarte okno. Siatka zatrzymywała większość wilgoci, ale kilka kropel rozprysło się na podłodze koło okna.

McConnell odchylił się do tyłu. Krzesło pod nim zaskrzypiało, a kolana dotknęły moich. Instynktownie sięgnęłam ręką do torby po próbnik. Jego wzrok podążył za moją ręką, wyraz twarzy pokazywał ból.

- Nie bój się mnie - powiedział. - Nie masz żadnych powodów, żeby się mnie bać. Ellie, kochałem twoją siostrę. Nigdy w życiu nie zrobiłbym niczego, żeby ją w jakikolwiek sposób skrzywdzić.

Chciałam mu wierzyć. Chciałam, żeby to była prawda. Dla Lili. Wstał, chcąc wyjść. Z jego twarzy odczytałam porażkę, poczuł się przegrany. Chyba czuł, że nigdy mnie nie przekona.

- Czekaj - powiedziałam. - Mam jeszcze jedno pytanie.

- Hmmm?

- Twój syn, Thomas.

- W tym roku będzie miał dwadzieścia trzy lata. W kilka miesięcy po moim przybyciu do Nikaragui zadzwoniłem do teściów. Ojciec Margaret powiedział mi, że ona wyszła ponownie za mąż i pojechała do innego stanu. Nie chciał podać mi jej nazwiska, ani dokąd wyjechała. Posyłałem życzenia

urodzinowe i kartki na Boże Narodzenie na adres teściów, aż trzy lata temu zaczęły wracać z adnotacją, że zły adres.

- Czy myślisz czasami o tym, żeby go szukać? - zapytałam.

- Każdego dnia. Ale przecież, gdyby on chciał mnie znaleźć, toby znalazł.

Podniósł książkę i czapkę.

- Już późno. To bardzo uprzejme z twojej strony, że zechciałaś mnie wysłuchać.

- Czekaj - znów powiedziałam, ale nie miałam nic, czym mogłabym go zatrzymać.

Uświadamiałam sobie, że po prostu chciałam więcej usłyszeć o siostrze. Szczególnie wspomnienia człowieka, który znał Lilę z zupełnie innej strony. Jak szybko można w ciągu jednego dnia przejść od nie-do-pomyślenia do rzeczywistości?

Skierował się do drzwi, położył rękę na klamce i potem coś sobie przypomniał. Opuścił rękę i popatrzył na mnie.

- Czy Lila mówiła ci kiedykolwiek o Marii Agnesi? - zapytał.

- Tak, także o innych: Sophie Germain, Olive Hazlett, Charlotte Angas Scott, Hypatii.

- Wobec tego może przypomnisz sobie, jak Agnesi rozwiązywała problemy?

Pokręciłam głową.

- Według biografów Agnesi była lunaticzką. Po harówce nad jakimś problemem szła do łóżka z poczuciem przegranej. Legenda głosi, że kiedy się budziła rano, znajdowała rozwiązanie na biurku. Ale mnie się zawsze wydawało, że to tylko takie ładne bajeczki. Ja myślę, że kiedy budziła się następnego dnia, to był nowy dzień i widziała sprawy w innym świetle.

Otworzył drzwi i zniknął w ciemnym korytarzu. Stałam tak przez kilka minut. Częściowo wierzyłam, że wyobraźnia podsunęła mi tę całą noc. Wreszcie podeszłam do okna i rozsunęłam zasłony. W dali widziałam jego ciemną sylwetkę powoli poruszającą się ulicą zalaną deszczem.

## 10.

Tamtej nocy, kiedy McConnell poszedł, wróciłam pamięcią do naszej rozmowy z Lilą kilka tygodni przed jej śmiercią. Tego dnia przymierzała niebieską, seksowną sukienkę i powiedziała mi o swoich planach związanych z udowodnieniem hipotezy Goldbacha.

*Każda parzysta liczba całkowita większa niż dwa może być wyrażona jako suma dwóch liczb pierwszych.*

Lila wyjaśniła mi hipotezę całkiem jasno. To była cześć jej nieustającego dążenia, aby nauczyć mnie czegoś na temat, w którym byłam beznadziejna. Ja myślę, że ona wierzyła, że jeśli będzie pracować nade mną wystarczająco długo, to uda się jej mnie przekonać do naturalnego piękna tkwiącego w liczbach. W dużym stopniu godziłam się na to, ponieważ jakimś cudem udało jej się

uczynić materiał interesującym, co nigdy nie zdarzyło się żadnemu z moich nauczycieli. Uwielbiała opowiadać mi o ludziach związanych z liczbami. Byli to Poincaré, Agnesi, Fermat i Ramanujan, Euler i Leibniz, i Pascal. Podczas gdy temat sam w sobie był ciężki i w większej części nie do przeniknięcia, to tę „ludzką” część matematyki i historyjki związane ze sławnymi matematykami uważałam za fascynujące.

Jeden z elementów, który czyni hipotezę Goldbacha tak wyjątkową, jest taki, że pomimo nieustannych trudności w znalezieniu dowodu, jego podstawowe założenia są dosyć proste. Liczby pierwsze to takie, które dzielą się przez siebie i przez jeden. Dzielenie ich przez jakąkolwiek inną liczbę daje w efekcie ułamek. Podczas gdy hipoteza Goldbacha jest zasadniczo uważana za prawdziwą, przez dwa i pół wieku nikt nie zdołał jej udowodnić. Można powiedzieć, że 4 jest sumą liczb pierwszych 2 i 2, że 6 jest sumą liczb pierwszych 3 i 3, albo że 8 jest sumą liczb pierwszych 5 i 3. Można kontynuować te obliczenia przez całe miesiące, lata, nawet dziesiątki lat, dochodząc tylko do tego, że każda dodatnia parzysta liczba całkowita, na jaką się natrafi, pasuje do hipotezy, ale nikt nie zaproponował sposobu udowodnienia, nie istnieje żadna dodatnia liczba całkowita, która nie jest sumą dwóch liczb pierwszych. Ponieważ liczby parzyste są nieskończone, niemożliwy jest dowód dla każdego przypadku. To, co jest potrzebne, to ogólny dowód, argumentacja, która będzie działać na każdej możliwej liczbie parzystej aż do nieskończoności. Dlatego to proste, eleganckie i wydawałoby się prawdziwe twierdzenie, że każda parzysta liczba całkowita większa niż dwa może być wyrażona jako suma dwóch liczb pierwszych - pozostaje raczej tylko hipotezą niż mocnym twierdzeniem, na którym można budować inne.

I to, wyjaśniła mi Lila, jest szczególnym obowiązkiem matematyki. Podczas gdy naukowe dowody opierają się na zasobach pochodzących z olbrzymiej ilości obserwacji, które razem wzięte tworzą coś, co okazuje się przytłaczającym dowodem na korzyść poszczególnych hipotez, to jednak teorie naukowe nie są absolutne. Podlegają zmianom. Kiedy pojawiają się nowe dowody, które przeczą już zaakceptowanym teoriom - dana teoria idzie do kosza. Kiedy nowe dowody pokazują, że wcześniej zaakceptowana teoria nie jest prawdziwa, to ta stara wylatuje przez okno. W przypadku nauki zawsze istnieje pewna doza wątpliwości.

Ale z matematyką jest inaczej. Żeby coś stało się teorią matematyczną - musi istnieć dowód absolutny. Kiedy teoria jest prawdziwa, to jest ona prawdziwa na zawsze i postęp wiedzy matematycznej nie jest w stanie jej zmienić. To znaczy, że od matematyków wymaga się wyższych standardów, jeśli chodzi o dowody, niż od kogokolwiek innego. Weźmy na przykład twierdzenie Pitagorasa, ten fragment o logice trójkątów, który tworzy podstawy geometrii dla szóstoklasistów. Ten koncept był używany już przez Chińczyków i Egipcjan przez tysiące lat, zanim został ostatecznie udowodniony przez Pitagorasa około 500 lat przed naszą erą. A ponad dwa tysiące lat później wciąż jest prawdziwy i zawsze będzie prawdziwy. Przez całą wieczność ludzkość może być pewna, że w

każdym trójkącie kwadrat długości przeciwprostokątnej jest równy sumie kwadratów długości przyprostokątnych.

Przez minione osiemnaście lat jedna rzecz była dla mnie pewna - nazwisko zabójcy. Zmieniło to moje spotkanie z McConnelllem. On pozostawił mnie z problemem. Mogłam wierzyć w to, co mi powiedział i pozwolić, żeby historia mojego życia, taka jaką znałam, zupełnie się popruła. „Czymże jest życie, jeśli nie zbiorem historyjek?” - powiedział Thorpe. Jego historia o Lili stała się moją historią, to była szyba, przez którą patrzyłam na świat przez całe moje dorosłe życie. Gdybym zdecydowała się uwierzyć McConnellowi, to musiałabym też pogodzić się z faktem, że zabójca nigdy nie zostanie zidentyfikowany, że osoba, która naprawdę popełniła przestępstwo, wykiwała wszystkich i nie poniosła żadnej odpowiedzialności. Mogłam też dalej żyć, wierząc w wersję wydarzeń podaną przez Thorpe'a. W takim przypadku też sprawiedliwości nie stanie się zadość, ale przynajmniej była odpowiedź, odpowiedź, która miała trochę sensu: historia ze wstępem, rozwinięciem i zakończeniem.

## 11.

Następnego dnia odegrałam sobie w głowie wydarzenia z poprzedniego wieczoru: spotkanie w kafejce, spacer do *pensión*, długa rozmowa w moim pokoju. W ostrym świetle poranka miniona noc przybrała kontury niewyraźnego snu. Otwarłam szafkę przy łóżku, gdzie trzymałam rum. Połowa mnie wierzyła, że butelka będzie pełna, a szklanki nieużywane; ale butelka była w połowie pusta, a na dnie szklanek - warstewka bursztynowego koloru. Na podłodze, wyłożonej białymi płytkami, jak duchy widniały ślady dużych butów McConnella.

Śniadanie zjadłam na dole z Josém i jego żoną. Składało się z mocnej kawy, smażonej fasoli i pozbawionych smaku ciepłych naleśników *tortillas*. José nie zapytał o obcego w moim pokoju, ale on i żona patrzyli na mnie inaczej. Ich zwykła przyjazna pogawędka zamieniła się w milczenie. Miałam nieprzyjemne wrażenie, że ich zawiodłam, przyprowadzając mężczyznę do pokoju - w ich pojęciu wyszłam z roli, czym niemile ich zaskoczyłam.

O wpół do dziesiątej przyjechał samochód, żeby zabrać mnie do gospodarstwa Jesusa. To było prawie dwadzieścia sześć kilometrów po niebrukowanej drodze pełnej dziur, a poranne słońce prażyło przez szyby. Kierowca odpalał jednego papierosa od drugiego, podśpiewywał sobie cicho, czasami zerkał na mnie do tyłu w lusterko. Na siedzeniu obok mnie była torba z portfelem, kilka drobnych prezentów i mój notes do opisywania próbek kawy. Ten notes typu moleskin miał wymiary 20 X 25 cm, był gruby, elegancki, ale mocno już podniszczony. Zapisywałam w nim uwagi na temat różnych rodzajów kawy. Podczas mojej pracy specjalisty od kawy ten dziennik podróżował ze mną po całym świecie. Był w Etiopii, Jemenie, Ugandzie, Brazylii, Kolumbii, Kostaryce, na Jamajce, Jawie i w Nowej Gwinei. W pewnym sensie to był rodzaj pamiętnika, ale zamiast ludzi i faktów wypełniały go

dokładne notatki na temat wyglądu samego ziarna, aromatu, jego kwasowości i zasadowości. Słowa związane z próbowaniem kawy były tak różnorodne, jak i kawy. Ja znajdowałam komfort psychiczny w ich prostej, precyzyjnej poetyce. Smak opisany jako słodki po pewnym czasie może się przełamać i zmienić w pikantny, ostry, łagodny czy delikatny. Kawa kwaskowata jest ostra, nieco gryząca, mocna, cierpka, przechodząca w cierpko-kwaśną. Aromaty bywają suche, słodkawe albo enzymatyczne, przy czym te ostatnie można dalej opisywać jako kwiatowe, owocowe i ziołowe. Zapach kwiatowy to albo słodki, albo orzeźwiający, owocowy bywa cytrusowy albo o zapachu owoców jagodowych; a ziołowy jest albo czosnkowy, albo fasolowo-grochowy. Większość ludzi popijających swoją poranną kawę nie powiąże jej aromatu z cebulą, czosnkiem, ogórkiem czy zielonym groszkiem, czym charakteryzują się kawy ziołowe, albo z cedrem i pieprzem - te występują w kawach pikantnych, należących do gatunków rozgrzewających. Ale dla mnie największa radość picia filiżanki kawy polega na wyczuciu tych subtelnych różnic.

W dodatku marginesy mojego notesu znawcy kawy były gęsto usiane opisami miejsc próbowania kawy, lokalnych zwyczajów, nazwisk, dat urodzin dzieci plantatorów, anegdot, jakie się zdarzyły podczas pobytu u nich. Gdybym została potrącona przez autobus, to ten dziennik byłby najistotniejszą rzeczą, jaka pozostałaby po mnie. Zapis, według którego ktoś obcy mógłby odtworzyć moją prywatną historię.

Kiedy po trzech czwartych drogi samochód zatrzymał się na stromej górskiej drodze, podziękowałam kierowcy, zapłaciłam i poszłam piechotą. Spacer zawsze mnie uspokajał - rytmiczny ruch nóg i rąk, ziemia pod stopami. Tak się składa, że zgadzam się z Henry Davidem Thoreau co do natury dobrego spaceru: „Musisz iść jak wielbłąd, o którym się mówi, że jest jedynym stworzeniem, które rozmyśla podczas wędrowania”.

Z tyłu dochodziły mnie głos kierowcy, który coś robił przy samochodzie i metaliczne uderzenia, jakby chciał rozbić samochód na części, a Towarzyszyły temu regularne przekleństwa i niecierpliwe modlitwy do Matki Boskiej. Wkrótce wyszłam z zasięgu jego głosu i usłyszałam zwierzęta szeleszczące w ściółce leśnej, świergot w gałęziach, stukanie dzięciołów. Na tej wysokości powietrze było rzadkie, mój oddech krótki, a płucom zrobiło się ciasno. Dobrze, że chociaż szłam w cieniu, baldachim koron drzew chronił mnie od słońca. Byłam już w pobliżu plantacji, mniej niż pół kilometra od domu Jesusa. Bogaty zapach ziaren kawy mieszał się z cierpko-kwaśnym i słodkim zapachem drzew cytrynowych i delikatną wonią bananowców. Usłyszałam znany mi chrypliwy ton i serię wysokich, niewyraźnych gwizdów, idąc za nimi, zobaczyłam jaskrawożółte podbrzusze kacyka północnego w gałęziach ponad sobą. Na polanie pojawiła się mała dziewczynka.

- Ellie! - krzyknęła i przybiegła do mnie z wyciągniętymi ramionami.

To była Rosa, prawie sześciolatka. Znałam ją od niemowlęstwa, za każdym kolejnym pobylem byłam zdumiona, jak się zmieniała, włosy miała coraz krótsze, a wyraz twarzy wyrazistszy z każdym



rokiem. Wyobrażałam sobie, że kiedy dojdzie do szesnastki, będzie śliczna jak aniołek, z ułożonymi loczkami i grzywką jak u gwiazdki filmowej. Postawiłam torbę na ziemi i podniosłam dziewczynkę do góry.

- Mam coś dla ciebie - powiedziałam. Cała rozpromieniła się uśmiechem.

- Co to takiego? - zapytała, zerkając na torbę. - Prezent? Mogę otworzyć?

- Niech cię najpierw posłucham! Gdzie się tak dobrze nauczyłaś po angielsku?

- Taka pani przychodzi i uczy nas w weekendy - odpowiedziała. - Angel też się uczy.

Sięgnęłam po torbę i wyciągnęłam prezent opakowany w jasnoczerwony papier. To był notesik oprawiony w skórę wraz z czerwonym ołówkiem, a na obu było wyzłocone jej imię. Rosa zaczęła odwiązywać wstążkę.

- To na twoje urodziny - powiedziałam. - Obiecuj, że poczekaś do następnego tygodnia z otwieraniem.

- Obiecuję. - Chwyła mnie za rękę. - Chodź. Tatuś czeka.

Kiedy doszliśmy do małego domku, Jesus stał na ganku. Zszedł po schodkach i powitał mnie, przygarniając do siebie. Pierwszy raz poznałam go pięć lat temu, kiedy wraz z Mike'em podróżowaliśmy po Nikaragui, aby odwiedzić nowe spółdzielnie, które zaczęły powstawać w kraju po zakończeniu wojny domowej. Wtedy Jesus połączył się z trzema innymi niewielkimi producentami kawy, tworząc spółdzielnię Rosa Cooperative. Od początku obydwój z Mike'em byliśmy pod wrażeniem ich przekonania do prowadzenia zacienionych plantacji i chęci poznawania różnych preferencji kupców kawy z USA. Od tamtej pory zaprosili do współpracy pięciu innych małych farmerów i ich kawa zaczęła zdobywać solidną reputację.

Jesus zaprosił mnie do środka, gdzie rozmawialiśmy o interesach nad talerzami smażonych bananów. Od czasu do czasu mój hiszpański szwankował, wtedy Rosa włączała się jako tłumacz. Z zewnątrz wdarły się dźwięki ożywionej rozmowy. Do środka weszła Esperanza, żona Jesusa, a za nią uczepony sukienki Angel, młodszy brat Rosy. Wymieniłyśmy z Esperanzą ostatnie ploteczki, a potem chwilę bawiłam się z dziećmi.

Kiedy Esperanza poszła położyć Angela na południową drzemkę, wyszłam z Jesusem przez tylne drzwi na zewnątrz, przez podwórko przeszliśmy do drewnianej szopy, która służyła jako miejsce do próbowania zaparzonej kawy. Za sobą słyszałam, jak bosa stopy Rosy delikatnie tupają po ziemi. Jeszcze ani razu nie widziałam jej w butach. Pamiętałam jej stópki, kiedy była niemowlakiem, chude, proste paluszki. Kiedyś Esperanza podniosła ją wysoko prawie naga, tylko w bawełnianej pieluszcze. I włożyła sobie jej maleńką stópkę do ust. Rosa zaśmiała się i zaczęła wiercić w ramionach matki. Wtedy pierwszy raz poczułam to macierzyńskie ukłucie, o którym inne kobiety tak często mówiły - właściwie pierwszy raz zainspirowało mnie do tego żeby wyobrazić sobie siebie z moim własnym dzieckiem. Kilka dni później, w domu w San Francisco, powiedziałam Henry'emu, mojemu



chłopakowi, o maleńkich stópkach Rosy, jak idealnie mieściły się w ustach matki i jak Jesus pęczniał z dumy, kiedy pokazał mi drewnianą kołyskę, którą sam zrobił dla pierworodnej.

- Wkrótce to będziemy my - powiedział Henry.

Sama byłam zdziwiona, że ten pomysł wcale mnie nie przerażał. Umiałam sobie wyobrazić, że obydwójce pochylamy się nad wózekkiem dziecka, spoglądamy na śpiące niemowlę, które wygląda jak najlepsze części każdego z nas: nos i bródka Henry'ego, moje usta i dołeczki.

W pomieszczeniu do testowania kawy Jesus przygotował trzy próbki świeżo zmielonych ziaren. Kiedy je mełł, ja zagotowałam wodę na palniku Bunsena. W tym czasie Rosa przygotowała dziewięć małych szklanek na stole, po trzy na każdą próbkę. Jesus wsypał nieco kawy do każdej, a ja zalałam wrzącą wodą. Zmielona kawa podniosła się do góry, a z ciemnego płynu zaczęła unosić się para.

Siedliśmy obydwójce na stołkach po obu stronach stołu. Rosa stała koło ojca, obydwójce obserwowali z napięciem, jak ciężką, srebrną łyżeczką rozgarniałam piankę. Uwielbiałam tę część procesu, sposób, w jaki aromat unosił się do góry, kiedy łyżeczka zanurzała się w mokrej zmielonej kawie. Zamknęłam oczy i głęboko wdychałam. Potem zdjęłam resztki kawy z powierzchni i zanim zaczęłam próbować, opłukałam łyżeczkę w czystej wodzie. Zaczynałam próbować. Kawa spływała po języku do gardła, a ja przez następnych kilka minut potrafiłam odłożyć wszystkie sprawy na bok, zapomnieć wydarzenia z poprzedniego dnia. Podczas tych prób rzadko wypluwałam kawę. To był nie tylko ten smak, który przynosił mi uspokojenie i jasność umysłu, ale także sposób, w jaki mnie rozgrzewał podczas przelknięcia i to, jak czułam się przez kilka następnych godzin - ten słodki przypływ energii, po którym następował powolny spadek.

Tego wieczoru wróciłam do hotelu w Diriono i odkryłam, że podczas mojej nieobecności ktoś był w pokoju. Kiedy tylko weszłam, to jeszcze nie było takie pewne, jedynie odczucie, że coś jest nie tak. Natychmiast podeszłam do sejfu ukrytego w dnie szafki, ale był zamknięty. Wklepałam w klawiaturę mój kod dostępu, otwierałam drzwiczki i zobaczyłam paszport i zapasową gotówkę, tak jak zostawiłam. Kiedy podeszłam do zlewu, aby umyć twarz - zauważyłam, że umywalka była mokra, a maleńki kawałek mydła odpakowany. Mam taki zwyczaj, że zawsze po użyciu umywalki spłukuję ją, a podróżując, zawsze wożę ze sobą własne mydło. Powiedziałam sobie, że widocznie z jakiegoś powodu musiałam zmienić rutynowe zachowanie tego ranka, chociaż nie pamiętałam tego faktu.

Włączyłam wentylator pod sufitem, zdjęłam podkoszulek, spódnice i położyłam się na czystych, białych prześcieradłach. Powiew miło chłodził mi skórę, leżałam na wpół ubrana na twardym łóżku w skromnie urządzonego pokoju. To odczucie przypomniało mi podobne popołudnie trzy lata temu w Gwatemali. Ale wtedy nie byłam sama, lecz z Henrym. Wczesnie rano zjedliśmy coś w małej restauracyjce wśród wzgórz, po powrocie do hotelu częściowo rozebraliśmy się i leżeliśmy na łóżku, zamierzając się kochać. Z jakiegoś powodu najpierw zaczęliśmy się kłócić.

Leżąc teraz samotnie na łóżku w Dirियोmo nie pamiętałam już, o co się kłóciliśmy, ani co spowodowało sprzeczkę. Pamiętam tylko, że w którymś momencie Henry próbował zażartować, a ja zarzuciłam mu, że nie brał niczego poważnie. Wkrótce kłótnia wymknęła się nam spod kontroli, wrzeszczeliśmy na siebie, obrzucaliśmy się takimi słowami, że kilka godzin później człowiek nie wierzy, iż mógł je powiedzieć do kogoś, kogo kocha. Aż wreszcie, we łzach, poprosiłam go, żeby się odwrócił, bo chcę się ubrać. Setki razy byliśmy nadzy i ta prośba uderzyła go jako melodramatyczna. W końcu zgodził się na to, ja ubrałam się i wyszłam. Spacerowałam po pobliskim parku i wypijałam kawę w tej samej restauracji, w której niedawno razem jedliśmy kolację. Pijąc kawę, przejrzałam sobie w głowie film z naszej kłótni i zdałam sobie sprawę, jaka była absurdalna, że sprawa małej wagi doprowadziła nas do takiego zapamiętania i impasu.

Wracając do hotelu, żeby go przeprosić, zatrzymałam się przy ulicznym straganie i kupiłam Henry'emu jakiś drobiazg, ręcznie robioną srebrną zapalniczkę, którą podziwiał poprzedniego dnia. Henry był jedynym moim mężczyzną, który palił „tylko cygara”, jak się usprawiedliwiał, „i to tylko w weekendy”. Wiedziałam, że prezent w postaci zapalniczki będzie miał dla niego specjalne znaczenie, bo wykazałabym pełną aprobatę w sprawie cygar, okazała niezwykle uczucie oznaczające, że nic nie musi zmieniać. Dopłaciłam, żeby dziewczyna sprzedająca zapalniczkę opakowała ją w drukowany żółty papier i dodała wstążki zawiązane w ozdobny sposób, co też zrobiła powoli i z dużą starannością.

Wychodziłam z hotelu w takim pośpiechu, że zapomniałam zabrać kluczy, kiedy wróciłam - musiałam zastukać do pokoju. Czekałam, żeby usłyszeć Henry'ego idącego do drzwi, ale moje pukanie napotkało zupełną ciszę. Zastukałam ponownie, zawołałam go po imieniu i tak stałam przez dobrych pięć minut, pukając i wołając na zmianę, a uczucie niepokoju rosło. Wreszcie zeszłam na dół i wzięłam klucze od konsjerżki. Otwarłam drzwi i zobaczyłam, że łóżko jest nietknięte, a Henry'ego nie ma. Walizka i paszport zniknęły. Pozostałam w hotelu jeszcze przez dwa dni licząc, że wróci. Wychodziłam tylko na kawę i posiłki.

Trzeciego dnia, kiedy wróciłam z pracy, konsjerżka miała dla mnie wiadomość. Henry dzwonił z San Francisco. Powiedział, że możemy porozmawiać, kiedy wrócę do domu. Przez kilka następnych dni usiłowałam skontaktować się z nim - nadaremnie. Musiałam odwiedzić jeszcze kilka plantacji i minęły kolejne trzy dni, zanim wróciłam do Kalifornii. Kiedy dotarłam - już było za późno. Henry właśnie zaczął pakować swoje rzeczy. Powiedział, że „wszystko przewartościował”. Przeprowadzał się na wschodnie wybrzeże i chciał zacząć na nowo. Żadne rozsądne argumenty ani ostatecznie błagania nie odwiiodły go od tej decyzji. Chciałam dać mu tę zapalniczkę, nie wiedziałam, co innego mogłabym z nią zrobić, ale nie chciał przyjąć. Skończyła w drewnianym pudełku na mojej toalecie, gdzie trzymałam kolekcję skromnych kolczyków, naszyjników i za każdym razem, kiedy otwierałam szkatułkę, aby wyszukać jakiś element biżuterii - ona wciąż tam była, przypominała o naszej okropnej, głupiej walce i w jej efekcie - jego wyjeździe. Z jakichś powodów nie mogłam się zdobyć, żeby ją

wyrzucić albo komuś dać. Nie mogłam też znaleźć w moim domu innego, lepszego miejsca; w mieszkaniu, w którym przez prawie dwa lata żyliśmy razem. Ostatecznie przeniosłam moją biżuterię do mniejszego, porcelanowego pojemniczka, ale drewniane wciąż stało na toaletce, jako pojemnik na rzecz, która nie była ani użyteczna, ani nie nadawała się do wyrzucenia.

Leżałam na łóżku w Diriamo, wspominając ten dziwny i bolesny okres mojego życia, przypominając sobie, że najważniejszy dla mnie w dorosłym życiu związek po prostu rozpadł się bez ostrzeżenia w pokoju bardzo podobnym do tego. W tym momencie popatrzyłam na stolik stojący koło łóżka i zauważyłam, że niewielki stos książek, który tam był - jakoś urósł. Podnosiłam je jedna po drugiej: nowo wydana historia autochtonów z Nikaragui, powieść napisana przez znajomego znajomego, którego poznałam w San Francisco, ostatni numer czasopisma „Fresh Cup”. Ale pod tymi znanymi mi publikacjami było coś innego, w rozmiarach książki, opakowane w brązowy papier. Tego, wiem na pewno, nie przywiozłam ze sobą.

Wstałam i sprawdziłam, czy drzwi są zamknięte, zaciągnęłam zasłony i stałam, trzymając pakunek, jakby mógł zawierać coś niebezpiecznego. Potem położyłam go na biurku i jeszcze przyglądałam mu się przez minutę czy dwie. Wreszcie podniosłam, odwróciłam i zerwałam paznokciem dwa kawałki taśmy klejącej. Kiedy odwinęłam papier i popatrzyłam na wypłowiałą niebieską kratkę okładki - na początku nie mogłam uwierzyć w to, co zobaczyłam. Ale kiedy otwarłam pierwszą stronę - nie miałam wątpliwości, co leżało przede mną na zniszczonym hotelowym biurku: notes Lili, ten, którego nie znaleziono przy niej prawie dwadzieścia lat temu.

Jak opisać ten notes?

Ponieważ dla mnie wyrażenia algebraiczne były nieprzyjemne, nie do zrozumienia jak hieroglify, ten notes był jak księga pełna tajemnic. Przypomniały mi się te wszystkie lata. Wraz z notesem siostry powróciły wszystkie stracone rzeczy, które, jak sobie wyobrażałam, były jej najgłębszymi sekretami. Otworzyłam go z poczuciem zadziwienia i były tam, jak pamiętałam, dostojnie wyglądający system liczbowy, litery i symbole maszerujące przed siebie i w dół strony. Pismo Lili było piękne w swojej precyzji. Podziwiałam, że zakończenia każdej liczby wyglądały tak, jakby zaznaczone były ciemniejszym atramentem, jakby zatrzymywała się w tych miejscach przed przejściem do następnej, jakby każda poszczególna liczba nie była dla niej tylko częścią większej całości, nie tylko elementem graficznym w obliczeniach, lecz indywidualną jednostką, światem dla siebie.

Na pierwszej stronie notesu było takie zdanie napisane jej drobną, staranną kursywą:

*Matematyczny dowód powinien przypominać wyraźną i uporządkowaną konstelację, nie zaś rozproszony rój gwiazd na Drodze Mlecznej.*

*G.H. Hardy*

## 12.

Pod cytatem czarnym pisakiem podkreśliła sześć gwiazd konstelacji Lutni. Ołówkiem obrysowała postrzępioną linię pomiędzy gwiazdami i wpisała nazwy: Wega, Sheliak, Sulafat, Epsilon, Aladfar i Alathfar.

Kiedyś powiedziała mi, że Lutnia to jej ulubiona konstelacja.

- Kto kiedykolwiek słyszał o Lutni? - zapytałam.

To było w naszym ogródku z tyłu domu. Leżałyśmy na chłodnej, wilgotnej trawie i patrzyłyśmy na niebo. Dla Lili to były wakacje przed liceum. Nagle wyłączyli prąd w naszej części miasta, co zdarzało się niezwykle rzadko. Tego wieczoru nasi rodzice poszli wcześniej do łóżek, żeby tam jeść babeczki i planować naszą przyszłość, a my w środku nocy wyslizgnęłyśmy się do ogrodu. Ja delectowałam się woskową słodkością czekolady, która pozostawała mi na wargach, a między zębami chrzęściła dekoracyjna chrupiąca posypka. Dookoła nas ćwierkały i cykały owady. Takie odgłosy słyszałam tylko w naszej chatce w Russian River, nigdy w mieście, a te nocne odgłosy w połączeniu z zapachem trawy i nowo posadzonym przez mamę jaśminem gwiazdzistym pozwoliły mi przenieść się jakby w inny świat.

- Apollo dał Orfeuszowi lirę - powiedziała Lila. - Kiedy Orfeusz na niej grał, wydobywał tak piękne tony, że nawet zwierzęta były oczarowane. Któregoś dnia jego żona, Eurydyka, została zabita przez węża. Orfeusz był zdruzgotany. Nie mógł jeść, nie mógł spać, mógł jedynie myśleć o swojej pięknej żonie. Wreszcie poszedł do podziemia i grał na lirze dla Plutona i Persefony. Tak jak wszyscy, król i królowa świata podziemnego też nie mogli się oprzeć jego muzyce i dali Orfeuszowi przyrzeczenie, że będzie mógł zabrać Eurydykę z powrotem na ziemię, by mieszkali razem, pod jednym jednak warunkiem...

Wstrzymałam oddech. Cudownie było słuchać Lili w takiej scenerii pod gwiazdami w zacisznym ogródku, w noc bez elektryczności. Wtedy wszystko na naszym małym kawałku ziemi wydawało się zupełnie inne i nowe. Lila musiała to wyczuć, bo sięgnęła po trawie i wzięła moją rękę w swoje.

- Jakim warunkiem? - szepnęłam.

- Nie mógł popatrzeć do tyłu, zanim nie opuśczą świata podziemnego, inaczej Eurydykę znów straci.

- I co się stało?

- Przez większość czasu udawało mu się dotrzymywać warunku - powiedziała Lila. - Trzymał żonę za rękę, prowadząc krok za krokiem w górę, aż do powierzchni ziemi. Kiedy już prawie doszli, Orfeusz nie mógł wytrzymać ani sekundy dłużej, chciał zobaczyć, jak piękna jest jego żona i popatrzył do tyłu.

- I potem? - zapytałam.

Wydawało mi się, że bogowie powinni to zrozumieć. Przecież w końcu przeszli większość drogi. A on ją tak bardzo kochał.

- Kiedy Orfeusz wyciągnął ręce, żeby ją objąć - powiedziała Lila - wymknęła mu się i zniknęła w ciemnościach. Musiał wrócić na ziemię sam. Kiedy wrócił do domu, do Tracji, był tak zrozpaczony, że zupełnie nie interesowało go towarzystwo kobiet. Kobiety trackie były bardzo na niego złe, ukamienowały go i rozszarpały na kawałki, a głowę i lirę wrzuciły do rzeki.

Usłyszałam hałas ponad płotem i chwyciłam Lilę za rękę.

- I właśnie Zeus wyłowił lirę z rzeki i rzucił ją do nieba, gdzie tworzy konstelację Lutni.

Przysunęłam się bliżej, a Lila, wciąż trzymając moją rękę, podniosła drugą do góry i wskazała:

- Wega jest tu, gdzie czubek mojego palca, widzisz?

Wysiliłam wzrok, żeby rozróżnić, która to gwiazda. Było ich takie mnóstwo i tak daleko, jak mogłam wiedzieć, którą mi pokazywała?

- To prawy, górny róg trójkąta letniego, najjaśniejsza gwiazda widoczna na półkuli północnej. Jeśli znajdziesz Wege, to znajdziesz i Lutnię.

Długo leżałyśmy na trawie. W którymś momencie - zasnęłam. Kiedy się obudziłam, Lila stała nade mną, jej długie włosy były wilgotne od trawy.

- Wstawaj - szepnęła i wyciągnęła do mnie rękę.

Kilka nocy po tym, jak Lila zniknęła, wyszłam do naszego ogródka i usiłowałam znaleźć Wege. Położyłam się na trawie tak jak wtedy, lata temu, ale światła miasta były tak mocne, że widać było tylko kilka gwiazd. Popatrzyłam na drugą najjaśniejszą gwiazdę na półkuli północnej. Już, już wydawało mi się, że zauważyłam ją i zamierzałam zatoczyć wzrokiem linię na niebie do górnego, lewego punktu lutni Orfeusza, kiedy okazało się, że gwiazda się rusza. To nie była Wega, tylko satelita.

To było długo po naszej rozmowie o Lutni, także długo od chwili, kiedy odbyłyśmy jakąś ważną rozmowę. Wtedy byłam świadoma, że stało się coś strasznego, ale nie mogłam sobie tego wyobrazić, że nie ma jej naprawdę. Następnego dnia odebraliśmy telefon z Guerneville.

Dla mnie najokrutniejsza część historii Orfeusza nie polegała na tym, że dwa razy stracił swoją Eurydykę, ale fakt, że kiedy wymykała mu się z rąk - nie był w stanie jej dotknąć. Jako dzieci, Lila i ja byłyśmy nieustannie w kontakcie fizycznym, plotąc sobie nawzajem warkocze, przewracając się po podłodze, tańcząc razem do muzyki ze starych płyt mamy. Im stawałyśmy się starsze, mniej się dotykałyśmy. Kiedy ona była na studiach, jedyna okazja, kiedy nasze ciała się dotykały, to przypadkowe otarcie się o siebie gdzieś w przejściu. Albo kiedy przekraczałam jej niewidzialną barierę prywatności, kładąc rękę na ramieniu, żeby wyrwać ją z głębokiej koncentracji. Zupełnie inaczej niż ja, Lila nie była osobą specjalnie uczuciową. Rzadka okazja do bliskości fizycznej zdarzała się w urodzi-



ny czy podczas pożegnań na lotnisku, kiedy odwoziłam ją do samolotu na konferencje matematyczne. Wtedy chciałam ją przytulić i czułam jej wahanie, kiedy obejmowałam ją za szyję.

Tej nocy, kiedy leżałam w ogrodzie, szukając Lutni, pomyślałam sobie, że minęło bardzo dużo czasu od momentu, kiedy ostatni raz przytulałam siostrę. Postanowiłam sobie, że kiedy tylko się zobaczymy, przyciągnę ją blisko do siebie i przytulę mocno i długo, czy będzie jej się to podobało, czy nie. Ale nie przyszło mi do głowy nawet przez chwilę, że ona może już nigdy nie wrócić do domu.

## 13.

„Każda historia pociąga za sobą umowę z czytelnikiem - zwykły mawiać Thorpe. - Ten kontrakt jest wyłożony na pierwszej stronie, możliwe, że i w pierwszej linijce: miejsce akcji, główne postaci, rytm języka i co najważniejsze - punkt widzenia, czyli kto opowiada tę historię i z jakiej perspektywy. Jeśli w jakimkolwiek miejscu opowiadania punkt widzenia chwieje się, to umowa z czytelnikiem jest zerwana, fundamenty się rozpadają, a wszystko przypomina czytelnikowi, że cała historia jest tylko fikcją”.

Przeszłam przez życie, wierząc w pewną historię dotyczącą toku mojego życia, historię, która - tak się zdarzyło - została opowiedziana z punktu widzenia Thorpe'a. Osoba, jaką stałam się w dorosłym życiu, była pod silnym wpływem tego scenariusza. Jeżeli przyjąć, że Lila została zamordowana przez mężczyznę, na którym jej najbardziej zależało, przez tego jedynego mężczyznę, którego zaprosiła do swojego życia, to jak można komukolwiek wierzyć? Od śmierci Lili pozwoliłam sobie na całkowite zaufanie tylko jeden raz, przy Henrym, tylko wtedy naprawdę opuściłam gardę. Kiedy ten związek się rozpadł, rzuciłam się w wir pracy. Przekonywałam siebie, że droga do szczęścia wiedzie przez celowanie w tym, co robię najlepiej. Kiedy czułam się samotna, w każdej chwili mogłam pojechać na jakąś plantację kawy, albo uciec do moich notatek. Taki kształt przybrało moje życie i pogodziłam się z tym. Nie było to takie życie, jakie sobie wymarzyłam. Nie było to też życie, jakie moi rodzice wybraliby dla mnie, oni chcieli zięcia prawnika i wnuków. Było to jednak całkiem dobre życie.

Choć nienawidziłam tego, co Thorpe zrobił, to jednak rozumiałam, że jego książka, jego odpowiedzi, dawały pewną ulgę. Ale teraz, tak jak struktura matematyczna zbudowana na fałszywym twierdzeniu, wszystkie pewniki, jakie miałam w życiu, zaczęły się rozpadać.

Następnego ranka po powrocie do San Francisco rozpakowałam walizkę. Wszystko pachniało podróżą, chemiczne powietrze z samolotu wymieszało się z zielonym, wilgotnym zapachem hotelu. Półtora kilograma kawy wcisnęłam do bocznej kieszeni walizki, więc koszule i spódnice i wszystko inne także przesiąkło aromatem kawy. Po wrzuceniu ubrań do pralki wzięłam prysznic i czystą parę dzinsów, podkoszulek i pulower. Widziałam przez okno, że okolica mojego domu była słoneczna, ale



na zachodzie zauważyłam podnoszącą się mgłę, śnieżnobiałą ścianę i wiedziałam, że na ulicach będzie wilgotno i o dobrych kilka stopni chłodniej.

Poszłam na Dwudziestą Czwartą ulicę i kupiłam sobie małą kawę u Tully'ego, która miała mnie rozruszać. Wraz z pierwszym łykiem poczułam, że trochę przejaśnia mi się w głowie. Znalazłam wolny stolik w rogu i otwierałam dziennik Lili. Na trzeciej stronie zrobiła listę zatytułowaną *Nierozwiązane. Nierozwiązywalne?* Pierwsze, hipoteza Goldbacha zajęła jej ponad połowę notesu, a reszta była poświęcona na pozostałe problemy. Drugi punkt na liście to hipoteza Poincarégo: *Każda trójwymiarowa zwarta i jednospójna rozmaitość topologiczna bez brzegu jest homeomorficzna ze sferą trójwymiarową.*

Długo się wpatrywałam w ten problem, nie mogąc nic z tego pojąć. Zdumiewało mnie, że Lila, z którą dzieliłam te same geny, tych samych kochających rodziców, te same dobre szkoły, te same weekendy spędzane w Russian River, mogła sobie poradzić z takim zdaniem.

Wprawdzie znaczenie hipotezy Poincarégo umknęło mi, ale mimo to pamiętałam człowieka z pewnego powodu. Otóż podczas naszej wędrowki z plecakami po Europie dotarliśmy na cmentarz Montparnasse w Paryżu, gdzie jest pochowany Poincaré. Wtedy Lila opowiedziała mi jego historię. Był on znany jako polihistor, czyli człowiek renesansu. Wybijał się w każdej dziedzinie matematyki, zarówno czystej, jak i stosowanej, która istniała w jego czasach. Ale zaciekało mnie co innego, historia o tym, jak złożył oświadczenie na rzecz Alfreda Dreyfusa, żydowskiego oficera armii, który był oskarżony o zdradę państwa przez kolegów antysemitów i skazany na dożywotni obóz karny na Wyspie Diabelskiej w 1895.

Atak Poincarégo na bezpodstawne naukowe twierdzenia spreparowane przez oskarżycieli Dreyfusa w dużej części pomógł oczyścić człowieka z zarzutów.

Lila umieściła kawałek papieru na kamieniu nagrobnym Poincarégo i przetarła po nim ołówkiem. Potem pomogła mi odszukać kogoś innego na mapie cmentarza, Simone de Beauvoir. Była ona pochowana tutaj rok wcześniej, w tej samej mogile, co Sartre. Na kamieniu nagrobnym w kolorze kości słoniowej z prostą, podwójną inskrypcją zawierającą tylko nazwiska i daty leżały świeże kwiaty i podarki. Czytałam *Drugą płć* i *Pamiętnik statecznej pani*. Czytałam też *Słowa*, ale jedyne słowa, jakie pamiętałam w tamtej chwili, były napisane przez Lloyda Cole'a i zespół Comotions: *Ona wygląda jak Eva Marie Saint w filmie „Na nadbrzeżach”, kiedy czyta Simone de Beauvoir w jej amerykańskim otoczeniu.*

- Czy wyobrażasz sobie, że jesteś tak zakochana, że pragniesz, aby twoje ciało złożyć na zwłokach ukochanego? - zapytałam.

Lila nie zastanowiła się nawet sekundy nad moim pytaniem.

- Nie.

Ona nie musiała wyjaśniać. Znałam jej poglądy na romanse, małżeństwo, one by tylko przeszkadzały jej w pracy.

Można by się spierać, że prawdziwy uniwersalizm już nie jest możliwy w dzisiejszych czasach. Z pewnością nawet Poincaré nie byłby w stanie nadążać za zagadnieniami ezoterycznymi na swoim polu naukowym, jakie powstały cały wiek po jego śmierci. Ale i mnie częściowo nurtowały takie pomysły, lubiłam myśleć, że może i Lila chciała choćby zbliżyć się do uniwersalizmu. Wierzyłam, że mogłaby być jeśli nie wielką matematyczką jej czasów, to z pewnością jedną z nich. I w tym miejscu okazuje się, że prawo liczb kosmicznych nie zadziałało, coś, co moi rodzice musieli rozpatrywać tysiące razy przez całe lata, chociaż nigdy by się do tego nie przyznali, przecież mieli dwie córki. Dokonanie odejmowania, czyli usunięcie mnie z równania, oznaczałoby pozbawienie świata porządných notatek dotyczących kawy, dobrze wyćwiczonego podniebienia, kilku artykułów w fachowych czasopismach o coraz bardziej nieuchwytnych cechach najlepszych gatunków kawy na świecie. Ale to nie działało w ten sposób. To odejmowanie, które zostało dokonane, okazało się o wiele okrutniejsze. Kto wie, jakie problemy Lila mogłaby rozwiązać, jakie eleganckie dowody mogłaby skonstruować, gdyby dano jej czas? W przeciwieństwie do mnie, ona była przeznaczona do wykonywania ważnych prac, takich, które mogły przynieść poważne efekty w nauce.

Z dzisiejszej perspektywy czasu łatwo mi było zobaczyć, co robiłam w roku, który nastąpił po śmierci Lili. Nieustannie byłam pijana i w łóżku z jakimś facetem z uczelni, albo z kimś, kogo poznałam na prywatce. Nie chodziło mi tylko o zapomnienie tego, co stało się z Lilą. Usiłowałam zapomnieć, że byłam efektem wypaczonej matematyki, która zakończyła życie geniusza, a pozwoliła żyć jej siostrze, osobie w każdy sposób najzwyczajszej.

Lila, tłumacząc swoje częste milczenie, mówiła: „To tak, jakbym wędrowała po domu. Wchodzę do innego pokoju i drzwi się za mną zamykają. Wszystko inne jakby znika”.

Czasami czułam, jakbym to ja weszła nie do tego pokoju, co trzeba, dwadzieścia lat temu, i drzwi zamknęły się za mną. Po jednej stronie drzwi było moje życie, to, które miałam mieć. Po drugiej stronie był pokój, w którym zostałam złapana w pułapkę, tam było życie, w które wdepnęłam w wyniku śmierci Lili. Chciałam wrócić do tego miejsca, z którego zaczynałam, zanim przekroczyłam ten próg, ale drzwi były zamknięte tak mocno, że stamtąd nie było wyjścia.

Jak wszyscy ludzie skazani wyrokiem, Dreyfus został uwięziony, ponieważ sędziowie uwierzyli w pewną historię na jego temat. Poincaré wystąpił z inną wersją historii i to zmieniło bieg życia Dreyfusa. Czy dla Lili też istniała inna historia, taka, która zmieniłaby bieg życia McConnella, a może także mojego?

Przez trzydzieści osiem lat nie zrobiłam żadnej wyjątkowej rzeczy. Często sobie mówiłam, że to taki zbieg okoliczności, nie miałam ani talentu, ani okazji, żeby zaistnieć dla kogokolwiek w sposób znaczący. Może to było moją szansą. McConnell był tą jedyną osobą spoza naszej bezpośredniej ro-

dziny, którą Lila wpuściła do swojego życia, jedyną osobą, której ufała. Tak jak Dreyfus, McConnell został powieszony na podstawie osądu opinii publicznej, na podstawie pewnej historii, całkiem możliwe, że fałszywej. W końcu może ja mogłabym zrobić jedną rzecz dobrze. Mogłabym przywrócić McConnellowi coś z tego, co stracił.

W trakcie tych działań mogłabym zrobić także coś dla rodziców. Dziesięć lat temu rozeszli się. Chyba ostatecznie stracili nadzieję, że jeszcze kiedyś mogliby być szczęśliwi. To pęknięcie, które powstało między nimi po śmierci Lili, powiększało się z każdym rokiem. W którymś momencie zaczęli osobno wyjeżdżać na wakacje, mama spędzała tyle czasu, ile tylko mogła, w Russian River. Wreszcie doszli do wspólnego wniosku, że ich małżeństwa już nie da się ocalić. Wieczorem, w przededniu orzeczenia rozvodu, matka przysłała do mojego mieszkania na obiad.

- Myślę, że gdyby przyszło coś z policji, sądu - powiedziała - zaarrestowanie kogoś czy wyrok skazujący, może wtedy moglibyśmy jakoś przez to razem przejść. Jeśli chodzi o szczegóły, to cała historia z McConnellem to nic więcej, tylko historyjka w książce. Może to i prawdziwe, ale to nie jest akt sprawiedliwości. Nikt nigdy nie zapłacił za to, co się stało naszemu dziecku.

Kiedy Lila miała kłopot ze zrozumieniem jakiegoś problemu, często przewracała do góry nogami kartkę papieru, na której właśnie pracowała.

- To pomaga zobaczyć sprawę z innej perspektywy - mówiła wtedy. - W ten sposób koncentruję się na każdej liczbie, każdym symbolu. To jakby mieć drugą parę oczu, którymi można zobaczyć ten sam obrazek. Czasami potrzebny jest mi tylko inny kąt spojrzenia, żeby przełamać impas.

Przez lata tak przyzwyczaiałam się do wersji śmierci Lili przedstawionej przez Thorpe'a, że wydawała mi się ona prawdziwa. Teraz musiałam przyznać, że byłam leniwa, przyjmując taką wersję. Ból przysłonił mi logiczne patrzenie na sprawę. Jeśli Thorpe był w błędzie, pisząc głęboko fałszywą książkę, to i ja byłam w błędzie wierząc, a nie sprawdzając, nie poddając jego poglądów jakiemuś testowi prawdy. Po moim dziwnym spotkaniu z McConnellem w Dirियो wszystko zaczęło wyglądać inaczej, jakby kartka została ustawiona do góry nogami.

## 14.

Wejścia do księgarni Green Apple Books pilnował drewniany gnom. Skrzypiącymi schodami weszłam na drugie piętro. Pomiędzy *The Great Experiment: An Introduction to the History of the American People* Franka Thistlethwaite'a a *Hero Tales from the Age of Chivalry* Granta Udena zobaczyłam Andrew Thorpe'a z twarzą mojej siostry na okładce, unoszącą się jak duch nad Golden Gate Bridge. Z tyłu *Morderstwa nad Zatoką*, oprócz kilku ciepłych słów od innych pisarzy, było zdjęcie mojego dawnego nauczyciela. Wyglądał poważnie, ale dobrodusznie, w ciemnym swetrze i okularach. Fotografii zrobiono na otwartej przestrzeni, więc jego faliste włosy wiatr odgarnął z twarzy. Ręce na

biodrach, patrzył do aparatu z pewnością siebie, jak człowiek, któremu się ufa, kiedy opowiada jakąś historię, jak człowiek, który podaje wszystkie fakty uczciwie i prawdziwie. Zdziwiła mnie na tym zdjęciu linia włosów Thorpe'a; kiedy go poznałam, już się zaczęła przesuwać. To zdjęcie musiało być zrobione całe lata przed opublikowaniem książki, prawdopodobnie, kiedy był po dwudziestce. Mężczyzna, który spoglądał na mnie ze zdjęcia, był rzeczywiście tym samym mężczyzną, ale jego twarz mówiła coś zupełnie innego. Był optymistą, a ten, którego ja znałam, ten, który napisał książkę, bez wątpienia emanował odrobiną rozczarowania z dodatkiem nerwowej ambicji.

Obok *Morderstwa nad Zatoką* zauważyłam drugą książkę Thorpe'a w miękkiej okładce pod tytułem *In Step With a Sadist* o porwaniu i torturowaniu żony znanego biznesmena z Sacramento. Tam też widniało to samo zdjęcie Thorpe'a jako o wiele młodszego mężczyzny. Były dwa egzemplarze jego trzeciej książki *Runner Up, Runner Down* - historia dziennikarza, którego zabójstwa dokonano w biały dzień podczas maratonu w Dubaju - i znów to samo zdjęcie, jakby się nie zmieniał wraz z upływającym czasem. Była też czwarta książka opatrzona jego nazwiskiem, chociaż ta miała tytuł, którego jeszcze nigdy nie widziałam *Second Time's a Charm*, resztką z pierwszego wydania w cenie 4,95 dolara. Według opisu na okładce były to wspomnienia z okresu małżeństwa, powieść o miłości, przekaz nadziei dla samotnych mężczyzn. *Myślicie, że już nigdy nie spotkacie miłości? Andrew Thorpe też tak myślał. A potem spotkał Jane, kobietę, która dała mu drugą szansę na szczęście.*

To zdjęcie musiało być bardziej współczesne, Thorpe miał dosyć pulchną twarz i nie dało się ukryć, że łysiał. Tym razem zdjęcie było zrobione w budynku, w jakimś gabinecie. Siedział przy biurku, ręce ułożone na starej elektrycznej maszynie do pisania. Przypuszczam, że ta maszyna była rekwizytem, ktoś kombinował, jak go przedstawić jako bardziej romantyczną postać. Kiedy go poznałam, wszystko pisał na komputerze. Na biurku, po lewej stronie od maszyny, były dwie rzeźbione drewniane podpórki, przedstawiające dziób i rufę statku, które utrzymywały książkę w pozycji pionowej.

- To iluzja - powiedziałam, podarowując mu te dwie podpórki na koniec letniego semestru dokładnie w pięć miesięcy po śmieci Lili. - To na *Odyseję*.

To była jedna z jego ulubionych.

- Nie musiałaś mi nic dawać.

- Wiem. Po prostu chciałam ci podziękować. Wyglądał na zdziwionego.

- Za co?

- Byłeś życzliwy. Byłeś cierpliwym słuchaczem.

- To nie była życzliwość - powiedział Thorpe. - Tak się złożyło, że polubiłem rozmowy z tobą.

Stojąc w holu Green Apple, patrząc na starszego i szczęśliwszego Andrew Thorpe'a dziwiłam się, że wciąż trzymał mój podarunek.

W kafejce Blue Danube zaczęłam czytać, ale nie mogłam zmusić się, by zacząć od początku, od szczegółowego opisu, jak znaleziono ciało Lili. Ominęłam i przeszłam do rozdziału „Pierwsza miłość”.

*Kiedy Lila miała jedenaście lat - pisał Thorpe - odkryła konie.*

To w dużym stopniu była prawda. Dobrze pamiętałam, że wiedział to z mojej relacji, tylko w książce nieco zmienił. To się zaczęło, kiedy miała dziesięć lat i spędzała swój pierwszy weekend, a dokładnie pierwszą w życiu noc poza domem na obozie niewinnie nazwanym Girl's Adventure Camp w Sonora Country. Lila płakała, kiedy wjeżdżaliśmy w bramy obozu. Kiedy zatrzymaliśmy się przed budynkiem klubu jeździeckiego, wcisnęła się w siedzenie i zapowiedziała, że nie wysiądzie, aż wrócimy bezpiecznie do domu, do miasta. Dopiero wysoka, szczupła Sara Beth, doradca przy Chipmunk's Cabin, przekupstwem wyciągnęła Lilę z naszego combi, przyprowadzając starą klacz o imieniu Spice i stawiając ją tuż przy oknie samochodu, gdzie siedziała Lila. Sara dała Lili jabłko, a Spice jadła je prosto z jej ręki. I to wystarczyło. Kiedy odbieraliśmy ją w poniedziałek rano, jedyne, o czym mówiła, to Spice. Potem raz w tygodniu Lila chodziła na lekcje jazdy do Golden Gate Park. Na jej trzynaste urodziny, kiedy wiadomo było, że konie to nie jest chwilowa fanaberia, z której szybko wyrośnie, rodzice wreszcie ustąpili i kupili jej konia rasy quarter o imieniu Dorothy. Była to kasztanowobrazowa klacz z białymi łatkami na pęcinach, które wyglądały jak skarpetki, i białą strzałką wzdłuż głowy. Rodzice wynajęli jej boks w stajni w Montara, około trzydziestu pięciu minut drogi wzdłuż wybrzeża. Montara to małe miasteczko, składające się z raczej nowych drewnianych domów, wznoszących się od długiego kawałka plaży o złotym piasku aż do wzgórz. Za domami były całe hektary nieużytków, ocienione lasami sekwojowymi, i kilka małych gospodarstw. Stadnina, gdzie Lila trzymała swoją Dorothy, była na polanie jakiś kilometr od Highway 1. W pogodne dni, kiedy wspierałam się na bramę padoku, widziałam samochody pędzące po niebezpiecznie wijącej się autostradzie, a za nimi te sławne fale z Montara State Beach.

- Myślałam o tym - powiedziała mi kiedyś Lila, niedługo po tym, jak dostała konia.

Siedziałyśmy na płocie okalającym padok, czekając na jej trenera. Dorothy prychała i grzebała kopytami, wznosząc tumany kurzu, który powodował u mnie kichanie.

- Zdecydowałam, że możemy się nią dzielić - powiedziała Lila, machając nogami w tę i z powrotem, a jej buty jeździeckie wybijały rytm na płocie. - Nie na zawsze. Dotąd, aż mamusia i tatuś kupią ci własnego konia.

- Nie chcę własnego konia - powiedziałam.

Nie powiedziałam jej, że nie lubię czuć kurzu pod paznokciami i chociaż umiałam docenić Dorothy z daleka, to szorstki dotyk jej sierści przyprawiał mnie o ciarki. Lila popatrzyła na mnie tak, jakby się właśnie dowiedziała, że byłam adoptowana.

Jeździła konno przez całą szkołę średnią. Kiedy stajnia w Montara została zamknięta podczas ostatnich lat studiów Lili, zaczęła zostawiać klacz na północ od Petalумы, około półtorej godziny jazdy z domu. Nowe miejsce to właściwie było pastwisko obok sadu owocowego. Właściciele trzymali też sześć krów, kilka strusi i świnkę. Nie było padoku do jeżdżenia, ale to zupełnie odpowiadało Lili.



Kiedy chciała jeździć, łądowała siodło na wózek do golfa i ciągnęła przez pola. Kiedy gdzieś w oddali wypatrzyła Dorothy na pastwisku, gwizdała i wołała ją po imieniu, a potem siodłała na miejscu. Kiedy wracała do domu, było już dobrze po kolacji, a ona opalona, zmęczona i pachnąca koniem.

Latem, tuż przed ostatnim rokiem w Berkeley, wszyscy byliśmy zszokowani, kiedy pewnego wieczoru podczas kolacji oświadczyła, że zamierza całkowicie porzucić jazdę konną.

- Muszę poważnie pomyśleć o matematyce - powiedziała.

- Czemu nie możesz robić obu rzeczy naraz? - zapytała matka. - Uwielbiasz jeździć. Zawsze powinnaś mieć w życiu coś takiego, co będziesz robić wyłącznie dla przyjemności.

Mama wiedziała, o czym mówi. Wprawdzie w tamtym okresie praktyka prawnicza pochłaniała większość jej energii, to jednak zawsze znajdowała kilka godzin na pracę w ogrodzie.

- Już zdecydowałam - powiedziała Lila. - Muszę się skupić na jednym. Wszyscy wielcy matematycy w historii dokonywali wyrzeczeń.

Kilka dni później zamieściła ogłoszenie w „Chronicle” i w „Sonoma Index-Tribune”. Przez kilka najbliższych tygodni parę razy jeździła do Petalomy, żeby spotkać się z ewentualnymi kupcami. Któregoś popołudnia pojechałam z nią. Przejechałyśmy Golden Gate Bridge i minęłyśmy Marin Headlands. Wreszcie autostrada stała się mniej zatłoczona, było coraz mniej zabudowań, a przed nami roztaczało się więcej wzgórz, na których pasło się bydło i rosły baobaby. Lila skręciła na nieutwardzoną drogę i jechałyśmy powoli przez dziury i wyboje aż do podjazdu wysypanego żwirem. Stał tam duży, biały budynek typowy dla farmy. Pragnęłabym w takim mieszkać, z dużym gankiem, lukarnami i kilkoma pokojami dobudowanymi z boków, które wyglądały, jakby były tam przypadkowo przybite młotkiem. Na lewo od budynku było pole ziemniaków - długie rzędy suchej, brązowej ziemi, gdzie od czasu do czasu wyrastało z kopczyków coś zielonego.

Podążałam za Lilą do ogrodzonego pastwiska. Z daleka widziałyśmy Dorothy pasącą się pod drzewem Jozuego. Kiedy Lila gwizdnęła, Dorothy zastrzygła uszami i przybiegła do nas. Lila głaskała jej nozdrza i mówiła jej coś cicho do ucha, a klacz tylko stała i mrugała spokojnie. Zastanawiałam się, że Lila rozmawiała z Dorothy tak, jak właściwie nigdy nie rozmawiała ze mną. Czy dzieliła swoje największe sekrety z tym cichym stworzeniem? Kilka minut później na podjazd wjechał samochód. To był ojciec z dziesięcioletnią córką, mieszkańcy centrum. Lila pomogła małej dziewczynce dosiąść konia na oklep.

- Ona ma swój charakter - powiedziała Lila do dziewczynki. - Jeśli będziesz wobec niej stanowcza, będzie cię szanować. Nie lubi marchewki, od jabłek woli orzechy i jeżyny. Jest też wielbicielką płatków zbożowych Cheerios. Lubi, jak jej śpiewać do ucha. Jak jest poirytowana, można ją zazwyczaj uspokoić jakąś piosenką Simona i Garfunkela.

W oczach dziewczynki zauważyłam spojrzenie, jakie miała Lila, kiedy pierwszy raz zobaczyła Spice. Mężczyzna powiedział, że podjedzie następnego dnia do nas do domu z czekiem. Kiedy odje-



chali, powoli zbliżył się do nas facet, który wyszedł z budynku. Był duży, przystojny, pewny siebie, pod trzydziestkę. Wyglądał trochę na zmęczonego i nieświeżego, jakby balował całą noc.

- Cześć, William - powiedziała Lila.

- Cześć wam.

- To moja siostra, Ellie.

William wyciągnął rękę, żeby się przywitać, jego uścisk był tak mocny, że aż zabolalo.

- Już kiedyś się spotkaliśmy - powiedziałam mu, ale on nie mógł sobie przypomnieć. - Kiedy samochód się zepsuł jakiś czas temu, doładowałeś nam ze swojego przez krokodylki.

- Ach, tak - powiedziała Lila. - Zapomniałam.

- Miło cię widzieć - rzucił, ale byłam pewna, że mnie nie pamiętał. Żuł gałązkę mięty. Zwrócił się do Lili. - Sprzedałyście?

- Myślę, że tak. Ten dzieciak zakochał się w niej. Kiedy William odszedł i nie słyszał nas, powiedziałam:

- Fajny gość.

- Tak myślisz? - powiedziała Lila, patrząc na niego z tyłu, jakby dopiero pierwszy raz go zobaczyła. - Nic nie wiem na ten temat, ale umie postępować z Dorothy. Wolałabym, żeby on ją kupił. Przynajmniej wiedziałabym, że jest w dobrych rękach.

Tego popołudnia Lila jeździła na Dorothy po raz ostatni. Potem ją wymyła, masując kolistymi ruchami namydlonych rąk gęstą sierść konia.

Zbliżyła usta do ucha klaczy i powiedziała miękko: „grzeczna dziewczynka”. Wreszcie dała jej jabłko i przytuliła się do jej szyi. Zastanawiałam się, czy Dorothy zdaje sobie sprawę, że Lila żegna się z nią.

Z tego, co wiem, Lila nigdy już nie zobaczyła swojego konia. Rzadko też o niej mówiła. Zastanawiałam się, czy byłaby taka sama w stosunku do mnie. Gdybym zginęła w wypadku samochodowym albo złamała kark, nurkując w basenie, i przez resztę życia pozostawała w śpiączce. Czy ona dopasowałaby się tak łatwo do mojej nieobecności, jak do braku konia?

*I od tej pory - napisał Thorpe na końcu rozdziału - nie było już żadnych przeszkód. Lila miała tylko jedną prawdziwą pasję, tylko jedno umiłowanie: matematykę.*

Tego wieczoru w domu wróciłam do początku książki. Dziwne odczucie, czytać tę książkę po nownie po tylu latach, dziwnie zobaczyć Lilę przed sobą na kartach książki żywą i prawdziwą, jeżdżącą na koniu, szyjącą albo siedzącą przy kuchennym stole z ołówkiem w ręce, rozwiązującą zadania algebraiczne. To była Lila, jaką znałam, jaką opisałam. Przy wszystkich zmianach, na jakie Thorpe pozwolił sobie w stosunku do mojej siostry, nie mogę zaprzeczyć, że dobrze uchwycił jej osobowość, ducha; sposób w jaki chodziła, mówiła, trzymała głowę, styl wystawiania się.

Ale z McConnellem zupełnie mu się nie udało. *Patrząc w oczy McConnella* - pisał Thorpe - *człowiek miał wrażenie, że spotkał człowieka bez sumienia, człowieka, który jest zdolny do wszystkiego. Było widać pewne okrucieństwo w jego oczach, twardość w mowie.*

Wiem, że to nie była prawda. Uderzyła mnie miękkość jego oczu, delikatność głosu. Nie mogłam pogodzić człowieka, którego spotkałam w Dirimo, z postacią w książce, nie mogłam uwierzyć w portret, który namalował Thorpe, człowieka bez serca, wyrachowanego mordercę.

Stale odchodziłam od książki bez odpowiedzi, bez wskazówki, kto inny mógł być w to zamieszany. Wyglądało na to, jakby Thorpe wpakował całą swoją energię w przygotowanie sprawy przeciwko McConnellowi, eliminując wszystkich innych szybko i kategorycznie. Dlaczego to zrobił? Co chciał przez to zyskać?

## 15.

Strona internetowa Andrew Thorpe'a była multimedialnym fajerwerkiem z migoczącą grafiką, podkładem muzycznym przygotowanym przez lokalny zespół Sugar dePalma, podcastami i wideoclipami. Prowadził na stronie kilka konkursów. Jeden z nich to „odgadnij złoczyńcę”, gdzie szczęśliwy zwycięzca mógł dać imię postaci z jego pierwszej powieści, która była właśnie w trakcie pisania. Inny o nazwie „pierwsza kopia” miał jako nagrodę oryginalny, ręcznie napisany brudnopis jednej z książek Thorpe'a. Z tego, co wiedziałam, on nigdy nic nie napisał ręcznie, poza notatkami w kalendarzu. Wyobraziłam sobie, że zapewne wynajął jakiegoś biednego durnia, żeby przepisał ręcznie pliki z Worda. Najbardziej popularnym konkursem okazał się ten, w którym zwycięzca mógł zwiedzić więzienie stanowe Pelican Bay z Thorpe'em. „Baw się dobrze podczas rozmowy z Johnnym Grimesem, postacią z *Blood in the Valley* - przykuwającego uwagę opowiadania o ponurym morderstwie dwóch pracowników Yahoo”, obiecywała strona internetowa. Książka wyszła dwa miesiące wcześniej i sądząc z masy recenzji i komentarzy czytelników na stronie - cieszyła się sporym zainteresowaniem.

Kliknęłam na aktualności i przeczytałam, że Ladies' Bureau w San Francisco będzie gościć Thorpe'a na obiedzie roboczym w ten czwartek. Cena biletu wynosiła 85 dolarów i obejmowała lekki obiad, kieliszek chardonnay i egzemplarz *Blood in the Valley* z autografem. Zadzwoiłam i zrobiłam rezerwację. Kobieta, która ze mną rozmawiała, była bardzo entuzjastyczna.

- Dobrze pani trafiła - powiedziała. - Zostało nam tylko kilka wolnych miejsc. Przeczytała pani książkę?

Wyznałam, że nie.

- Jest cudowna. Zachwyci się pani.

W kalendarzu zaznaczyłam datę obiadu czerwonym atramentem i wróciłam myślami do tej dziwnej nocy, jaką spędziłam z Thorpe'em na miesiąc przed tym, gdy mi powiedział, że pisze książkę.

Wtedy byłam już na kolejnym roku studiów, ale wciąż spotykaliśmy się na kawie czy obiedzie. Któregoś popołudnia zapytał mnie tak ni stąd, ni zowąd, czy nie zjadłabym kolacji u niego. Z tego, jak sformułował zaproszenie, zrozumiałam, że organizował małe przyjęcie.

Mieszkał na trzecim piętrze w kamienicy o dwunastu mieszkaniach na końcu Dolores Park. Kiedy otworzył drzwi, zobaczyłam, że zrezygnował ze swych codziennych niebieskich dżinsów i trampek na rzecz czarnych, prążkowanych spodni z oxfordu\* i mokasynów. Dziwnie wyglądał i chyba nie czuł się w tym ubraniu pewnie.

\* Tkanina bawełniana o charakterystycznym splocie skośnym, zwanym splotem oksfordzkim.

- Ładnie pachnie - powiedziałam.

- To lasagne, przepis mojej mamy. Potrzebuje jeszcze pół godziny w piekarniku. Napijesz się wina na początek?

Weszłam za nim do małego, idealnie posprzątanego mieszkania. Nikogo tam nie było. Zdziwiłam się, że będzie tylko nas dwoje.

Zanim lasagne były gotowe, piliśmy już drugą butelkę wina. Ze zdenerwowania piłam szybciej niż zwykle, a on pił zdecydowanie więcej niż ja. Nie miał jadalni, więc siedzieliśmy na sofie, talerze stały na stoliku do kawy, takim drobiazgu o szklanym blacie czarno obramowanym, a charakterystycznym dla kawalerek. Wraz z rozwojem wieczoru wino zlikwidowało trochę naszej nerwowości, a on często dotykał mojego ramienia, klepał po nodze i ocierał się o mnie. Kiedy skończyliśmy sernik z truskawkami, który był wyjęty z zamrażalnika i jeszcze nie całkiem się rozmroził, zrozumiałam, że nie mam dobrego wyjścia, żeby się z tego wyplątać. Objął mnie ramieniem, przyciągnął blisko do siebie na sofie i powiedział:

- Obiecuj mi, że nigdy więcej nie zapiszesz się na moje zajęcia.

- Czemu?

- Ponieważ jeżeli jesteś moją studentką, to nie mogę tego robić - po czym mnie pocałował.

Wciąż byłam mu wdzięczna za tę przyjaźń, za sposób, w jaki pomógł mi przez długie miesiące po śmierci Lili. Gdybym się chwilę zastanowiła, że był jedenaście lat ode mnie starszy - może byłabym bardziej powściągliwa, ale byłam wystarczająco pijana, żeby odsunąć na bok kwestię różnicy wieku. Poszłam z nim do łóżka, bo nie umiałam wymyślić żadnego dobrego powodu, dla którego nie powinienam być. Ale kiedy rozbieraliśmy się w słabym świetle w jego sypialni, wiedziałam, że nie zrobię tego drugi raz. W trakcie wieczoru przeszedł subtelną transformację. Całe ubranie, stół do kawy, kadzidła, które zapalił na szafce nocnej, wszystko to służyło temu, żeby pokazać go w trochę innym, niestety żalonym świetle. Przed tą nocą znałam go tylko w pewnym kontekście. Kiedy kurtyna się podniosła i zerknęłam na jego życie prywatne, to nie mogłam się pohamować, by nie odczuwać dla niego

odrobiny współczucia. Po tym wieczorze zapraszał mnie jeszcze kilka razy do swojego mieszkania, ale ja się wymawiałam. Byłam mu wdzięczna, że nie nalegał, że pozwolił mi postępować tak, jakby ta noc nigdy się nie zdarzyła.

To było niewielki błąd w naszych kontaktach, tak minimalna część naszej wielomiesięcznej przyjaźni, że w większej części ulotniła mi się z pamięci. W końcu, od tamtej pory byłam z wieloma facetami, których wcale za dobrze nie znałam w porównaniu z nim. Thorpe był drogim przyjacielem, osobą, której mogłam ufać, zawierając różne sprawy i wcale to nie było dziwne, że skończyliśmy razem w łóżku, nawet jeśli tylko na jedną noc. Ale kiedy teraz wracam do tego myślami, z perspektywy lat, których mi przybyło, odczuwam lekkie mdłości. Wtedy miałam tylko dziewiętnaście lat. Niestety, Thorpe'owi nie wystarczyło, że miał moją historię. Choćby na jedną noc, ale potrzebował mieć jeszcze mnie.

## 16.

Kiedy jechałam samochodem poza miasto w kierunku South City, powoli zanikała pocztówkowa linia horyzontu, ustępując przemysłowemu krajobrazowi przylądka. Po powrocie z Nikaragui wzięłam sobie kilka dni wolnego, a teraz wracałam do Golden Gate Coffee. Już jakieś ćwierć mili od firmy poczułam bogaty, karmelowy zapach prażonej kawy. Zatrzymałam się z tyłu budynku. Dzień był ciepły, słoneczne błyski iskrzyły się na płaskiej powierzchni oświetlonej zatoki.

W biurze Dora rozmawiała przez telefon z brokerem, kupując kawę na rynku w ramach kontraktu terminowego. Wkrótce potężne wory będą ładowane na statek w Etiopii, miejscu pochodzenia kawy, i rozpoczną swoją podróż na zachód. Minie kilka tygodni, zanim dotrą do portu w Oakland. A przed rozładowaniem zostaną pobrane próbki i przyniesione do biura, gdzie Mike i ja uprażymy je, zaparzemy i spróbujemy.

- Poczekaj, aż *yirgacheffe* dojdzie do 114 dolarów - powiedziała Dora przez telefon. Przykryła słuchawkę ręką i zawołała do mnie:

- Witaj, obca!

Tylko raz odwiedziłam piętro, na którym mieścił się dział handlu kawą, latem 2001 roku, kiedy giełda kawy w Nowym Jorku, największa aukcja na półkuli zachodniej, jeszcze wciąż mieściła się w World Trade Center. Kilka miesięcy później zrujnowane boksy handlowe znalazły się na dnie pod tonami gruzu, a handlowcy przeprowadzili się do ponurych pomieszczeń o niskim suficie po drugiej stronie East River. Już w kilka dni po 11 września nowe, tymczasowe pomieszczenie zaczęło robić wielkie interesy. Bez względu na to, co stało się na świecie, ludzie chcieli pić kawę.

W pokoju przeznaczonym do próbowania kawy, tuż za pomieszczeniami biurowymi, kilka tac z próbkami leżało na stole i czekało na palenie i wypicie. Zanurzyłam ręce w ziarnach kawy *peaberry* z

Tanzanii i wdychałam ich duszny zapach. Obok *peaberry* była etiopska *harrar*. Ja też przywiozłam z Nikaragui trochę kawy, którą wysypałam na tacę i opatrzyłam nalepkami, przeznaczając na później. Już wiedziałam, że będziemy zamawiać dużą ilość od Jesusa, ale Mike lubił sprawdzać każdą próbkę sam. Był perfekcjonistą. Jego pradziadek, Milos, rozpoczął interesy kawowe podczas gorączki złota i to preferencjom Milosa zawdzięczamy, że nazwisko rodziny Stekopolousów zdobi paczuski kawy.

Wrzuciłam trochę *peaberry* do jednego z trzech małych metalowych bębnow, żeby uzyskać palone próbki. Aparat nazywał się Jabez Burner i był przekazywany z pokolenia na pokolenie. W drugim bębnie umieściłam etiopską *harrar*. Podpaliłam palnik gazowy i czekałam. Po kilku minutach ziarna zaczęły syczeć i podskakiwać do góry. Pokój wypełnił bogaty kwiatowy zapach. Najpierw wyjęłam ziarna *peaberry* i wysypałam na perforowaną tacę do przestygnięcia. *Harrar* wolałam nieco więcej upaloną, więc czekałam, aż ziarna rozpoczną drugi cykl podskakiwania. Kiedy już były upalone tak jak chciałam, kiedy pergaminowe plewy oddzieliły się, sprawdziłam, jaki ziarna mają kolor i zmieliłam je grubo, potem wysypałam po łyżeczce do każdej filiżanki z przezroczystego szkła.

- Dobrze mieć cię znów z powrotem - powitał mnie Mike, wyłaniając się z biura.

- Dobrze być z powrotem.

Zaczeliśmy próbować. Pomiędzy poszczególnymi siorbnięciami Mike uzupełnił mi luki w biurowych ploteczkach. Podczas mojej nieobecności Jennifer Wilson, jedna z naszych przedstawicielek handlowych oznajmiła, że jest w ciąży, a Gabrielle, córka właściciela konkurencyjnej firmy, zaczęła się spotykać z jednym z naszych chłopaków z magazynu. Debbie Dybsky z finansów idzie na emeryturę i wyprowadza się do Muir Beach. Słuchając tych wiadomości o kolegach i koleżankach z pracy, poczułam się naprawdę w domu. Oprócz mojej matki byli to ludzie najbliżsi mi na świecie.

Obok każdego stołka stała duża, miedziana spluwaczka, ale żadne z nas jej nie używało, my połykaliśmy kawę, popijając wodą pomiędzy próbkami. Ja odziedziczyłam po Mike'u bezpretensjonalny styl próbowania, co zapewniało nam ukończenie pracy bez całego *Sturm und Drang*\*.

\* Okres *burzy i naporu*, to nazwa okresu w literaturze niemieckiej przypadającego umownie na XVIII wiek.

- Niektórzy faceci robią z tego całe przedstawienie - powiedział mi Mike na początku. - Mnie w tym wszystkim chodzi o kawę. Dlatego cię lubię. Ty wyczujesz nosem wyjątkowe ziarno na kilometr.

Dosyć wcześnie nauczyłam się doceniać Mike'a jako nauczyciela i zawsze będę mu wdzięczna, że dał mi szansę. Kiedy zaczęłam pracować w kawie w późnych latach dziewięćdziesiątych, wciąż jeszcze byli tacy mężczyźni, którzy uważali, że zasiadanie przy stole do próbowania kawy z kobietą jest poniżej ich godności. Tak jak w kuchniach szpanerskich restauracji, w czeluściach szybów kopalnianych, na najbardziej prestiżowych wydziałach matematycznych, tak i tutaj - przemysł kawowy to świat mężczyzn.

Dziwne to, bo trzeba wziąć pod uwagę fakt, że od początku popularności kawy w USA, to przede wszystkim kobiety ją kupowały i podawały do stołu.

Na moje trzydzieste czwarte urodziny Henry podarował mi rzadki egzemplarz książki Williama Harrisona Ukersa z 1922 roku pod tytułem *All About Coffee* (Wszystko o kawie), biblię przemysłu kawowego. Pozycja zawierająca osiemset stron ma ładny druk i starannie przygotowane ilustracje. Jedną z moich ulubionych reklam była ta dla braci Arbucle z 1872 roku, na której kobieta wyglądająca na zakłopotaną stoi w fartuchu przy dymiącej kuchence i żali się: „Och, znów przypaliłam kawę”. Inna reklama jest zatytułowana „Błąd, który popełnia wiele kobiet” i namawia panie do kupowania już palonej kawy zamiast robienia tego samej w domu, zapewniając fałszywie, że „za każdym razem, kiedy palisz dwa kilogramy kawy - tracisz aż pół kilograma”. Ta reklama nie była obraźliwa, lecz niedokładna. Tak jak wiele historyjek, ta o kawie zawierała półprawdę. Trzeba bystrego i trzeźwego umysłu, żeby umieć oddzielić fakty od fikcji.

Nawet kiedy mój związek z Henrym skończył się, *All About Coffee* pozostało na honorowym miejscu na półce w jadalni. Tak jak srebrna zapalniczka, którą mu kupiłam w Gwatemali w dniu jego wyjazdu, książka przypominała okres, kiedy byliśmy razem. Także Golden Gate Coffee. Wszyscy go tu znali. Jego niebieskie oczy wciąż spoglądają z wielkiego grupowego zdjęcia pracowników, które wisi w holu. Na zdjęciu stoimy obok siebie, jego ramię obejmuje mnie, a moje otacza go w pasie. Od czasu do czasu, kiedy pozostawałam dłużej w pracy, kiedy wszyscy już poszli, stawałam przed zdjęciem, wpatrywałam się i usiłowałam dojść do tego, co wtedy było nie tak.

## 17.

Obiad wydany przez San Francisco Ladies' Bureau odbywał się w restauracji jednego z hoteli w centrum. Okrągłe stoły były zastawione białymi talerzami na różowych serwetkach. W centralnym punkcie każdego stołu stał stos *Blood in the Valley*. Ja zajęłam miejsce z tyłu.

Po mojej prawej stronie siedziała atrakcyjna kobieta przed pięćdziesiątką, która odwróciła się do mnie i powiedziała: - A kim ty jesteś?

- Witaj - powiedziała, wyciągając do mnie rękę. - Ja jestem Maggie. To jest Dwight, Barbara, Stella i moja córka Claire.

- Zamierzam przeprowadzić z nim wywiad dla gazety - powiedziała Claire.

Była to drobna, niebieskooka blondynka, o skórze, jaką mają w reklamach dziewczyny z okładki.

- Jaka gazeta?

- „Mercy High”.



Nagle poczułam się bardzo stara. Po śmierci Lili ojciec wycofał się w głąb siebie i to do takiego stopnia, że matka przychodziła do mnie szukać towarzystwa. Spędzałyśmy ze sobą całkiem sporo czasu, często chodziłam z nią na obiady, służbowe przyjęcia i degustacje wina. W rezultacie czułam, że mam więcej wspólnego z ludźmi w wieku mamy niż z rówieśnikami. Jej znajomi przyjmowali moją obecność z dużą przyjemnością, wykazywali szczerze zainteresowanie tym, co studiowałam i z kim chodziłam. Pamiętam dokładnie, jak się czułam, będąc w wieku Claire, wdzięczna za uwagę, jaką okazywali mi znajomi mamy, ale także dumna jak paw ze swojej młodości. Nie da się, będąc w takim wieku, nie być świadomym potęgi, jaką daje młodość. Claire, to było jasne, posiadała tę samą dumę i pewność siebie. Kiedy przyszedł kelner, żeby nalać nam wody do szklaneczek, nie mógł przestać na nią patrzeć, a ona przyjmowała tę uwagę, jakby się jej należała.

- Ellie.

Natomiast Lila nigdy nie miała w sobie tej beczelności wynikającej z młodości. Może to miało coś wspólnego z faktem, że jeśli chodzi o pracę w dziedzinie matematyki - ona już się starzała.

- Jeśli chcę czegoś dokonać, to nie mam wiele czasu - powiedziała mi podczas swego ostatniego roku w Berkeley. - Niels Henrik Abel miał tylko dziewiętnaście, kiedy udowodnił, że nie istnieje ogólny wzór na rozwiązanie równań piątego stopnia. Gauss opublikował *Disquisitiones Arithmeticae*, mając dwadzieścia cztery. Galois odkrył związek pomiędzy teorią grup a równaniami wielomianowymi, zanim zginął w pojedynku, mając dwadzieścia lat. To jest tak, jak powiedział Hardy, „matematyka jest grą dla młodego człowieka”, albo jak w moim przypadku, dla młodej kobiety.

Stella wyjęła ze swojej torebki dwa telefony komórkowe i pager, i ułożyła je w jednej linii tuż nad talerzem, tak, żeby każda pilna sprawa dotarła do niej natychmiast. Ubrana była w brzydki kostium, który wyglądał na bardzo drogi.

- Przeczytałam każdą książkę Andrew Thorpe'a, nawet *Second Time's Charm* - powiedziała.

- To była moja pierwsza - powiedziała Claire. - Bardzo mi się podobała. - Jak ją skończyłam, to pożyczyłam *Runner Up*, *Runner Down* od mamy i teraz cofam się z jego książkami do pierwszej.

- No to poczekaj, aż przeczytasz *Morderstwo nad Zatoką* - odezwała się Barbara. - To jest jego jak dotąd najlepsza.

- Spotkałem kiedyś matkę z tej książki - powiedział Dwight, czym wyraźnie zwrócił na siebie uwagę całego stołu. - Na zbiórce pieniędzy na San Francisco Ballet. Była najsympatyczniejszą panią, jaką można tam było spotkać. Wymieniliśmy uwagi na temat hodowania geranium.

Bardzo mocno wątpiłam, żeby moja matka była kiedykolwiek na zbiórce pieniędzy na balet w San Francisco. Wiem na pewno, że nigdy nie interesowała się geranium. Musiał z książki zapamiętać, że miała rękę do kwiatów. Opisanie skomplikowanego rozplanowania ogrodu mojej matki zajęło Thorpe'owi dwie strony. Widział go tylko raz, kiedy zaprosiłam go na obiad do nas do domu. I teraz zastanawiałam się, czy Dwight rzeczywiście myślał, że ją spotkał, czy tylko udawał, żeby okazać się

ciekawszym człowiekiem niż był? W trakcie minionych lat odkryłam, że tragedia jest jak większe trzęsienie ziemi albo akt terroryzmu. Nikt nie chciałby osobiście tego doświadczyć, ale każdy, opowiadając, umieszcza siebie jak najbliżej sceny tragicznych wydarzeń. Maggie trąciła mnie w ramię.

- Czytałaś to?

- Tak, ale dawno temu.

- No i? Co o tym myślisz?

Wypiłam łyk wody. Odrobina miąższu cytryny przyłgnęła mi do zębów.

- Jest dobrze napisana.

Nie mogłam się zmusić w tym momencie, przy tych ludziach, żeby powiedzieć, że cała książka była zdradą mojej rodziny na kolosalną skalę.

- Nie myślę - powiedziała Maggie - żeby Thorpe'owi udało się napisać jeszcze jedną tak dobrą książkę, którą można by porównać z tą pierwszą. - Odwróciła się do Claire. - Wiesz, to już klasyka. *Napisz* to w tej twojej szkolnej gazetce.

- Ależ napisano mnóstwo prawdziwych kryminałów - powiedziałam. Co takiego było w tym *Morderstwie nad Zatoką*, że wywarło na tobie takie wrażenie?

To było pytanie, którego nigdy nikomu przedtem nie zadałam. Po przeczytaniu tej książki pierwszy raz chciałam zapomnieć, że w ogóle istniała. Nawet kilka lat po tym fakcie piękny dzień uznaję za zrujnowany, jeśli zobaczę kogoś z tą książką w autobusie, albo oglądającego gdzieś używany egzemplarz. Za każdym razem, kiedy mój wzrok padnie na tę książkę, zalewa mnie fala wspomnień, kiedy rodzice odjeżdżali szarym volvo z naszego podjazdu i kierowali się do kostnicy w Guerneville.

- Kiedy ją przeczytałam - powiedziała Stella - czułam, jakbym była tam w lesie, przy tej dziewczynie, kiedy ją znaleziono. Moja własna córka miała wtedy dziesięć lat i zimno mnie przeszywało do szpiku kości. Przez długi czas bałam się ją wypuścić z domu bez zamartwiania się, że może jej się stać coś okropnego.

- To nie tylko to - powiedziała Maggie. - To tylko część książki, oczywiście, strach, że to może przydarzyć się komuś, kogo się kocha. Ale dla mnie, jeszcze bardziej niż to, co mówisz, liczył się fakt, że czułam, jakbym znała Lilę. Jakaż to była słodka i bystra dziewczyna, tak niezwykle obiecująca. Z takiej córki każdy rodzic byłby dumny. Wszystko inwestujesz w dziecko, oczywiście czas i pieniądze, ale też uczucia i nadzieje. Tyle trzeba włożyć w życie, tyle człowiek wkłada w wychowanie dziecka. Dla mnie jako matki to jest absolutny horror, że jeden człowiek może położyć temu wszystkiemu kres.

- Przynajmniej to nie był przypadkowy akt przemocy - dodała Stella. - Nic nie jest bardziej przerażające niż myśl, że człowiek może być zaatakowany przez kogoś, kogo się nawet nie zna.

Wszyscy dookoła kiwają głowami. Wydaje mi się, że Stella trafiła na kluczowy aspekt powożenia książki. Końcowy efekt podania nazwiska Petera McConnella jako mordercy miał upewnić czytelników, że to może się przydarzyć *także i im*. Wersja Thorpe'a dała ludziom wrażenie, że ten

gwałt nie był przypadkowy, to nie było coś, co się przydarza zwykłym, porządnym ludziom żyjącym swoim porządnym, zwykłym życiem. *W przytłaczającej większości przypadków* - pisał Thorpe w prologu - *ofiary morderstwa znają swojego zabójcę.*

W pomieszczeniu powstało pewne zamieszanie, odwróciłam się i zobaczyłam Andrew Thorpe'a wchodzącego przez drzwi.

Zeszczuplał. Wtedy, kiedy go znałam, nie miał nadwagi, ale był nieco pulchny - efekt niechęci do przebywania na powietrzu oraz jego przyjaźni z makaronem i piwem. Teraz był szczupły i opalony, głowa całkowicie ogolona. Ubrany w czarne prążkowane spodnie, wygodną czarną marynarkę z oxfordu i buty zapinane z boku na suwak. Ogólnie powiedziałabym, że był taki trochę w typie Bruce'a Willisa, ale widać było, że nie czuje się w tym wygodnie, jakby ktoś inny wybrał dla niego te ubrania. Mając piąty krzyżyk na karku, wyglądał na zdrowszego niż kiedy miał trzydziestkę.

Kobieta w żółtym spodniem wprowadziła go na podwyższenie i przedstawiła.

- To prawdziwa przyjemność być tutaj z państwem - zaczął Thorpe, uśmiechając się szeroko. - Pisarz pracuje nad książką w samotności przez tak długi czas, że kiedy wreszcie wyjdzie do świata porozmawiać o tym, co pisze, czuje się, jakby został wypuszczony z więzienia.

Południowy akcent, który był zaledwie wspomnieniem, kiedy się z nim spotykałam, teraz był silniejszy. Zastanawiałam się, czy to efekt specjalny w ramach przedstawienia dla tłumu.

- A propos więzienia - kontynuował. - Właśnie wracam ze stanowego zakładu penitencjarnego Pelican Bay, gdzie spotkałem się z Johnnym Grimesem, który, jak może państwo pamiętać, odsiaduje dożywocie z oskarżenia za zabójstwo drugiego stopnia Stacy Everett i Grega Simmonsa.

Słysząc było pomruki i widać potakiwanie głowami. Obsługa kelnerska pojawiła się z surówkami, były to listki sałaty lodowej z sosem zrobionym z sera pleśniowego. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jadłam sałatę lodową w restauracji. W kręgach pewnych wysokich elit była ona ostatnio w modzie, ale w tym miejscu, byłam pewna, że mają ją w menu od dziesięcioleci. Nasz kelner, kiedy stawiał przed Claire sałatę, zerknął w jej dekolt, a ona przechyliła się do przodu, żeby mu udostępnić lepszy widok.

Przez kilka minut Thorpe opowiadał, jak się zainteresował morderstwem w Dolinie Krzemowej. Wspomnił przyjaźń z rodzinami ofiar. Zastanawiałam się, jaki był ich stosunek do tych kontaktów. Czy wpuścili Thorpe'a do swojego życia? Czy jadł kolację w ich domu, tak jak u nas? Czy pokazywali mu albumy rodzinne, prezentowali filmy z dziećmi z okresu, kiedy rodzina była szczęśliwa? Wydawało mi się, że gdyby mieli coś do powiedzenia to woleliby, żeby w ogóle nie powstała książka na ich temat.

Kelnerzy sprzątnęli talerze po sałatkach i przynieśli główne danie, grillowanego kurczaka z ryżem i floretki brokułów. Thorpe skończył swoją preambułę i zaczął czytać. Zastanawiałam się, czy to było dziwne dla kogokolwiek, że kiedy ogryzał kurczaka i jadł brokuły, Thorpe z zacięciem czytał

szczególnie krwawą scenę z książki. To był pierwszy rozdział i tak jak w książce o Lili, zaczynał się opisem znalezionych ciał. To była jego specjalność, jeden z krytyków nazwał to „przerazającym portretem sceny morderstwa”.

Podczas czytania Thorpe zerkał na publiczność, wchodząc z nią w kontakt wzrokowy. Czekalam, kiedy mnie zauważy. Czy wytrąciłabym go z równowagi? Czy zacząłby się plątać w czytaniu, gubić wiersze? Ale potem zrozumiałam, że on z nikim nie nawiązywał kontaktu wzrokowego. Kiedy omiatał salę wzrokiem, to jego spojrzenie było nieco powyżej poziomu oczu, on tylko robił wrażenie kontaktu z publicznością bez prawdziwego wzajemnego oddziaływania jednej strony na drugą. A potem przypomniałam sobie, że robił to samo podczas naszych zajęć. Kiedyś wyznał mi przy lodach u Mitchella:

- Jeśli patrzę studentom w oczy, denerwuję się - powiedział. - Więc tylko udaję.

Przyniesiono deser. Kiedy tylko obiadujące panie zajęły się ciastkiem czekoladowym bez mąki, Thorpe zapytał:

- Jakies pytania?

Drobna i krucha pani siedząca przy sąsiednim stoliku podniosła rękę, a Thorpe zaprosił ją skinieniem głowy.

- Co było najtrudniejsze podczas pisania tej książki? - zapytała.

- Tylko rozplątanie pajęczyny - odpowiedział Thorpe. - Kiedy pisze się powieść, pisarz ma absolutną kontrolę nad całością. Zaczyna się od czystego płótna. Ale w przypadku literatury faktu człowiek jest zdany na łaskę faktów. Do tej książki przeprowadziłem wywiady z dziesiątkami ludzi. Każdy miał swoją własną wersję wydarzeń, a każda była inna.

Ktoś zapytał, co myślała jego żona o książce *Second Time's Charm*.

- Nienawidziła jej - odparł. - Ale potem zobaczyła pierwsze honorarium.

Ludzie się śmiali. Widelczyki pobrzękiwały. Kelnerzy roznosili kawę.

- Jak pan znajduje tematy do pisania?

- Właściwie, to ja ich nie znajduję - odpowiedział. - To one mnie znajdują. W tym wypadku miałem kolegę pracującego w Yahoo w czasie, kiedy doszło do morderstwa. Któregoś dnia graliśmy razem w golfa i zaczął mi opowiadać, jak cała praca w firmie została wyrwana do góry nogami przez te wydarzenia. Opowiadał, jaki strach ogarnął ludzi, że wytworzył się brak zaufania w całym kampusie Yahoo. Dla mnie to była historia, którą należało opowiedzieć. Mnie nie interesowało tak bardzo samo morderstwo, lecz raczej jego efekty. Tak samo mniej byłem zainteresowany ofiarami, a bardziej ludźmi, którzy pozostali i jak poprzestawiały się relacje międzyludzkie.

Obserwując, jak Thorpe panował nad całą salą, usiłowałam sobie przypomnieć, co w nim było takiego, że tak chętnie opowiadałam mu szczegóły z życia osobistego, sprawy, o których nie mówiłam nikomu innemu. A teraz jego siła przekonywania działała jeszcze mocniej, jakby ostatnie dwadzieścia

lat poświęcił na doprowadzanie jej do perfekcji. W dzieciństwie całe niedziele spędzał w kościele Southern Baptist w Tuscaloosa i nie mogę zaprzeczyć, że miał w sobie coś z ewangelicznego daru, jakąś teatralną, swojską osobowość typu „równy gość”. To powodowało, że wszyscy pochylili się w krzesłach nieco do przodu.

Wciąż były podniesione w górę ręce, kiedy Thorpe powiedział z uśmiechem:

- No cóż, skoro już nie ma więcej pytań... - i zszedł z mównicy. Kobieta w żółtym spodnim poinstruowała nas, żebyśmy ustawili się

w kolejce przed stołem, gdzie podpisywał książki.

Thorpe robił to szybko, ze spuszczoną głową, z każdą osobą wymieniał kilka słów, uśmiechał się, podając podpisaną książkę. Kolejka się przesuwała, a ja poczułam ściskanie w żołądku. Tyle razy w ciągu minionych lat chciałam się z nim spotkać, ale zawsze coś mnie zatrzymywało, jeden z powodów był taki, że nie wiedziałam, czy dam radę stanąć z nim twarzą w twarz. A ważniejszy, że konfrontacja wydawała mi się stratą czasu. Książka była napisana, zniszczenia dokonane. Cóż dobrego mogłabym jeszcze zrobić dla rodziców, dla Lili - otwierać rany? Ale teraz wszystko się zmieniło. Jeśli książka była oparta na kłamstwie, jak sugerował McConnell, wtedy zdrada Thorpe'a była jeszcze większa. Musiałam usłyszeć od niego osobiście, ile prawdy było na kartach książki.

Kiedy przyszła moja kolej, wziął następną książkę, nawet nie patrząc na mnie.

- Dla kogo mam podpisać książkę? Nie odpowiedziałam.

- Czy chcesz, żebym podpisał ją dla ciebie, czy tylko wpisał moje nazwisko? - zapytał, tracąc cierpliwość.

Potem popatrzył do góry, z piórem zawieszonym nad kartką. Otworzył usta, ale nic nie powiedział. Odłożył pióro i poruszył się, jakby chciał wstać, ale potem pomyślał coś innego i siadł ponownie.

- Ellie, ja...

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam, jak Thorpe'a zamurowało.

- Cześć.

- Cześć - wykrztusił cicho.

Oczy miał wilgotne, ale ten Thorpe, którego znałam, nigdy by nie wzruszył się do tego stopnia, żeby być na granicy łez.

Wreszcie odsunął krzesło i wstał. Pochylił się do mnie przez stół, wyciągając ramiona. Kiedy wyczułam, że zamierza mnie objąć - cofnęłam się. Opuścił ręce, zerknął na swoich wielbicieli wciąż niecierpliwie czekających za mną w kolejce i usiadł.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś. Nawet nie wiesz, jak miło cię zobaczyć. - Przez chwilę milczał. A potem dodał. - Boże, Ellie, wcale się nie zmieniłaś - jego południowy akcent zniknął. Przez chwilę był starym Thorpe'em, przyjacielem, którego znałam przed tą całą okropną aferą z książką.



Kobieta w żółtym pociągnęła go za rękaw.

- Mr Thorpe, salę mamy wynajętą tylko do pierwszej.

- Oczywiście - odrzekł, znów panując nad sobą.

Pochylił się ku mnie, jakby chciał porozmawiać na osobności, ale było oczywiste, że kobieta w żółtym i ludzie z kolejki za mną podsłuchiwali.

- Słuchaj, po tym zaraz jadę taksówką na lotnisko. Lecę do Nowego Jorku, ale za kilka dni będę z powrotem. Zadzwoni do mnie. - Napisał swój telefon w książce. - Albo nie, lepiej przyjdź, dobrze? Mamymy sobie tyle do opowiedzenia.

Już zapisywał swój adres.

- Proszę cię, zajrzyj kiedykolwiek. Naprawdę.

Usiłowałam sformułować odpowiedź, ale kobieta w żółtym wzięła mnie za łokieć i chciała przesunąć.

- Poczekaj - powiedział Thorpe wstając i wychodząc zza stolika. - Jedź ze mną na lotnisko. Zapłacę taksjarszowi za twoją drogę powrotną.

Spotkanie go w tej sali pełnej ludzi było dla mnie wystarczająco rozbijające. Już widziałam nas w taksówce siedzących obok siebie w zamkniętym pomieszczeniu.

- Muszę wracać do pracy - powiedziałam.

- Ale przyjdiesz do mnie?

- Nie wiem.

- Przyjdiesz - powiedział kategorycznie z dużą pewnością w głosie. We wtorek jestem z powrotem.

Kilka minut później stałam przed restauracją w zgiełku i ruchu ulicznym Market Street, trzymając pod pachą ostatni bestseller Thorpe'a, czując się tak samo, jak czułam się przez te wszystkie lata, kiedy mi oznajmił we mgle na Ocean Beach, że bez względu na wszystko kontynuuje pisanie książki. I wtedy, i teraz on miał ostatnie słowo. Miał do tego talent, każdą historię, jaką opowiadał, każdą rozmowę, w jaką był zaangażowany, kończył na swoich warunkach.

## 18.

„Do każdego wydarzenia, jakie człowiek przeżywa - zwykł był nam mówić Thorpe - można napisać historię. Dla wszystkich emocji, każdej tajemnicy, każdego historycznego punktu odniesienia jest jakaś narracja, która potrzebuje opisania”.

Jest więc rzeczą oczywistą, że istnieje także historia dla kawy. To właśnie Henry opowiedział mi ją na drugiej randce. Poznaliśmy się kilka dni przed tym w biurze Golden Gate Coffee, gdzie dostał pracę w dziale sprzedaży. Zaczął karierę jako chłopak w magazynach w Welsh Coffee Roaster w San



Mateo, wtedy jeszcze był w średniej szkole. Kiedy go spotkałam, wiele czasu spędzał jako obrońca farmerów. W tamtym czasie wielu młodych mieszkańców San Francisco było nieprzyzwoicie zamożnych, spotkać gościa, który nie dbał o korzyści materialne - przynajmniej nie o swoje - to było rzeczywiście ekscytujące.

Opowiedział mi tę historię nie przy kawie, ale przy piwie w Klubie 500 w Mission. Bez wątpienia umiał docenić rzeczy w dobrym gatunku, był gotów raz do roku zaszaleć i zjeść w Chez Panisse, ale miał słabość do różnych tanich knajpek. Na początku naszej znajomości przyznał, że spotkanie w Klubie 500 było testem.

- Gdybyś się snobowała na czerwone winylowe kącki w restauracji i stoły do gry - powiedział - toby znaczyło, że nie jesteś dla mnie.

Ale ja byłam zbyt zaintrygowana Henrym, żeby zwracać uwagę na wystrój wnętrza. Mając 178 centymetrów wzrostu, gdy gdzieś wchodził, to wkraczał z o wiele większą pewnością siebie niż wyżsi mężczyźni. Robił wtedy wrażenie, jakby brał dane miejsce w posiadanie. Miał jasnobrązowe włosy i bladoniebieskie oczy, tak jasne, że kojarzyły mi się z piosenką grupy Velvet Underground, i mleczną karnacją, która ma tendencję do zaczerwieniania się pod wpływem słońca. Jego nieco asymetryczny uśmiech sygnalizował dobroć i sprawiał, że wyglądał na bardziej nieśmiałego niż był faktycznie. Rzadko nosił coś innego niż dzinsy i ciemny pulower, ale jego gust, jeśli chodzi o buty, był ekstrawagancki. Kiedyś na nasze spotkanie włożył kozaczki zrobione z czarnego, błyszczącego materiału, który wyglądał jak włosy, co żartobliwie nazwał końską sierścią, ale zapewnił mnie, że żaden koń nie padł w ich wytwórni. W towarzystwie jego miły i dźwięczny głos przyciągał uwagę, ale prywatnie mówił tak cicho, że często musiałam go prosić, by powtórzył.

- Historia miała miejsce w Abisynii w dziewiątym wieku - zaczął. Na małym stoliczku, pomiędzy nami stały dwie szklanki piwa. Pochyliłam się do przodu, by go lepiej słyszeć. - Zaczyna się od młodego pastuszka o imieniu Kaldi i jego kóz, które pewnego wieczoru odmówiły powrotu do domu. Były zajęte nowym znaleziskiem, krzewem, którego Kaldi nigdy przedtem nie widział. Miał ciemne, błyszczące liście i czerwone jagody. Kozy jadły i jadły i długo trwało, zanim Kaldi namówił je, żeby wróciły do domu.

Kiedy Henry mówił - używał rąk. Mimo że miał pracę biurową, jego ręce były szorstkie, pełne zgrubień, jak ręce robotnika fizycznego. Potem się dowiedziałam, że pracował kiedyś na czarno jako tragarz mebli, żeby zarobić pieniądze na rozkręcenie własnej firmy.

- Tamtego wieczoru - kontynuował - kozy nie spały. Następnego ranka Kaldi zabrał je ponownie na pastwisko w górach, a kozy natychmiast poszły do tego nowego krzaka. Kaldi, jak Ewa, był ciekawy i postanowił sam spróbować. Jagody z tego krzaka dały mu poczucie pobudzenia i ogólnie świetnego samopoczucia. Miał więcej energii niż zwykle. Po powrocie do domu opowiedział rodzinie i przyjaciółom, czego doświadczył. W ciągu dwóch tygodni derwisze z pobliskiego klasztoru odkryli, że

zucie liści tej tajemniczej rośliny pozwala im mniej czasu tracić na sen, a więcej poświęcać na żarliwe wielbienie Boga.

Nie wiem, jak to się stało, że przez całe lata w Golden Gate Coffee nie zadałam sobie trudu, żeby o tym poczytać. Z czasem zrozumiałam, że Henry miał coś, co ja zatraciłam wiele lat temu, mianowicie zamiłowanie do szczegółów, świetną pamięć nie tylko do dat, ale i miejsc, a także do ciekawostek, które czyniły opowiadanie oryginalnym. Pamiętał detale, bo przykładał do nich wagę. Zadawał pytania, a odpowiedzi, ponieważ dzielił je z innymi, powtarzając różne historie, aż stały się jego własnymi, wryły się w jego pamięć. Dla mnie życie było jak dom, po którym chodziłam spokojnie, usiłując nie wzniecać kurzu, ani nie obijać się o meble. Henry był moim przeciwieństwem, on szedł przez świat z wyciągniętymi rękami, podnosząc i ważąc wszystko, waląc w ściany, żeby sprawdzić ich wytrzymałość.

- Chciałabym być bardziej podobna do ciebie - powiedziałam mu kiedyś w jakieś sześć miesięcy po naszym poznaniu. - Wolałabym po prostu wbiegać w życie, bez analizowania wszystkiego tak bardzo.

- A co cię powstrzymuje? - zapytał.

Leżeliśmy w łóżku twarzą w twarz, ale całkowicie ubrani z powodu zimna, a on patrzył na mnie tymi swoimi wyrazistymi niebieskimi oczami i czekał.

- Nie wiem.

Czułam, że czeka na jakąś odpowiedź, ale nigdy nie byłam dość wyluzowana, żeby znaleźć odpowiednie słowa i powiedzieć dokładnie, o co mi chodzi. Przy Henrym bardzo starałam się otworzyć, ale zwykle zatrzymywałam się w ostatniej chwili przed powiedzeniem całej prawdy.

Przez kilka minut żadne z nas nic nie mówiło, po prostu leżeliśmy blisko siebie, nie dotykając się. Zamknęłam oczy i zaczęłam powoli odpływać w sen, kiedy obudził mnie jego głos.

- Wiesz, jesteś zupełnie inna niż ona - powiedział.

- Co?

- Dziewczyna w książce. Może mieć twoje nazwisko, twoją historię, twoją twarz, ale ona jest wytworem Andrew Thorpe'a. On ją zrobił. Ty nie jesteś nią.

Chciałam mu wierzyć, ale nie byłam przekonana. No bo rzeczywiście, jak Henry mógł myśleć, że zna mnie choć trochę lepiej niż Thorpe, któremu powiedziałam wszystko?

- No to kim jestem? - zapytałam, nie oczekując odpowiedzi.

- Ty jesteś ty - powiedział, wykorzystując okazję. - Ty jesteś Ellie Endelin i ja cię kocham.

- Tak?

Nigdy wcześniej tego nie powiedział. Czułam to, ale ja jeszcze nie zamierzałam mu tego powiedzieć. Wydawało mi się, że to wciąż jeszcze za wcześnie, żeby robić tak wielkie wyznania, słowa, których nie da się cofnąć.

- Tak - odpowiedział.

I potem znów czekał. Próbowałam zebrać się na odwagę, ale te słowa nie przychodziły. Zawsze ceniłam w Henrym jedną rzecz, że nigdy się nie zrażał. Tamtego wieczoru, mimo że nie powiedziałam, że go kocham, przygarnął mnie do siebie. Rozluźniłam się i chyba po raz pierwszy w moim dorosłym życiu zaczęłam czuć się naprawdę bezpiecznie.

## 19.

*To właśnie widok ostatecznie skłonił nas do wynajęcia tego mieszkania.*

*Aldous Huxley, Mały Meksykanin i inne opowiadania*

Z Market skręciłam na krętą drogę w górę Diamond Heights, mijałam rzędy domów należących do wspólnot mieszkaniowych z epoki lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Zawsze podobało mi się takie sąsiedztwo, człowiek czuł się tam jak na przedmieściach położonych w górach, ale jednak w środku miasta. Było tuż po północy, strome uliczki były ciemne i ciche. Wiedziałam, że Thorpe będzie zdziwiony, kiedy zobaczy mnie w swoich progach o tak późnej porze, ale liczyłam na to, że ten fakt podziała na moją korzyść. Późnym wieczorem mój umysł był najbardziej wyostrzony, wtedy też najlepiej czułam się w mojej skórze. Jeśli Diamond Heights było terytorium Thorpe'a, to noc była moją porą.

Jego dom stał na końcu Red Rock Hill, dwupiętrowy Eichler\* z białym belkowaniem w charakterze pergoli zwieszonym nad szarą frontową ścianą. Przed domem był mały trójkątny ogródek, klon palmowy i kilka kępek lawendy osłaniały nieco od ulicy. Zaparkowałam przy krawężniku, przez kilka minut siedziałam w samochodzie, żeby zebrać się na odwagę, po czym podeszłam do frontowych drzwi i zadzwoniłam. Wkrótce usłyszałam kroki. Drzwi się otworzyły i stanął przede mną Thorpe w pasiastym bawełnianym szlafroku kąpielowym, z głową pokrytą szarą szczecina, z wyjątkiem łysego placka na czubku. Pod oczami miał ciemne worki i prawie niewyczuwalnie pachniał lekarsstwami.

\* Dom wzniesiony przez przedsiębiorcę budowlanego Eichlera.

- Ellie? - powiedział, przecierając oczy. - Co ty tu robisz?

- Powiedziałaś, że bym wpadła kiedykolwiek. Uśmiechnął się i powiedział w oszołomieniu:

- No tak. Wejź. Zrobię kawy.

Szłam za nim otwartym dziedzińcem, gdzie bulgotała mała fontanna, wprost do dużego salonu, ze szklaną ścianą od podłogi do sufitu. Na tym wysokim suficie było białe belkowanie. Wychowałam się w bardzo ładnym, ale jednak ciasnym domu typu wiktoriańskiego w Noe Valley, a Eichler na

wzgórzach był domem moich marzeń. Ale Thorpe zmarnował całe piękno tego miejsca. Podłogi z desek przykrył zniszczonymi tureckimi dywanikami w kolorze głębokiej czerwieni i smutnego brązu. Po obu stronach kominka były półki od podłogi do sufitu wypełnione czasopismami i bibelotami. Płaski telewizor wepchnął do wielkiej mahoniowej szafy, której otwarte drzwi pokazywały bezładną zbieralinę sprzętu audiowizualnego. Do tego dwie sofy, skórzany fotel, stolik do kawy i kilka przypadkowych, zupełnie niepasujących do niczego krzeseł. Nawet szklaną ścianę zasłaniała ogromna bambusowa etażerka. Wszędzie leżały stosy gazet i czasopism. Już widziałam, jak Joseph Eichler przewraca się w grobie!

Mieszkanie cuchnęło starym dymem tytoniowym, zauważyłam też kilka pustych popielniczek porozstawianych tu i ówdzie.

- Zacząłeś palić? - zapytałam.

- Już nie. Nie palę od prawie dwóch miesięcy, odpukać w niemalowane drewno. Popielniczki służą do techniki wizualizacyjnej, którą moja *life coach* zaleciła, żeby pomóc mi w zerwaniu z nałogiem.

- Trenerka życia?

Zawsze zastanawiałam się, jakiego rodzaju klientów mają tacy ludzie.

- Wynająłem ją, ponieważ cierpiałem na bardzo ostry przypadek niemocy twórczej.

- Pomogła ci?

- Zapytaj mnie w następnym miesiącu. Pracujemy obecnie dziewiąty tydzień, odgruzowując moją przestrzeń życiową - bezradnie pokazał na pokój. - Tutaj napotkaliśmy na niewielką przeszkodę. Tydzień dziewiąty i dziesiąty to duchowe przebudzenie. Następny przystanek to niemoc twórcza. Powiedziała, że musimy wypracować drogę postępu. Laurie Giordano, twarda, ale dobra, przypomnij mi, żebym dał ci jej wizytówkę.

Czekałam w salonie, a on poszedł do kuchni zrobić kawę. Kuchnia była oddzielona od salonu tylko niskim kontuarem. W zlewie pełno naczyń, drzwi lodówki pokryte wycinkami z gazet, kalendarzami, przepisami, widokówkami i fotografiami. Pogrzebał w szufladzie, potem w drugiej i wreszcie powiedział:

- Nie mogę znaleźć filtrów do kawy. Będziemy musieli zdecydować się na herbatę.

Napełnił czerwony czajnik wodą i postawił na kuchence.

- Mam nadzieję, że twoja żona nie będzie miała nic przeciwko temu, że pojawiłam się tak późno - powiedziałam. - Ale byłam w sąsiedztwie.

- Żona?

- Widziałam *Second Time's Charm* w księgarniach.

- Och, to. No cóż, drugi raz nie okazał się wcale taki czarujący. Jane wystąpiła o rozwód w tydzień po ukazaniu się tej książki.

- Przykro mi to słyszeć.

- Tak, podobnie było z Oprah - zaśmiał się. - A byłem tak blisko. Kto wie, może byłbym drugim Deepakiem Choprą lub doktorem Philem. Ale, zawsze jest kolejna książka, prawda? - pomachał rękami, prezentując bałagan w pokoju. - Siadaj, bo się denerwuję.

Odgarnęłam sobie miejsce na sofie. Siedzenie się zapadło pode mną, więc moje kolana powędrowały do góry. Coś dziwnie zapachniało. Po chwili już wiedziałam: przesłodzona woń wanilii wydobывała się z ogromnej świecy w cielistym kolorze, która stała na stoliku do kawy.

- Przepraszam, nie mogłem znaleźć spodeczków - powiedział Thorpe, wręczając mi parujący kubek oznakowany symbolami hotelu w Cleveland.

Siadł w fotelu naprzeciwko mnie, zakrywając kolana brzegiem szlafroka, którego górna część rozsunała się, odkrywając blade, szerokie brodawki pokryte kręconymi, czarnymi włosami. Za jego głową „rosła” sztuczna palma. Na ścianie za palmą było kilka pomalowanych drewnianych masek o makabrycznym wyrazie twarzy. Pomyślałam o pułkowniku Kurtzu\* w dżungli. Pomyślałam o pijanej nocy prawie dwadzieścia lat temu, kiedy wylądowałam z tym mężczyzną w łóżku. Był rzetelnym i niezdamnym kochankiem. Noc skończyła się nieciekawie. I wtedy, i teraz to wszystko wydawało się mało realne. Już dawno temu przekonałam się, że świat pełny był groteskowych, niespokojnych przygód seksualnych, które były zabawne albo przygnębiające zależnie od perspektywy danego człowieka - ława przysięgłych wciąż obraduje, zastanawiając się nad tym.

\* Fikcyjna postać z *Jądra ciemności* Josepha Conrada.

- Wolałbym, żebyś mi zapowiedziała, że się zjawisz - powiedział, przesuwając ręką po szarej szczecinie na głowie. - Posprzątałbym. Jak widzisz, nie przyjmuję zbyt wielu gości.

Południowy akcent zniknął całkowicie, tak jak podejrzewałam, był tylko częścią show.

Z powodu różnicy wysokości pomiędzy fotelem a głębokością sofy moje oczy były na poziomie jego stóp. Przyjście tutaj było błędem. Nocna pora nie zneutralizowała terytorium w takim stopniu, w jakim się spodziewałam. Odchrząknęłam, żeby coś powiedzieć, ale nie wiedziałam, od czego zacząć.

- Ileż to już lat? - zapytał.

- Sporo.

- Chciałem się z tobą spotkać, Ellie. Bardzo. Między nami nie ułożyło się tak, jak miałem nadzieję. Utrata twojej przyjaźni była dla mnie cięższa, niż możesz to sobie wyobrazić.

- To był twój wybór - odparłam.

- Nie powiedziałbym.

- Błagałam cię, żebyś nie pisał tej książki.

Thorpe niedbale popchnął podnóżek, postawił stopy na podłodze i oparł się w fotelu.

- To prawda, ale przysięgam, nigdy nie chciałem skrzywdzić ani ciebie, ani twojej rodziny. Dostałem do ściany i ta książka była dla mnie wyjściem z sytuacji. Opowiadałem ci kiedyś o dniu, kiedy postanowiłem to napisać?

- Nie - potrząsnęłam głową.

- To była niedziela wieczór i właśnie spędziłem trzy godziny na radzie wydziału, słuchając moich kolegów kłócących się o to, którą nowelkę powinni studenci przeczytać, by napisać esej diagnostyczny. Albo *Everyday Use* Alice Walker, albo *Wzgórza jak białe słonie* Hemingwaya. Nie żartuję, trzy godziny. Gdzieś w połowie zebrania zacząłem myśleć, co stało się Lili i jaki to miało wpływ na twoją rodzinę. Nie mogłem uwierzyć, że nikogo nie zaarrestowali. I tak siedzę sobie tam i jakiś wyprostowany jak struna biały facet w golfie nawija i nawija o tym, że nie możemy ignorować kanonu literatury. Nowa baba od społeczno-kulturowej tożsamości płciowej studiów kobiecych przynudza o marginalizowaniu pisarzy zajmujących się literaturą feministyczną. Wiedziałem, że jeśli za kolejnych pięć lat będę wysłuchiwał takich samych dyskusji, to będę się musiał *zabić*. No więc wypiąłem się na to i zacząłem pisać. Kiedy spotkanie się skończyło, miałem zapisanych sześć stron. Przeczytałem to w domu i już wtedy wiedziałem, że to może być rzeczywiście dobre. Gdybym nie podjął tej szansy, to wciąż siedziałbym udupiony w jakimś małym mieszkanku i oceniał eseje pierwszoroczników, pieprząc się z jakimś opowiadaniem Hemingwaya, którego z założenia nigdy nie lubiłem.

- Zrobiłbyś to jeszcze raz?

Nic nie odpowiedział. Wystarczyło milczenie. Skończył herbatę i postawił kubek na stoliku.

- Ellie, myślałem o tobie przez te lata.

- Nie było tak trudno mnie znaleźć.

- Raczej było.

- Jestem pewna, że masz na to metody. Nie muszę chyba wspominać, że do zeszłego roku moja matka mieszkała kilkaset metrów stąd.

- Co? Miałbym się pokazać twojej matce w progu jej domu? Miałem nadzieję, że raczej ty przyjdiesz do mnie. To ja powinienem był zrobić pierwszy krok, ale wiem, że odstrzełiłaś mnie. Dałaś mi jasno do zrozumienia, że nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego.

Nie mogłam z tym dyskutować.

- Posłuchaj - powiedział. - Czy nie miałabyś nic przeciwko temu, żebym się przebrał?

- Co?

- Czuję się dziwnie, siedząc tutaj i rozmawiając z tobą w szlafroku. Szczerze mówiąc, miałem kilka ciężkich dni. Mam tę nową książkę, nad którą pracuję, i właściwie prawie nie odchodzę od biurka. Właśnie byłem w gabinecie i pisałem, albo usiłowałem, kiedy zadzwoniłaś.

Wstał.



- Czuj się jak u siebie w domu - powiedział. - Jak chcesz, to sobie pospaceruj. Kto wie, może znajdziesz coś ciekawego.

- Na pewno? Uśmiechnął się.

- Jedz, co znajdziesz, pij, co chcesz, czytaj moją pocztę, przetrząśnij szuflady. Tylko nie odchodź.

Wiedziałałam, że to było szczere. W końcu był powód, dla którego dogadywaliśmy się tak dobrze w tamtym okresie. Dobrze się z nim rozmawiało. Nie szczędził mi czasu. Lubił mnie. Nigdy nie musiałam się zastanawiać, jak wyglądałam, kiedy szłam na spotkanie z nim i nigdy nie musiałam się przejmować, jeśli coś powiedziałam źle. Kiedy rozmawialiśmy, zawsze wiedziałam, że naprawdę mnie słucha. Ten etap koleżeństwa, jaki wytworzył się między nami, ta niezwykła swoboda, z jaką się czułam przy nim spowodowała, że jego zdrada była jeszcze bardziej rujnująca.

Kiedy usłyszałam zamykanie drzwi na górze, poszłam do kuchni obejrzeć kolekcję zdjęć na lodówce. To były fotki pokazujące go z różnymi lokalnymi osobistościami, jak Barry Bonds, Bill Gates, Jim Mitchell, Armistead Maupin, a także z przedstawicielami ogólnokrajowych mediów, takimi jak Barbara Walters, Ted Turner i ten szczupły, białowłosy facet z programu *60 Minutes*. Był kalendarz z Simpsonami, odwrócony na miesiąc czerwiec, który już minął. Przewróciłam na lipiec - prawie każdy kwadracik był wypełniony. Były to występy w radio, czytanie książek w klubach, obiad połączony ze zbiórką pieniędzy w jakiejś szkole podstawowej. Zastanawiałam się, jaki rodzaj szkoły, która klasa zwerbowałaby do reklamy prawdziwego autora kryminałów, żeby zbierał pieniądze na kredki albo drabinki gimnastyczne.

Na ścianie ponad blatem była tablica korkowa, na której panował schizofreniczny chaos zużytych biletów: *Życie na podsłuchu*, *Ocean's 13*, *Walka żywiołów*, *Shrek* i pokazy muzyczne - Sugar de Palma w Rokit Room, Walty w Hotelu Utah, Steve Forbert w Great American Music Hall, Polyphonic Spree i Pilar Dana w Slims. Była też dwudniowa wejściówka na New Orleans Jazz Festival z 2003 roku. Byłam pod wrażeniem jego gustów muzycznych, zdumiona, że wciąż mamy tyle wspólnego w tej dziedzinie, dokąd nie zobaczyłam biletu za 115 dolarów z powrotnej trasy koncertowej Journey.

Było więcej takich niespodzianek. Paragon sprzed roku za płaszcz kupiony u Neimana Marcusa za 800 dolarów - może chciał go zwrócić, ale nigdy nie zabrał się do tego, czy też widokówka z Hawajów datowana przed pięciu laty w listopadzie, a zaadresowana do Mr. & Mrs. Thorpe, z odręcznym dopiskiem: *Pamiętać: podróż poślubna* i podpisy *Jane & Andy*. Wygląda na to, że nie posłuchali własnej rady.

Poszłam schodami na pierwsze piętra. Minęłam zamknięte drzwi, zza których słyszałam go krzątającego się po pokoju. Cieszyłam się, że mogę tak pochodzić sobie swobodnie po jego mieszkaniu, bez żadnych ograniczeń. Przyszłam przygotowana, by poprosić Thorpe'a o wyjaśnienia, ale kilka minut z nim pozwoliło mi zrozumieć, że to nie będzie tak łatwe, jak zadanie prostych pytań i otrzymania

nie bezpośrednich i uczciwych odpowiedzi. Powinam była wpaść na to wcześniej. Jeśli chodzi o kontakty z ludźmi, to pominąwszy ten rozgardiasz i dezorganizację, zawsze był zręcznym i sprytnym mężczyzną.

Skreśliłam w prawo i weszłam do kwadratowego pokoju wyposażonego w duże metalowe biurko, ograniczone z boków zestawami biurowych regałów. Biurko było przysunięte do dużego okna. Książki i papiery leżały wszędzie, na krześle piętrzyły się skoroszyty i segregatory. Na biurku lornetka przygniatała stos papierów. Podłoga z desek miała plamy w kształcie pierścieni - tam stały kiedyś doniczki z roślinami. Pstryknęłam kontakt, ale bez efektu.

Thorpe chodził po pokoju, otwierał i zamykał szuflady. Słyszałam, jak kłął do siebie. Fontanna na podwórku bulgotała.

Byłam zdziwiona, że ten dom był tak cichy. Ponieważ od lat mieszkałam w wynajmowanych mieszkaniach, przyzwyczaiałam się do nieustannego hałasu sąsiadów, otwierania drzwi garażowych, splukiwania wody w ubikacji, wydzierającego się telewizora. To nie miało znaczenia, jak ładny był blok mieszkalny czy kamienica, jaki kosmiczny czynsz - nigdy nie udało się uciec od hałasu sąsiadów. Wydawało mi się, że gdybym miała kiedyś przeprowadzić się do domku, gdzie z nikim nie dzielę ścian, to cisza przyprawiałaby mnie chyba o gęsią skórkę. Lubiłam bliskość sąsiadów, nawet tych, których nie znałam. Wyobrażałam sobie, że gdybym kiedyś znalazła się w potrzebie, to zawsze mogłabym poprosić o pomoc. Nigdy nie mogłam usunąć z umysłu widoku Lili samej w lesie, tylko z zabójcą. Gdyby wołała - nikt by jej nie słyszał. Miasto dawało przynajmniej iluzję bezpieczeństwa. Aż trudno było uwierzyć, że domy takie jak ten istniały w centrum San Francisco, samotne domy, gdzie mógłbyś wrzeszczeć i nikt by cię nie usłyszał. Prawdopodobnie dlatego sąsiedztwo Thorpe'a stanowił ostatni kawałek ziemi - działka do zabudowy. Pomimo wspaniałych widoków i lokalizacji w centrum, Diamond Heights miało przerażające cechy miejsca smaganego wiatrem.

Pochyliłam się nad biurkiem i patrzyłam przez okno. Podczas gdy okna salonu wychodziły na północ, w gabinecie były na wschód. Obok budynku mały stromy pagórek porośnięty lasem, a za nim ulice Noe Valley słabo oświetlone automatycznymi latarniami. Byłam wytrącona z równowagi, ale nie umiałam określić przyczyny tego niemiłego wrażenia - to niejasne przeczucie, że było nie tak jak trzeba. Usunęłam pliki kartek z krzesła, siadłam przy biurku i patrzyłam na wzgórze. Gdzieś w połowie drogi w dół ktoś zorganizował sobie prowizoryczne obozowisko. Żarzył się koniuszek papierosa. To już nie było wspaniałe, to była część akceptowanej absurdalności San Francisco - bezdomni ludzie żyli zaledwie metry od posiadłości wartych miliony. U podnóża pagórka było ogrodzenie, a za nim mały plac zabaw, dalej wąska uliczka, przy której stały domy w stylu wiktoriańskim. Oczywiście było wiele takich ulic w Noe Valley, ale zadrżałam, kiedy zauważyłam, że to nie była byle ulica. Od rogu ulicy zaczęłam liczyć budynki, aż doszłam do szóstego po prawej stronie. W pokoju na piętrze paliło się światło. W oknie pojawiła się osoba i stanęła nieruchomo, jak na fotografii. Podniosłam lornetkę i

przez kilka sekund miałam przed oczami zamieszanie, bo uchwyciłam przedmioty leżące przede mną na biurku absurdalnie powiększone. Poruszyłam nią w tę i z powrotem i wreszcie znalazłam dom i to okno. Do zewnętrznej ramy był przytwierdzony drewniany karmnik dla ptaków - wiktoriański domek w miniaturze. Od razu rozpoznałam ten karmnik, kryty małą czerwoną dachówką, małe czerwone drzwiczki - zbudowałam go według instrukcji z gotowych elementów i sama pomalowałam, kiedy byłam na pierwszym roku studiów. Codziennie o dziesiątej rano przylatywał tam koliber z opalizującym, niebieskim podgardlem. To Lila czyściła karmnik i zaopatrywała go w nektar. Po jej śmierci zapomniałam dolewać nektaru i koliber przestał przylatywać.

Patrzyłam na moją starą sypialnię. Thorpe miał doskonały widok. osoba stojąca przy oknie to kobieta, niewiele starsza niż ja wtedy, ubrana w bładozielony szlafrok, ręce miała splecione. Przesunęła się, podniosła rękę i pomachała. Przez chwilę pomyślałam, że macha do mnie. A potem zauważyłam osobę stojącą na ulicy, poniżej jej okna - mężczyzna machał do niej. Nie byłam pewna, ale wyglądał jak nasz stary sąsiad.

## 20.

Jeszcze zanim go usłyszałam - wyczułam, że nadchodzi. Minęło kilka sekund. Czekałam, że może się ujawni, ale nie zrobił tego. Wreszcie odwróciłam się i zobaczyłam Thorpe'a stojącego w drzwiach i obserwującego mnie. Miał na sobie biały pulower robiony na drutach, lniane spodnie i skórzane sandały. Głowa była gładko ogolona, pachniał wodą po goleniu, mieszanką kwiatu pomarańczy, piżma, skóry, był tam też ślad paczuli i tonkobobu wonnego. Ten zapach był mi znajomy, ale nie mogłam powiązać go z konkretną osobą ani czasem.

Byłam świadkiem trzeciej transformacji Thorpe'a w niedługim czasie. Nie wyglądał jak człowiek, który otworzył mi drzwi pół godziny temu. Jego postawa też się zmieniła. Teraz miał w sobie odrobinę dumy. Ogólny efekt stroju, wody po goleniu, gładkiej i błyszczącej głowy tworzył mężczyznę, który przyszedł zabrać mnie na drugie śniadanie do Marina.

Wszedł do pokoju i popatrzył przez okno na dół pagórka, na mój dom. Przez chwilę staliśmy obok siebie w ciemnościach. Jego ramię musnęło moje, zaraz się odsunęłam od niego.

- Żarówka się spaliła - powiedział. - Poczekaj.

Za kilka minut wrócił. Stał na krześle, wręczył mi starą żarówkę, a sam odkręcił oprawkę. Włożyłam ją do kosza na śmieci, z którego wysypywały się papiery. Palce ubrudzone tłustym kurzem wytarłam o dzinsy.

- Jak wielu marksistów potrzeba, żeby wkręcić żarówkę? - zapytał, kiedy nowa żarówka się zapaliła

- Poddaję się.

- Ani jednego. Żarówka już zawiera w sobie załączek własnej rewolucji.

- Niezłe.

Stał naprzeciwko mnie, ręce na biodrach, a oddychał troszkę szybciej z wysiłku.

- Jak długo tu mieszkasz? - zapytałam.

- Prawie dziesięć lat.

Stał blisko, czułam nawet jego pastę do zębów, pachniała organicznie, miętowo, rozpoznałam ją jako Tom's of Maine, klasyczny smak winter-green.

- Okazał się świetną inwestycją. Kupiłem go za 400 000 dolarów. W zeszłym miesiącu dom do remontu po drugiej stronie ulicy sprzedawali za 1,7 miliona.

- Mógłbyś zamienić na gotówkę, przeprowadzić się do tropików i żyć na luzie.

Pomyślałam o Peterze McConnellu w Nikaragui, żyjącym w sposób niezależny. Zastanawiałam się, co on robił dzisiaj wieczór, co by sobie pomyślał na temat mojej dzisiejszej wyprawy na Diamond Heights, żeby skonfrontować się z mężczyzną, który zrujnował mu życie.

- O, tak - odpowiedział Thorpe. - Ale co z moimi wielbicielami?

- Pisać można wszędzie.

- Owszem, ale to nie chodzi tylko o samo pisanie, prawda? Możesz napisać najlepszą książkę, jakiej jeszcze nie było, ale jeżeli nie ma cię pod ręką, żeby udzielać wywiadów, żeby zamieszczali twoje zdjęcia w czasopismach, pokazywać się na targach książek, to twoja książka jest utopiona, czytelnicy znikają i pozostajesz sam z pustymi kartkami.

- To dlatego to robisz, żeby nie być samotnym?

- A czy w ogólnym rozrachunku nie dlatego człowiek cokolwiek robi? - zerknął przez okno, a potem na mnie. - Spotykasz się z kimś?

- Z nikim specjalnie.

Nie podobało mi się, dokąd zaczęła zmierzać ta rozmowa, ale nie wiedziałam, jak skierować ją w odpowiednią stronę. Przyszłam tutaj, żeby rozmawiać o Peterze McConnellu, a teraz okno odwróciło moją uwagę. Wyobrażałam sobie Thorpe'a siedzącego przy biurku, obserwującego wejścia i wyjścia wszystkich obecnych mieszkańców mojego domu z dzieciństwa. Aż do zeszłego roku obserwował moją matkę wyjeżdżającą z garażu w każdy dzień powszedni, snującą się po ulicy, z matą do jogi zawieszoną na ramieniu w drodze na swoje zajęcia w sobotnie popołudnia.

I oczywiście w każdy czwartek wieczór spotykała się ze mną, bo w każdy czwartek wieczór przychodziłam na kolację. Przyjeżdżałam o szóstej, wypijałyśmy kieliszek wina albo w salonie, albo na tarasie z tyłu, zależnie od pogody. O szóstej trzydzieści szłyśmy do Alice's na rogu Dwudziestej Dziewiętej i Sanches, gdzie zamawiałyśmy chińskie pierogi, kurczaka w pomarańczach, krewetki w czosnku i kapustę pekińską. Około siódmej trzydzieści szłyśmy w górę stromego wzgórza w kierunku

domu matki i stałyśmy na chodniku przez kilka minut, żegnając się. To była rutyna, odkąd ojciec wyprowadził się po rozwodzie i o ile ja nie byłam poza miastem lub nie miałam jakichś pilnych zajęć. Szanowałam tę umowę. Na te spotkania mogłyśmy obie liczyć. Kiedy sprzedała dom i przeniosła się do Santa Cruz, w te czwartkowe wieczory czułam się zupełnie „bez przydziału”. Przez tak długi czas były regularnie zajęte, stanowiąc część mojego życia, że potem nie wiedziałam, co ze sobą zrobić. Wreszcie zaczęłam wypełniać ten nowo dany czas zajęciami: Bikram jogi, konwersacjami po rosyjsku, kursem włoskiej kuchni, nawet hip-hopem, ale zawsze czułam się jakby nie tu. Jedyne miejsce, gdzie chciałam przebywać, to było moje sąsiedztwo, towarzystwo matki i rozmowa o tym, jak minął tydzień. Podczas tych czwartkowych kolacji z mamą czułam, że mogłabym być sobą, zrelaksowaną, bez potrzeby bronienia się. Gdybym wiedziała, że Thorpe tu mieszka i obserwuje nas z góry... To rzucało zupełnie inne światło na całą sprawę.

Chociaż bezpośredni widok na nasz dom był jak najbardziej oczywistym tematem, Thorpe po prostu pominął go, jakby w ogóle się nie pojawił. Znowu postawił na swoim, kierował rozmową tak, żeby toczyła się w wybranym przez niego kierunku.

- Przez pewien czas spotykałem się z pewną kobietą, dawno temu, jeszcze zanim poznałem moją byłą żonę, Jane - powiedział Thorpe.

Przysiadł na brzegu biurka, nogi skrzyżował na wysokości kolan, ręce luźno zwisały po bokach w pozie, jaką pamiętałam z zajęć. Ja siedziałam na krześle przy biurku.

- Miała na imię Florence, nazywałem ją Flo. Byliśmy już razem przez kilka miesięcy, kiedy zabrałem ją na przyjęcie do domu jednego z moich dawnych kolegów z uniwersytetu, Pio Schunkera. Pamiętasz go?

Pomyślałam przez chwilę.

- Tak, to był ten przystojny facet z trudnym do zidentyfikowania akcentem i zamiłowaniem do filmów akcji. Chodziłam do niego na literaturę brytyjską dwudziestego wieku. Co się z nim dzieje?

- Skończył tak, że porzucił życie akademickie i został głównym szefem od reklamy, ale nie o to chodzi. No, więc poszliśmy do niego do domu i po kolacji siedzieliśmy w salonie i piliśmy kawę, kiedy powiedział do Flo: „Zabawne, ale w momencie, kiedy weszłaś, pomyślałem sobie, że wyglądasz znajomo. Cały wieczór usiłuję sobie przypomnieć i właśnie mam”. W tym momencie odwrócił się do mnie i zapytał, czy wiem, kogo miał na myśli.

- Oczywiście wiedziałem - ciągnął Thorpe. - Ale nigdy nie mówiłem tego Flo, więc udawałem, że nie mam pojęcia. „Przypominasz mi taką studentkę, która chodziła kiedyś na zajęcia do Andrew i mnie”, powiedział Pio. „Ellie Enderlin.”

Przez cały czas jak mówił, wyglądałam przez okno. Światło w pokoju mojego dzieciństwa zgasło. Thorpe wstał i zaczął spacerować. Mały pokój był wypełniony meblami, więc mógł zrobić tylko trzy, cztery kroki i musiał zawrócić.



- Cały czas usiłuję ci powiedzieć, że cię potrzebowałem.

Ta bliskość była dla mnie za duża i następowała za szybko. Wciąż instynktownie unikałam go, przesuając krzesło na kółkach o kilka centymetrów do tyłu.

On się przybliżył.

- Nie, nie w ten *sposób* - powiedział, jakby czytał w moich myślach. - Nie, żebym miał coś przeciw. Noc, którą spędziliśmy, była wspaniała, wciąż o niej myślę.

Ja znów się odsunęłam, a on znów się przysunął. Moje krzesło było dosunięte do półek na książki, a ja patrzyłam na niego do góry, twarz miał zmęczoną i bladą w niekorzystnym świetle tej nowej żarówki. - Byłaś niezwykła, taka otwarta dla mnie.

Ja pamiętałam tę noc w Dolores Park inaczej. Nie mogłam zapomnieć fatalnej lasagne, którą przygotował, i truskawkowego sernika, który podał, zanim ten się całkowicie rozmroził. Siedzieliśmy razem na kanapie i byliśmy w trakcie drugiej butelki wina, a ja zastanawiałam się, jak wycofać się z tego wieczoru.

- Byłbym zupełnie zadowolony, nawet gdybym miał cię nigdy nie dotykać, żebym tylko mógł mieć cię w moim życiu - powiedział Thorpe.

Nie jako romantycznego partnera, ale kogoś o wiele ważniejszego - przyjaciela, inspirację. A ponieważ nie mogłem cię mieć, poszukałem kogoś, kto wyglądał jak ty - przestał spacerować. - Zabawne, co? Trochę wzruszające. Właściwie, to mam zdjęcia. Chodź ze mną.

Zanim zdążyłam zaprotestować, już wyszedł z pokoju. Zeszłam za nim piętro niżej, do sypialni, i ze zdziwieniem zobaczyłam, że pokój był posprzątany. W łóżku niedawno ktoś spał, ale tylko jedna strona narzuty była odkryta, druga była nieruszana, poduszki równo ułożone. Na nocnej szafeczce było pusto, z wyjątkiem porządnie ułożonego stosu książek, a ślady na chodniku wskazywały, że był ostatnio odkurzany. W rogu przy oknie stało czarne, skórzane krzesło typu Aeron\*, na którego oparciu był złożony wełniany koc. Pokój miał miękkie światło pochodzące z nowoczesnej, wysokiej lampy. To także należało do właściwości tego człowieka, którego znałam wiele lat temu. Kiedy już wydawało mi się, że zaczynam go rozumieć, staję przed aspektami jego charakteru, które zmuszają mnie do zmiany zdania.

\* Krzesło zaprojektowane przez dwóch Amerykanów w 1994 roku; jest ergonomiczne, ma kółka i dźwignię do zmiany wysokości.

- Nie bądź taka zaskoczona - powiedział. - Jestem w stanie utrzymać porządek w jednym pokoju. Lepiej śpię, jeśli nic mnie nie rozprasza. Z komody wziął pudełko obciążone skórą, położył na łóżku i zdjął przykrywkę, było pełne zdjęć.



- Jestem pewien, że gdzieś tu mam jedno - powiedział. - Wy dwie mogłybyście być siostrami.

Kiedy szukał - mignęły mi jego zdjęcia jako młodego chłopca, nastolatka, w większości z rodziną, takie fotki z wakacji z Disneylandu i Six Flags\*, poranek w Boże Narodzenie przed choinką, polaroid przedstawiający jego i młodą kobietę w togach podczas uroczystości wręczania świadectw na koniec szkoły średniej. Za szybko je przekładał, żebym mogła się im dobrze przyjrzeć, w efekcie otrzymałam przyspieszoną wersję jego prywatnego życia. Kiedyś przez tyle godzin wylewałam z siebie wszystkie myśli i emocje, opowiadałam najbardziej prywatne szczegóły mojego życia. On nie zdradził prawie niczego o sobie. Była seria zdjęć Thorpe'a w gondoli, a na każdym - a było ich ze dwadzieścia czy trzydzieści - był z inną dziewczyną.

- Gdzie to jest? - zapytałam, wyjmując mu jedno z ręki.

Dziewczyna na tym zdjęciu była ładną, pulchną blondynką ubraną w bawełniany sweterek w czerwonej kratkę i białe tenisówki. Wyglądała jak puenta z dowcipu o córce farmera.

- O, ta przejażdżka gondolą była w Marina del Rey - powiedział. - Przez kilka lat na UCLA\*\* zabierałem dziewczyny na pierwsze randki. One to lubiły, a mnie bawiła ta metodyczność. Wymyśliłem, że gdybym tak dał im wszystkim równe szanse, umówił je na tę samą datę w to samo miejsce, do tej samej restauracji i na tę samą przejażdżkę gondolą - miałbym lepsze możliwości porównania ich.

\* Największa na świecie sieć parków rozrywki.

\*\* University of California Los Angeles.

- Zdziałało?

- Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek poszedł na drugą randkę. Żadna z nich nie była wystarczająco inspirująca.

Przerzucił kilka kolejnych zdjęć, wreszcie znalazł to, którego szukał.

- Popatrz - powiedział, wciskając mi zdjęcie w rękę. - To jest Flo.

Zdjęcie było zrobione w Candlestick Park. Flo siedziała przy straganach, w jednej ręce trzymała hot doga, w drugiej plastikowy kubek z piwem. Uśmiechnięta patrzyła prosto do aparatu. Sądząc z wyglądu wybrzeża i chustki, którą nosiła, był to typowy dzień w Candlestick, zimny wiatr wiał od zatoki. Kiedy byłyśmy dziećmi, rodzice zabierali nas tam na różne rozrywki, ale nigdy nie byłam tak zagorzałą fanka Giants\*, by znosić takie lodowate temperatury. Kiedy drużyna przeniosła się do o wiele wygodniejszej China Basin w 2000 roku, zaczęłam regularnie chodzić na rozgrywki.

\* San Francisco Giants - drużyna baseballowa.

Ale to zdjęcie nie było z China Basin, tylko z Candlestick. To mogła być jedna z rozgrywek zespołu 49ers. Kobieta na zdjęciu była drobna, z włosami blond o czerwonym odcieniu, jeszcze były

dołączki. I na tym podobieństwo się kończyło. Wcale nie uważałam, że jest do mnie podobna. Thorpe żył w swoim własnym, małym świecie.

Siadł na łóżku i pociągnął mnie do siebie.

- Ty byłaś punktem zwrotnym, Ellie. Byłem sfrustrowanym pisarzem, człowiekiem znudzonym swoją pracą i zmierzającym właściwie donikąd. I wtedy ty weszłaś w moje życie i wszystko się zmieniło. Gdybym ciebie nie spotkał, historia Lili byłaby dla mnie tylko jedną z wielu wiadomości, którą się szybko zapomina. To z twojego powodu przestałem *mówić o pisaniu*, a zacząłem pisać książkę. No i rzeczywiście siadłem i napisałem. Byłaś moją muzą. Bez ciebie brnąłbym donikąd.

- Napisałeś cztery kolejne książki.

- Tak, ale one były zupełnie inne. Jest jakiś powód, dla którego wszyscy uważają, że moja pierwsza książka jest najlepsza. Te kolejne były wymuszone, zapewne napisane ze znajomością fachu, bo wtedy już wiedziałem, co i jak - ale jednak wymuszone. Każde zdanie było wysiłkiem. W przypadku *Morderstwa nad Zatoką* pisanie mi szło jak z płatka. W ciągu dnia widywałem się z tobą, albo przynajmniej rozmawialiśmy przez telefon. W nocy, naładowany naszymi rozmowami - pisałem.

- Pomijasz jedną sprawę - powiedziałam.

- Noo?

- Przez cały czas, kiedy opowiadałam ci o Lili i o rodzinie, wykorzystywałeś mnie. Ja traktowałam cię jak przyjaciela. Ty traktowałeś mnie jak źródło informacji.

- To nie było tak - powiedział, zwracając się całym sobą do mnie. - Ludzie znają imię Lili. Dwadzieścia lat później w dalszym ciągu mówią o niej. Kochają ją. Gdyby nie ta książka, byłaby tylko kolejną nieżyjącą dziewczyną.

- Nie możesz powiedzieć, że ją kochają - odpowiedziałam. - To jest fascynacja. Dla nich to tylko kolejne ciało, które ktoś znalazł w lesie, katharsis. Każdy, kto czyta tę książkę, odczuwa ulgę, że to nie jego córka, dziewczyna czy siostra. To tragedia kogoś innego. Twoi czytelnicy są zadowoleni, że mają okazję przeczytać relację z przedstawienia, za które nie muszą płacić żadnej ceny.

- Mylisz się - powiedział, potrząsając głową. - To wcale nie tak.

Widziałam, że wierzy w to, co mówił. On naprawdę uważał, że zrobił z Lili jakąś kultową bohaterkę. Z jego punktu widzenia nie zrobił niczego złego.

## 21.

O drugiej nad ranem wraz z Thorpe'em siedzieliśmy przy dużym stole o szklanym blacie, spoglądając na siebie znad niedojedzonej pizzy i prawie pustej butelki wina. Uparł się, by mnie nakarmić i jedyne, co znalazł, to pizza szpinakowa z karczochem od Trader Joe. Zdziwiłam się, jak była smaczna i jak bardzo byłam głodna. Wino było pyszne, pinot z 2003 roku. Poczułam posmak cierpkich malin i dymu i nalałam sobie drugi kieliszek. Thorpe pił trzeci.

Już wszystko obgadaliśmy, a jeszcze nie otrzymałam odpowiedzi na moje pytania. Za każdym razem, kiedy usiłowałam skierować rozmowę na Petera McConnella, on zmieniał temat. Rozmawialiśmy o niedawnej podróży, którą odbył do Lizbony i o pełnym złości liście byłej żony, którą unieśmiertelił w *Second Time's a Charm*. Także o wczesnym zdjęciu węgierskiego fotografa Martina Munkacsi, które Thorpe kupił ostatnio za sporą sumę pieniędzy. Kilka lat temu widziałam ascetyczne, piękne, czarno-białe zdjęcia Munkacsiego w muzeum Modern Art w San Francisco. Na wystawie były fotografie sławnych ludzi, kobiet-pilotów w powietrzu i tak znane jak *Trzech chłopców przy jeziorze Tanganika*. Ale zdjęcie, które Thorpe kupił, pochodziło z wczesnych lat dwudziestych, kiedy Munkacsi dopiero zaczynał swoją karierę.

Znasz historię Munkacsiego? - zapytał Thorpe, podnosząc kieliszek.

- Czy to nie on zrobił te sławne zdjęcie Fredowi Astaire'owi?

- Tak, ale to, co jest naprawdę interesujące, nastąpiło przed tym, zanim umknął Hitlerowi i przeniósł się do Nowego Jorku, gdzie był zupełnie nieznany. Któregoś dnia szedł ulicą z aparatem i natrafił na bójkę uliczną. Zaczął robić zdjęcia. Pod koniec rej awantury ktoś zginął. Jego zdjęcia były użyte w sądzie, by oczyścić z zarzutów niesłusznie podejrzanych. To rozpoczęło jego karierę. Udało mi się dopaść jedno z tych zdjęć z bójki. Właśnie w tym miesiącu zostało wysłane z galerii w Budapeszcie. Pójdzie tam, nad kominek.

Wyobraziłam sobie obrazek krwawej bójki ulicznej wiszący nad tą półką, ciągnącą się wzdłuż całego pokoju. Co za człowiek chciałby patrzeć codziennie na scenę zabójstwa innego człowieka?

- Szczęściarz - powiedziałam.

- Wiem. Powinnaś mnie widzieć w galerii, jak usiłowałam namówić właściciela, żeby się z nim rozstał. Uparł się, by sprzedać go tylko Węgrowi. Rozmawiałem przez tłumacza, któremu obiecałem pokazną prowizję, jeśli dokona czegoś więcej, niż tylko tłumaczenia. No cóż, na poczekaniu stworzył jakąś skomplikowaną historyjkę o związkach moich przodków z Habsburgami.

- Nie miałam na myśli ciebie - powiedziałam.

- Słucham?

- Słowo „szczęściarz” odniosłam do człowieka, który został oczyszczony z zarzutów zabójstwa.

- Och, oczywiście - odparł Thorpe.

Było późno, a nie chciałam wychodzić bez otrzymania tego, po co przyszłam. Jestem sową i zawsze czułam zbliżanie się świtu, prawie słyszałam, jak tykają minuty. Wszystkie moje najlepsze rozmowy z Henrym odbywały się w środku nocy. Wschód słońca kładzie kres intymności; wrażliwość mężczyźni, jaką potrafią wykazać w środku nocy, jakoś znika wraz z księżycem i gwiazdami.

Thorpe wziął nóż i zaczął kroić swoją pizzę na małe kawałeczki. Już zapomniałam o jego irytującym zwyczaju traktowania jedzenia, jakby to była sekcja zwłok.

- Chciałam cię o coś zapytać.

- Jak człowiek mógłby żyć bez Trader Joe? - zapytał. - Padłbym z głodu, gdybym nie kupował mrożonek. Czy mówiłem ci, że spotkałem kiedyś Joe Coulombe'a? Na wieczorku literackim połączonym ze zbieraniem pieniędzy na operę w LA. On jest wielkim miłośnikiem opery.

- Peter McConnell - powiedziałam.

Thorpe zdjął kawałek karczocha z pizzy i zjadł go powoli, gapiąc się w swój talerz. Gdybym go nie znała tak dobrze, mogłabym myśleć, że mnie nie słyszał.

- Trader Joe nie był aż taki wielki, dopóki nie wykupił go Niemiec, jeden z braci, właścicieli Aldi w 1979 roku. Ludzie wciąż myślą, że jest jakiś gość z Kalifornii o imieniu Joe w kwiecistej koszuli i kapeluszu panama, który kręci tym całym interesem.

Byłam zdecydowana nie poddać się.

- Czy Peter McConnell to zrobił? Thorpe wytarł usta w serwetkę.

- Czytałaś książkę. Znasz moją teorię.

- Nie pytam cię o twoją teorię. Pytam, czy on to zrobił.

- Nieoficjalnie?

- No pewnie - powiedziałam. - A w ogóle, to komuż ja mogę powiedzieć?

- Miał taką możliwość. Miał powód. Większość okoliczności zdecydowanie wskazuje na to.

- Większość?

- W każdym przypadku, również w tym, jest cień wątpliwości. Resztkę wina wlałam do jego kieliszka.

- Kiedy pisałaś książkę - ciągnęłam ostrożnie. - Miałaś wtedy wątpliwości?

- Każda racjonalnie myśląca osoba będzie miała jakieś wątpliwości, nawet kiedy ma przed sobą fakty. Tego nie da się uniknąć.

- Ale w książce napisałaś to tak, jakby to *musiał* być on.

Thorpe podniósł kieliszek.

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo gdyby ktokolwiek inny to zrobił, byłoby to jedno więcej nikczemne morderstwo dla policyjnych glin, nie zasługujące na nic więcej niż wzmianka w gazecie. Ale gdyby McConnell to zrobił -

to stwarzało wspaniałą historię. Młoda, przystojna, genialna matematyczka zamordowana przez swojego żonatego kochanka, który wiedział, że nigdy nie będzie tak wspaniałym matematykiem jak ona.

Po głosie było słycać, że wypił trochę wina, a na głowie pojawił się cień zarostu.

- Pod koniec dnia każdy chce przeczytać o czymś, co go poruszy, wspaniałą historię. Każdy chce czytać o ludziach, których raczej nie spotka w życiu codziennym. Od momentu, kiedy natknąłem się na McConnella, wiedziałem, że jest postacią, której potrzebowałem, taką, która umykała mi przy poprzednich próbach pisania powieści.

- Ale twoja książka nie jest powieścią.

- Ale tak czy owak musiałem myśleć jak powieściopisarz. Gdybym podszedł do tego jak do kawałka dziennikarstwa, nigdy bym nie dotarł do sedna powieści.

- A jeśli postać w twojej książce jest tylko zwykłym człowiekiem? A jeśli McConnell nie zabił?

- Nikt nie może wykluczyć takiej możliwości.

- Nie obchodzi cię, że mogłeś zrujnować życie niewinnemu człowiekowi?

- Nazywanie go niewinnym to nadużycie - odpowiedział. - Przyjmijmy na chwilę, że nie zabił Lili. I tak byłby winny romansu pozamałżeńskiego i tego, że użył twojej siostry w swoich ambicjach, by udowodnić hipotezę Goldbacha.

- Kiedy książka zalicza się do literatury faktu, ludzie oczekują prawdy.

- Pamiętaj, co powiedział Oskar Wilde we wstępie do *Portretu Doriana Graya*: „Nie ma książek moralnych lub niemoralnych. Są książki napisane dobrze lub źle. Nic więcej”. Mam nadzieję, że moja była dobrze napisana. I dała ludziom frajdę. Ja tylko chciałem opowiedzieć dobrą historię. A im głębiej wchodziłem w książkę, tym bardziej oczywiste się stawało, że może być tylko jedno zakończenie. Kiedy zdałem sobie sprawę, jakie - pisanie było jak podróż według mapy. Thorpe rozparł się.

- Słuchaj, myślałem, że może spotkalibyśmy się znowu. Będę podpisywał książki w Opera Plaza w sobotę. Potem moglibyśmy gdzieś tam zjeść obiad.

Niebo przybrało jaśniejszy odcień. Wkrótce będzie piąta rano i świat zacznie ziewać, budząc się do życia. Uświadomiłam sobie, że jedyny sposób, żeby wydobyć od Thorpe'a to, co chciałam, to używać jego własnej taktyki. Kiedyś matka powiedziała mi, że odniosła sukces jako adwokat dzięki umiejętnemu podejściu do świadka. Opowiadała, że wielu adwokatów robiło błąd, zaczynając od krzyżowego ognia pytań, jakby byli napastnikami. Chcąc dowieść tego, co sobie założyli, tyranizują świadka. Na początku zadawania pytań działała raczej jak negocjator. Przed rozprawą starała się dowiedzieć wszystkiego, czego tylko mogła o świadkach i ułożyć pytania indywidualnie dla każdego zeznającego. Dzięki temu mogła prowadzić rozmowę w kierunku, który obrała.

Proponując mi kolejne spotkanie, Thorpe otwierał mi drzwi.

- Przypuśćmy teoretycznie, że to nie był McConnell - powiedziałam. - Kto inny mógł to zrobić?

Thorpe wstał i zaczął sprzątać talerze.

- Potem moglibyśmy przespacerować się do Mangosteen. Mała wietnamska knajpka, ale świetna. Najlepsza wołowina w czosnku w całym mieście.

Zignorowałam zaproszenie i ciągnęłam dalej.

- Do tej książki robiłeś wywiady z dziesiątkami osób. Musieli być inni, którzy wchodzili w grę.

- Piłaś kiedyś sok z mangostanu? Pyszny.

Zabrał talerze do kuchni, a ja poszłam za nim z kieliszkami i resztkami pizzy.

- Nie oczekuję, że wytrzepiesz nazwiska z rękawa. Musisz mieć gdzieś zachowane notatki.

Wstawił naczynia do już pełnego zlewozmywaka. Polał całą stertę płynem do naczyń i odkręcił kurek z gorącą wodą.

- Niech się namoczą.

- Lubię wietnamskie jedzenie - powiedziałam po chwili. - Ostatnio przez jakiś czas takiego nie jadłam.

Odwrócił się i przechylił nad blatem. Minęło kilka sekund.

- John Wheeler - wreszcie powiedział. - Był woźnym w Stanford. Jakiś student twierdził, że widział go rozmawiającego z Lilą w budynku matematyki dzień przed jej śmiercią.

- Nie pamiętam go z książki. Thorpe wzruszył ramionami.

- Jeden raz z nim rozmawiałem. Był w pierwszej wersji, ale skończył w koszu. Nie był zbyt ciekawy.

- Masz pomysł, gdzie mogłabym go znaleźć? Potrząsnął głową.

- To było wieki temu. Ale możliwe, że znajdę jego stary adres. Chodź ze mną.

Jeśli sypialnia była jedynym pomieszczeniem w domu Thorpe'a, gdzie panował porządek, to garaż był miejscem, gdzie zupełnie zaniechał wszelkich prób porządkowania. Przeznaczony na dwa samochody, był tak zavalony pudłami, narzędziami ogrodniczymi, sprzętem sportowym i starymi meblami, że trudno byłoby tam wcisnąć nawet motocykl. Garaż był oświetlony świetlówkami i w tym jaskrawym świetle Thorpe z porannym zarostem wyglądał na niezmiernie wymizerowanego w pomiętych spodniach i swetrze poplamionym winem. Oprócz zapachu wody po goleniu poczułam słaby, ale jednak nieprzyjemny zapach ciała. Było takie miejsce w książce, w którym opisywał Petera McConnella jako nowoczesnego doktora Jekylla i Hyde'a, ale wydało mi się, że to porównanie lepiej odnosiło się do samego Thorpe'a. Garaż, o wiele bardziej niż inne pomieszczenia w tym domu, reprezentował prawdziwego Thorpe'a. Nie tego wystylizowanego autora książek, którego przedstawiał światu, ale człowieka, jakim był prywatnie, zalatującego zmęczeniem i niepewnego pośród tych śmieci swojego samotnego życia.

- Zapraszam do piwnic z winem - zażartował.

Potknęłam się o stary chodnik, który był zrolowany na podłodze, a Thorpe podtrzymał mnie za ramię, bym nie upadła. Torowaliśmy sobie drogę wśród chwiejących się półek, przyrządów do ćwi-



czeń, obok kilku pełnych pojemników na segregowane śmieci, aż doszliśmy do metalowej szafki upchniętej w kącie.

- To może i wygląda tragicznie - tłumaczył Thorpe. - Ale możesz mi wierzyć lub nie, ja mam pewien system. Wszystkie notatki do napisanych książek są w tej szafce ułożone od góry do dołu, począwszy od pierwszej książki.

Otworzył górną szufladę i zaczął przetrzucać zielone wiszące skoroszyty, wydobywał się z nich zapach zatechłego papieru. Zaraz przypomniało mi się biuro kręgarza, u którego pracowałam któregoś lata po studiach. Ta dorywcza praca trwała niekończące się trzy tygodnie. W kilka dni po moim odejściu przyszedł niezadowolony były pacjent i strzelając, zabił kręgarza oraz poważnie ranił recepcjonistkę, tę, którą zastępowałam, kiedy ona pojechała na miesiąc miodowy. Zawsze wiedziałam, że świat nie jest bezpieczny i to wydarzenie tylko potwierdziło moją opinię na ten temat. Niebezpieczeństwo mogło wychynąć z najbardziej niewinnego miejsca. Podobnej lekcji nauczyła mnie śmierć Lili, a potem przez całe lata widziałam, jak to się powtarza - bezlitosny schemat.

Popatrzyłam przez ramię Thorpe'a, usiłując przeczytać napisy na skoroszytach, ale były tam tylko daty zamiast nazwisk. Wreszcie wyciągnął jeden, przewertował, aż doszedł do zielonego notesu wielkości 10 X 15 cm z napisem *Notatki służbowe* wytłoczonym złotymi literami na okładce.

- Wspaniały notes, prawda? - powiedział. - Wydawany przez FBI. Moja znajoma stamtąd dała mi go kiedyś lata temu. Uważam, że jest absolutnie jak cały Hoover\* i wszystko z nim związane. Niestety, już ich nie produkują.

\*John Edgar Hoover, dyrektor FBI w latach 1924-1972.

Poślinił palec wskazujący i zaczął kartkować.

- Och - powiedział. - To James.

- Słucham?

- James Wheeler, nie John. Nie pamiętałem. To jest stary kontakt do niego. Wtedy był po pięćdziesiątce, w nie najlepszym zdrowiu. Całkiem możliwe, że już nie żyje. Jeśli dobrze pamiętam, miał sporo młodszą żonę. - Wyrwał stronę z notesu i wręczył mi. Miałam nazwisko, adres i telefon.

- Co to jest? - zapytałam, wskazując na szkic twarzy pod numerem.

- Och, to taki zwyczaj. Kiedy przeprowadzam z ludźmi wywiady, to rysuję ich. Szkicuję także ofiary, ze zdjęć. To pomaga mi wejść w postać. Namawiałem wydawcę, żeby zamieścił rysunki w książce, ale powiedział, że to wysłałoby złą informację do czytelnika.

Ciekawa byłam, czy miał rysunki Lili i mnie. Sięgnęłam po notes, ale odsunął go ode mnie.

- Obiecałem ci jedno nazwisko.

- A są jeszcze inne?

Nie odpowiedział. Przez mieszkanie przeszliśmy do wyjścia. Ociągając się, zatrzymałam się przy fontannie. Wciąż chciałam zapytać go o ten widok na nasz stary dom. Z bliska zobaczyłam, że woda w fontannie była zielona i piana. Po powierzchni pływały martwe robaki.

- Chcesz?

- Co?

- Fontannę. To był pomysł Flo. Miałem zamiar pozbyć się jej. Możesz ją wziąć jak chcesz.

- Dziękuję - powiedziałam. - Pomyślę.

Ale obydwoje wiedzieliśmy, że nie pomyślę. Staliśmy tak w otwartych drzwiach i zrozumiałam, że czas na pytanie o ten widok z okna już minął. Jego ogród wyglądał na jeszcze bardziej zaniedbany, niż kiedy tu przyszedłam. Lawenda była zwiędła i brunatna, a mały kawałek ziemi wymagał oplewienia.

- Do zobaczenia w przyszłą sobotę? - zapytał.

Pokiwałam głową. Stał w drzwiach i patrzył, kiedy szukałam w torebce kluczyków i wsiadałam do samochodu. Kiedy już miałam odjeżdżać, podbiegł i zastukał w szybę.

- Wygodne buty - powiedział.

- Wygodne buty? - zastanawiałam się przez chwilę, na jaki temat to była wskazówka, jakaś tajemnicza zagadka mogąca mnie zaprowadzić do prawdziwego zabójcy Lili.

- W sobotę - powiedział. - Do tego Mangosteen trzeba trochę dojść.

- Oczywiście.

Jadąc krętą drogą w dół Diamond Heights, przypominałam sobie historyjkę, którą kiedyś mi opowiedziałam podczas pikniku koło Lone Mountain. To było o Borysie, niemieckim owczarku, który był kiedyś w naszym domu, kiedy obie z Lilą byłyśmy dziećmi. W 1986 pies poważnie zachorował. To było dla nas straszne patrzeć na jego cierpienia. Robiliśmy wszystko, by mu było wygodnie. Przez całe swoje życie, co wieczór wybierał, kogo z nas zaszczyli swoją obecnością w łóżku: naszych rodziców, mnie czy Lilę. Wchodząc do wybranej sypialni, odprawiał całe przedstawienie, przysiadając na tylnych łapach, węsząc po pokoju, zanim powolnym krokiem podchodził do łóżka i wskakiwał. Wszyscy go kochaliśmy, ale my obie prześcigałyśmy się w wymyślaniu, jak by tu ściągnąć Borysa do swojej sypialni. Straszliwie chrapał, zajmował mnóstwo miejsca w łóżku, właściwie trudno było z nim spać, będąc zwiniętą w kłębek. Ale kiedy zachorował, przestałyśmy się w to bawić. Zrozumiałyśmy, że niedługo nadejdzie dzień, kiedy będziemy tęsknić za jego głośnym, mokrym chrapaniem i jego niewygodnym ciężarem w nogach łóżka.

Na kilka tygodni przed śmiercią Borysa, kiedy już było jasne, że może zdechnąć w każdej chwili, zrobiliśmy grafik, żeby zawsze ktoś był w domu. Nikt z nas nie mógł znieść myśli, że pies w takiej chwili zostanie sam. Jeśli któreś z naszych rodziców nie mogło tak zorganizować sobie zajęć, by pracować w domu, to albo Lila, albo ja mogłyśmy nie iść do szkoły i zostać w domu. Któregoś wtorku była moja kolej. Te dyżury przy Borysie wyglądały tak, że całymi dniami siedzieliśmy przy nim w sa-

lonie, z którego się właściwie nie ruszał. Tego dnia głąskałam go i czytałam głośno, i wtedy zadzwonił dzwonek.

Przyszła Roxanne, córka sąsiadów mieszkających dwa domy dalej. Przez kilka lat pilnowałam tam dzieci, ale odkąd Roxanne skończyła dziesięć lat, rodzice zaczęli ich obydwójce zostawiać samych. Otworzyłam drzwi i już wiedziałam, że musiało się stać coś okropnego. W oczach dziewczynki było przerażenie. Zdołała tylko powiedzieć:

- Robbie się dławi! Nikogo nie ma w domu!

Szybko zerknęłam na Borysa, który spoglądał na mnie ze swojego legowiska.

- Już idę - obiecałam.

Borys wydał słaby jęk, podniósł głowę i zrobił wysiłek, by się ruszyć. Byłam pewna, że chciał iść za mną, mimo że ostatnio nie ruszał się więcej niż kilka centymetrów w ciągu całego dnia.

- Zostań - powiedziałam, wypadłam z domu i popędziłam do sąsiadów.

Tam sześćioletni Robbie, którego nigdy za bardzo nie lubiłam, skręcał się na podłodze, buzię już miał siną. Podniosłam go na kolana i zastosowałam chwyt Heimlicha. Spory kawałek czegoś wyleciał mu z buzi. Roxanne, która cały czas płakała i trzęsła się, stwierdziła:

- To zamrożony banan. Mówiłam mu, żeby nie jadł! Upewniłam się, że z dzieckiem wszystko dobrze, kazałam Roxanne zadzwonić do matki i popędziłam do domu. Kiedy dotarłam, Borys leżał w przejściu na podłodze zupełnie nieruchomo, oczy miał otwarte, ale zupełnie puste. Nie oddychał, nie miał pulsu. Kiedy ja ratowałam dzieciaka z sąsiedztwa - Borys zdechł, usiłując doczołgać się do mnie. Mimo że rodzice pochwalili mnie za uratowanie Robbiego, nigdy sobie nie wybaczyłam, że nie byłam z Borysem do końca, że odchodził sam.

Wiele lat później opowiadałam tę historię Thorpe'owi podczas naszego pikniku. Słuchał z dużą uwagą. Kiedy skończyłam, milczał przez kilka sekund. Oczekiwałam, że powie coś w rodzaju: jaka to smutna historia. Byłam zdumiona, kiedy się wreszcie odezwał.

- Ech, doskonale zakończenie.

*Jest takie biuro na trzecim piętrze budynku Sloan Hall w Stanford - pisał Thorpe w ostatnim rozdziale Morderstwa nad Zatoką. - Siedzi tam człowiek, wysoki, budzący respekt, człowiek, którego sama obecność zmienia atmosferę w pokoju. Jego koncentracja równa się jego ambicjom, wielka i zacięta. W tym momencie zapewne pracuje nad hipotezą Goldbacha, jest pewien, że któregoś dnia rozpracuje ją. Kiedy to zrobi, nie będzie nikogo, z kim mógłby dzielić chwałę.*

Przypominając to sobie, widzę teraz, że dawno temu powinnam była zrobić proste dodawanie, dwa plus dwa. Thorpe nie odkrył zakończenia w trakcie pisania książki. On napisał książkę, mając na celu doskonale zakończenie.

Kiedy dotarłam do domu o wpół do siódmej, wrzuciłam ubrania do pralki, a potem wzięłam prysznic, żeby zmyć z siebie zapach domu Thorpe'a. Mimo że nie palił od dwóch miesięcy, to i tak przesiąkałam starym dymem papierosowym.

Wciąż było za wcześnie, żeby wykręcić numer telefonu, który dał mi Thorpe. Pomimo zmęczenia wiedziałam, że nie zasnę, więc wyjęłam notes Lili ze schowka pod moim łóżkiem i pojechałam do Hayes Valley. Zaparkowałam przy Octavia i poszłam w dół wąską alejką wzdłuż warsztatów samochodowych, których ściany były pokryte graffiti, potem minęłam wystawy Dark Garden reklamujące skórzane gorsety. Obok kafejki Bluebottle była rozciągnięta lina, która odgradzała kawałek chodnika. Wielokrotnie widziałam niczego niepodważających klientów, jak podchodzili do lady i zamawiali „podwójną latte z częściowo bezkofeinowej kawy” albo „małe orzechowe cappuccino z mlekiem sojowym”. Barista upominał ich delikatnie i jasno dawał do zrozumienia, że jeśli chcą czegoś z dodatkami lub ozdóbkami, czyli imitacji dobrej, prawdziwej dobrej kawy - niech idą do Starbucksa. Sama nigdy nie byłam za bajerami typu fontanna z wodotryskiem, nie wyobrażam sobie rozcieńczenia mojej coffee arabica mlekiem sojowym albo poprawiania zastrzykiem syropów o różnych smakach. W Bluebottle nie było stolików, tylko wysoki kontuar zainstalowany z boku chodnika w taki sposób, że dawał kawiarence uroku.

Głęboko wdychałam aromat *Yemen Sana'ani* i delectowałam się, zanim wypiłam pierwszy łyk. Poczułam ślady brzoskwini, tytoniu, wina i przypraw. Pierwszy poranny łyk zawsze jest najlepszy, kiedy krew dopływa do głowy i czuję, jak mózg zaczyna jaśniej i sprawniej pracować. Wyłączyłam się i otwierałam notes Lili. Postanowiłam sobie, że spróbuję go zrozumieć.

Na stronie, na której skończyłam, Lila zapisała hipotezę continuum: Nie istnieje zbiór nieskończony, którego moc jest większa od mocy zbioru liczb naturalnych, a mniejsza od mocy zbioru liczb rzeczywistych.

Na kilku następnych stronach kontynuowała notatki dotyczące historii tego problemu. To przypomniało mi rozmowę, jaką prowadziłyśmy kiedyś późno w nocy w jej sypialni, kiedy nasi rodzice już poszli spać. Nie mogłam ustalić, kiedy to miało miejsce, może kilka tygodni przed jej śmiercią, może miesiące? Ale pamiętałam istotę sprawy.

Hipoteza continuum była o tyle specjalna, że był to pierwszy problem na sławnej liście Davida Hilberta zawierającej dwadzieścia trzy nierozwiązane problemy, które przedstawił w 1900 roku. W początkach lat sześćdziesiątych ktoś udowodnił, że nie da się ustalić, czy jest ona prawdziwa czy fałszywa. Ale sławny matematyk Paul Erdos miał do tego inne podejście. Uważał, że jeśli istniało coś takiego, jak inteligencja nieskończona, to ona może posiadać wiedzę, której brak ludziom, by zdecydować, czy hipoteza jest prawdziwa czy fałszywa.

- Więc o ile ludzkość nie zdoła jakoś zmądrzeć w nieskończony sposób - powiedziała Lila - nasza planeta umrze bez rozwiązania tego problemu dotyczącego nieskończoności.

- A jeśli hipoteza Goldbacha jest problemem tego samego typu? - zapytałam. - Co będzie, jeśli spędzisz kolejne trzydzieści lat szukając dowodu, który nie istnieje?

- No to przynajmniej będę wiedziała, że próbowałam - odpowiedziała Lila. - Przynajmniej będę wiedziała, że zrobiłam wszystko, co tylko mogłam i nie poddałam się.

Od mojego spotkania z McConnellem codziennie napotykałam na granice mojej wiedzy, kruchość mojej wyobraźni. Gdyby sytuacja była odwrotna, gdyby to moje ciało zostało znalezione w lesie - wiedziałam, że Lila nie wzięłaby za dobrą monetę żadnej historyjki napisanej w książce. Z determinacją zbadałaby wszystkie fakty i metodycznie ułożyła obrazek z kawałków puzzli. Jestem przekonana, że nie spoczęłaby, dopóki nie poznałaby prawdy. I jestem pewna, że nie zabrałoby to jej dwudziestu lat, nim rozpoczęłaby poszukiwania.

O ósmej rano wyjęłam kawałek papieru z portfela i wykręciłam numer. Po drugim dzwonku kobieta podniosła słuchawkę.

- Dzień dobry - powiedziałam. - Czy to numer pana Jamesa Wheelera?

- Delia Wheeler przy telefonie. Czy dzwoni pani w sprawie rachunku?

- Nie.

Gdzieś w tle, po drugiej stronie, zaszczekał pies.

- Czy na pewno? Ponieważ jedyną osobą, która nazywała go Jamesem, była jego matka. Niech spoczywa w Bogu.

- Na pewno nie mam nic wspólnego z żadnymi rachunkami.

- A więc to jest mieszkanie Jimmiego. Z kim rozmawiam?

- Pani mnie nie zna, ale nasze drogi kiedyś dawno temu zetknęły się. Lila Enderlin była moją siostrą.

- Kto?

- Lila Enderlin.

Kobieta milczała przez chwilę. Teraz głośniejszy słyszałam psa, dyszał gdzieś obok słuchawki.

- My nic na ten temat nie wiemy - powiedziała Delia.

- Ja chciałabym po prostu odwiedzić państwa i jeśli można, kilka minut porozmawiać z panem Wheelerem.

- Policja rozmawiała z nim trzydzieści lat temu - odpowiedziała. - Powiedział im wszystko, co wiedział.

- Dwadzieścia.

- Co?

- To było dwadzieścia lat temu, kiedy Lila zmarła. Kolejna pauza.

- Przysięgłabym, że to było w 1979- Boże, jeśli i moja głowa jest już do niczego, to jesteśmy w niezłym szambie.

- Czy państwo wciąż mieszkają przy Moultrie? - Zapytałam.

- Tak.

- Mogę przyjść kiedykolwiek.

Liczyłam się z tym, że mi odmówi i wtedy musiałabym zacząć prosić, ale ku mojemu zdziwieniu, powiedziała:

- No cóż, przypuszczam, że nie będziemy wychodzić. Jimmy tak czy owak już nie wychodzi, a ja nie lubię zostawiać go samego.

- Będę za godzinę. Bardzo dziękuję, że się pani zgodziła.

Dom przy Moultrie był parterowy, kryty brązowym gontem z ciemnożółtymi dodatkami, drzwi frontowe usytuowane tuż przy chodniku. Ulica była zapakowana samochodami, więc musiałam jeździć dookoła przez kilka minut, zanim znalazłam miejsce.

Już miałam nacisnąć dzwonek, kiedy drzwi się otworzyły. Drobną, bladą kobietą około półtora metra wzrostu i niewiele więcej niż czterdzieści kilogramów stanęła przede mną w podkoszulku z napisem Google i czarnych spodniach. Długie brązowe włosy związane miała w koński ogon. Różowa szminka pasowała do rumieńców na policzkach. Była młodsza niż myślałam, po sześćdziesiątce.

- Ellie Enderlin - powiedziała, przyglądając mi się. - Mój Boże.

Wydawało mi się, że chciała jeszcze coś powiedzieć, ale tylko cofnęła się do mieszkania, żeby mnie wypuścić.

- Dziękuję, że pozwoliła mi pani przyjść tak szybko po telefonie.

- Wątpię, czy mogę pani pomóc, ale to miło mieć gościa.

Na prawo od wejścia była niebieska zasłonka odsunięta na tyle, żeby zobaczyć nieduży kącik mieszczący łóżko. Obok na wąskim stolczku stał telewizor, ekran rzucał blaski na żółtą kołdrę. Ale nie wydobywał się żaden głos. Ktoś leżał na łóżku - James Wheeler. Tak przypuszczałam, ale z powodu zasłonki widziałam tylko jego białe, kościste stopy. Przy nich spał mały, czarny pies. Minęliśmy korytarz i weszliśmy do małego, idealnie wysprzątanego saloniku. To był długi, prostokątny dom, typowy dla południa Stanów, z kuchnią z tyłu i łazienką obok. Na kuchence perkotał czajnik.

- Przepraszam za bałagan - powiedziała kobieta. - Nie miałam czasu posprzątać.

- Wszystko wygląda doskonale. Poczulałam zapach imbiru i cynamonu.

- Co to tak pięknie pachnie?

- Och, to tylko ciasto kawowe. Przygotowałam do obiadu, na wypadek gdyby pani później przyszła.

- To naprawdę nie było potrzebne.



- Wychowałam się w Missisipi - powiedziała, otwierając piekarnik, by sprawdzić placek. - Moja matka przewróciłaby się w grobie, gdyby wiedziała, że mam gościa i nie podałam niczego do jedzenia. Właśnie w zeszłym tygodniu Matthew, nasz najstarszy, zabrał mnie do domu pewnej pani, tam, w Pine, żeby kupić od niej wózek inwalidzki, który wypatrzył w komputerze. Wiesz, dla Jimmiego. Ta pani nawet nie zaproponowała nam szklanki wody.

Dopiero kiedy siedzieliśmy przy stole z ciastem ułożonym na bardzo ładnej chińskiej paterze, Delia Wheeler powróciła do celu mojej wizyty.

- To ten facet Peter McConnell zrobił - powiedziała patrząc mi w oczy z całkowitym przekonaniem. - Czytałam książkę, jasne jak słońce, że to on. To było straszne. Bardzo współczuję twoim rodzicom, kochaniutka. Tobie też, ale szczególnie rodzicom. Nie umiem sobie wyobrazić, co by było, gdyby ktoś taki zrobił coś takiego jednemu z moich chłopców. Serce mi pęka, kiedy tylko myślę o tym.

Pokiwałam głową.

- To już tyle lat, ale nie ma dnia, żebym nie myślała o siostrze.

- Jeśli dobrze pamiętam, to ten facet wziął nogi za pas i zniknął. Czy oni kiedykolwiek go aresztowali?

- Nie.

- To szkoda. Wiem, że nic jej nie wróci życia, ale gdyby to było moje dziecko, to chciałabym, żeby ktoś za to odpowiedział.

Sączyła herbatę i jadła zamyślona.

- Ale szczerze, kochaniutka, nie za bardzo wiem, po co tu przyszłaś. Nie wiem, w czym mogłabym ci pomóc?

- Wiem, że pani mąż rozmawiał z moją siostrą wieczorem, na dobę przed jej śmiercią. Miałam nadzieję, że mógłby uzupełnić pewne luki.

- Też bym chciała, żeby ci pomógł - powiedziała Mrs. Wheeler. - Ale Jimmy miał udar trzy lata temu. Od tej pory nie mówi. Przez pewien czas porozumiewał się, pisząc, ale teraz nawet i tego nie może - rozprostowała palce i zaczęła się bawić obrączką. - Jimmy'ego nie ma w książce.

Pamiętam. Poszłam do biblioteki i wypożyczyłam, jak tylko się ukazała. Przeczytałam wszystko od deski do deski. Byłam przerażona, że może być wspomniany w książce po nazwisku. Martwiłam się, że mógłby sobie z tym nie poradzić po tym wszystkim, co się stało. Tak się właśnie zastanawiam, kochaniutka, jak się o nim dowiedziałaś?

- Rozmawiałam z detektywem, który pracował nad tą sprawą - powiedziałam, bo prawda była zbyt skomplikowana.

Zmarszczyła brwi.

- No to musiałaś wiedzieć, co się potem stało z Jimmy'm. Pokręciłam głową.

- Policja wzięła go na przesłuchania. To było okropne. Pojawili się, kiedy kładliśmy dzieci spać i wywlekli go jak jakiegoś kryminalistę. Całą noc nie spałam, modląc się i płacząc. Dzieciaki były śmiertelnie przerażone. Kiedy wrócił do domu rano, wyglądał okropnie. Nie pozwolili mu spać. Nic mu nie dali do zjedzenia. Usiłowali go zmusić, by się do czegoś przyznał. Cały czas powtarzali: „Jesteś dozorcą. Co ma dozorca do gadania z ładną doktorantką?”.

Ale on taki właśnie był. Rozmawiał z każdym, kto chciał go słuchać. I pierwsza przyznam, że gadał za dużo. Jak już kogoś capnął, to nie puścił. Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Ale teraz, kiedy nie może mówić - brakuje mi tego. Twoja siostra była taką słodką dziewczyną, zawsze witała go, wchodząc. Mąż lubił ją. Ale nie w taki sposób, jak to policja chciała widzieć. Mieliśmy dwóch synów, a Jimmy zawsze bardzo chciał dziewczynkę. Kiedyś mi powiedział, że gdybyśmy kiedyś mieli dziewczynkę, to chciałby, żeby była taka jak Lila. Mówił, że to była dobra dziewczyna, zawsze zachowywała się bardzo skromnie, nigdy nie mówiła za głośno, ani nie próbowała zwracać na siebie uwagi.

Siedziałam, słuchając. Oczywiście, że wierzyłam w to, że Lila pozostawała na takiej sympatycznej stopie z woźnym. Najlepiej czuła się wśród ludzi, którzy nie należeli do grupy jej rówieśników, którzy nie wymagali, by im poświęcała więcej niż kilka minut swojego czasu, którzy nie prosili jej o numer telefonu ani nie zapraszali do kina.

- Czy policja kiedykolwiek rozmawiała ponownie z twoim mężem? Kobieta potrząsnęła głową.

- Nie było takiej potrzeby. Oni dlatego tak długo trzymali Jimmy'ego tamtej nocy, bo nie chciał im podać alibi. Odmawiał przyznania się, gdzie był tamtej nocy. Po jakimś czasie policjanci zaczęli być brutalniejsi, zaczęli mówić mu naprawdę okropne rzeczy i mąż zdał sobie sprawę, że oni na serio wierzyli, że mógł to zrobić. Dopiero wtedy powiedział im o drugiej robocie. Bo widzisz, on pracował w stalowni w South City. W tamtym czasie było nam naprawdę ciężko; biedni jak myszy kościelne i trzecie dziecko w drodze. Pracował na dwa pełne etaty, żebyśmy jakoś utrzymali się na powierzchni. Ale wtedy w Stanford były surowe przepisy, jeśli chodzi o robotę na czarno. Ta praca dawała nam podstawowe utrzymanie i Jimmy nie mógł sobie pozwolić, by ją stracić. Wiedział, że jeżeli powie policji o stalowni, to oni pójdą do Stanford i będzie spalony.

- I co się stało?

- Wreszcie się poddał i przyznał do tej pracy. Oni wyszli, poszli do jego szefa, tam, gdzie pracował na nocną zmianę i mieli potwierdzenie, że prosto z jednej pracy poszedł do drugiej. Odbił jedną kartę zegarową w Stanford o 19-00, a potem drugą o 20.30 w South City i pracował całą noc. Po tym dali mu spokój.

Wyciągnęła rękę przez stół i wzięła mnie za dłoń.

- Wiem, dlaczego tu przyszłaś, kochaniutka, i nie winię cię, że chcesz wiedzieć coś więcej. Ale chcę, żebyś wiedziała, że to nie Jimmy. Wierzysz mi, prawda?

Wierzyłam.

- To bardzo nim wstrząsnęło i to, że oni myśleli, że on mógł to zrobić - powiedziała. - A potem wszystko zaczęło się sypać. W ciągu kilku tygodni stracił tę dzienną pracę w Stanford, ja poroniłam i nieomal straciliśmy dom. To go zmieniło. Przedtem był taki silny, taki chętny do wszystkiego. Wyrastał w biedzie, późno wystartował w życiu i był przekonany, że gdyby tylko ciężko pracował, to moglibyśmy pójść wyżej. Niesamowite, że to miejsce jest teraz warte fortunę, ale go nigdy nie sprzedamy. Jimmy prawie nie wychodzi z łóżka. Ma wszelkie możliwe problemy z płucami i różne inne dolegliwości. Całe życie ciężko pracował na coś, czym nigdy nie będzie mógł się nacieszyć.

Usłyszałyśmy głuchy łoskot z pierwszego pokoju.

- O, to Jimmy - powiedziała Mrs. Wheeler. - Dwa uderzenia oznaczają, że chce mu się pić. Wstała i wlała wody do szklanki.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam, podnosząc się. Czułam, że powinnam jeszcze coś powiedzieć, ale wiedziałam, że trochę już minął na to czas. - Przykro mi, że wasza rodzina była w to wszystko wplątana.

- No cóż - uśmiechnęła się. - Cóż można na to poradzić. Człowiek po prostu stara się iść dalej na tyle, na ile może. Na szczęście Jimmy i ja zawsze byliśmy bardzo za sobą, to pomaga.

Szłam za nią przez salonik do wyjścia. Odsłoniła zasłonkę do pokoju Jimmy'iego, gdzie był gospodarz domu - szkielet człowieka z siwą czupryną. Pies wdrapał się na poduszkę obok głowy.

- Już jestem, kochanie - powiedziała Mrs. Wheeler.

On przyglądał mi się przez chwilę, coś błysnęło w jego oczach. Podniósł ramię, jakby chciał pomachać, ale opadło.

- Wiem - odezwała się Mrs. Wheeler, trzymając szklankę przy ustach męża. - Wygląda zupełnie jak jej siostra, prawda?

## 23.

W sobotę, zgodnie z obietnicą, spotkałam się z Thorpe'em na Opera Plaza. Kiedy przyszłam, wciąż jeszcze podpisywał książki, kolejka klientów ciągnęła się przez cały sklep. Podniósł wzrok, zauważył mnie i powiedział bezdźwięcznie:

- Dziesięć minut.

Do sklepu wszedł przystojny młody mężczyzna, niosący brzydkie dziecko w plecaku Maclarena. Miał na sobie drogą skórzaną marynarkę, brązowe buty od Skechersa i tak niskie i wąskie biodrówki, że nie wiem, jak on mógł w ogóle chodzić. Niemowlak miał różowy kapelusik z napisem: *Nader 2008*.

Zmierzwione włosy i bokobrody były zbyt idealne, żeby mogły być prawdziwe. Należał do tej klasy młodych z San Francisco, którzy od dawna zastanawiali mnie swoimi wydawałoby się nieogra-

niczonymi zasobami czasu i finansów. Ale żadnego z tych luksusowych dóbr nie poświęcali na jedzenie. Zwrócił się do mnie z nieco krzywym uśmiechem.

- Kto jest autorem?
- Andrew Thorpe.
- Jakiś dobry?
- Nie czytałam książki.

Przeprosiłam i przeszłam spacerem do kawiarni obok sklepu, gdzie kupiłam puszkę ziaren kawy w polewie czekoladowej. Wracając do księgarni, wrzuciłam kilka do ust i czekałam, aż czekolada powoli rozpuści się na języku. Zanim Thorpe skończył, zjadłam już kilkanaście i zaczynałam odczuwać przypływ energii.

- Gotowa do spaceru? - zapytał.

Pół godziny później siedzieliśmy przy małym stoliku w Mangosteen pełnej głośno rozmawiających okolicznych pracowników, którzy wpadli na mały obiadek. Knajpka pachniała trawą cytrynową.

- Polecam ci numer dziesięć - powiedział Thorpe. - Kawałeczki steku z ziemniakami na ryżu. Albo numer dwadzieścia dwa, to samo, ale z kluseczkami.

Ja wolałam to z kluskami. Obsługa była powolna, ale jedzenie dobre. Thorpe mówił o spotkaniu, które właśnie odbył ze swoją osobistą terapeutką, a potem zaczął mnie wypytywać o życie prywatne. Nawet nie wiem, jak to się stało, ale opowiedziałam mu o Henrym, naszym rozstaniu w Gwatemali trzy lata temu.

- Czy to był właśnie ten jedyny? - zapytał Thorpe. Wzruszyłam ramionami, lecz zapytał ponownie. Niechętnie, ale odpowiedziałam:

- Wtedy myślałam, że to właśnie on.
- Myślisz jeszcze o nim?
- Czasami.

Prawda była taka, że ostatnio dużo o nim myślałam, ale to nie była sprawa Thorpe'a.

- Wobec tego to nie był ten - odpowiedział Thorpe. - Gdyby to był on, to myślałabyś o nim codziennie od rana, kiedy się tylko obudzisz. Kiedy kładziesz się spać, kiedy wieszasz pranie i kiedy siedzisz w kinie.

- Widziałam się z Jamesem Wheelerem.
- Zabrałaś się jednak za to - zdziwił się.
- Dlaczego nie powiedziałaś mi, że miał alibi i był całkowicie oczyszczony?
- Tak? Nie pamiętałem tego. Tak jak ci powiedziałem, nie był dla mnie interesujący.

Zamoczył ostatni kawałek steku w sosie i włożył do ust. Kelner przyszedł z rachunkiem i Thorpe podał mu kartę kredytową, zanim zdążyłam zaprotestować.

- Ale się napchałem - powiedział, klepiąc się po brzuchu. - Co myślisz o spacerze, żeby spalić obiad?

Słońce oświetlało chodniki, odbijając się na samochodach, które stały rzędem przy ulicy. Zdjęłam sweter i spięłam włosy w kok, żeby odsłonić szyję. Dzielnica Tenderloin cuchnęła odrażająco w upale, jak psie gówno, benzyna i pieczone szczyny. Faceci sikający na chodnik byli jednym z najpopularniejszych widoków w tej okolicy, tuż za prostytutkami-narkomankami pracującymi tutaj we wszystkich możliwych godzinach. Tej części miasta nie polubiłam nigdy.

Szliśmy powoli, w milczeniu mijając kolejne przecznice. Zanim doszliśmy do Market, buty zaczęły mnie uwierać. Zastanawiałam się, gdzie Thorpe chce mnie zabrać. Cały czas nie czułam się pewnie w jego towarzystwie, ale byłam zdecydowana zapytać go o kilka następnych nazwisk.

- Lubisz wyścigi konne? - zapytał. - Czasami chodzę na nie do Bay Meadows. Lepsza zabawa niż myślisz. Planuję wybrać się w następną sobotę. Powinnaś przyjść.

Na szczęście nie musiałam odpowiadać, bo za chwilę znaleźliśmy się w tłumie kilkunastu mężczyzn spiętych skomplikowanym układem łańcuchów, ubranych w skórzane kamizelki, tradycyjne szkockie spódnice i buty wojskowe.

- Och, zapomniałem, w ten weekend jest tu zawsze Folsom Street Fair - powiedział. - Te targi skóry.

Miałam wrażenie, że nie zapomniał, to był po prostu cel naszego spaceru.

Dalej szliśmy na południe. Kilka przecznic dalej znów wpadliśmy w tłum mężczyzn w skórzanych czapsach i niczym więcej pod spodem, kobiety boleśnie ściśnięte gorsetami, kołyszące się na piętnastocentymetrowych obcasach. Czułam się tutaj zupełnie nie na miejscu w mojej letniej spódnicy do kolan i podkoszulku, jak jedna z tych mamusiek, które zajmują się tylko dowożeniem dzieci na zajęcia, czyli jak obiekt z Muzeum Przedmiotów Popularnych.

- Gdybym wiedziała, że to jest celem naszego spaceru, to ubrałabym się w coś bardziej wstrząsającego - powiedziałam.

- Wyglądasz świetnie. Może ludzie będą myśleć, że masz ironiczne podejście.

Wreszcie doszliśmy do barykady blokującej środek ulicy.

- Wstęp trzy dolce - powiedział niezwykle wysoki mężczyzna w kagańcu i uprząży. Zarżał, tupnął wielką stopą i potrząsnął sztuczną grzywą. Był niezwykle przekonująco podobny do konia. Zastanawiałam się, czy ubierał się tak codziennie.

- No, skoro już tu jesteśmy... - powiedział Thorpe, wyławiając z portfela piątkę i jednodolarówkę.

W moim mieście kochałam wszelkiego rodzaju publiczne imprezy, panował tu klimat dopuszczający wszystko. W każdym momencie człowiek mógł wejść w sytuację jak z filmu. Lata temu składałam ręczniki przy pralko-suszarce, jeszcze w punkcie pralniczym przy Diamond, kiedy główny temat

z filmu *Grease* grali w radiu i wszystkich pięciu stałych klientów dosłownie spontanicznie przyłączyło się do piosenki. Jeśli ktoś ma czas i ochotę, to może pożyczyć tu sobie jak Dyl Sowizdrzał bez wyjeżdżania z miasta.

Thorpe zwrócił uwagę na jakiś pokaz batożenia odbywający się kawałek dalej, przy jednym ze stoisk. Słońce dokuczało, zapach skóry i jakichś tajemniczych substancji nawilżających wypełniał otoczenie. Ktoś pacnął mnie w pupę drewnianym wiosłem, ale kiedy odwróciłam się, by zobaczyć, kto to, zauważyłam tylko morze niewinnych twarzy. Czułam się jak Alicja w lokalnej, okropnej wersji Krainy Czarów, gdzie Szalony Kapelusznik i wszyscy jego stuknięci przyjaciele zajmowali się S&M, czyli heavy metalowym albumem zespołu Metallica.

I wtedy zauważyłam znajomą twarz.

- Jack?

Przywitał się ze mną serdecznie, mocno obejmując.

- Ellie. Boże, toż to minęły wieki.

Grube, czarne włosy opadały mu na ramiona. Miał na sobie podkoszulek z Myszka Miki i brązowe, skórzane spodnie.

- Wyglądasz wspaniale - powiedziałam, bo naprawdę tak było. Thorpe przybrał jeden ze swoich najbardziej pewnych siebie uśmiechów.

- To Andrew Thorpe - przedstawiłam ich. - A to mój kolega ze studiów, Jack.

- Jackson - poprawił mnie.

I od razu przypomniałam sobie, jak należało, żeby nazywać go Jacksonem, mimo że nadano mu imię Jack.

Spotkaliśmy się na ostatnim roku i całe dni spędzaliśmy razem, aż do jego wyjazdu do Senegalu z Korpusem Pokoju. Ucieszyłam się na jego widok. To miasto było pełne mężczyzn, z którymi miałam krótkie związki w ciągu roku po śmierci Lili. Od czasu do czasu spotykałam któregoś z nich. Zawsze mnie ciekawiło i równocześnie trochę niepokoiło, by zobaczyć, kim się stali, co porabiali.

Wysoka blondynka w czerwonej skórzanej sukience podeszła do nas i objęła Jacka w pasie.

- To moja żona, Stacy - powiedział.

Ku mojemu zdumieniu przedstawił mnie jako dziewczynę z dawnych czasów. Nastąpiło trochę krępujące milczenie.

- Dzieci są w domu z siostrą w Atherton - powiedziała Stacy.

- Dzieci?

- Mamy dwójkę. Pierwsza klasa i przedszkole.

Stacy była szybka i przyjazna. Pomyślałam sobie, że kiedy nie była ubrana jak dziwka, to zapewne nosiła biurowe kostiumy, a na jej konto wpływała równie elegancka, jak i poważna suma. Może była adwokatem, albo pośrednikiem nieruchomości. A ja pamiętałam Jacka/Jacksona jako chudego



chłopaka ze skrzytem w jednej, a książką w drugiej ręce. Po seksie leżał nagi, wyciągnięty na rattanowym materacu. Trudno było mi go sobie wyobrazić jako żonatego i dzieciatego.

Podał mi swoją wizytówkę.

- Zadzwoń. Przyjdiesz do nas na obiad. Poznasz te małe potwory.

- Wspaniale - powiedziałam, wiedząc, że nigdy nie zadzwonię.

Potem przepychaliśmy się z Thorpe'em obok straganów sprzedających akcesoria seksualne. Były tam ogromne sztuczne penisy, pomalowane na złoto pierścienie na penisy, sprzedawcy zachwalali ciastka bardzo udatnie imitujące waginę, plakaty reklamujące wydarzenia w mieście związane z różnymi preferencjami fetyszystów. Kobieta w gumowym ubraniu pielęgniarki wcisnęła mi do ręki ulotkę. *Poznaj swoje uległe ja. Pierwsza konsultacja za darmo.*

Wreszcie doszliśmy do końca ulicy i wyszliśmy z targów. Zastanawiałam się, jak ująć w słowa moją prośbę, kiedy Thorpe powiedział:

- Mam dla ciebie następne.

- Słucham?

- Kolejne nazwisko. Coś, czego nie ująłem w książce. Mniej więcej w tym czasie, kiedy Lila zniknęła, koło Armstrong Woods był samochód. Ktoś uważał, że wyglądał dziwnie, zdjął tablicę rejestracyjną i zaniósł ją na policję.

Wyciągnął kawałek papieru z kieszeni i mi podał. Było tam nazwisko: William Boudreaux.

- Był jakimś muzykantem, występował jako Billy. Pierwotnie miałem zamiar pójść tym tropem, ale potem byłem zbyt zajęty. Kiedy się nad tym zastanawiałem, to odpowiadał mi ten kierunek, do którego książka pierwotnie zmierzała.

Starannie złożyłam papier i schowałam do portfela.

- Dziękuję.

Szliśmy kawałek w milczeniu, zanim zapytałam jednak o coś, co mnie intrygowało.

- Muszę cię zapytać, czemu to robisz? Thorpe uśmiechnął się.

- Chyba mam taki szalony pomysł, że jeśli wyświadczę ci przysługę, może będę mógł cię odzyskać.

Szliśmy dalej, ale nie odzywałam się. Było coraz mniej ludzi, od morza napływała mgła. Kiedy wróciliśmy do Opera Plaza, gdzie zaparkowałam samochód, postanowiłam go jeszcze o coś zapytać.

Hej, zanim pójde, możesz mi coś wyjaśnić?

- Noo?

- Twój dom. Ten widok, jaki masz zza biurka.

- A, to!

- No więc?

- Uwierzysz, że to przypadek?

- Nie.

Popatrzył w bok. Przez moment chyba się zaczerwienił.

- Kiedy został wystawiony na sprzedaż, ja już od prawie dwóch lat nie pisałem, ani słowa. Siadałem, żeby pisać i przez parę godzin po prostu gapiłem się na pustą kartkę papieru. Ta sytuacja trwała za długo. Właściwie już zdecydowałem całkiem porzucić pisanie i wrócić do nauczania. Którejś soboty odwiedzałem znajomego w sąsiedztwie. Kiedy przejeżdżaliśmy, zobaczyłem wywieszkę, że ten dom jest na sprzedaż. On chciał zobaczyć, więc poszliśmy razem. Nie oglądałem, żeby kupić, to nawet nie jest w moim stylu - zbyt nowoczesne, trochę chłodne, ale kiedy zauważyłem, że z pokoju na górze mógłbym widzieć twój dom - wiedziałem, że muszę go mieć. I że ten pokój z widokiem będzie moim pokojem do pracy.

- To trochę upiorne.

- Może, ale zadziałało. W trzy miesiące po wprowadzeniu się miałem trzy rozdziały nowej książki. Pisałem nocami, ale tylko wtedy, kiedy w twoim pokoju paliło się światło.

- Ale wtedy to już nie był mój pokój - powiedziałam. - Mama miała tam biuro.

Oparł rękę o dach mojego samochodu.

- Wiedziałem, że tam nie mieszkasz, ale kiedy paliło się światło, mogłem przed sobą udawać, że tam jesteś. Wyobrażałem sobie, że siedzisz przy swoim starym biurku i czytasz książkę lub słuchasz muzyki. Przynajmniej miałem złudzenie, że jesteś blisko. I czasami byłaś. Rzadko kiedy wychodziłem w czwartki wieczorem z domu, nim twoja matka wyprowadziła się w zeszłym roku. To był ten jeden wieczór w tygodniu, kiedy prawie mogłem mieć pewność, że cię zobaczę. Nawet, jeśli nie mogłem z tobą porozmawiać, to wciąż mogłem wyobrazić sobie nic biegnącą od mojego biurka do ciebie. Obserwowałem cię tam, stałaś przed domem z matką. Zastanawiałem się, o czym rozmawiacie. Chyba czuję się trochę skrępowany, ale przyznam, że czasami zastanawiałem się, czy rozmawialiście o mnie.

- Chyba zdajesz sobie sprawę, że to, co opowiadasz, jest niesamowite - powiedziałam. - Żeby nie powiedzieć dziwaczne.

Ale było też coś, czego mu nie powiedziałam. Otóż Henry, ten jedyny mężczyzna w moim życiu, który naprawdę mnie kochał, nigdy nie był mi aż tak oddany. W porównaniu z Thorpe'em Henry zrezygnował ze mnie stosunkowo łatwo. Czy obsesja wytwarza głębszą więź niż miłość?

Wytarł jakąś niewidoczną plamkę na samochodzie.

- Cóż mogę powiedzieć? Byłaś mi Zeldą\*, George Sand, Stellą\*\*. Moje książki, ten dom, ta swego rodzaju sława, jakiej doświadczam - to wszystko dzięki tobie.

\* Zelda, żona pisarza F. Scotta Fitzgeralda.

\*\* Stella, żona pisarza Davida Gemmella.

Łatwo było zauważyć, że ustawił mnie na piedestale. Gdyby okoliczności były inne, gdyby ta książka była na jakikolwiek inny temat, nie o Lili - może by mi to pochlebiało. Zauważyłam, że w odpowiedniej sytuacji rola czyjejs muzy mogłaby być całkiem miła.

Wreszcie przekręciłam kluczyk w drzwiach, ale zanim zdążyłam je otworzyć - zrobił to Thorpe. Kiedy już siedziałam za kółkiem, powiedział:

- Rzeczywiście, może to nie jest zły pomysł, żeby poszukać tego Billy'ego Boudreaux.

## 24.

- Co z Thorpe'em? - zapytał mnie kiedyś Henry.

Był 8 grudnia 2004 roku, piętnasta rocznica śmierci Lili i poszliśmy z rodzicami na grób. To był chłodny dzień w Palo Alto, po wielkiej nocnej ulewie zaświeciło słońce. Ponieważ w San Francisco nie było komunalnego cmentarza, zupełnie nie wiedzieliśmy, gdzie pochować Lilę. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na Alta Mesa Memorial Park, ponieważ to był cmentarz położony najbliżej Stanford. Było to jednak dalej od miasta niż duże cmentarze w Colma i Daly City, ale wydawało się miejscem bardziej odpowiednim. Podobało nam się, że drzewa rosły dookoła niektórych starszych nagrobków i że teren nie był przesadnie wymuskany.

Większa część tego dnia jest dla mnie rozmazana. Na pewno jechaliśmy na cmentarz samochodem Henry'ego, jeepem cheerokee, bo mój samochód był w naprawie. Pamiętam, że przygotował mieszankę muzyki na CD na naszą podróż. Zaczynała się od ulubionej piosenki Lili *Peace, Love & Understanding* Elvisa Costello, a kończyła *She Once Lived Here* Grama Parsona. Pamiętam też, że przez całą drogę trzymał mnie za rękę. Musieliśmy się zatrzymać przy 76 stacji w Burlingame, bo zapaliła się kontrolka poziomu paliwa. Kiedy dojechaliśmy, nie mogliśmy znaleźć grobu Lili, mimo że byłam tam wielokrotnie. Było mi wstyd, że się zgubiłam. Oczywiście, gdyby sytuacja była inna, Lila miałaby jasny plan cmentarza w głowie, pamiętałaby nie tylko kwaterę, ale i konkretną ścieżkę prowadzącą do grobu.

Po kilkunastominutowym łażeniu zobaczyłam w oddali rodziców i wreszcie dotarliśmy do nich. Matka ubrana była w granatową sukienkę i pasujące do niej kozaczki. Miała inną fryzurę, odmładzała ją jak nigdy dotąd. Ojciec był w garniturze, to mi podpowiedziało, że później wybierał się do biura. Rozzłościło mnie, że potraktował ten dzień jak zwykły roboczy i postanowił zostawić matkę w tak ważną dla nich rocznicę. Przez ostatnie pięć lat od rozvodu rzadko się widywali, uważałam, że tego dnia powinni być razem. Odciągnęłam go na bok i szepnęłam:

- Myślę, że mamusia wolałaby, abyś trochę został dzisiaj.

- Prawdę mówiąc, słoneczko, to jest ostatnia rzecz, której życzyłaby sobie twoja matka.

Szybko uściśnął moje ramię i odszedł. A ja już nie umiałam być na niego zła, bo użył tego prostego, czułego słowa z mojego dzieciństwa, słowa, którego nie używał od śmierci Lili.

Następnie, wczesnym popołudniem, kiedy Henry, mama i ja jedliśmy obiad w Maven Lane Cafe, ulubionej restauracji Lili, Henry postawił pytanie:

- A co z Thorpe'em?

Siedziałam przy stole naprzeciwko matki i Henry'ego. Popatrzyłam na niego znacząco, ale nie zrozumiał.

- Co z nim? - czujnie zapytała matka.

- Po prostu zastanawiam się, co nim kierowało - powiedział Henry. - Zastanawiam się, czemu zadał sobie tyle trudu, żeby przedstawić tyle argumentów przeciwko Peterowi McConnellowi.

- To nie takie trudne, Henry - powiedziała moja matka.

Rozpoznałam u mamy ten ton głosu; słyszałam go, kiedy robiła sobie w domu próby przed rozprawami w sądzie. Henry stał na cienkim lodzie. Usiłowałam dać mu znać telepatycznie, by zmienił temat, ale on ciągnął dalej.

- Po prostu chodzi mi o to, czy ktoś przyglądał mu się bliżej?

- Przyglądał się?

- Pani styka się z przestępstwami kryminalnymi cały czas - powiedział Henry. - Przecież osoba, która na pierwszy rzut oka wydaje się winna, nie zawsze jest winna.

- Henry - przerwałam. - To nie jest pora.

- Właściwie - powiedziała matka - w dziewięciu przypadkach na dziesięć ten, kto wydaje się winny - jest winny.

Henry zaczerwienił się.

- Podaj sól, proszę - znowu usiłowałam przerwać.

Ale było za późno. Matka odłożyła widelec i odwróciła się twarzą do Henry'ego.

- Do czego zmierzasz?

Henry wypił łyk wody i popatrzył na mnie, jakby szukając wsparcia. Ale znałam moją matkę. Teraz, kiedy już zaczął, będzie musiał brnąć do końca, aż wyjaśni wszystko, co tylko miał na myśli, bez względu na to, co by to miało być.

- Nie mogę przestać myśleć, że zainteresowanie Thorpe'a tą sprawą było niezrozumiałe. W książce usiłował zrobić takie wrażenie, jakby McConnell miał coś do zyskania w przypadku śmierci Lili. Ale prawda jest taka, że mógł tylko stracić. I karierę, i małżeństwo, obie rzeczy były wysoką stawką. Wszystko, co o nim wiemy sugeruje, że był to rozsądny mężczyzna, człowiek, który zważyłby dokładnie konsekwencje swoich czynów. Mnie coś w tym wszystkim nie pasuje. Technicznie rzecz biorąc, jedynym, który wyszedł z tego z zyskiem, był Thorpe.

- Skąd ty tak nagle o tym? - zapytałam. - Czemu, u licha, wyciągasz to teraz?

- Przeczytałem coś w „Esquire” w zeszłym tygodniu - odpowiedział. Artykuł o tych trzech morderstwach w Golden Gate Park w zeszłym roku.

- Ci bezdomni, których zabito podczas snu? - zapytała matka.

Ja też sobie przypominałam. To była znana sprawa, która zajmowała lokalną społeczność przez kilka miesięcy. Ludzie z okolic Outer Sunset, gdzie doszło do tych morderstw, stali się nerwowi.

- Tak - powiedział Henry. - Ten artykuł napisał Thorpe.

- Ale numer - powiedziałam. - On na tym zarabia. Na tragediach innych ludzi.

- Ale widzisz, było coś dziwnego w tonie tego artykułu - kontynuował Henry. - Coś prawie radosnego. Odniosłem wrażenie, że Thorpe upajał się szczegółami. Policja nigdy nie wiązała ze sobą tych trzech morderstw. Jedno to pchnięcie nożem, drugie - zastrzelenie, a ten trzeci został uduszony. Ale Thorpe pisał o tej sprawie, jakby zrobił to seryjny morderca. Jakby coś wiedział, że morderca był jeden i nikt poza nim.

Henry zachował się zupełnie jak nie on. Wykazał się kompletnie złym wycuciem czasu i brakiem delikatności. Żałowałam, że wzięłam go z nami. Dla matki był to wystarczająco trudny dzień - rocznica śmierci Lili. Ona tego nie potrzebowała.

- Wyskoczyłeś z tym jak Filip z konopi - powiedziałam. - Daj spokój.

Matka wzięła widelec i zaczęła mieszać sałatkę na talerzu.

- W porządku, Ellie - powiedziała. - To nie jest coś, o czym bym nigdy nie myślała.

- Naprawdę?

Popatrzyła na mnie bardzo czułym wzrokiem.

- Och, nie wiem, czy to ma jakiś sens, ale myślałam prawie o wszystkim. O każdej możliwości, choćby najmniej prawdopodobnej. Ułożyłam sobie w głowie setki różnych scenariuszy. Jeśli chodzi o to, w co wierzę, w sercu uważam, że to był prawdopodobnie Peter McConnell. Ale jeśli miałabym patrzeć na to obiektywnie, jako oskarżyciel, to niestety muszę powiedzieć, że argumenty przemawiające za nim są bardzo słabe. Jest tylko jedna rzecz, którą wiem na pewno - wyciągnęła rękę przez stół i uścisnęła moją dłoń. - Od tej pory nie minął ani jeden dzień, żebym nie pomyślała o twojej siostrze. Piętnaście lat i ani jeden dzień.

## 25.

W Google było ponad 100 wyników dla hasła „Billy Boudreaux”, ale kiedy dodałam słowa „San Francisco”, ilość zawężyła się do kilku. Jeden z linków prowadził do strony wikipedii poświęconej zespołowi o nazwie Potrero Sound Station. Krótka informacja mówiła, że to grupa z San Francisco założona w 1975 i rozwiązana w 1979- Osoba, której szukałam, była określona krótką wzmianką: *Billy Boudreaux - na basie*.

Wyniki poszukiwań Potrero Sound Station otwierała strona ich fanów, która ostatni raz była uaktualniana pięć lat temu. Poświęcona głównie soliście o imieniu Sound. Po rozpadzie grupy Sound rozpoczął dosyć bezbarwną karierę solową, a potem otworzył warsztat samochodowy w Aurora, Colorado. Jego prawdziwe nazwisko to Kelvin Walsh. Jego pierwszy solowy album ukazał się po szesnastu latach, w 2003 roku i otrzymał pochlebne opinie od alternatywnej cotygodniówki z Denver oraz „Time Out Scotland”. Krytyk ubolewał, że album nie został zauważony przez wiodące czasopisma, z wyjątkiem wzmianki na jedną linijkę w mało ważnych pytaniach w czasopiśmie „Paste”. Według informacji na stronie, inny członek zespołu, Drew Letheid, mieszkał ze swoją żoną-bankowcem i dwójką dzieci w Greenwich i nigdy nie udzielał wywiadów.

Jeśli chodzi o Billy'ego Boudreaux, strona „mówiła”, że żadne szczegóły na jego temat nie są znane.

Nie potrzebowałam dużo czasu, żeby znaleźć warsztat Walsha w Aurorze. Była 16.30 ich górskiego czasu, kiedy wykręciłam numer.

- Walsh - powiedział głos. - Czym mogę służyć?

- Kelvin Walsh?

- Tak, to ja.

- Dzwonię w sprawie zespołu - wypaliłam bez zastanowienia.

- Jakiego zespołu?

- Potrero Sound Station. Roześmiał się.

- No, to jest grom z jasnego nieba przeszłości. Czy dzwonisz z VH1? Chodzi o *Bands Reunited*? Bez obrazy, ale nie jestem zainteresowany ponownym zejściem się grupy. To było dawno temu. W zupełnie innej galaktyce.

- Jestem po prostu starą znajomą Billy'ego Boudreaux - powiedziałam.

- Znajomą? To brzmi tak, jakby był ci winny pieniądze. Pewnie chcesz numer telefonu.

- Nic z tych rzeczy. Po prostu zastanawiam się, co się z nim dzieje.

Walsh na szczęście jeszcze się nie rozłączył. Odebrałam to jako dobry znak i brnęłam dalej.

- Czy wiesz może przypadkiem, gdzie jest?



- Przepraszam, ślicznotko. Pytasz nieodpowiednią osobę. Nie słyszałem o nim od dziesięcioleci. On, wiesz, wpakował się w nieciekawą sprawę.

- Pod jakim względem nieciekawą?

- Koka, amfa, takie tam. Cokolwiek.

- Orientujesz się, czy pozostał w San Francisco po rozpadzie grupy?

- Był przez kilka lat, ale nie wiem, jak długo. Szybko się odciął od nas. Skończył jak dupek, niemożliwe, żeby się tam gdzieś kręcił. Smutne, zanim się wciągnął w narkotyki, był najsympatyczniejszym gościem, jakiego mogłaś mieć nadzieję spotkać. Geniusz na basie - zrobił przerwę. - Wiesz, napisali o nas artykuł w „Rolling Stone”. W 1984 czy coś koło tego, nie wiem. Ben Fong-Torres napisał. Wtedy byłem już tutaj, trochę miałem niesmak po tych latach spędzonych z kapelą, a Drew poszedł w jakieś korporacje. Fong-Torres ostatecznie zrobił wywiad z Billym - znów na chwilę przerwał.

- Myślę, że to byłoby wszystko, co mogę ci powiedzieć.

- Dziękuję ci - zakończyłam. - Bardzo mi pomogłeś.

- Mam nadzieję. Jeśli kiedykolwiek rozkraczy ci się samochód w Colorado, wiesz, gdzie dzwonić.

Słyszałam o Benie Fong-Torresie. Widziałam film *Almost Famous* i przez wszystkie lata przeczytałam sporo biografii sławnych muzyków napisanych przez niego. Wciąż mieszkał w San Francisco, gdzie prowadził cotygodniową audycję radiową. Cztery dni później stanęłam przed jego trzypiętrowym budynkiem górującym nad okolicą na szczycie wzgórza w Castro. Skontaktowałam się z nim przez KRFC i natychmiast odpowiedział e-mailem.

Nacisnęłam dzwonek. Coś skrzypnęło w domofonie.

- Czy to Miss Enderlin?

Głos Bena był głęboki i dźwięczny, taki jak przez radio. Wyobraziłam sobie, że z takim głosem nigdy nie miał kłopotów z poznawaniem nowych dziewczyn.

- Cześć, tak.

- Jesteś o godzinę za wcześnie. Będziesz musiała przyjść później.

- Przepraszam - powiedziałam, zanim zorientowałam się, że żartuje.

- Winda jest prosto i w lewo. Naciśnij trzecie piętro.

Myślałam, że to też jest żart, ale kiedy bzyczenie otwarło mi furtkę, zobaczyłam, że rzeczywiście po lewej stronie jest mała winda wyłożona dywanem z wzorem w panterę i ścianami pomalowanymi na złoto. Weszłam, nacisnęłam 3 i sprawdziłam, czy nie mam szminki na zębach. Nienawidziłam jeździć windami w moim mieście, zawsze wyobrażałam sobie najgorsze scenariusze, kiedy na przykład winda się urywa. W czasie trzęsienia ziemi, kiedy wyją syreny i wstrząsy wtórne kołyszają budynkami, ja będę uwięziona zupełnie sama pomiędzy piętrami, a obok mnie budynek będzie się walił. Lila wyśmiewała się z mojej nadmiernej wyobraźni. Usiłowała uspokoić mnie, wyliczając prawdopodobień-

stwo, że mogę znaleźć się w windzie właśnie w czasie silnego trzęsienia ziemi. Ale logika nie zmniejszała mojego strachu.

Winda zadrżała, zatrzymując się i drzwi się otwarły. Przedemną stał Ben w czarnych spodniach i szarej koszuli, smukły i elegancki, wyglądał na 45 i ani dnia więcej. Szybko policzyłam. Zaczął pisać do „Rolling Stone” w 1967, pisma, które dopiero zaczynało. To oznaczało, że musi mieć co najmniej sześćdziesiąt. Może rock and roll trzymał go w tak dobrej formie.

- Witaj w rezydencji - powiedział, uśmiechając się. Do rąk włożyłam mu pudełko.

- Coś ci przyniosłam - powiedziałam. - Z Chow. Pół kurczaka z tłuczonymi ziemniakami. Widziałam wywiad z tobą w czasopiśmie „San Francisco”, gdzie powiedziałeś, że to twoje ulubione.

- Dziękuję, ale niepotrzebnie się fatygowałam.

Nagle poczułam się głupio, przynosząc mu tę przekąskę, ale nie lubiłam przychodzić z pustymi rękami. Nie umiałam wymyślić odpowiedniego prezentu dla domu mężczyzny, który miał wszystko, czego pragnął. Normalnie, gdybym chciała dać komuś zwykły prezent, taki od serca, przygotowałabym płytę CD z muzyką, ale podarowanie CD Benowi Fong-Torresowi byłoby jak zrobienie wołowiny po burgundzku dla szefa kuchni Anthony Bourdaina.

- Czuj się jak u siebie w domu - powiedział. - Ja to przełożę na talerze.

Salon, tak jak i winda, był wyłożony „panterą”. Pierwsze, co zauważyłam to widok, szklana ściana na północ. Na dalekim końcu, u podnóża wzgórza mrugał neon Castro Theatre, najwspanialszego, starego kinoteatru w mieście. Nie świeciła się litera T i budynek wyglądał na zaniedbany. Oceniając to miejsce po reklamie, nikt by nie zgadł, że było wspomnieniem barokowego splendoru, albo że z orkiestronu każdego wieczoru przed pokazem o 19 słychać było tusz orkiestry. Dzisiejszy wieczór był ładny, za migającymi światłami miasta widać było Golden Gate Bridge.

Podeszłam do okna, żeby jeszcze lepiej widzieć. W dole, na szachownicy ulic widziałam znane mi budynki, dachy apartamentowców, które znałam przez całe życie. To niesamowite patrzeć na swoje miasto z tak niewiarygodnej wysokości. Przecież bardzo dobrze znałam te wszystkie ulice, chodziłam tymi chodnikami tysiące razy, zaglądając ludziom do okien, podglądając życie rodzin. Moja rodzina też była podglądana zarówno w taki sposób, jak i przez mijających przechodniów. Kiedy byłam dziewczynką, zasłony w naszym salonie nigdy nie były zasłaniane, matka uwielbiała naturalne światło i kalistemon, drzewo rosnące przy naszym podjeździe, bardzo lubiła zerkać na ulicę i widzieć przechodzących znajomych i obcych. Po śmierci Lili skończyła z tym. Przez pierwszych kilka lat wewnętrzne okiennice rzadko były otwarte i nasz radosny dom stał się ciemny, nie było w nim słońca.

Wyobrażałam sobie, że ludzie mieszkający tam na dole patrzyli na ten dom na wzgórzu i wyobrażali sobie historyjki na temat ludzi mieszkających w nim. Czy to kiedykolwiek przyszło Benowi do głowy, że kiedy stał przy oknie i podziwiał wspaniałe miasto, ktoś mógł go widzieć? Większość z nas żyje, krząta się, wierząc w pewną prywatność, ja też wierzyłam w to przez wiele lat. A potem sie-

działam w gabinecie Thorpe'a i patrzyłam przez lornetkę na okna mojej dawnej sypialni. Kilka tygodni temu w kafejce w Dirimoto natknęłam się na człowieka, który wiedział o mojej obecności na długo, zanim ja się zorientowałam. Prawie dwadzieścia lat wcześniej w restauracji w North Beach byłam podglądaczem, obserwowałam Petera McConnella podczas jego poniedziałkowych obiadów. Jak szeroko rozciąga się ta sieć śledzących się nawzajem oczu? Wszyscy byliśmy podglądaczami i podglądanymi. Prywatność była tylko wygodną iluzją.

Patrzyłam zagubiona w myślach i nagle zauważyłam odbicie Bena w szybie. Stał zupełnie nieruchomo, ręce w kieszeniach. Niektóre chwile są po prostu zbyt doskonałe, a symetria zbyt precyzyjna. I to była właśnie jedna z nich: ja patrzyłam na San Francisco, Ben patrzył na mnie. Nasze oczy spotkały się w odbiciu szyby.

- Zabawne - powiedział. - Kiedy ktoś przychodzi do mnie do domu, nie mija więcej jak pięć sekund i ciągnie do tamtego miejsca.

- Wspaniały widok.

- Tak. Teraz miasto powinno tylko zainwestować w gigantyczną dmuchawę, a taki widok byłby codziennie.

Ben nalegał, by nalać mi kieliszek Malbec 2002 z winiarni jego przyjaciół w Patagonii. Siedzieliśmy przy stole śniadaniowym z boku kuchni, jedliśmy kurczaka i tłuczone ziemniaki, które rozłożył na dwóch talerzach, i popijaliśmy wino. Właściwie go nie znałam, a już go polubiłam. Doceniałam taki zwykły sposób, w jaki mnie przyjął, pewną bliskość, jaką wytworzył, żartując ze mną, jak ze starą znajomą. Mogłam powiedzieć, że był człowiekiem, który żyje w sposób nieskrępowany, swobodnie, talent, którego zawsze zazdrościłam. Też chciałabym tak żyć i często sama byłam skrepowana pewną oficjalnością, jaką narzucałam, niewielką, ale denerwującą towarzyską sztywnością, której nie mogłam się pozbyć.

Popijałam wino.

- Jakie? - zapytał.

- Dobrze.

- Zbyt owocowe jak na mój gust, ale niezłe - powiedział. - Natomiast kurczak jest wspaniały. Gotujesz?

- Trochę. A ty?

- Znam kilka trików.

Zadzwonił telefon i poszedł odebrać do salonu. Ten mały pokój śniadaniowy otwierał się na małą wnękę wyposażoną w telewizor, wygodne krzesła i maszynę do karaoke.

Kilka nagród Emmy stało na włączonym telewizorze, był tam wyciszony program nagrywany w systemie TiVo. Skorzystałam z jego nieobecności i popatrzyłam, co wybrał: *Top Chef*, *Misja Moda*,

Bajarz z Elvisem Costello, *Kraina wód* i *Ostatni walc* Martina Scorsese, klasyczny film dokumentalny o The Band.

Wciąż wyciągałam szyję, żeby zobaczyć ekran TiVo, kiedy Ben powrócił.

- Jesteś tu?

Wziął pilota z kanapy i wyłączył telewizor.

- A więc przyszedłeś w sprawie Billy'ego Boudreaux?

Opowiedziałam mu o Lili i o białym chevy Boudreaux'a zaparkowanym przy Armstrong Woods. Sięgnęłam po torebkę i wyjęłam kopię artykułu z „Rolling Stone”, który wykopałam w bibliotece. Podałam mu artykuł.

- O, tak, pamiętam to - powiedział. - Wtedy Billy mieszkał w Lower Haight. Spotkaliśmy się w barze w jego okolicy. To był jakiś '83 albo '84, ale żył wciąż, jakby to były stare, dobre czasy - Ben zakończył swoje zdanie zaśpiewaniem urywka piosenki *All strung out on heroin on the outskirts of the town*. Jego głos był czysty i głęboki. Może opłacało się to całe karaoke.

- Znasz to? - zapytał.

Poczułam, jakby robił mi test. Ale ucieszyłam się, że znam odpowiedź.

- Warren Zevon. *Carmelita*.

- Nieźle - położył artykuł na stole. - Zapytałem Billy'ego, już nieoficjalnie, co on u diabła robi. Był zdumiewającym basistą i to wszystko niszczył. Mówił, że zamierza się pozbierać i dokładnie pamiętać, co mu powiedziałem: „Mam nadzieję, że to zrobisz, ale wszystko jest przeciwko tobie”. Potem pisałem o śmierci Jima Morrisona, Janis Joplin, Elvisa dla „Rolling Stone”. Wiem, dokąd zmierział.

- Pod koniec wywiadu - powiedziałam - obydwaj zgodziliście się spotkać dokładnie za rok w Top of the Mark. Mówi tu, że wtedy będzie zupełnie innym człowiekiem. Nawet obiecuje kupić ci drinka. Czy doszło do tego?

Ben potrząsnął głową.

- Czekałem czterdzieści pięć minut i nie pojawił się. Byłem tam w środę po południu, sam popijałem szkocką w Top of the Mark. Tylko ja i banda hałaśliwych facetów odprawiających jakieś kawalerskie popołudnie. Doszedłem do wniosku, że Billy albo już nie żył, albo leżał w jakimś motelu w Tenderloin, będąc w dołku po narkotykach.

- I tyle? I już nigdy więcej go nie widziałeś?

Ben pomyślał przez chwilę. Zauważyłam u niego ciekawą rzecz. Mówiąc, nie miał falstartów, nie zaczynał zdań od uhm, eee czy innych słownych tików. Słowa i zdania zaczynał z sensem i precyzyjnie, jakby były zaplanowane. To na pewno był efekt treningu radiowego.

- Kiedyś wpadłem na niego, w sekcji rhythm & bluesa Amoeba Records. Dziwnie był ubrany, w dresach i solidnych butach. Potrząsnął moją ręką, bardzo mocno przeproszał za to, że się nie pojawił

umówionego dnia w Top of the Mark i zaproponował drinka. Poszliśmy do Zam Zam i popijaliśmy martini w kącie sali. To były te czasy, kiedy barman odmawiał podawania czegokolwiek poza martini. Billy zrobił błąd, bo zamówił burbona z colą i wdał się w utarczkę z barmanem. Prawie nas wykopali z baru. Ostatecznie przystał na to martini i zaczął opowiadać swoją historię z minionych kilku lat. W końcu lat osiemdziesiątych doszedł do dna, w dziewięćdziesiątym otarł się o śmierć, jak to powiedział. Wreszcie zdecydował się wytrzeźwieć i wybierać raz na zawsze. Przeprowadził się do Petalomy i pracował na farmie mlecznej swojego brata. Praktycznie przemieszkiwał tam cały czas. Tym się właśnie zajmował, kiedy się spotkaliśmy. Wtedy przyjechał do miasta zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi, ale odgrzewanie kontaktów nie poszło dobrze i planował wracać na farmę jeszcze tego popołudnia. Kochał miasto, ale wiedział, jakie jest dla niego niebezpieczne. Przypuszczam, że zbyt wiele z jego starych przyzwyczajęń czyhało na każdym kroku. Bardzo się ucieszyłem, że zobaczyłem go trzeźwym, ale miałem wrażenie, że wciąż jest słaby psychicznie i w każdej chwili może pęknąć i to popchnie go w przepaść. W rozmowie wciąż nawiązywał do swoich demonów. Trochę mi to działało na nerwy.

- A jakim był muzykiem? Ben chwilę się zastanawiał.

- Mógł być wielkim, ale nigdy do tego nie doszedł. Kiedy się widzieliśmy, nie porzucił muzyki całkowicie. Ja spieszyłem się do KSAN, by przeprowadzić wywiad z Sheryl Crow, ale nalegał, bym odprowadził go do samochodu kilka przecznic dalej. Chciał mi dać taśmę. Coś, co nagrał u brata w piwnicy, cztery nowe piosenki, które napisał. Nie jestem ci w stanie powiedzieć, ile osób dało mi swoje taśmy przez te lata w San Francisco. Połowa młodych chłopaków, którzy chodzą po ulicy, ma swoją kapelę i nagraną taśmę. Ale tej naprawdę chciałem posłuchać, bo wiedziałem, na co stać Boudreaux.

- No i jaka była?

- Całkiem dobra. Nic podobnego do tego, co robili z Potrero Sound Station, ale zdecydowanie było w niej coś. Chyba jeszcze gdzieś u mnie leży.

Poszłam za nim na dół, gdzie korytarz pokrywały czarno-białe zdjęcia ślubne Bena z węsami i rozczochranymi włosami z lat siedemdziesiątych i jego żony Diany. Wyglądała jak błyskotliwy symbol tamtych czasów, z szaloną fryzurą, w powiewnej białej sukni.

- Wspaniałe zdjęcia - powiedziałam.

- Robiła je Annie Leibovitz. Tam jest.

Wskazał na zdjęcie siebie i Diany leżących w poprzek łóżka. Jego twarz była śmiertelnie poważna, a ona śmiała się, jakby jej właśnie opowiedział jakiś bardzo zabawny dowcip. Aparat był skierowany na lustro, a sama Leibovitz znalazła się w rogu, widać było tylko połowę jej twarzy.

- A to jest Jann Wenner - powiedział, pokazując inne zdjęcie. - A to Cameron Crowe.

Biuro mieściło się na końcu korytarza. Było tam wielkie okno, wbudowane biurko, które ciągnęło się dookoła pokoju i półki od podłogi do sufitu. Na ścianach były zdjęcia Bena z Rayem Charle-

sem, Johnnym Cashem, Bobem Dylanem, Jimem Morrisonem, George'em Harrisonem, Janis Joplin, Grace Slick i Billem Clintonem.

- Ojej - powiedziałam. - Jesteś jak ten Zelig, którego grał Woody Allen

- Po prostu znalazłem się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. To był okres, kiedy nie dało się przejść ulicami San Francisco, żeby nie spotkać wschodzącej gwiazdy rocka.

- W zeszłym tygodniu widziałam Damona Gougha kupującego płyty na Street Light - powiedziałam. - A kilka lat temu Nicka Cave'a na Ocean Beach. To był jeden z tych dziwnych, mglistych dni, kiedy nie ma tam nikogo, tylko surferzy. Siedziałam na kłodzie i patrzyłam na fale. Nagle wysoka, chuda jak szkielet postać, cała ubrana na czarno idzie plażą w moim kierunku. Najpierw mnie przestraszył, a potem poznałam go. Powiedział „cześć”, a ja wykrztusiłam coś głupiego, że niezła pogoda na spacer. Po powrocie do domu sprawdziłam na Pink Sheet - tego wieczoru miał grać koncert w Fillmore.

- O, tak - powiedział Ben. - Byłem na tym koncercie, za sceną. Potem zrobiłem z nim wywiad. Miły facet.

- Odjazdowy.

- Odjazdowy, tak? - uśmiechnął się.

Chciałam się schować pod biurko. W jego obecności czułam, jakby moje życie było bardzo nudne; ludzie z mojego pokolenia nie czuli się „równiachami”. To było kolejne zagrożenie San Francisco.

Na półkach Bena piętrzyły się dziesiątki stosów różnych czasopism oznaczonych według daty wydania. Aby znaleźć tę taśmę on przeszukiwał biurko, a ja przeglądałam półki.

- Jesteś w tych wszystkich czasopismach? - zapytałam.

- Tak.

- To musi być całkiem odlotowe uczucie, żeby pozostawić światu swoją taśmę z nagraniami.

Ben popatrzył na mnie.

- To nie jest zapis własnych dokonań, moja droga. Ja jestem tylko obserwatorem.

Podeszłam i zerkałam mu przez ramię. W szufladach były setki taśm, ale nie wyglądały na uporządkowane według jakiegoś systemu. Po około dziesięciu minutach poddał się.

- Przepraszam - powiedział. - Mogłem ją komuś pożyczyć.

Zgasił światło i poprowadził mnie na górę. Na poziomie trzeciego piętra zatrzymał się.

- Ciekaw jestem, czemu robisz to teraz, po tylu latach? - zapytał. Nie bardzo wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Zdawałam sobie sprawę, że z punktu widzenia obcego człowieka to nie miało sensu.

- Mogę ci coś pokazać?

- Pewnie.



Wzięłam torebkę z kanapy i wyciągnęłam notes Lili. Opowiedziałam Benowi historię tego notesu i jak weszłam w jego posiadanie.

- To może brzmieć trochę... dziwnie - powiedziałam. - Ale odkąd mam jej notes, to przez te kilka tygodni czuję się jej bliższa niż przez te wszystkie lata po jej śmierci. Tak jakbym słyszała jej głos.

- Ja też cię słyszę.

- Słyszałeś kiedyś o hipotezie Keplera?

- Nie.

Położyłam notes na stole i przerzuciłam kilka kartek.

- To wszystko zaczął Johannes Kepler w 1611 roku - powiedziałam. - Kepler zainteresował się tym problemem, kiedy korespondował z Anglikiem Thomasem Harriotem, który usiłował pomóc swojemu przyjacielowi sir Walterowi Raleighowi obliczyć najlepszy sposób ułożenia kul armatnich na pokładzie statku. Celem było znalezienie możliwie najgęstszego ułożenia kul, aby zmieściła się ich jak największa ilość.

- Okey - odezwał się Ben.

Musiał się zastanawiać, dokąd zmierzałam z tym całym wywodem, ale słuchał cierpliwie, jakby to było zupełnie normalne, że obca kobieta siedzi u niego w salonie i robi mu wykład z matematyki.

- Hipoteza Keplera zakłada, że największa gęstość może być osiągnięta w ten sposób - przysunęłam mu notes, by widział zapiski Lili:

$$\frac{\pi}{\sqrt{18}} \simeq 0,74048$$

- Aby osiągnąć tę gęstość, dolna warstwa powinna być ułożona na planie sześciokątnym, a następna umieszczona w zagłębieniach poprzedniej warstwy. I tak jedna po drugiej aż do czubka piramidy - tak jak sprzedawca układa pomarańcze na straganie.

- Okey - powiedział, kiwając głową.

- Hipoteza Keplera wydaje się całkowicie rozsądna - powiedziałam.

- Owszem - potwierdził.

- Ale tu chodzi o to, że ta hipoteza po dziś dzień nie została dowiedziona. Sprawdziłam to i dowiedziałam się, że w 1998 dowód został przedstawiony przez amerykańskiego matematyka o nazwisku Thomas Hales. W 2003 komitet powołany do sprawdzenia pracy Halesa potwierdził, że w dziewięciu dziesięciu procentach są pewni, iż dowód jest poprawny. Ale kluczem jest ten jeden procent. Świat matematyczny wciąż czeka na publikację danych, które udowodnią hipotezę Keplera definitywnie.

- Kiepski interes dla Thomasa Halesa - powiedział Ben.

- Zgadzasz się. Ale to ma sens, że oni chcą być pewni, prawda? Chodzi o to, że Peter McConnell nie zabił Lili, ale zanim nie znajdę ostatecznego dowodu, zanim nie poukładam sobie tego wszystkiego tak, żeby miało sens, to wszystko jest tylko hipotezą. Ja po prostu muszę wiedzieć na pewno. Rozumiesz?

- Całkowicie - potwierdził Ben, kładąc rękę na moim ramieniu. - Życzę ci powodzenia, moja droga.

## 26.

Na prośbę matki poszłam do sypialni Lili. To było któregoś piątku, sześć miesięcy po jej śmierci.

- Zobacz, co tam można zrobić.

Poszłam, ale od razu wiedziałam, że nie będę w stanie wyrzucić ani jednej rzeczy. Fakt, że Lila nigdy nie była chomikiem, mógł ułatwić sprawę. Jeśli z jednej strony nie było tego wszystkiego dużo, to z drugiej wiedziałam, jak mocno była do nich przywiązana. Za życia troskliwie dbała o każdy przedmiot. Niewiele mogłam tu zrobić, bo Lila była obsesyjnie poukładana. Większość rzeczy mieściła się w stosie czerwonych pudeł na segregatory ustawionych na półkach od podłogi do sufitu obok jej biurka. Na każdym pudle naklejona biała kartka, a na niej wydrukowane: *pamiątki, dokumenty finansowe, korespondencja*. Notesy matematyczne były ułożone datami od lewej do prawej na półce nad biurkiem. Maszyna do szycia stała na drewnianym stole, który ładnie się wpasowywał w wykusz przy oknie. Pod stołem był koszyk z przędzą, nićmi, nożyczkami, poduszczkami na szpilki i wąskim, metalowym przymiarem krawieckim. Tuż przed swoim zniknięciem szyła sobie spódnicę z różnych kawałków materiału i na stole po lewej stronie był równo ułożony stosik kawałków jedwabiu o różnych wzorach i kolorach. Wzięłam te kwadraty i ułożyłam na jej łóżku. Żaden z nich nie pasował do innego, ale wiedziałam, że jeśli Lila skończyłaby spódnicę, to wszystko by pasowało. Szyła od trzeciej klasy, odkąd zaczęła chodzić na zajęcia szycia dla dzieci w City College. Kiedy to się skończyło, sama uczyła się dalej i stawała się coraz lepsza z każdą kolejną sztuką garderoby. Kilka razy próbowała nauczyć mnie, ale nigdy nie miałam cierpliwości. Moje ściegi były krzywe, suwaki się nie zasuwały, a guziki nie zapinały, wszystko było nierówne i niesymetryczne.

- Czemu to robisz? - zapytałam ją kiedyś, podczas jednego z tych beznadziejnych wieczorów poświęconych nauce szycia. - Wiesz, jaka mama jest z ubraniami. Kupi ci, co tylko zechcesz.

Lila miała igłę w zębach, a w ręce specjalne nożyczki do prucia szwów i była w trakcie poprawiania zaszewki, którą spartaczyłam w prostej, poszerzanej spódnicy.

- To mnie uspokaja - powiedziała nieco niewyraźnie z powodu tej igły. - Szycie ma wiele wspólnego z matematyką. Układasz wszystko razem w precyzyjny sposób, dążysz do najelegantszego

efektu końcowego, nieoczekiwanego i absolutnie pięknego - podniosła materiał do światła. - Patrz! - powiedziała po zlikwidowaniu zaszewki. - No, to rozpoczniemy od nowa.

Tamtego piątku, kiedy siedziałam sama w jej pokoju, wciąż słyszałam jej głos tak wyraźnie, jakby była ze mną i zastanawiałam się, jak to długo potrwa. Rodzice dopiero kilka lat temu kupili kamerę. Mieliśmy bardzo niewiele nagrań głosu Lili. Wiedziałam, że musi nastąpić taki moment, w którym te podstawowe ślady osoby zaczną blaknąć w pamięci. Odtąd bałam się tego dnia, w którym wspomnienie Lili przysłoni mgła.

Zapakowałam materiał w cienki, bibułkowy papier i położyłam w górnej szufladzie mojej bieliźniarki. Nie byłam pewna, co z tym zrobić. Na pewno nie spódnice, jak planowała Lila, ja bym to tylko zepsuła. Zastanawiałam się, czy nie dać tego komuś do zszycia; zapłacę i będzie narzuta typu patchwork. Spodobał mi się ten pomysł, miałabym to blisko siebie, coś namacalnego, czego mogłabym dotknąć, przynajmniej to przypominałoby mi Lilę. Potem dziesiątki razy wyjmowałam te kawałki z szuflady, rozwijałam i całymi godzinami rozkładałam na łóżku, przestawiałam, zamieniałam, szukając w tych kombinacjach wymyślnego wzoru, który ona miała na myśli. Kiedy na początku studiów wyprowadziłam się z domu rodziców, zabrałam to ze sobą. Z kilku tych kwadratów zrobiłam podszewkę w plecaku. Parę lat po jej śmierci podróżowałam sama po Europie. Wtedy i w późniejszych latach jeden czy dwa kawałeczki zawsze wędrowały ze mną.

Ponownie poszłam do jej pokoju i otworzyłam drzwi do garderoby. Wszystkie wieszaki były białe i ułożone w tę samą stronę. Najpierw wisiały bluzki, potem spódnice, spodnie i sukienki.

- Zatrzymaj sobie to, co chcesz nosić, a resztę daj koleżankom Lili powiedziała matka tego ranka, kiedy jechali z ojcem do Napa na ślub przyjaciół.

Kiedy myślę o tym teraz, jako osoba dorosła, wydaje mi się dziwne, że zostawili mnie samą, żebym zmagala się z duchami w jej pokoju, ale wtedy to ich zachowanie uznałam za objaw roztargnienia, które cechowało obydwoje po śmierci Lili.

Stojąc w jej małej garderobie i przesuwając wieszaki na drążku, ponownie pomyślałam o tym, co matka powiedziała rano. W jakim świecie ona żyła, myśląc, że jakieś stadko przyjaciółek czekało, żeby przyjąć jej stare ubrania. Mimo ich wszystkich usiłowań, żeby być kochającymi, troskliwymi rodzicami, tak naprawdę nigdy nie zdawali sobie sprawy, jak dalece wyalienowaną indywidualnością była Lila. Zaczęłam się zastanawiać, czy i ja opacznie ją rozumiałam przez całe życie. Wydawało mi się, że te wszystkie weekendy w średniej szkole i na studiach spędzała w domu z rodzicami, bo tego chciała. A może ona pragnęła przyjaciół, chłopaka, ale nie wiedziała, jak się do tego zabrać?

Ostatecznie poszłam do pobliskiego sklepu i kupiłam kilka wielkich plastikowych pojemników, do których włożyłam czerwone pudła ze skoroszytami, koszyk z przyborami do szycia, książki, notesy i pościel. Jedyną rzecz, którą sobie zatrzymałam, to *Apologia matematyka* G.H. Hardy'ego, cienka

książka, którą przeczytałam przez te lata kilka razy. Byłam pod wrażeniem prostoty, z jaką Hardy opisał piękno czystej matematyki.

Jeden za drugim przenosiłam pojemniki do garderoby rodziców, potem przepchnęłam je przez małe drzwiczki prowadzące na niski stryszek pod dachem, gdzie stało gorące powietrze. Kiedy już wszystkie tam były, wzięłam latarkę i przedzierając się przez pajęczyny oraz tumany kurzu czołgałam się, by wepchnąć je do najdalszego kąta. Nikt tam nigdy nie wchodził. Nie obyło się to bez pewnego poczucia winy, że rzeczy Lili będą tam zupełnie samotne. Wiem, że nie o to matka prosiła. Ale czułam się wytłumaczona. Wyjeżdżając do Napa rodzice zostawili mnie z poleceniem, bym zrobiła coś z jej rzeczami, żeby zniknęły. A co zrobię - to już była moja sprawa.

Potem żałowałam, że zadzwoniłam do tej jednej osoby, której mogłam się zwierzyć, do Andrewa Thorpe'a. Byłam wciąż nakręcona wydarzeniami całego dnia i wpuściłam go do domu, opowiedziałam o wszystkim.

- Mogę zobaczyć? - poprosił.

No więc zaprowadziłam go do pokoju rodziców, otwierałam drzwiczki na stryszek, patrzyłam, jak wszedł do środka, świecąc latarką po pojemnikach. Nie miałam pojęcia, czemu chciał zobaczyć to zakurzone miejsce, nie widziałam powodu, dla którego miałby tak interesować się starymi rzeczami Lili. Dopiero potem zrozumiałam, że poszedł tam dla autentyzmu, aby móc opisać to ciasne pomieszczenie, zatechły zapach, niebieski połysk tanich, plastikowych pojemników.

Wiele lat później, kiedy matka przygotowywała się do sprzedaży domu i przeprowadzki do Santa Cruz, zadzwoniła do mnie.

- Wczołgałam się na ten stryszek - powiedziała łamiącym się głosem. - Myślałam, że wydałaś te rzeczy.

Przez wszystkie lata matka była nieświadoma, że rzeczy Lili leżały kilka metrów od łóżka, na którym spała. Wyszłam wcześniej z pracy i pojechałam do domu dzieciństwa. Obie przejrzałyśmy te pojemniki. Była tam płyta Cata Stevensa pod tytułem *Numbers* wydana w 1975 roku. Wprawdzie była to tylko jedna z trzyczęściowego albumu, który tworzyła wraz z *Izitso* i *Back to Earth*, ale Lila miała tylko *Numbers*. Kiedyś słuchała tego codziennie po szkole, tak często, że te piosenki wgrały mi się w mózg. A potem przestała tego słuchać i ja też zapomniałam. Odkurzyłam, przeczytałam tytuły piosenek z okładki i wtedy coś mi zaświtało w głowie i od razu cała melodia przypomniła mi się wraz ze słowami. W pierwszej chwili chciałam posłuchać płyty, ale potem zorientowałam się, że nie mam na czym. Rodzice dawno temu pozbyli się adaptera, a ja nie wymyśliłam nikogo znajomego, kto miałby takie urządzenie.

- Jeśli naprawdę chcesz tego posłuchać, to jestem pewna, że znajdziesz taki na eBayu - powiedziała.

- Może tak - odparłam, ale nigdy nie poszukałam.

## 27.

- Imię Steve - powiedział Thorpe. - Nazwisko S-t-r-a-c-h-m-a-n.

W poniedziałkowy wieczór siedzieliśmy w Simple Pleasures na powietrzu. Wcześniej tego dnia byłam umówiona z jego właścicielem, Ahmedem, który od lat osiemdziesiątych kupował kawę w Golden Gate Coffee. Wprawdzie wciąż dostarczaliśmy mu kawę, ale teraz założył własną palarnię kilka metrów od tej popularnej kawiarni. Piękna, brązowa maszyna stała tuż przy oknie i około czwartej po południu dzieciaki z sąsiedztwa zbierały się na chodniku, by patrzeć, jak się pali kawę.

Zapowiadał się wieczór z muzyką na żywo, piosenkarz folkowy Patrick Wolf usadowił się w małym pomieszczeniu za kuchnią. Wpisałam nazwisko Steve'a Strachmana do notesu i przeliterowałam Thorpe'owi, żeby nie było pomyłki.

- Coś mi to mówi - powiedziałam.

- Był studentem matematyki w Stanford - powiedział Thorpe. - Kandydatem do Nagrody Hilberta.

- Tej, którą miała dostać Lila. Thorpe pokiwał głową.

Nagroda Hilberta była przyznawana w lutym każdego parzystego roku obiecującemu doktorantowi za pracę nad jednym ze sławnych nierozwiązanych problemów Davida Hilberta. Wtedy mówiło się, że rok 1990 będzie rokiem Lili. Ta nagroda świeciła Lili jak gwiazdka na horyzoncie w miesiącach poprzedzających jej śmierć. Była oszołomiona perspektywą zdobycia jej.

- W tym samym czasie Lila pracowała nad Goldbachem - wyjaśnił Thorpe. - A Strachman nad hipotezą Hodge'a. Zwróć uwagę, nie nad żadnym z problemów Hilberta, Strachman wierzył bowiem, że postęp w pracach nad Hodge'em może w efekcie rzucić światło na hipotezę Riemanna. Tak jak Lila, on był swego rodzaju geniuszem. Zdobył nazwisko w szkole średniej podczas olimpiady matematycznej w 1982. Z tego, czego się dowiedziałem podczas różnych wywiadów, nie był w Stanford zbyt lubiany, arogancki, wszystkich uważał za konkurencję. Nękał innych studentów krytykowaniem ich pracy, a sam, przysłuchując się dyskusjom innych - nigdy nic nie dodał od siebie. Matematycy jako grupa są niezmiernie związani ze sobą, wciąż dzielą się informacjami. A Strachman nigdy się nie dzielił. Kiedykolwiek przyszedł mu do głowy pomysł, który wydawał mu się szczególnie interesujący albo wartościowy, posyłał go do siebie w zaklejonej kopercie, żeby miał dowód, kiedy dokładnie na to wpadł. Zachowywał się jak paranoik. Ze strachu, że ktoś będzie usiłował ukraść jego pomysły, trzymał swoje notesy i te koperty pod kluczem w domu, w szufladzie. I może jeszcze taki drobiazg. Kiedyś gliny dostały wezwanie w sprawie zaburzenia miru domowego i pojawiły się u nich. Podobno przyłapał matkę, jak usiłowała włamać się do jego szuflady, kiedy sprzątała mu pokój. To spowodowało, że zaczął zachowywać się agresywnie.

- Mieszkał z matką?

- Owszem.

- Uderz w stół, a nożyce się odezwą - powiedziałam. - Przecież Lila mieszkała w domu, to było dla mnie tak oczywiste, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

- Tak, ale on był facetem - to jest co innego. O, jeszcze to, że był starszy.

Wolf zaczął śpiewać. Brzmiał dobrze.

- Wyjdźmy na zewnątrz - powiedział Thorpe. - Zaczyna się tu robić trochę głośno. Wychodząc, powiedziałam „cześć” do dziewczyny Wolfa, przedszkolanki o imieniu Mary i do Peggy i Matta, którzy mieli studio pilates po drugiej stronie ulicy. Lubiłam to w kawiarenkach w San Francisco: jeśli spędzisz trochę czasu w którejś z nich, zaczynasz rozpoznawać twarze, poznajesz osobiste historie.

W ciągu ostatniej godziny temperatura na zewnątrz spadła o dobrych kilka stopni. Kiedy przyszedłam tu wczesnym wieczorem, nad oceanem zbierała się mgła, teraz zaczęła wchodzić na ulice. Kiedy mgła leżała tak nisko jak dzisiaj, przypominały mi się lasy w chmurach w Kostaryce i Peru. Włożyłam żakiet i siadłam naprzeciw Thorpe'a przy małym, drewnianym stoliku. Pochylił się, by pogłaskać białego, kudłatego psa, który był przywiązany do parkometru.

- Zimno ci, mały? - zaskoczyła mnie jego czułość.

Potem popatrzył do góry, jakby chciał się upewnić, że zauważyłam. Uderzyło mnie, że ta czułość w stosunku do psa, jak i wiele innych rzeczy związanych z nim mogły być wykalkulowanym działaniem, by podtrzymać odpowiedni wizerunek. W końcu, jeśli tak bardzo kochał psy, mógł sobie kupić.

- Ten Strachman, mówisz, był dziwny i z każdej strony obawiał się konkurencji. Ale taki opis pasuje do wielu ludzi, których znam - powiedziałam.

- Jasne. Ale posłuchaj tego. Kilka dni po śmierci Lili Strachman zapytał jednego ze swoich profesorów o tę nagrodę.

- To jeszcze nie przestępstwo. Thorpe pochylił się do przodu.

- Jego pytanie, według mojego źródła, brzmiało dokładnie tak: „Kto jest następny do Nagrody Hilberta, teraz, kiedy Enderlin już nie wchodzi w grę?”.

- I nie uważałeś tego za wystarczająco ważne, by zamieścić w książce?

- Napisałem o tym - powiedział. - Wydawca wyciął. Redaktorka uważała, że to trochę namiesza, jak wprowadzi się jeszcze jednego matematyka ze Stanford. Twierdziła, że czytelnik może poradzić sobie tylko z pewną liczbą postaci, zanim one wszystkie zaczną się rozwijać.

- To twoje źródło to kto?

- Ten profesor, któremu Strachman zadał to pytanie.

Według Thorpe'a od miesiący wszyscy wiedzieli, że nagrodę zdobędzie albo Lila, albo Strachman. Szli łeb w łeb. Z powodu sukcesu, jaki odniosła Lila, przedstawiając swoją pracę w Columbii w



listopadzie - szala przechyliła się, zwycięstwo Lili było prawie pewne. Chociaż nigdy by się do tego nie przyznała, wiedziałam, jak bardzo pragnęła tej nagrody, już ją prawie dotykała.

- Strachman dostał nagrodę?

- Tak.

- Gdzie on jest teraz?

Postanowiłam przygotować się na wiadomości: jest światowej sławy matematykiem, Nagroda Hilberta usłała mu różami drogę do wielkich sukcesów, udowodnił hipotezę Hodge'a i stał się swego rodzaju gwiazdą. Byłby teraz po czterdziestce i żył w splendorze, odcinając kupony od swoich wcześniejszych sukcesów. Ale zupełnie źle to wymyśliłam.

- Dawno temu porzucił matematykę. Próbował swoich sił w inżynierii, a kiedy i to nie wypaliło - został przedsiębiorcą budowlanym. Mówili o nim w wiadomościach kilka lat temu w kontekście naprawy rampy na Bay Bridge po tej tragedii z cysterną.

- Żartujesz. To ten Strachman?

- Tak, tak.

Wtedy to była wielka sprawa. Ciężarówka wioząca 300 baryłek paliwa uderzyła w zapórę w środku nocy i zapaliła się, wznecając gigantyczny pożar do samego nieba. Kierowca zginął, ale to, co naprawdę przykuło uwagę ludzi, to zniszczone bramki przy wjeździe na autostradę. Tym jednym wypadkiem ciężarówka wydłużyła 20-minutowy dojazd do miasta do co najmniej trzech godzin. Firma Strachmana wygrała przetarg na odbudowę wjazdu. To miało trwać sześć miesięcy, ale Strachman zrobił to w trzydzieści dni. Cały Bay Bridge został zamknięty w weekend przypadający na Święto Pracy, by dokończyć wszystko jeszcze wcześniej. W wiadomościach było wiele spekulacji, czy most zdąży otworzyć na wtorek. Ale ludzie wracający do domu w poniedziałek późnym wieczorem przekonali się, że został otwarty jedenaście godzin przed tym nowym terminem. Ten kawał wspaniałej, inżynierskiej roboty zrobił ze Strachmana lokalną sławę. Jego zdjęcie pojawiło się na pierwszej stronie „Chronicle” pod napisem: „Najefektywniejszy człowiek w SF.”

Co takiego było w okolicy całej Zatoki, że tak przyciągała? To miejsce było jakimś kłębowiskiem. Tam było cieplej w porównaniu z zimnym Pacyfikiem. Pomimo niebywałych kosztów życia, przygnębiającej mgły, nieuchronnego wielkiego trzęsienia ziemi i plagi bezdomnych, Bay Area działało jak gigantyczny lep na muchy. Nie pamiętam, jak wielu ludzi mówiło mi przez te wszystkie lata, że przyjechali do San Francisco z planem pozostania na kilka lat, a zapuścili korzenie na całe dziesiątki. Przyszła gwiazda rocka, geniusz matematyczny, początkujący pisarz, starzejący się hipis - jakoś nikt z nich nie miał serca, by wyjechać. Może to miało coś wspólnego z wodą, która płynęła z Hetch Hetchy. Może to klimat. Albo coś z jedzeniem. Może to muzyka. Nieważne - całkowicie to rozumiałam.

Tamtej nocy, kiedy pożegnałam się z Thorpe'em, poszłam do domu i znalazłam problem Strachmana w notesie Lili. U góry, na jednej ze stron napisała: hipoteza Hodge'a, a poniżej:

Niech  $X$  będzie zespoloną rozmaitością rzutową. Wtedy każda klasa Hodge'a na  $X$  jest kombinacją liniową ze współczynnikami wymiernymi klas kohomologii zespolonych podrozmaitości algebraicznych  $X$ .

Nie można zrozumieć problemu, jeśli nie rozumie się najbardziej podstawowych terminów. Czulałam, jakbym czytała straszliwie trudny rozdział w obcym języku.

Tej nocy przeczytałam każdą stronę z notatnika Lili na temat hipotezy Hodge'a. Przepisałam je i odczytałam ponownie. Poszukałam problemu w sieci, analizując każdy z elementów kawałek po kawałku. Odkryłam, że hipoteza pozostała otwarta i uznana za tak trudną i ważną, że czekała milionowa nagroda na każdego, kto mógłby ją udowodnić. Znalazłam kilka innych matematycznych stron, które podchodziły do problemu z różnym stopniem złożoności i studiowałam każdą z nich, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami. Pracowałam całą noc. Rano wcale nie byłam bliżej zrozumienia. To było tak samo, jak z problemem śmierci Lili. Mogłam podejść do niej z różnych stron. Mogłam przyjrzeć się każdej możliwości, ułożyć każdą ilość różnych wersji. Mogłam nawet odwrócić stronę do góry nogami, żeby uzyskać jeszcze inną perspektywę, tak jak robiła Lila, kiedy nie mogła z czegoś wybrnąć.

„Wyobraźnia jest ważniejsza od wiedzy”, powiedział Einstein. Znalazłam ten cytat obok kilku innych, zapisany maleńką kursywą, schowany na marginesie kartki jej notesu. Tak jakby Lila zbierała te urywki mądrości dla dodania sobie odwagi w takie dni, kiedy problem wydawał się nie do pokonania. Podejrzewałam, że geniusz Lili leżał w jej nieokiełznanej wyobraźni, w jej zdolności do dostrzegania rzeczy, których jeszcze jej nie uczyli. Polegał na umiejętności połączenia ze sobą zupełnie nieprzystających elementów, by powstała sensowna całość. Obawiałam się, że moja własna wyobraźnia nie wystarczy do wymyślenia, co stało się z Lilą. Chyba ta sprawa jest po prostu poza moimi możliwościami. Ale bez względu na wszystko musiałam spróbować. Muszę szukać dotąd, aż znajdę odpowiedź, albo utknę w ślepej uliczce.

Przebiegłam palcami po kartkach notesu, przytuliłam notes do twarzy i wchłaniałam nieco stęchły zapach papieru i szlachetną woń grafitu. Spotkanie z McConnellem wywróciło moje życie do góry nogami, ale w pewien sposób przywróciło mi Lilę. Ten przedmiot związany niezmiernie mocno z jej życiem, zapis jej dni był dla mnie oknem, przez które mogłam widzieć siostrę, kiedy była w swoim najlepszym okresie, najszczęśliwsza. Przez tyle lat brak notesu nie dawał mi spokoju. Nie mogłam znieść myśli, że notes, do którego przelewała swoje najwspanialsze pomysły, mógł skończyć gdzieś na wysypisku, albo jeszcze gorzej, u człowieka, który ją zabił. Trzymanie go w rękach dawało mi poczucie ogromnej ulgi, co więcej, poczucie większej bliskości z nią niż kiedykolwiek.

## 28.

Następnego dnia w Golden Gate Coffee Dora nie siedziała na swoim zwykłym miejscu przy pierwszym biurku. Pokój do testowania kawy także był pusty. Włożyłam na głowę obowiązkowy papierowy czepek i otworzyłam drzwi do magazynu, gdzie Reggie wsypywał porcję ziaren do bębna. Maszyna bardzo hałasowała, musiałam krzyczeć, żeby mnie usłyszał.

- Gdzie są wszyscy? Reggie pokazał za siebie.

- Co się dzieje?

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

W poczekalni Jennifer Wilson i brygadzysta Bobby Love stali kołem z Mike'em i Dorą. Cała grupa była bardzo ożywiona. Rozmawiała z kimś, kto był odwrócony do mnie plecami.

- Ellie, popatrz, kto tu jest! - wykrzyknęła Dora.

Mężczyzna odwrócił się do mnie i uśmiechnął. Jak zwykle wyglądał bardzo dobrze. Dżinsy, czarny sweter, niezwykle buty i zmierzwione włosy.

- Witaj - odezwał się Henry - dawno niewidziana dziewczyno.

- Cześć - powiedziałam tak cicho, że ledwie było słycać, więc po chwili powtórzyłam głośno i radośnie. - Cześć!

Podeszłam do nich. Henry pociągnął mnie do niedźwiedziego uścisku, ale cofnęłam się.

Od tego wieczoru, kiedy trzy lata temu Henry zniknął w Gwatemali, wiele razy wyobrażałam sobie nasze pogodzenie. Ale nigdy nie w taki sposób, przy publiczności złożonej z naszych znajomych, a do tego ja w dżinsach i powyciąganym pulowerze, w idiotycznym papierowym czepku na głowie.

Dora ściągnęła mnie wzrokiem i pokazała na ząb, uniwersalna informacja, że mam pomadkę na zębach. Potarłam je palcem.

- Małe *déjà vu*? - zapytał Mike.

Wszyscy znali naszą historię, wiedzieli jak się poznaliśmy. Właśnie tu, w tym magazynie siedem lat temu. Tego dnia przyszedł na rozmowę w sprawie pracy i potem Mike oprowadzał go po firmie, przedstawiając wszystkim. I wtedy, i dzisiaj miałam na głowie papierowy czepek. Nie takie pierwsze wrażenie chciałam zrobić. W chwilę po przedstawieniu nas sobie, Mike został poproszony do telefonu. Kiedy tylko zostaliśmy sami, Henry powiedział:

- Dobrze ci w tym kapeluszu. Podkreśla twoje dołeczki.

- Jeśli mówisz, licząc na to, że szepnę dobre słówko szefowi - powiedziałam - to muszę cię ostrzec, że nie mam tutaj absolutnie żadnych wpływów.

- To mnie nie obchodzi. Pójdiesz ze mną na Grahama Parkera w ten weekend? Do Great American Music Hall.

Już miałam plany na koniec tygodnia, ale natychmiast wiedziałam, że je odwołam. Kiedy skończyłam oprowadzać Henry'ego po magazynie, Mike'a wciąż nie było, więc wyszliśmy przed budynek na słońce.

Zdjęłam czepek

- A tak jeszcze bardziej mi się podoba - powiedział Henry.

Tamtego popołudnia powiedziałam Mike'owi, że byłby głupcem, gdyby nie zatrudnił Henry'ego.

W Great American Music Hall podczas przerwy na zmianę dekoracji Henry opowiedział mi historię urzędnika Francisco de Melho Palheta, portugalskiego Brazylijczyka, którego poproszono o mediację w sprawie granicy pomiędzy Gujaną Francuską a Holenderską w 1727 roku. Uchodził za bezstronnego, ale faktycznie chciał za każdą cenę położyć łapę na upragnionych gujańskich sadzonkach kawy, których nie wolno było legalnie eksportować.

- No i jak to zrobił? - zapytałam, trzymając rękę na stole pomiędzy nami.

- Uwiódł żonę francuskiego gubernatora - odpowiedział Henry, lekko dotykając koniuszków moich palców swoimi. - Kiedy wyjeżdżał, dała mu bukiet kwiatów, w którym ukrytych było kilka sadzonek kawy. Dojechały do Brazylii. - Przesunął rękę i położył na mojej. - Słyszałaś poemat o kawie arabskiego poety Rumiego?

- Chyba nie zaczniesz mi tu recytować poezji.

- „Kiedy czarny duch wejdzie w nas - Henry mówił tak cicho, że musiałam się pochylić ku niemu. - Potem duch Boga i powietrza/I wszystko to jest cudowne/ Porusza nas całą noc, która się nigdy nie kończy”.

Gdyby to był kto inny, zaśmiałabym mu się w twarz, ale to był Henry. Posiadał dar opowiadania.

A teraz wrócił i nie bardzo wiedziałam, jak mam się przy nim zachować. Z tym człowiekiem miałam nadzieję rozpocząć wspólne życie, z nim chciałam mieć dziecko. Stałam obok, słyszałam jego głos i wdychałam zapach piasku i szyszek sosnowych emanujący z jego skóry. To wszystko mi uświadomiło, że moje uczucie do Henry'ego to nie tylko nostalgia.

Byłam oszołomiona, ale z toczącej się rozmowy udało mi się wychwycić, że ze wschodniego wybrzeża przeprowadził się z powrotem do San Francisco i zamierzał otworzyć własną kawiarnię. Chciał kupić od nas kawę.

Mike przeprosił, że ma spotkanie. Klepnął mocno Henry'ego w łopatkę.

- Cieszymy się, że wróciłeś. - Nigdy nie wierzyłem, że długo wytrzymasz w Nowym Jorku. Śnieżyce i te ich wymyślne kanapki, komu to potrzebne?

- Zobaczymy, jak będzie.

- Zostawiam cię pod opieką Ellie - dodał Mike. - Z Nikaragui idzie świetna kawa. Wszystko ci o niej opowie.

Wyszedł, zostawiając nas samych.

- Nie zmieniłaś się - powiedział Henry.

- Ty też nie.

Poczułam suchość w ustach. Stare uczucie, zawsze je miałam przy nim, szczególnie, kiedy chciałam być blisko. Nawet przez tych kilka ostatnich wspólnych miesięcy, kiedy tak walczyliśmy ze sobą, nie zmniejszyła się u mnie potrzeba dotykania jego skóry, wciąż chciałam czuć jego ręce na sobie.

- Właściwie to ja też już wychodzę - powiedział. - Muszę podpisać umowę najmu lokalu. Zjemy obiad w piątek?

Nie mogłam uwierzyć, że zapytał o to w taki zwykły sposób, jakby nigdy nie wyjeżdżał. Jakby te ostatnie trzy lata nie istniały.

- Bardzo bym chciała, ale jestem zajęta.

To była prawda. Ben Fong-Torres zadzwonił, że znalazł taśmę, którą Billy Boudreaux dał mu w 1999. Przypuszczał, że będę chciała posłuchać.

Wyszliśmy na zewnątrz. Mgła wisiała nisko nad budynkami, świat wydawał się chłodny i cichy. Tuż przy drzwiach stała zaparkowana srebrna toyota prius.

- Moja - powiedział Henry, kładąc rękę na dachu samochodu.

- Przystajesz do zielonych.

- To dobry miejski samochód - powiedział. - Całkiem zwawy. Nie mogę się zdobyć na to, żeby się rozstać z jeepem. W tej chwili stoi na ulicy przed domem. Muszę go przestawiać co kilka dni, żeby nie dostać mandatu.

- Uwielbiałam tego jeepa.

- Jakiś rok temu mieliśmy wypadek w północnej części stanu Nowy York - powiedział. - Jeep zachował się cudownie. Przez kilka tygodni byłem w szpitalu. Już bym prawdopodobnie nie żył, gdybym jechał tym drobiazgiem.

Moją pierwszą myślą było, co bym zrobiła, gdybym dostała wiadomość, że Henry nie żyje? A zaraz potem - dlaczego użył zaimka w liczbie mnogiej?

Przez trzy lata zastanawiałam się, co się z nim dzieje i o co naprawdę poszło. Dziesiątki razy odgrywałam w myślach ostatnią kłótnię i wyrzucałam sobie, że wyszłam z hotelu, zamiast zostać z nim i porozmawiać. Chciałam go zapytać, co się stało, dlaczego wyjechał, czy po prostu przestał mnie kochać? A jeśli tak, to kiedy? Ale nie byłam w stanie zapytać. Zamiast tego rozmawialiśmy o samochodach.

Popatrzyłam na jego lewą dłoń. Nie miał obrączki. A potem zapytałam, bo nie mogłam się powstrzymać.

- Kto „my”?

- Że co?

- Powiedziałaś, że mieliście wypadek.

Zaraz pożałowałam, wolałabym nigdy o to nie zapytać, ale było za późno.

- Jeep - powiedział, śmiejąc się. - Miałem na myśli jeepa i siebie.

## 29.

Tamtego wieczoru w domu zaczęłam szukać informacji o Strachmanie. Najpierw przeczytałam artykuł w „Chronicle” pod tytułem „Najefektywniejszy człowiek w SF”. Potem znalazłam wywiad w czasopiśmie „Marin”, w którym opowiadał o dwójce swoich dzieci, miłości do wędkarstwa głębino-owego, śpiewu Franka Sinatry i kawiarenki Crossroads niedaleko jego biura, gdzie każdego ranka pił kawę. W tych wypowiedziach wydawał się normalnym, sympatycznym facetem. Ale minęło dwadzieścia lat, odkąd zabrał do domu Nagrodę Hilberta. Czy ludzie mogą się aż tak zmienić? Czy przy wystarczająco dużej ilości czasu i sprzyjających okolicznościach niebezpieczny kryminalista może się przemienić w normalnie pracującego członka społeczeństwa, i to takiego, którego można polubić?

Następnego ranka poszłam do Crossroads przy South Beach. Byłam tam o 6.45, ale wywieszka na drzwiach mówiła, że otwierają o siódmej, więc poszłam na mały spacer. Poprzedniego wieczoru Giants grali mecz, więc chodniki były zasłane chorągiewkami i okolicznościowymi plastikowymi kubkami. Minęłam faceta w szlafroku i trampkach wymiotującego przed swoją kupioną za wiele milionów dolarów posiadłością. I uczennicę w plisowanej spódniczce i klasycznych czarno-białych półbucikach. Czekwała na autobus, paliła, w przerwach między zaciąganiem się przyglądała się papierosowi z odrazą.

Kiedy wróciłam, Crossroads była już otwarta. Zamówiłam kawę z Sumatry i zaczęłam przeglądać książki na półkach. Mieli tu różnorodny wybór powieści i biografii. Odręczna informacja na jednej z półek zapowiadała, że tematem miesiąca jest mgła. Były tam między innymi *Footsteps in the Fog: Alfred Hitchcock's San Francisco*, *Księżycowy pałac* Paula Austera i *Sen we mgle* Jurija Rytcheu. Na dolnej półce zauważyłam powieść, którą czytałam ostatnio, rodzaj kryminału o grupie porywaczy z San Francisco. Książka była ciekawa, chociaż trochę rozwlekła. Od połowy zaczęłam omijać długie fragmenty na temat pamięci i winy, by dotrzeć do samej akcji. Czytając, złapałam się na tym, że myślę o wstępie, rozwinięciu i zakończeniu, które każda powieść powinna mieć. Może właśnie dlatego książki Thorpe'a były tak popularne. On nigdy nie marnował czasu na sprawy ezoteryczne. Bohaterów prezentował już na samym początku, a następnie pospiesznie, prawie metodycznie przedstawiał treść.



Gdybym mogła popatrzeć obiektywnie na jego książki - co było prawie niemożliwe w zaistniałej sytuacji - zauważyłabym, że wiedział, jak pociągnąć czytelnika za sobą, jak skonstruować fabułę i doprowadzić do satysfakcjonującego rezultatu na kilka kartek przed ostatecznym zakończeniem książki. Umiał pozostawić czytelnika w niedosyć.

„Wielu pisarzy uważa, że popularność jest literackim pocałunkiem śmierci - powiedział mi kiedyś, na wiele miesięcy, zanim dowiedziałam się, że zamierza pisać o Lili. - Jeśli wielu osobom podobają się pewne książki, ich autorzy myślą, że osiągnęli popularność. Jeśli ja kiedykolwiek wydam książkę, odpukać w niemalowane, to będę chciał, żeby to wszyscy czytali. Mnóstwo, mnóstwo ludzi”.

Wtedy uderzyło mnie, że Thorpe zupełnie bezwstydnie mówił o swoich ambicjach. Zastanawiałam się, czy ja kiedykolwiek poczuję taki przypływ ambicji. Studiowałam literaturę po to, żeby czytać książki, a nie pisać. Nie miałam zielonego pojęcia, co zrobię z moim dyplomem, kiedy skończę studia. Zupełnie inaczej niż Lila, która miała wytyczoną ścieżkę od momentu, kiedy w podstawówce otworzyła swój pierwszy podręcznik do matematyki. Ja nie miałam żadnego pomysłu co do swojej przyszłości. W efekcie to był przypadek, a nie ambicja, który przyprowadził mnie do kawy i kariery w tej branży. Przypadek był takim elementem, dla którego Lila nie znajdowała miejsca w swoim życiu.

Powoli w Crossroads zaczęli pojawiać się ludzie. Przyglądałam się ich twarzom, wypatrując Strachmana. Przeczytany artykuł mówił, że przychodzi tu na podwójną latte i czyta gazetę każdego ranka w dni powszednie. Czytanie w kawiarni i spacer do biura kilka budynków dalej - to był jego zwyczaj. Widziałam jego zdjęcie w „Marine” i byłam pewna, że go rozpoznam.

Za kwadrans ósma wciąż go nie było. Wypiłam drugą filiżankę kawy, przejrzałam wszystkie książki, przebiegłam wzrokiem tytuły w „New York Times” i zaczęłam się niecierpliwić.

Ósma - nadal go nie ma. Już się zastanawiałam, czy nie pójść do biura, ale obawiałam się, że moja obecność tam mogłaby go zaniepokoić. A tu, w kawiarni, ludzie po prostu na siebie wpadają przypadkowo. Ciekawa byłam, co zrobiłby prywatny detektyw albo Thorpe. A w ogóle, jak Thorpe naciągnął tych wszystkich ludzi na rozmowy?

Strachman wszedł dziesięć po ósmej. W pierwszej chwili nie poznałam go, bo bardzo stracił na wadze i twarz miał o wiele szczuplejszą niż na fotografii. Ubrany był w spodnie khaki, trzewiki ze stalowymi noskami i koszulę dżinsową. Mimo codzienności ubioru widać było, że każda część garderoby kosztowała duże pieniądze. Ubrania na pewno kupował w jakimś niemożliwie drogim sklepie, gdzie klient zostawiał setki dolarów za koszulę zaprojektowaną tak, by wyglądała na znoszoną. Miękkie, powoli siwiejące włosy wyglądały jak prosto od fryzjera, a dołeczki na policzkach zamieniły się w wyraźne bruzdy. Robił wrażenie przystojniaka z północnej Kalifornii, co oznacza, że dobry wygląd bardziej wynikał z kupowania drogiej, zdrowej żywności i weekendów spędzanych nad Tahoe niż z dobrych genów.

Wziął gazetę. Mimo że ekspres do kawy syczał, słyszałam jego rozmowę z dziewczyną za kontuarem.

- Dzień dobry, Isabelle. Zwykły obwarzanek, bez dodatków, proszę. Podwójna latte.

Odwrócił się od kontuaru, usiłując utrzymać wszystko; obwarzanek, gazetę i kawę. Rozglądał się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Kiedy zerknął w moim kierunku, uśmiechnęłam się.

- Tu jest wolne miejsce.

- Szczęściarz ze mnie. To będzie na pewno dobry dzień, jeśli miła, młoda kobieta zaprasza mnie do swojego stolika - otworzył gazetę i dodał: - Czy ja to właśnie powiedziałem? Proszę mi wybaczyć, czasami głośno myślę.

Zabawne, to brzmiało zupełnie szczerze. Jakby te słowa wymknęły mu się z ust. Czekałam na moment, kiedy spojrzy na mnie i zauważy, że to Lila patrzy na niego.

- Steve Strachman, prawda? - powiedziałam. Podniósł brwi.

- Skąd wiesz?

- Włączam się ślimakiem do ruchu na Yerba Buena. Robi wrażenie to, co zrobiłeś.

Wzruszył ramionami.

- To mój zawód. Jedyny powód, dla którego ludzie tak się tym podniecają, to powolne tempo, w jakim zazwyczaj tamtędy jadą. - Strzepnął okruszki z gazety. Chyba mnie nie rozpoznał. - Jak się nazywasz?

- Ellie - powiedziałam. - Ellie Enderlin.

Wyciągnął rękę przez stół, by mi ją podać. Kiedy mnie dotknął, zobaczyłam w jego twarzy, że coś go uderzyło. Szybko wycofał rękę i upił łyk kawy.

- Czy coś się stało?

- Kiedyś znałem kogoś o nazwisku Enderlin. To było dawno temu.

Przerwał i przez chwilę wpatrywał się w swoją gazetę, ale jej nie czytał. Potem znów podniósł głowę i przyglądał mi się.

- Na imię jej było Lila - powiedział. - Miała siostrę.

Dalej mi się przyglądał. Widziałam, że usiłuje poskładać wszystkie klocki razem.

- Wiem - powiedziałam wreszcie.

- To przypadek - powiedział. - To jest przypadek, prawda?

Miałam przed sobą bardzo kosztownie ubranego człowieka o dobrych oczach i dołeczkach, kiedy się uśmiechał. Każdy by się założył, że to sympatyczny człowiek, który nosi zdjęcia swoich dzieci w portfelu, robi niespodzianki żonie, przynosząc jej kwiaty bez okazji. Znał dziewczynę z za kontuaru, zwracał się do niej po imieniu i pytał ją, jak leci. Zupełnie nie przypominał portretu, który stworzył mu Thorpe, osobnika aroganckiego i tajemniczego. Ale z drugiej strony widać było, że jest zaskoczony. Moja obecność była mu bardzo nie na rękę.

- Pracujesz wciąż nad tym sławnym problemem? - zapytałam.

- Słucham?

- Hipoteza Hodge'a.

Machał ręką, jakby odganiał muchę.

- To było na zupełnie innym etapie mojego życia. Dawno temu rzuciłem matematykę.

- Czemu?

Zrobił taki ruch, jakby chciał wstać, ale został. Miałam nadzieję, że nie wyjdzie, bo nie miałam awaryjnego planu B.

- Nie byłem wystarczająco dobry.

- Musiałeś być. Dostałeś Nagrodę Hilberta. Zmarszczył się.

- Tylko dlatego, że ktoś nie przyszedł. To była Lila. Nagroda jej się należała. Wszyscy o tym wiedzieli.

- Ale jednak... - nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć.

Po prostu przeciągałam rozmowę. Czułam się zupełnie inaczej niż z Delią Wheeler. Z nią była jakaś logiczna kolejność wydarzeń, dzięki którym mogłam rozpocząć rozmowę. W przypadku Strachmana - nie wiedziałam jak.

- Prawda jest taka, że chyba z jej powodu się wycofałem - powiedział. Wiedziałem, że nigdy nie będę tak dobry, jak twoja siostra. Nie tylko ona. Byli też inni, którzy samą swoją obecnością powodowali, że czułem się jak oszust. Na przykład McConnell, przyjaciel Lili, żeby wymienić choćby jednego. Nie dość, że ta niebywale bystra dziewczyna była w nim zakochana, on sam też był świetny. Poczulałam suchość w gardle.

- Wiedziałaś o nich? Wtedy, zanim się to wszystko stało?

- Tak.

- Ale jak? Wydawało mi się, że trzymali to w sekrecie przed wszystkimi.

- Prawie przed wszystkimi. Widziałem ich kiedyś razem w redakcji „Stanford Journal of Mathematics”. Wszedłem, a oni się - podrapał się w szyję i odwrócił wzrok.

- A oni się co?

- Byli zajęci sobą - znowu wypił łyk kawy.

- Jak zajęci?

- Bardzo.

- To niemożliwe - powiedziałam. - Nie tam.

- Dla mnie to też był szok - powiedział. - Zawsze była taka nieśmiała. Wydaje mi się, że to musiało mieć coś wspólnego z charyzmą McConnella. Miał dużo uroku. Wiesz, przystojny, czarujący. Z jakichś powodów dziewczyny idą na takie rzeczy.

Czy to tylko moja wyobraźnia, czy poczułam odrobinę zazdrości w głosie Strachmana?

- A wtedy... szybko wyszedłem. Nigdy nic nikomu o tym nie powiedziałem - zrobił przerwę, przyglądając mi się. Widziałam, że coś mu zaświtało w głowie. - Ciągłe próbujesz to rozwikłać, prawda? Po tylu latach - zawahał się, jakby robił szybkie obliczenia, ekstrapolacje, jakby się zastanawiał, czy robiłby to samo, gdyby role się odwróciły. - W porządku - dodał. - Szanuję to. Krótko mówiąc, zmierzam do tego, że tam, na wydziale matematycznym, było bardzo dużo talentów. Twoja siostra była najoczywistszym z nich wszystkich. Ale byli też inni. Miałem dwadzieścia sześć lat i byłem na krańcu. Wydawało mi się, że Hilbert to wszystko, co mogę osiągnąć i dotarłem do tej nagrody właściwie tylko z powodu Lili - przerwał i znów odwrócił wzrok. - Jej nieszczęścia - dokończył. - Też nie pomagało, że nie byłem lubiany na wydziale. Wtedy miałem dosyć apodyktyczną osobowość. Ta nagroda nie przyniosła mi żadnej radości. Było mi wstyd. Byłem przekonany, że wszyscy mnie nienawidzą, że zabrałem coś, co po prawdzie jej się należało. Gdybym pozostał przy matematyce, może byłbym dobry, ale wiedziałem, że nigdy nie będę wielki - wzruszył ramionami. - No więc wycofałem się. Nigdy nie żałowałem tej decyzji.

- Czytałeś książkę Andrew Thorpe'a? - zapytałam.

- Przejrzałem - zastanowił się chwilę. - Wstyd mi przyznać, ale interesowało mnie tylko, czy się w niej pojawiłem. Mówię ci, byłem wtedy okropny, nie do zniesienia.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego chciałeś sprawdzić, czy tam jesteś. Powiedzmy, że byłeś w książce...

- Ale nie byłem.

- Nie. Ale gdybyś był...

- No to nic - odpowiedział. - Tyle, że przypuszczałem, że byłem. Przez kilka tygodni prawie wszyscy na wydziale byli trochę podejrzani. Policja przepytывała nas wszystkich. Moim zdaniem nie robili tego dobrze, ale brali zeznania. O tym wszyscy rozmawiali na korytarzach, przy kawie, nawet podczas zajęć. Pamiętam, że czułem się wtedy, jakbym się znalazł w Clue,\* ale w prawdziwym życiu. Czy to Mr. Boddy wisiał w sali balowej na sznurku, a profesor Plum był w oranżerii ze świecą?

\* Chiedo (w USA gra występuje pod nazwą Clue) to klasyczna planszowa gra detektywistyczna. Została wymyślona w Anglii przez Anthony'ego E. Pratta - urzędnika notarialnego, dorabiającego jako klaun. Gra została wydana w 1949 roku w Leeds przez firmę Waddingtons. W cluedo gracze wcielają się w tropicieli mordercy znanego profesora. Zadaniem jest wykrycie sprawcy i okoliczności zdarzenia za pomocą zbieranych wskazówek zawartych w kartach (za wikipedią).

Skrzywiłam się.

- Przepraszam - powiedział. - Nie żartuję z tego. Ale musisz zrozumieć, że żyliśmy tylko matematyką, dzień i noc. To było bardzo stresujące, ogromne współzawodnictwo, szalka Petriego pełna obsesyjnych osobowości. I nagle nastąpiło to straszne i, muszę przyznać, fascynujące zdarzenie. Byliśmy

przerażeni i jednocześnie to nas pociągało. A kobiety - wiesz, że nie było ich wiele - bały się. Wszyscy wiedzieliśmy, że Lila nie prowadziła życia towarzyskiego poza instytutem, a to zwiększało prawdopodobieństwo, że zabójcą był któryś z nas.

- A jak ty uważasz? - zapytałam, wypatrując w jego twarzy czegoś - drgnienia, nerwowego tik, który wskazałby na niego; jakiegoś oczywistego znaku, jak pocenie się czy odwrócenie wzroku. Ale patrząc mi w oczy powiedział:

- Nie mam pojęcia.

- A McConnell? Strachman potrząsnął głową.

- Jestem głęboko przekonany, że on był tylko najłatwiejszym celem. Prawdopodobnie oczywisty wybór, ale ja nie wierzę, że on to zrobił.

- Dlaczego?

- To po prostu nie w jego typie. Na pewno nie byliśmy najlepszymi kumplami czy coś w tym sensie, ale mieliśmy ze sobą kilka zajęć. Na pierwszym roku byłem z nim w grupie, robiliśmy razem projekt. Nie bardzo go lubiłem, ale wtedy nikogo za bardzo nie lubiłem. Zazdrościłem mu wiary w siebie, łatwości w kontaktach z kobietami. Wiesz, wszystkie go uwielbiały. Był wysoki, przystojny, dowcipny i kiedy szedł korytarzem to widać było, że robił na ludziach wrażenie. Kobiety potrafiły zamilknąć w pół zdania, żeby na niego popatrzeć. A ja byłem tym przeciętnie wyglądającym gościem, zamykałem się w sobie na samą myśl, że mam powiedzieć dziewczynie „cześć”. A dla niego to wszystko było naturalne.

Nigdy mi nie przyszło do głowy, by o to zapytać, ale słysząc taki opis McConnella nie mogłam nie zapytać, czy były inne dziewczyny.

- Oprócz mojej siostry? Strachman chwilę się zastanawiał.

- Była jedna - powiedział. - Dziewczyna z wydziału filozofii. Drobna, smukła brunetka, bardzo ładna. Widywałem ich jedzących razem obiad.

Była ewidentnie zauroczona. On zakończył to wkrótce po tym, jak zaczęli, może po kilku miesiącach. Ale było to raczej paskudne zerwanie. Czasami pojawiała się w jego pokoju późno wieczorem z żądaniem, że chce się z nim spotkać na osobności. Bywały i krzyki, i musiał ją po prostu wypchnąć za drzwi. Groziła, że powie jego żonie, ale nie wiem, czy to kiedykolwiek zrobiła. Ten drugi facet, który pracował z nami, był tym bardzo poirytowany. Ale szczerze mówiąc, ja raczej wolałbym, żeby McConnell powiedział mi, jak on to robi. Wtedy nie umiałem sobie wyobrazić, że jakakolwiek kobieta mogłaby być tak mocno przywiązana do mnie.

- Pamiętasz, jak się nazywała?

- Melissa? Melanie? - pokręcił głową. - Nigdy nie znałem jej nazwiska. Nie wiem, co ostatecznie McConnell zrobił, żeby pozbyć się jej. Ale wtedy, kiedy pojawiła się twoja siostra, tamta już nie przychodziła.

- Bardzo jestem ciekawa, dlaczego dochowałaś sekretu McConnella? Czemu nie powiedziałaś policji, co wiedziałaś o nim i o Lili?

Popatrzył na zegarek.

- Za piętnaście minut mam spotkanie. - Może chciał mnie przekonać, że nie wymyślił tego spotkania, żeby stąd wyjść, bo ciągnął dalej: - Przystępujemy do przetargu na tunel do Montary. Jeśli chcesz dobrze zainwestować, to kup teraz nieruchomość na wybrzeżu, zanim pójdzie tamtędy tunel. Ludzie wciąż myślą, że to jest zbyt daleko od centrum. Ta górka, Devil's Slide, działa na nich tak negatywnie. Ale kiedy tunel zostanie otwarty, wszystkie tereny dookoła pójdą niebywale w górę. Zapamiętaj moje słowa.

Wstał, by wyjść.

- Przypuszczam, że rozmawiałaś z Carrollem.

- Carroll? - powtórzyłam, usiłując sobie przypomnieć, gdzie słyszałam to nazwisko.

- Don Carroll, był wykładowcą prowadzącym McConnella. On znał McConnella lepiej niż ktokolwiek inny. Jestem pewien, że on dalej tam uczy.

Jadąc do pracy po rozmowie ze Strachmanem, starałam się wyrzucić z głowy obrazek Lili i McConnella, nagich w biurze „Stanford Journal of Mathematics”. Kiedy rozmawiałam z McConnellem w Dirियो, on przedstawił ich romans jako nieunikniony, błyskotliwy, żywiony głęboką intelektualną i emocjonalną więzią, która była silniejsza niż woła któregokolwiek z nich. Według jego słów to była raczej tragiczna historia miłosna niż prymitywna żądza. Ale kiedy pomyślałam sobie o nich razem w biurze późno w nocy, jego żonie czekającej na niego w domu, dziecku czekającym w łóżeczku... To sprawiło, że musiałam zderzyć moje wyobrażenia o Lili z tymi, o których nigdy nie myślałam i o których nigdy nie chciałam myśleć. Lila wiedziała, że ma romans z żonatym mężczyzną, ojcem dziecka. Ich związek nie był oparty tylko na walorach intelektu, ale także na czymś bardzo przyziemnym i powszechnym, na czymś, czemu sama ulegałam częściej, niż chciałabym się przyznać. Na požądaniu.

Przez te wszystkie lata myślałam o niej raczej jako o dziewczynie niż kobiecie. Mimo że była trzy lata starsza ode mnie, to ja byłam bardziej światowa. Taki jej wizerunek był spowodowany pewną naiwnością w kontaktach z ludźmi, brakiem doświadczenia w miłości i seksie. Nigdy nie radziłam się jej w sprawie chłopców i przypuszczałam, że jeśli nadejdzie właściwy czas, to ona do mnie przyjdzie. Ale stało się tak, że zmarła, mając dwadzieścia dwa lata, wystarczająco dorosła, żeby wiedzieć, co robi i co taki romans może zrobić z małżeństwem. Chciałam pozbyć się takich myśli. Sam pomysł, że Lila mogła być czemuś winna, wydawał się niemoralny. Przepraszam, ona zawsze była bez zarzutu.



## 30.

W piątek wieczór poszłam na spotkanie z Benem Fong-Torresem.

- Czerwone czy białe? - zapytał, witając mnie w drzwiach windy.

- Czerwone.

- Doskonale. Mamy syrah, które chciałem spróbować.

Zabraliśmy kieliszki na zewnątrz, gdzie strome, drewniane schodki prowadziły w dół, do ogrodu ocienionego paprociami drzewiastymi, bogato kwitnącymi krzakami róż i palmami bananowymi. Wyobrażałam sobie, że siedzę rano w takim ogrodzie, pijam kawę i czytam książkę. Zapytałam Bena, czy czasami tak robią z żoną.

- Och, my nie jesteśmy kawoszami - powiedział. - Pijemy herbatę. Od czasu do czasu lubiłam napić się dobrej herbaty, ale trudno mi było zrozumieć ludzi, którzy w ogóle nie pili kawy. Na pewno byli spokojniejsi, miłsi i mniej skłonni do niepokojów. Ale nie umiałam sobie wyobrazić dnia bez kawy, nie mówiąc już o miesiącu czy roku.

- Czy wiedziałaś, że w piętnastowiecznej Turcji było prawo pozwalające żonie rozwieść się z mężem, jeśli ten nie dostarczał jej odpowiedniej ilości kawy? A już sto lat później w Imperium Osmańskim każdy przyłapany na prowadzeniu kawiarni był batożony. Jeśli przyłapano go po raz drugi, był zaszywany do skórzanego wora i wrzucany do Bosforu.

Ben uprzejmie pokiwał głową. Zawsze, kiedy czułam, że jest dziura w rozmowie - zagadywałam o kawie. Martwiłam się, że jestem jak ten dentysta, który raczył obcych ludzi historyjkami o ekstrakcji zębów trzonowych, albo pośrednik handlu nieruchomościami, który nie mógł przestać gadać o wahaniach cen, jakie mogą nastąpić w spłacaniu rat w okresie trzydziestu lat.

- Dziękuję, że udało ci się znaleźć taśmę - powiedziałam.

- Żaden kłopot. Po naszej rozmowie nie dawało mi to spokoju.

- Gdzie była?

- Pożyczyłem ją koledze lata temu. Musiałem wykonać kilka telefonów. Okazało się, że kolega pożyczył kuzynowi, ten synowi, który wystawił ją na eBayu w zeszłym roku. Ale nikt jej nie kupił. Wyobraź sobie zdumienie dzieciaka, kiedy posłałem mu maila za pośrednictwem jego konta na eBayu i poprosiłem o zwrot mojej taśmy.

W pokoju telewizyjnym siedliśmy obok siebie na pluszowej sofie. Nagranie było kiepskiej jakości, dźwięk chropawy. Łatwo było zgadnąć, że nagrania dokonano w piwnicy. Pierwsza piosenka była dobra, chociaż nie świetna, powolna dylanowska ballada o porankach na Haight Street, zanim otworzą bary. Drugi był numer instrumentalny, taki rodzaj muzyki gitarowej, który człowieka zarówno inspirował, jak i czynił samotnym. Prawie czułam, że Boudreaux siedzi z nami w pokoju, popija whisky i popłakuje na strunach. Przed trzecim utworem Ben zatrzymał odtwarzacz i powiedział:

- Całkiem zdumiewające, co?

- Tak.

- To następne solidnie mnie zaskoczyło. Pierwszy raz słyszałem Boudreaux na keyboardzie. Ale to tylko połowa całej sprawy. Niewiele brakowało, a byłbym do ciebie nie zadzwonił. Nie wiedziałem, czy chcę otworzyć tę puszkę Pandory. Potem porozmawiałem z Dianne i ona powiedziała, że naprawdę powinnaś tego posłuchać.

- No dobrze - przeknęłam.

Nacisnął klawisz. Pochyliłam się do przodu i słuchałam. Pierwszych kilka minut to był po prostu Boudreaux na keyboardzie. Dźwięki były mniej pewne, niż gdy grał na basie, ale było coś w tej muzyce, co przechodziło przez mózg i trafiało prosto do serca, jakby Boudreaux czuł każdą nutę. Było w tej muzyce coś bardzo osobistego, jakby nie spodziewał się, że ktokolwiek obcy będzie tego słuchał. Czułam się, jakbym słuchała czyichś marzeń. A potem zaczął śpiewać. Głos łamał się trochę przez kilka pierwszych taktów, potem stał się silniejszy, ale nigdy nie był całkowicie pewny. Potem słuchałam tej piosenki wielokrotnie w moim mieszkaniu i doszłam do wniosku, że ta niepewność w głosie i emocjonalna surowość czyniły ją tak piękną. Jego głos przypominał mi nieco Townesa Van Zandta i zaraz pomyślałam o wieczorze ponad trzydzieści lat temu, kiedy rodzice zabrali nas na jego koncert w Fillmore. Czekaliśmy w długiej kolejce przed budynkiem przy Geary w zimny, lutowy wieczór. Obok Fillmore był imponujący, trzypiętrowy budynek, który był główną siedzibą Świątyni Ludu. W naszą kolejkę oczekującą na koncert wmieszali się członkowie sekty i ubodzy czekający na posiłek, który im wydawano w holu świątyni. W którymś momencie mężczyzna o czarnych, farbowanych włosach wysiadł z limuzyny i od razu został otoczony ludźmi, którzy chcieli dotknąć jego włosów i ubrania. Uśmiechał się, wszystkich ścisnął, pocałował w usta kilka kobiet, a nawet dziewczynek w wieku Lili.

- Czy to Townes Van Zandt? - zapytałam. Mama przyciągnęła nas blisko do siebie.

- Nie - powiedziała. - To Jim Jones.

Niedługo po tym mężczyzna o farbowanych włosach już nie żył wraz i z kilkuset innymi swoimi wyznawcami w Gujanie. Kilka dni później Dan White zamordował Harvey Milka i burmistrza miasta George'a Moscone. Ostatecznie nie został oskarżony o morderstwo, ponieważ podejrzewano, że prawdopodobnie był pod wpływem zjedzonych ciasteczek Twinkies, które mogły wpłynąć na zmianę nastroju i zaburzenia percepcji. Dorastając w San Francisco, nie wiedziałam, że to miasto różni się od innych. Dopiero, kiedy byłam starsza, zdałam sobie sprawę, że moje miasto wydawało się bardzo dziwne ludziom z innych części kraju. Dla mnie było domem, miejscem, gdzie jednego ranka człowiek się budził i dowiadywał, że ktoś znajomy pojechał wyznawać jakiś kult do sekty w Gujanie, albo inny znajomy zmarł na AIDS, albo że burmistrz został zamordowany. Dziwne rzeczy działały się tutaj cały czas: niektóre z nich były piękne, inne potworne, a wszystkie były częścią życia w mieście nad zatoką.

## 31.

Trzecia piosenka na taśmie była zatytułowana *Las*. Kiedy Boudreaux śpiewał ten prosty refren, jego głos dławił się z emocji:

*Głęboko w lesie klęczę na ziemi*

*Patrzę na ciebie i nie wierzę*

*Co ja zrobiłem moja piękna*

*Co ja zrobiłem*

Piosenka przeszła mnie dreszczem. Chciałam być jednak obiektywna. Było coś, czego matka uczyła mnie przez wszystkie lata swojej praktyki: jeśli uparczywie czegoś szukasz, prawie zawsze to znajdziesz. Jeśli wierzymy, że coś jest prawdziwe, to poszukujemy wskazówek co do przyjętych wcześniej wniosków, odrzucamy wszystko, co jest przeciwne temu, w co wierzymy. Wiedziała, że to działa na ławę przysięgłych. Zaobserwowała, że to się sprawdzało w przypadku ojca.

Któregoś wieczoru w rok po śmierci Lili chciałam pożyczyć pasek i zapukałam do sypialni rodziców.

- Wejdz - powiedziała matka fałszywie radosnym tonem.

Tego wieczoru ojca nie było w domu, kiedy weszłam, zobaczyłam matkę siedzącą na brzegu łóżka i wycierającą oczy. Siadłam obok niej.

- Co się stało?

Uśmiechnęła się i objęła mnie ramieniem.

- Coś, co musimy sobie z ojcem przepracować.

- Powiedz mi.

Wyciągnęła chusteczkę z pudełka leżącego na stole i wydmuchała nos.

- Przyszedł mu do głowy ten szalony pomysł, że go oszukuję - powiedziała.

- Co? Chyba żartujesz.

- Mówi, że ostatnio odsunęłam się od niego. Może i tak. A jeśli tak, to nie ma to nic wspólnego z ojcem. Ja po prostu jestem... - zrobiła przerwę, jakby szukała odpowiedniego słowa. - Smutna - dokończyła. - Już od jakiegoś czasu jestem smutna. A twój ojciec jest przyzwyczajony do pewnej ilości... - znów przerwała i popatrzyła mi prosto w oczy - uwagi, jaką mu poświęcałam, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

- Mamo! - wykrzyknęłam. - Jakie to wstrętne.

- No cóż, zapytałaś, to ci odpowiedziałam. Tak czy owak, jakoś przyszło mu to do głowy i teraz nie chce przestać myśleć na ten temat. Za każdym razem, kiedy muszę zostać dłużej w pracy, staje się podejrzliwy. Wczoraj powiedziałam mu, że nie mogę zjeść z nim obiadu, bo mam w południe spotkanie, które może potrwać kilka godzin. I tak miało być, ale w ostatniej chwili przesunęło się na pierwszą

trzydzieści. Wtedy już było za późno, żeby zadzwonić do twojego ojca i żeby jechał przez całe miasto. Zjadłam szybkie co nieco z Liamem po drugiej stronie ulicy.

Liam był jednym z ich młodszych współpracowników. Spotkałam go kilka razy u matki w biurze. Świetnie wyglądał i kiedyś był bardzo blisko reprezentowania Stanów Zjednoczonych na olimpiadzie w zespole narciarzy. Kiedy chciałam wciągnąć go w rozmowę, okazało się, że jest nudny do bólu.

- No i?

- I twój ojciec z jakiegoś idiotycznego powodu czekał przed biurem i widział, jak idę do restauracji z Liamem. Jedliśmy makaron, omawiając sprawę, a tu ojciec wparował i mówi, że musi ze mną porozmawiać.

- Tato tak zrobił?

- Przeprosiłam - kontynuowała matka. - I wyszłam z nim do samochodu. Powiedział, że wiedział, że coś kręcę. A jak mnie zobaczył z Liamem wtedy, kiedy miałam jeść z nim - to już miał dowód. No i teraz uważa, że mam romans z Liamem! Uwierzyłybyś w to? - śmiała się i płakała równocześnie.

Po wyjściu od Bena wróciłam do domu i słuchałam tej piosenki na okrągło bez końca przez całe godziny. Zaczęłam się zastanawiać, czy nie zaczęło mi odbijać, tak jak wtedy ojcu, czy nie szukałam czegoś, czego nie było. W końcu słowa były dosyć ogólne, każdy mógł napisać taki tekst i mógł mieć miliardy znaczeń. Ale ta piosenka była nasączona winą: „co ja zrobiłem”, a wspomniane drzewa w lesie wyprowadzały mnie z równowagi. Sam tekst piosenki byłby całkowicie niewinny. Ale ja musiałam wziąć pod uwagę cały kontekst: jego samochód stał w Armstrong Woods.

Podczas mojego pierwszego spotkania z Benem zapytałam go, czy ma jakiś pomysł, czemu Boudreaux mógłby tam być? Dopytywałam, czy lubił wędrówki po lesie, czy miał rodzinę w Russian River. Ben nic nie wiedział o rodzinie, ale jeśli chodzi o wędrówki, to nie wydawało mu się, żeby Boudreaux był typem człowieka, który lubi naturę.

- Lepiej czuł się w barze albo w studiu nagraniowym - powiedział Ben. - Kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, miałem wrażenie, że przez całe miesiące nie był na świeżym powietrzu. Dlatego tak byłem zdziwiony rok później, kiedy powiedział mi, że pracował na farmie mlecznej. To do niego zupełnie nie pasowało.

Przez okno sypialni widziałam niewyraźne światła centrum miasta. Chudy księżyc, taki jak Lila nazywała obrzynkiem paznokcia, kiedy była dzieckiem, wisiał wysoko na niebie jak wielki biały płaszcz. Może po raz trzydziesty tej nocy nacisnęłam klawisz przewijania na moim przenośnym odtwarzaczu, odczekałam szum kręcącej się taśmy i cichy stuk stopu. I znów słuchałam *Lasu*.

*Głęboko w lesie klęczę na ziemi* - śpiewał Boudreaux. Jego chrypiący głos prawie łamał się na ostatnich słowach piosenki: „Patrzę na ciebie i nie wierzę.” Kiedy muzyka się wyciszała i piosenka dobiegała końca, śpiewałam razem z taśmą: „Moja piękna, co ja zrobiłem?”

Następnego ranka zadzwoniłam do Boudreaux Family Dairy. Męski głos był szorstki i chyba zaspany, odezwał się dopiero po trzecim dzwonku.

- Mr. Boudreaux? - zapytałam.

- To on.

Serce mi trochę podskoczyło, ale szybko uświadomiłam sobie, że w tym nerwowym pośpiechu nie zapytałam o imię. Czy to może być ten sam głos, który słyszałam na taśmie, czy też był to głos jego brata?

- Czy to możliwe, żeby zwiedzić pana farmę? - zapytałam.

- O tej porze roku jesteśmy bardzo zajęci. Prawdopodobnie zobaczyłaby pani więcej na jednej z tych wielkich farm. Stornetta organizuje zwiedzanie.

- Wolałabym zobaczyć, jak działa taka mniejsza - odpowiedziałam.

- Powiem pani tak. Jesteśmy na szlaku farm, które się zwiedza w niektóre weekendy. Najbliższy taki będzie w końcu miesiąca, 29 sierpnia. Wtedy wszystkie okoliczne farmy są otwarte i może pani zobaczyć, co robimy. Mamy tu hodowlę dyni, kóz, pasiekę i co tam jeszcze. Bierzymy udział w tym otwartym weekendzie, więc może pani wpaść, zapraszamy.

Odłożyłam słuchawkę i w kalendarzu ściennym zapisałam zwiedzanie farmy czerwonym piśmakiem.

## 32.

- Trochę jestem sową - powiedział Don Carroll, kiedy zadzwoniłam, prosząc o spotkanie. - Może pani przyjść późno?

Do budynku wydziału matematyki przyjechałam tuż po dziesiątej wieczorem. Poczulałam *déjà vu*. Pamiętam, jak przyjeżdżałam tu śledzić McConnella, kiedy miałam dwadzieścia lat. Siedziałam przed jego pokojem i przysłuchiwałam się studentom rozmawiającym o nim, jakby był jakąś sławą. Teraz budynek był opustoszały, moje kroki odbijały się echem w korytarzu. Zadrżałam z zimna w moim cienkim pulowerku, żałowałam, że nie zabrałam żakietu. To miejsce pachniało typowym dla każdej instytucji mdłym zapachem płynu do podłóg i kartonów. Wyczuwałam też lekki, chemiczny zapach markerów. Zapachy świata zmieniały się, zauważałam to codziennie. Kiedy studiowałam, budynki uniwersytetu pachniały kredą, starymi książkami i farbą powielacza.

Kilka razy zbłądziłam w inne korytarze, zanim znalazłam jego pokój. Drzwi były otwarte, Carroll siedział plecami do mnie. Tkwił przy komputerze twarzą do okna. Na brzegu biurka stał niebezpiecznie kubek kawy. Siedział tak nieruchomo, jakby spał. Zastukałam w drzwi, ale chyba nie słyszał, więc chrząknęłam i zapukałam ponownie, tym razem głośniej. Odwrócił się do mnie. Miał siwe włosy, okulary i miłą twarz o jasnobrązowych oczach.

- Ellie Enderlin?

- Tak. Dziękuję, że pan znalazł czas na rozmowę.

- Przepraszam za tę dziwną godzinę. Zauważyłem, że im jestem starszy, tym mniej śpię. Wiedziała pani, że Thomas Edison twierdził, iż sypia tylko trzy godziny dziennie? Wynalazł żarówkę, więc ludzkość nie powinna tracić czasu w łóżku. Uważał, że sen jest wrogiem postępu.

Carroll spojrział na ręce, jakby dopiero zauważył dużą kopertę, którą trzymał.

- Przepraszam, muszę iść wsunąć to pod drzwi sekretariatu.

Czekając, rozglądałam się po pokoju. Ściany pokrywały pamiątkowe plakietki, zawiadomienia o różnych nagrodach oprawione w tanie ramki i zdjęcia. Na jednym z nich był z Jimmym Carterem, w dłoni trzymał młotek, stali przed wznoszonym budynkiem. Na innych ze Stephenem Hawkingiem, Paulem Allenem i Baronem Davisem. Na jego biurku były bardziej osobiste zdjęcia: atrakcyjna kobieta około sześćdziesiątki - zapewne jego żona, czarny cocker spaniel, mała dziewczynka na niebieskim rowerku. Jedno szczególnie przykuło moją uwagę, był na nim Carroll z młodym McConnellem na deszczu, obaj w białych kurtkach z kapturami. W tle nieco z boku widać było Golden Gate Bridge. Zdjęcie zrobiono przy Crissy Field.

Na wierzchu stosu papierów leżała książka w twardej okładce. Kiedy ją zobaczyłam, przetarłam oczy ze zdumienia. Książka była po niemiecku, więc nie rozumiałam tytułu. Trzymałam ją i wpatrywałam się w okładkę, kiedy wszedł Carroll.

- Och, interesuje się pani topologią?

- Raczej nie. Chodzi mi tylko o ten symbol na okładce. Rozpoznaję go.

- Ach, podwójny torus.

Carroll wziął ode mnie książkę i położył ją na wierzchu całego stosu teczek.

- To jest egzemplarz recenzencki, właśnie przyszedł pocztą. Tak się składa, że pracowałem z tym dżentelmenem nad tym dwadzieścia lat temu. Grzebię w pamięci cały dzień i nie mogę sobie człowieka przypomnieć. Zupełna pustka. Tak się dzieje, kiedy człowiek zaczyna siedemdziesiątkę. Czy wiedziała pani, że lawa wypływająca z płaszcza dolnego wulkanu tworzy podwójny torus?

Pokręciłam głową.

- To ma sens, ale zupełnie o tym zapomniałem. Wkrótce grozi mi, że zapomnę własne nazwisko. Moja córka Genna ostatnio poddała mnie ostrej kuracji żeń-szeniem, ale jak na razie nie zauważyłem różnicy uśmiechnął się, usiadł, krzyżując nogi i składając ręce na kolanach. Dłonie miał gładkie i bez plam, jak u o wiele młodszego mężczyzny. - Proszę usiąść. Przez telefon powiedziała pani, że chce rozmawiać o Peterze McConnellu. Tak jak powiedziałem, wątpię, czy mogę służyć pani jakąś pomocą. Nie widziałem go od ponad dziesięciu lat.

- Bardziej mnie interesuje, jaki był wtedy.

- Jaki był?



- To dosyć dziwne pytanie, słyszałam, że McConnell miał... - zerknęłam na ich zdjęcie na ścianie. Nie mogłam znaleźć odpowiednio delikatnego słowa.

- Tak?

- Słyszałam, że miał różne dziewczyny.

Usadowił się wygodniej w fotelu i zmarszczył.

- Kto pani to powiedział?

- Były student wydziału matematyki Steven Strachman.

- Strachman - powiedział z wyraźną niechęcią. Czekałam.

- Tak. No więc, Peter był bardzo przystojny. Bardzo czarujący. Bez wątpienia kobiety go lubiły. Ale ja nie pamiętam dziewcząt jako takich, innych niż pani siostra. Szczerze mówiąc, byłem zadowolony, kiedy poznał Lilę. Przy spotkaniach z jego żoną zawsze uderzało mnie, że była snobką. Bardziej jej zależało na tym, kim on mógłby zostać, niż kim był.

- A kim mógłby zostać?

- Tak. Jej chyba było zupełnie obojętne, jaką dziedziną się zajmował, czy to były nauki ścisłe, czy literatura. Peterowi rzadko zdarzało się powiedzieć złe słowo na temat Margaret, ale kiedyś mi wyznał, że ona bardzo niepewnie się czuła z powodu braku wykształcenia. Podobno próbowała kiedyś studiować przez chwilę, ale jakoś bez skutku. Wydawało jej się, że jak poślubi naukowca, to poprawi swój wizerunek w oczach rodziców. Chyba go to martwiło, że może nie dorasta do jej oczekiwań. Oczywiście, że była wściekła, kiedy dowiedziała się o Lili. Groziła mu na różne sposoby, ale Peter nie traktował tego poważnie. Kiedy tłumaczyłem mu, że powinien to wziąć serio, zapewniał mnie, że to tylko takie straszenie.

Teraz ja pochyliłam się do przodu.

- Jakiego rodzaju straszenie?

- No, że na przykład narobi mu wstydu i zamieszania na wydziale. Że spotka się z Lilą. Że go zostawi i zabierze syna. Ale Peter wiedział, że u Margaret wszystko tylko na pokaz. Nie zniosłaby pójścia do swoich rodziców jako ta pokonana. Pomimo jej uzasadnionego poczucia nieszczęścia z powodu romansu męża, były pewne konkretne rzeczy, których wymagała od życia - przede wszystkim prestiżu. Wierzyła, że to zapewni jej Peter.

- To samo mówił mi o niej McConnell.

- Rozmawiała pani z nim?

- Tak.

Carroll przestawił nogi. Na prawej miał niebieską skarpetkę, a na lewej żółtą.

- Kiedy?

- Miesiąc temu. W Nikaragui.

- Nic mi nie wspominał - powiedział bardziej do siebie niż do mnie.

- Pan rozmawia z nim?

- Oczywiście nie przez telefon - odpowiedział Carroll. - Listownie.

- Ale wydawało mi się, że pan mówił, że...

- No tak. To prawda. Ja nie *widziałem* go od ponad dziesięciu lat. Nie powiedziałem, że nie mamy kontaktu ze sobą. Proszę mnie zrozumieć, że staram się go chronić. W pewien sposób czuję się odpowiedzialny za to, co się stało.

- Odpowiedzialny? Jak to?

- Będzie uczciwie, jak powiem, że zachęcałem ich do tego związku. Doskonały związek jest rzeczą tak rzadką, jak liczba doskonała. Zawsze uważałem, że miałem dużo szczęścia, spotykając moją żonę tak wcześnie i wystarczająco dużo rozsądku, by się z nią ożenić. Nietrudno było powiedzieć, że Margaret i Peter nie mieli ze sobą nic wspólnego, nie było też między nimi czułości. Natomiast Lila - kiedy ją poznałem, było dla mnie jasne, że byli stworzeni dla siebie.

- Znał pan moją siostrę? - zapytałam zaskoczona.

- Tak. Peter przedstawił mi ją wkrótce po tym, jak się poznali. Chciał ją mieć przy sobie, kiedy mnie zawiadamiał, że mają zamiar wziąć się za Goldbacha. Chyba wiedział, że będę zaniepokojony. Nie jestem pewien, czy pani coś wie o tej hipotezie...

- Tylko tyle, ile Lila mi powiedziała, że powstała w 1742 roku i że wiele potężnych umysłów potykało się na niej. Każda parzysta liczba całkowita większa niż dwa może być wyrażona jako suma dwóch liczb pierwszych, prawda?

- Tak jest. Matematyk może się szybko wypalić, skupiając się na jednym nieosiągalnym celu. Proszę popatrzeć na Louisa de Branges i hipotezę Riemanna. Wraz z Goldbachem i od całkiem niedawna z Fermatem, hipoteza Riemanna jest jednym z najtrudniejszych wciąż nierozwiązanych problemów w świecie matematycznym. De Branges spędził dwadzieścia pięć lat, pracując nad nią, i w 2004 opublikował swój dowód w Internecie. Nikt nie zwrócił na to należytej uwagi i wciąż wymaga *peer review*\*. Co ciekawe, de Branges to jest ktoś: w latach osiemdziesiątych udowodnił hipotezę Bieberbacha, ze wszech miar ważne osiągnięcie. Kiedy opublikował ten dowód, wiele osób było nastawionych sceptycznie, tak samo jak w przypadku jego dowodu hipotezy Riemanna. Wszyscy tak trochę jakby *chcieli*, żeby się mylił. Ale w końcu jego praca zwyciężyła. Jeśli chodzi o hipotezę Riemanna to faktem jest, że de Branges używał takich narzędzi matematycznych, w których jest jednym z nielicznych ekspertów - na przykład teorii spektralnej. Zatem zebranie zespołu, który miałby kwalifikacje do przeprowadzenia oceny jego dowodu byłoby ogromnym przedsięwzięciem. I tu niczego nie zmienia fakt, że jest trochę niedorajdą. Do tego wszystkiego trzeba dodać, że w 1964 twierdził, iż ma dowód na istnienie podprzestrzeni niezmienniczych dla ciągłych transformacji w przestrzeniach Hilberta. Ale wtedy jego twierdzenie było fałszywe i zapłacił za to słono w sensie - swoją wiarygodnością. Matematycy - dobrze czy źle - są pamiętliwi. Teraz de Branges jest po siedemdziesiątce. Muszę

przyznać, że trzymam za niego kciuki choćby dlatego, że byłbym zachwycony, gdyby pokazał światu, że starszy gość wciąż może mieć coś ważnego do powiedzenia w nauce.

\* Specjalistyczna recenzja naukowa.

- Musi mi pani wybaczyć. Człowiek nie tak łatwo abdykuje z roli wykładowcy matematyki. To się ma we krwi. Jak powiedział Poincaré: „matematyków się nie robi, matematycy się rodzą”.

- Ale McConnell i moja siostra - nalegałam. - Pan ich wspierał?

- Tak, na początku Peter przyszedł do mnie po radę. Nie widziałem żadnego logicznego powodu, aby wspierać kontynuowanie nieszczęśliwego i jałowego małżeństwa. Kiedy szansa na szczęście pojawia się w taki oczywisty sposób, należy ją chwycić. Nie wierzę w teorię geniuszu z nieszczęścia. Uważam, że mężczyzna najlepiej wykonuje swoją pracę, kiedy jego życie domowe jest szczęśliwe. Popatrz na Ramanujana, wszystkie jego olśniewające osiągnięcia i zdumiewające spostrzeżenia, te nieskończone serie dla  $\pi$ , hipoteza Ramanujana, ale zmarł na gruźlicę, mając trzydzieści dwa lata gdzieś w slumsach Indii. Zaaranżowane małżeństwo w wieku dwudziestu jeden lat z dziewięcioletnią dziewczynką. Jego wkład do matematyki byłby o wiele większy, gdyby mógł sobie zorganizować spokojny dom z odpowiednią partnerką. Jak więc widzisz, moja rada dla Petera nie była tak całkowicie pozbawiona pewnego mojego interesu. Byłem przekonany, że gdyby on i Lila pracowali razem, mogliby dokonać czegoś wyjątkowego. Oczywiście, nie oczekiwałem, że dowiodą Goldbacha, ale wiedziałem, że jeśli będą pracować w kierunku osiągnięcia tego prawie niemożliwego celu, niewątpliwie w trakcie procesu badawczego dokonają innych ważnych odkryć. Proszę popatrzeć na historię wielkiego twierdzenia Fermata. Po drodze do jego udowodnienia została zgłoszona spora liczba znaczących propozycji, na przykład dowód na hipotezę Taniyamy-Shimury jest nierozzerwalnie powiązany z poszukiwaniami dowodu Fermata.

Carroll rozłożył ręce i położył na oparciach fotela. Nosił szeroką złotą obrączkę ślubną i miał doskonały manicure.

- A teraz dygresja. Poza radami, ułatwiłem im życie w bardzo praktyczny sposób. Kiedyś Peter zwierzył mi się, że obydwójgu źle się pracowało w budynku matematyki. Pani siostra obawiała się, że ludzie zaczną gadać. Wobec tego zaproponowałem im mój dom do pracy. Moja żona specjalizuje się we freskach i często wykonuje prace zleczone, moja córka Genna też już była wtedy na uniwersytecie Columbia.

Przerwał na chwilę, patrząc na mnie.

- Niech się pani tak nie dziwi. To, że jestem matematykiem nie oznacza, że nie mam zrozumienia dla romansu. Wie pani, co powiedział Wolter?

- Mmm?

- „W głowie Archimedesesa mieści się o wiele więcej wyobraźni niż w głowie Homera”. O nas, matematykach, panuje niezasłużona opinia, że jesteśmy pozbawionymi emocji dostawcami facji i zdrowego rozsądku, ale prawda jest taka, że ważnych odkryć matematycznych można dokonać tylko z pomocą wyobraźni. Wyobraźnia Lili była nieokiełznana. Bywało, że wracam do domu późno z uniwersytetu, a oni pochyleni nad kuchennym stołem ostro pracują. Zamawialiśmy coś gotowego z dostawą do domu i siedzieliśmy w kuchni nad pojemnikami z Good Earth, jedząc i dyskutując o teorii liczb. Byłem tuż po pięćdziesiątce i nie umiem nawet powiedzieć, jaka to była dla mnie radość, że byłem dopuszczony do intymnego kółka wyrafinowanych gier umysłowych. Dobrze nam się pracowało razem, naszej trójce. Ja miałem wiedzę i dziesiątki lat doświadczenia, a oni - szczególnie Lila - umiejętność popatrzenia na zagadnienie z zupełnie innego punktu, mogli wyczarować zaskakujące połączenie albo intrygujące pytanie, ot tak, znikąd. Czasami od tych rozmów pękały nam głowy. Wtedy szliśmy odpocząć do salonu i graliśmy w gry video, do których Peter zachęcił Lilę. To był jeszcze okres gier na Atari, zawierających szybko wirujące trójkąty - uśmiechnął się do wspomnień. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby ta gra była upchana gdzieś w jakimś kartonie w piwnicy.

- To mi wyjaśnia, gdzie Lila bywała w te noce, kiedy wracała tak późno. Nigdy nie udało nam się dojść do tego, gdzie oni się spotykali - zawahałam się. - Nie wiem, jak to powiedzieć, oni używali pana domu do...

Carroll popatrzył przestraszony.

- Na miłość boską, nie. Jest taki mały hotelik przy Half Moon Bay. Wolałbym nie wiedzieć, ale Peter któregoś dnia wspomniał o tym ni stąd, ni zowąd. Podejrzewam, że po prostu musiał się z kimś tym podzielić. Niesamowicie kochał swoją siostrę. Wiem z doświadczenia, że to coś takiego, czego człowiek nie chce trzymać w sekrecie. Chcesz powiedzieć całemu światu. Zrobił rozsądnie, powiedział tylko mnie. - Carroll zmarszczył się. - Oczywiście zawsze się zastanawiałem, co by się stało, gdybym powiedział Peterowi, by wrócił do żony, by zapomniał o Lili. Przypuszczam, że teraz to już nikomu nie przyniesie szkody, jeśli pani wyznam, że okres przesłuchań był jedynym czasem w moim życiu, kiedy dokonałem zdecydowanego wyboru i oszukiwałem. Nie powiedziałem detektywom o Lili i Peterze, bo uważałem za swój obowiązek chronić go. Możliwe, że to nie był najlepszy wybór, mówiąc technicznie, ale nigdy go nie żałowałem. Oczywiście, kiedy ostatecznie wyszła ta tandetna książka - nie byłem w stanie mu pomóc.

Nie wiem, co Peter pani powiedział. Ale dokonał zdumiewającej pracy, jeśli chodzi o teorię liczb i topologię, przez ostatnie dwadzieścia lat pomimo odizolowania w tej małej chatce w dżungli. Jest zdecydowany żyć nieco prymitywnie. Bez komputera - to się nie mieści w głowie. Jak już wspominałem, przysyła mi listy, chociaż jest dużą przesadą nazywanie tego listami. Zazwyczaj to kilka ogólnikowych linijek tekstu, wspomina o pogodzie, o pewnych udoskonaleniach, jakie wprowadził w domku, a następnie całe strony obliczeń prawie nieczytelnym pismem. Przez całe lata odczytywałem te

listy sam, ale kiedy wzrok zaczął mi się pogarszać, sekretarka zaczęła mi je przepisywać na maszynie, zanim ja się do nich zabiorę. Pismo Petera jest niemożliwe.

Carroll wskazał na kartonowe pudło na podłodze wypchane teczkami.

- Tam są, posegregowane według lat. Najpierw wkładałem je do szuflady, myśląc, że wkrótce wróci. Potem minął rok, dwa, trzy i zdałem sobie sprawę, że nie wróci. Wiem, że powinienem znaleźć lepsze miejsce, by je gromadzić, ale przyzwyczałem się mieć je blisko siebie, żebym mógł tylko sięgnąć i błyskawicznie wyciągnąć ten, którego potrzebuję. Są wspaniałe. To pudło wypełnia robota, która mogłaby narobić wiele zamieszania. Staram się namówić Petera, żeby mi pozwolił je opublikować, ale widzę, że jakoś przyzwyczał się do anonimowości.

- Kiedy spotkałam go, był bardzo skromny - powiedziałam. - Z jego wypowiedzi nie odniosłam wrażenia, żeby robił coś ważnego.

- To rzadki gatunek - powiedział Carroll. - Jeszcze zanim jego kariera się wykoleiła, oczywistym było, że nie szukał sławy ani chwały. Po prostu kochał pracować.

- Tak jak Lila - dodałam.

Carroll podniósł brew. Po pewnym wahaniu powiedział:

- Oczywiście, bardzo lubiła pracę, ale nie można zapominać, że twoja siostra była bardzo ambitna.

Wciąż jeszcze byłam pod wrażeniem tego, co mi powiedział poprzednio.

- Powiedział pan, że żona McConnella w różny sposób groziła po tym, jak dowiedziała się o Lili. Kiedy to było?

Carroll zaczął się zastanawiać.

- Z tego, co pamiętam, to może było na jakiś miesiąc przed... - zawahał się, jakby szukał najodpowiedniejszego słowa. - Zanim pani siostra odeszła.

- McConnell oznajmił mi, że powiedział swojej żonie dopiero na kilka dni przed zaginięciem Lili.

- Tak?

- Dlaczego miałby kłamać?

Carroll poruszył się na krześle i poprawił pasek od zegarka.

- Nie mogę mówić za niego, ale powiem, że bardzo troszczył się o swoją rodzinę. Jakikolwiek wady miała Margaret, to jednak była dobrą matką. Najważniejszy na świecie był dla Petera syn i zrobiłby wszystko, żeby chłopiec pozostał z nią i bez wątplenia gotów był wiele wziąć na siebie.

- Chyba nie rozumiem. Zawahał się.

- Proszę zrozumieć. Mam pewien opór, by powiedzieć więcej, bo nie ma absolutnie żadnych dowodów na poparcie mojej teorii.

- Pana teorii?

- Margaret знаła kilku podejrzanych typków. Lila była dla niej cierniem. Proszę wziąć pod uwagę, że nie mam żadnych dowodów, tylko pewne przeczucia. A przeczucia, obawiam się, są niewiele warte.

- Przepraszam, ale proszę mówić jaśniej.

Carroll znów skrzyżował nogi. Kiedy przesuwiał się na krześle, widać było wewnętrzną stronę kołnierza marynarki, gdzie było wyszyte jego nazwisko czerwonymi, pochyłymi literami.

- To byłoby bardzo niedyskretne, gdybym powiedział coś więcej. Prawdopodobnie już za dużo powiedziałem. Poza tym Peter uważał, że moje podejrzania były bezpodstawne.

- A co ze Strachmanem? - zapytałam. - Dlaczego on nie powiedział nikomu o Lili i McConnellu?

- Ach, tak, Strachman. To też było ciekawe. Użył swojego milczenia jako elementu przetargowego.

- W jakiej sprawie?

- Peter i ja pracowaliśmy nad pewnym zagadnieniem. Strachman jako taki nie miałby do mnie dostępu. Szczerze mówiąc, nie lubiłem go. Był przeciwieństwem Petera pod każdym względem: trudno było z nim nawiązać kontakt, bez poczucia humoru, wpadał w nastroje. I zazdrosny, tak w sprawach prywatnych, jak i zawodowych. Mogę panią zapewnić, zrobiłby wszystko, żeby znaleźć się na miejscu Petera - mieć jego wrodzony talent, nie wspominając już o uczuciu Lili.

- Próbował z Lilą?

- O, tak. Ale pomimo że dałby sobie odciąć prawą rękę, żeby móc się z nią umawiać, to w dodatku zazdrościł jej zdolności matematycznych chyba bardziej niż Peterowi.

- Ale otrzymał Nagrodę Hilberta.

- A tak, ta nagroda - Carroll zmarszczył się. - Nigdy nie miałby na to szans, gdyby nie wcześniejsze badania, jakie przeprowadził z Peterem. One dały mu podwaliny pod pracę na temat hipotezy Hodge'a. Każda oryginalna myśl, jaka powstała w trakcie ich współpracy, może być przypisana Peterowi. Ale to nie było w naturze Petera, żeby robić z tego aferę. Tak czy owak, kiedy policja pojawiła się tu po śmierci pani siostry, Strachman przysiągł milczenie pod warunkiem, że będzie dopisany do pracy mojej i Petera.

- I zgodził się pan?

- Musi pani zrozumieć, że Peter był mi bardzo bliski, i wciąż jest. Nie wiem, co w nim jest takiego, ale wyzwała we mnie uczucia ojcowskie.

Nagle Carroll uśmiechnął się i wstał, wyciągając do mnie rękę.

- Ellie, wspaniale gawędziło mi się z tobą, ale minęła moja godzina policyjna. Żona będzie się zastanawiała, co się ze mną dzieje.

- Dziękuję bardzo, panie profesorze - powiedziałam, podając rękę.



- Czy mam zadzwonić po ochronę kampusu? Przyślą kogoś, kto odprowadzi cię do samochodu. Nigdy za mało ostrożności...

- Nic mi nie będzie.

Kiedy się odwróciłam, lekko położył mi rękę tuż poniżej pasa. To był jeden z tych męskich gestów, który zawsze wprawiał mnie w zakłopotanie, a równocześnie był rycerski i opiekuńczy - dwie strony medalu.

- Zastanawiałem się - powiedział, wciąż trzymając rękę w tym intymnym miejscu.

Odwróciłam się i popatrzyłam na niego, a jego ręka zawisła w powietrzu.

- Tak?

- Czy Lila wspominała o mnie kiedykolwiek?

- Tak.

Rozluźnił się i zaczął uśmiechać.

Tak to zostawiłam. Nie powiedziałam, że Lila tylko nadmieniała o nim mimochodem jako o wspaniałym profesorze, z którym chciała współpracować. Tak jak i McConnell, jej przyjaźń z Carrollem i ich wieczory w jego domu były trzymane w tajemnicy przede mną.

Moje kroki odbijały się echem na długim korytarzu. Minęłam drzwi z wywieszką „Stanford Journal of Mathematics”. Spod drzwi widać było światło. Czy to w tym pokoju Strachman widział Lilę i McConnella przed tyloma laty?

Z kluczykami w dłoni szłam szybko do samochodu, który nielegalnie zostawiłam na parkingu wydziałowym koło ich budynku. Ktoś wetknął białą kopertę za wycieraczkę szyby. Wyjęłam - kara za parkowanie. Dobrze, że dziewczyny kontrolujące teren jeszcze nie spały.

## 33.

Kilka dni później, kiedy zatrzymałam się na zapleczu Golden Gate Coffee, srebrny prius już stał. Dora gwizdnęła, kiedy weszłam do biura.

- Jakieś specjalne wyjście?

- Jedyne czyste rzecz, jaką miałam - odpowiedziałam. Może czarna spódnica ołówkowa i koczki to było za dobrze. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz przyszłam w czymś takim do pracy. Dora mrugnęła. - Henry będzie zachwycony.

W pokoju do testowania kawy zaczęłam przygotowywać ostatnie próbki: żółty kultywar *bourbon* z Salwadoru, *caturra* z regionu Boquete w Panamie i *peaberry* z Kostaryki. Właśnie skończyłam wlewać wodę do kubeczków, kiedy wszedł z palarni Henry, twarz miał rozpaloną od gorąca. Wyglądał inaczej i chwilę mi zajęło, zanim zauważyłam, dlaczego.

- Ostrzygłeś się.

Odruchowo podniósł rękę do głowy.

- Poszedłem do mojego starego fryzjera w Castro, ale Dotti już tam nie było. Jakaś inna kobieta zabrała się za nożyczki.

- Dobrze wygląda.

- Nie znosiłaś, jak były krótkie.

- Odrosną - uśmiechnęłam się.

Wyciągnął jedno krzesło zza stołu, obrócił je i siadł okrakiem. Ten jego zwyczaj zawsze uważałam za przymilanie.

- Pamiętasz, jak obcinałaś mi włosy?

- Tak. Myślałam, że to już będzie z nami koniec. Co za sposób na rozpoczynanie znajomości.

- Jasne, że strzyżenie było kiepskie - powiedział. - Ale chodziło o to, że byłaś pierwszą kobietą, której kiedykolwiek zaufałem w tej sprawie.

Czułam, że się czerwienię. Dziwne. Po tylu latach razem, i to tak blisko, czyż było tu jeszcze miejsce na zakłopotanie?

Podniosłam ciężką łyżeczkę i odsunęłam piankę z kawy zadowolona, że mam co robić.

- Za chłodna - powiedziałam. - Muszę zacząć na nowo.

Coś odpowiedział, ale wydawało mi się, że nie usłyszałam dobrze.

- Co powiedziałeś?

- Może to jest coś, o czym powinniśmy pomyśleć. Ty i ja. Żeby zacząć na nowo.

Odłożyłam łyżeczkę na stół.

- Mówisz poważnie?

- A dlaczego to miałby być taki szalony pomysł?

- Henry, przecież minęły trzy lata.

- Nigdy nie przestałem o tobie myśleć.

- Kiedy wyjechałeś, miałam najdłuższy w życiu okres oczekiwania, żebyś postąpił rozsądnie, bo byłam pewna, że coś takiego nie mogło się tak nagle skończyć. Ale kiedy nie wróciłeś, doszłam do wniosku, że musiałam cię kochać o wiele bardziej niż ty mnie. Wtedy tylko takie tłumaczenie miało dla mnie sens. Teraz jesteś z powrotem. Powinnam być wściekła na ciebie.

- Nigdy nie kochałaś mnie więcej - odparł Henry. - Jeżeli już - to było odwrotnie.

Potrząsnęłam głową.

- Jeśli było tak jak mówisz, to starałbyś się, żeby to funkcjonowało.

- Starałem się - powiedział. - Ile razy ci mówiłem, że nie zniosę kolejnej utarczki? Zgadzałaś się ze mną, obiecywałaś nie szarpać się o drobiazgi i wszystko było dobrze przez kilka tygodni, miesięcy i potem zupełnie nagle wyciągałaś jakieś żale, atakowałaś mnie o coś, o czym nie miałem pojęcia, że zrobiłem.

- Ja taka byłam? Henry westchnął.

- Tak, taka byłaś.

- Przepraszam.

- Ja nie oczekuję przeprosin. Jeśli ktokolwiek powinien tu przeproszać, to ja. Nie myśl, że ja nie zdaję sobie sprawy, jakim ja byłem głupkiem w końcu. Przypominam ci tylko, że ja bardzo usilnie próbowałem, żeby to działało. Ale za każdym razem, kiedy o coś walczyliśmy, odnosiłem wrażenie, że nie robisz tego na serio. Jedyne wytłumaczenie, jakie przychodziło mi do głowy to takie, że z jakichś powodów chciałaś się mnie pozbyć.

- Wcale tego nie chciałam.

Przez minutę żadne z nas nic nie mówiło. Zanurzyłam łyżeczkę w letniej kawie. Odgarnęłam piankę z powierzchni pierwszej szklanki i robiłam to, aż zdjęłam fusy ze wszystkich dziewięciu szklanek

- Zawsze tak było - powiedział Henry cicho.

- Jak?

- Zaczynaliśmy poważną rozmowę i kiedy tylko stawała się niewygodna, zaczynałaś robić coś innego. Pranie, mycie naczyń, kawę, cokolwiek.

Popatrzyłam na niego. Wiedziałam, że miał rację. Z jakichś powodów, pomimo wszystkich moich wysiłków, nie mogłam przełamać pewnego poziomu intymności, nawet z Henrym.

- Kiedyś coś mi powiedziałaś. To było jeszcze na początku. Że nasionko zwiastujące śmierć związku jest zawsze widoczne od samego zarania. Powiedziałaś, że jak się człowiek dobrze przyjrzy początkom, to zawsze będzie umiał dostrzec koniec. Wtedy brzmiało to trochę absurdalnie. Ale potem, przez te ostatnie kilka miesięcy spędzonych razem, kiedy tak bardzo walczyliśmy ze sobą, zaczęłam myśleć o tym, co powiedziałaś. Prześledziłam cały nasz związek do tyłu, do jego początków, aż do pierwszej randki. Chciałam znaleźć to ziarenko, tę wskazówkę, która zapowiadała koniec.

- Znalazłaś? - zapytał cicho.

- Nie. Zupełnie nie. Nie było go tam. Przynajmniej ja go tam nie znalazłam. Od tej pory zastanawiam się, czy ty widziałeś ten znak. Chodzi o to, czy zauważyłeś coś we mnie na pierwszej randce, czy kiedy pierwszy raz spaliśmy ze sobą, czy, do diabła, jak spotkaliśmy się po raz pierwszy. Czy było wtedy coś, co ci powiedziało, jak to się może skończyć?

Bawił się łyżeczką na stole.

- Jeśli ci coś powiem, obiecasz, że nie potraktujesz tego jako napaści na ciebie?

Zastanawiałam się nad odpowiedzią, czy naprawdę chcę usłyszeć to, co miał mi do powiedzenia, kiedy do pokoju wszedł Mike.

- Potrzebuję cię znów w Nikaragui w październiku - oznajmił.

- Dobrze.

Mike popatrzył na Henry'ego, jakby go dopiero teraz zauważył.

- Kiedy ostatnio byłeś w Ameryce Środkowej?

- Jakaś chwilę temu.

- Ty też powinieneś pojechać. Pomyśl o tym jako o prezencie powitalnym z okazji powrotu do domu.

Te słowa zawisły w pokoju. Mike nigdy nie był subtelny. Kiedy zerwaliśmy, powiedział Henry'emu, że zrobił błąd, którego będzie zawsze żałował. Wiele razy po naszym rozstaniu Mike otaczał mnie ramieniem i mówił: „On wróci”.

- Może pojedę - odezwał się Henry.

Mimo że skupiałam się na filiżankach stojących przede mną, wiedziałam, że Henry patrzy wprost na mnie i czeka na jakiś sygnał.

## 34.

Tablica miała kształt zabudowań gospodarczych, czerwona kursywa na białym tle: *Mleczarnia rodziny Boudreaux*. Obok była prowizoryczna informacja napisana ręcznie na kawałku drewna:

*Witamy na weekendowym szlaku zwiedzania farm*

*Możesz samemu pozbierać dynie,*

*Kopać ziemniaki,*

*Spotkać Tabithę,*

*Wydoić krowę!*

*Zimne napoje*

*Świeży ser*

Skreśliłam w pełną drogę. Po obu jej stronach były pastwiska, jasna zieleń na tle brązowych wzgórz. Staroświecki pług leżał porzucony w trawie. Siedział na nim kruk i czyścił sobie skrzydła w słońcu. Przy ogrodzeniu stareńki koń przyglądał mi się leniwie, kiedy przejeżdżałam. Pomyślałam sobie o sobotnim popołudniu, kiedy pojechałyśmy z Lilą do stadniny tuż przed sprzedaniem Dorothy. Osiodłała ją dla mnie.

- Daj jej porządną ostrogę - powiedziała Lila w swój zwykły, rzeczowy sposób. - Niech wie, kto tu rządzi.

Ale kiedy to zrobiłam, Dorothy wystartowała przez pola galopem, a ja usiłowałam przeżyć.

Koński epizod Lili sprzed wieków dzisiaj wydawał się raczej snem niż jawą. Jechałam zakurczonym gościńcem, mgła, kłębiąc się, spływała ze wzgórz, w radio śpiewał Cat Stevens i nie mogłam nie pamiętać Lili w spodniach jeździeckich, czarnym swetrze, czarnych butach, a z tyłu jej głowy powiewały włosy związane w kucyk. Nie mogłam przestać myśleć, jak sprawy by się potoczyły, gdyby

nie rzuciła jazdy konnej. Gdyby, zamiast oddać się całym sercem matematyce, zrobiła tak, jak radziła nasza matka, i zostawiła sobie jazdę jako drobne hobby, przyjemność, która nie miała nic wspólnego z życiem naukowym. Tyle razy zastanawiałam się, czy to ambicja nie pozwoliła jej na to? Jeśli nie była by taką perfekcjonistką, jedyną w swoim rodzaju, z pewnością porządek jej zajęć musiałby się zmienić w wyraźny sposób. Przecież jeśli chodzi o istotne zdarzenia, które kształtują nasze życie, najważniejszy jest właściwy moment. Może plan zajęć, zmieniony nieco ze względu na konia, nie pozwoliłby jej trafić w ręce zabójcy. Natomiast ja, zamiast spędzać sobotę na zwiedzaniu farmy mlecznej i poszukiwaniu jakiejś ciężkiej do ustalenia prawdy, pędziłabym autostradą stanową, aby odwiedzić ją w Princeton albo w uniwersytecie Columbia. Może wiozłabym prezenty, na które czekałby siostrzenica lub siostrzeniec, albo i obydwójce. Kto wie, może i ja miałabym dziecko, męża, wszystko jak na ładnym obrazku.

Zastanawiałam się, jak Lila wyglądałaby teraz, mając czterdzieści dwa lata, ale jedyne, co udało mi się wymyślić, to niewyraźny wizerunek podobny do jednego z tych policyjnych, postarzanych zdjęć stworzonych przez komputery, ciemne linie zaznaczające zmarszczki wokół ust i na czole. Zawsze zastanawiałam się, jak fachowcy od tych rysunków decydowali o wyborze fryzury, czy włosy mają być krótsze czy dłuższe, z grzywką czy bez.

Zerknęłam we wsteczne lusterko, by imitować krzywy uśmiech Lili, dołeczek w prawym policzku i minimalnie przymknęłam prawe oko. To było wszystko, co mogłam zrobić dzisiaj, znając ją, a przecież nie wiedząc, jak by się zmieniła. Wydawało mi się jednak, że to nie byłoby tak. Czy jako dorosłe byłybyśmy bardziej podobne do siebie niż jako dzieci, czy właśnie mniej? Prawdopodobnie mniej.

Nie tylko nie wiedziałam, jaki miałyby dzisiaj wygląd, ale jeszcze gorsze było to, że nie wiedziałam, jaką byłaby osobą. Wprawdzie Lila miała jasny pogląd na życie, jakie chciała wieść, ale niewątpliwie zawsze mogły zajść jakieś niespodzianki. Jakby zareagowała na nie i jakie efekty miałyby to po latach - pytania, na które nigdy niebędę mogła odpowiedzieć. Lila była jak niedokończona powieść, dwieście stron, tyle ile potrzeba, *żeby* dobrze wniknąć w fabułę. I nagle okazuje się, że dalej już nie ma nic, reszta nigdy nie została napisana. Nigdy się nie dowiemy, jak miała się zakończyć. Zamiast tego zostajesz z nagłym brakiem zakończenia, wszystkie nici rozpoczętej fabuły zwisają luźno.

Po kilkuset metrach minęłam dużą oborę. Stało w niej rzędem kilkadziesiąt sztuk bydła pyskami w kierunku drogi, jadły, mając łby wetknięte między drewniane szczelki długiego żłobu. Przy końcu podjazdu po prawej stronie było poletko z dyniami, ogrodzone szeregiem czerwonych taczek i dwoma dziecinnymi wagonikami firmy Radio Flyer. Na pastwisku zaparkowało kilka samochodów. Stałam obok srebrnego minivana. Młoda blondynka usiłowała wydobyć z fotelików dwoje zapłakanych dzieci w wieku przedszkolnym.

- To jest farma! - powiedziała. - Będziecie się dobrze bawić!

Wysiadłam z samochodu i szłam wzdłuż tych taczek, starannie omijając krowie placki. Zza bali kukurydzianych łusek wyskoczył mały, biały pies. *Kukurydziany labirynt!* - zapowiadał plakat, zza którego wybiegł chłopiec z kijkiem. Pies śmignął obok mnie, a zdyszany chłopiec zatrzymał się i zapytał:

- Proszę pani, czy może mi pani pomóc złapać Rowdy?

- Dobrze - powiedziałam.

Uwolnił mnie od tego niski, krępy mężczyzna, który wychynął z labiryntu i zagroził chłopcu, że nie pozwoli mu dość krów, jeśli nie przestanie męczyć psa.

Mogę podróżować po świecie i wszędzie czuć się jak w domu, ale wystarczy zostawić mnie na farmie w towarzystwie taczek i dyń, a poczuję się zupełnie nie na miejscu, jakbym wylądowała w krainie Oz.

Powietrze było przesycone lekką, dziwnie przyjemną wonią krowiego łajna. Smużka dymu wznosiła się z małej stodoły kilkaset metrów dalej. Za zagonem z dyniami pod namiotem stał stół, a obok niego znudzona kobieta z zieloną bandanką na szyi.

- Przepraszam - powiedziała. - Moi faceci jeszcze nie wrócili. Przed drugą nie będzie przejażdżek traktorem.

- Nie szkodzi - powiedziałam, zastanawiając się, co ona takiego zobaczyła we mnie, że wzięła mnie za kandydatkę do przejażdżki traktorem.

- Chce pani spróbować? - zapytała, odkrawając kawałek białego sera. - To jest nasz Sonoma Jack. Można go rozpuścić na pieczonych ziemniakach z odrobiną świeżego czosnku. Pycha, prawie Nirwana.

Kupiłam trochę i rozmawiałam z nią przez chwilę o serze, zanim zadałam pytanie, z którym tu przyjechałam.

- Czy jest tu może gdzieś Billy Boudreaux?

- Nie ma tu nikogo takiego. Może pani szuka Franka.

- Frank?

- Właściciel. Gdzieś tu się kręci.

Wskazała na miejsce za podjazdem, gdzie kilka bali siana otaczało dużą brązową krowę. Będzie pokazywał, jak się doi, właśnie tam, za jakieś piętnaście minut.

- Dziękuję - powiedziałam.

Przeszłam przez pole dyni, koło plakatu *Słodkie tarty*. Kiedy przechodziłam przez drogę, zauważyłam, że pole przede mną miało głębokie bruzdy suchej ziemi. Pomyślałam o kartoflisku, które pokazywała mi Lila, kiedy pojechałam z nią do Dorothy po raz ostatni, a to było tak dawno temu. Poczulałam ucisk w żołądku czy rodzaj drżenia i powoli odwróciłam się w stronę zabudowań. Tuż po przyjeździe właściwie ich nie zauważyłam, przysłoniętych rzędem jodeł niemal tak wysokich jak dom.



Pomiędzy drzewami zobaczyłam werandę otaczającą dom, okna na poddaszu i rozpadającą się przybudówkę doklejoną do zachodniej ściany.

Już tu kiedyś byłam.

Był to bardziej instynkt niż przemyślana decyzja. Skierowałam się na pastwisko, do starego konia, i kiedy byłam trzy metry od niego - zauważył mnie i podniósł łeb.

Podchodziłam z boku, tak jak uczyła mnie Lila. „Koń ma ograniczone pole widzenia - mówiła. - Jeśli podejdiesz na wprost - możesz go przestraszyć. I nie patrz prosto w oczy, tak robią drapieżniki”.

- Cześć, dziewczyno! - zawołałam, podchodząc bardzo powoli. Klacz stuknęła kopytami i zamachała ogonem. Kiedy się przybliżyłam - trochę się odsunęła. Stałam i nie ruszałam się przez kilka minut.

Wreszcie wyciągnęłam rękę, żałując, że nie mam ani jabłka, ani marchewki.

Koń był stary, miał lordozę, wystające zęby, mętne oczy i białą strzałkę na siwiejącej głowie. Podeszłam bliżej. Tym razem nie odsunęła się ode mnie. Po chwili byłam tak blisko, że czułam jej ciepło i wilgotny oddech na ramieniu. Delikatnie poklepałam ją po pysku. Zarżała i zamrugała.

- Cześć - powiedziałam cicho.

Słabo stuknęła kopytem i znów machnęła ogonem. Mucha siadła na jej lewym oku. Mrugnęła, ale mucha pozostała. Pomachałam, by ją odpędzić i poklepałam klacz po zadzie. Przysunęła się do mnie. Sierść miała grubą i błyszczącą, a kiedy jej dotknęłam, ku mojemu zdziwieniu, nie doznałam tego uczucia odrazy, które pamiętałam, dotykając konia w dzieciństwie. Pachniała w charakterystyczny sposób ziemią, owsem i słońcem.

„Koń - to koń” - pomyślałam sobie. Czyż wszystkie konie nie wyglądają dla laika tak samo?

- Ileż ty masz lat? - powiedziałam głośno.

Usłyszałam za sobą kroki i odwróciłam się. Zobaczyłam mężczyznę w dżinsach i kraciastej flanelowej koszuli. Szedł od strony stodoły i niósł małe wiaderko.

- Trzydzieści jeden - powiedział. - Jest stara, ale się trzyma. - Podeszedł do niej z drugiej strony i pogłaskał po grzbiecie. - Tak jak ja, moja stara, no nie? - przytulił się do jej szyi. - Mamy te same objawy starości w tym samym czasie, artretyzm, pogarszający się wzrok, sztywne nogi i co tam jeszcze. Żona mówi mi, że niedługo i mnie wystawi na pastwisko.

Sięgnął do wiaderka, wyjął rzepeę, pociął na małe kawałki i podał na otwartej dłoni. Klacz skubała powoli.

- Pani tu na oglądanie farmy? - zapytał. - W tym roku jesteśmy bardziej zapracowani niż zwykle. Dzisiaj musi być nudno w mieście.

- To pana farma? - zapytałam.

- Moja i żony. Od 1983 roku. Wtedy, kiedy kupiliśmy ją, było tylko kilka sztuk bydła i przede wszystkim sad jabłoniowy. Ale przez lata rozbudowaliśmy gospodarstwo i od 1998 jest już całkowicie

ekologiczne. Teraz mamy dziewięćset sztuk bydła. To wciąż niewiele, jak na farmy mleczne, ale i tak za dużo, żeby to wszystko obrobić. Jestem Frank Boudreaux - powiedział, wyciągając rękę.

- Ellie.

Jego uścisk był mocny, ale nie miazdzący, kiedy nasze ręce się spotkały, poczułam na jego dłoniach solidne odciski.

- To piękny kawałek ziemi - powiedziałam.

- Też tak uważamy - poklepał klacz, a ta przytuliła łeb do jego ramienia. Wyciągnął kilka jeżyn i podał na dłoni. - Kiedy kupiliśmy tę farmę, myśleliśmy o niej jako o sposobie na życie w kontakcie z przyrodą, związanie końca z końcem, i lepszą jakością życia. Nigdy nie marzyliśmy o tym wszystkim - opowiadał, zajmując się koniem, sprawdzał uszy, przecierał wilgotną ściereczką oczy. Wreszcie rzucił resztki rzepy na ziemię i powiedział:

- Zaraz będę doił Tabithę. To jest właściwie główna atrakcja dnia, jeśli ma pani ochotę popatrzeć.

Nie wiedziałam, jak mu powiedzieć, po co tu właściwie przyjechałam. Uśmiechnęłam się tylko i odparłam:

- Nie mogę przegapić takiej okazji - poklepałam konia po zadzie i zaryzykowałam pytanie, nie będąc pewną, czy już jestem przygotowana na odpowiedź. - Jak ma na imię?

- Dorothy. Zdziwiłem się, że nie uciekła od pani. Ona nie za bardzo lubi obcych - Frank popatrzył na mnie. - Ej, dobrze się pani czuje?

- Ja nie jestem obca - wykrztusiłam.

- Co?

- Dorothy i ja znamy się od bardzo dawna. Jeszcze zanim tu przyszła, poznałam ją, kiedy stała w Montarze.

Frank przetarł ze zdumienia oczy, wpatrując się we mnie.

- Jak się pani nazywa?

- Ellie.

- Enderlin? - zapytał. Kiwnęłam głową.

Popatrzył w ziemię. Przez kilka sekund żadne z nas nic nie mówiło. Wreszcie podniósł wzrok.

- Nie przyjechałaś tutaj na dojenie krowy, prawda?

- Nie.

To, co następnie powiedział, kompletnie mnie zaskoczyło.

- Myślę, że zawsze wiedziałem, że zjawisz się któregoś dnia. Przypuszczam, że w jakiś sposób czekałem na ciebie.

- Tak?

- No, tak. Cieszę się, że tu jesteś. Chcę z tobą porozmawiać - popatrzyl na wzgórze trochę poruszony. - Niestety, tak się składa, że mam tu te wszystkie dzieciaki, które czekają na pokaz. Zostań w pobliżu, pokręć się trochę. Dzisiaj po południu, jak wszyscy odjadą, możemy się i pogadać.

- Okey - powiedziałam.

Poczułam zawrót głowy, to wszystko potoczyło się za szybko. Nie wiedziałam, co myśleć o tym mężczyźnie, o tej farmie. Z jednej strony, chciałam dostać odpowiedzi na wszystkie pytania. Z drugiej - chyba nie byłam na nie gotowa.

Przez kilka następnych godzin czas nabrał szalonego tempa, zupełnie nierealnych właściwości. Siadłam na beli siana otoczona dziećmi, a Frank pokazywał, jak doić Tabithę. Wszystkie dzieci próbowały po kolei, po nich - ociągając się - ich rodzice, aż wreszcie ja siadłam na małym, metalowym stołku. Nigdy przedtem w życiu nie dołam krowy i było to zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażałam. Wymię wyglądało jak palec albo miękki penis. Kiedy naciskałam i pociągałam, a mleko tryskało do plastikowego kubeczka, Tabitha podniosła ogon i pacnęła sporą porcję mokrego łąjna. Dzieci oszalały z radości, jedno z nich stwierdziło, że placek był większy od największego. Odmówiłam picia mleka, mimo że każdy wypił swój kubek.

- Niech pani wypije! - ktoś krzyknął.

To był ten mały chłopiec, który gonił pieska o imieniu Rowdy. Dołączyły do niego inne dzieci, aż wreszcie wszystkie pokrzykiwały:

- Wypij! Wypij!

No więc wypiałam. Było ciepłe i dziwnie słodkie, i był to wysilek, żeby je przełknąć.

- Nie jestem stworzona do życia na farmie - kiedyś powiedziałam Lili właśnie tutaj, kiedy siedziałyśmy w bujanych fotelach o rzut kamieniem od tego miejsca, na ganku dużego białego domu. Popijałyśmy lemoniadę, cierpką i gęstą, z drobkami cukru, który jeszcze się nie rozpuścił.

- To mi się podoba - powiedziałam, potrząsając plastikowym kubeczkiem, w którym dźwięczały kostki lodu. - Lemoniada, ganek, bujane fotele. To jak z serialu o Waltonach. Ale reszta mnie nie interesuje, to znaczy kopanie ziemniaków, karmienie świń, wyrzucanie obornika, budzenie się o świcie.

- Przyzwyczaiałabyś się - odparła Lila.

- Nie wydaje mi się.

Huśtała się w tę i z powrotem na fotelu, twarzą do słońca, i rozmawiała ze mną z zamkniętymi oczami.

- Masz pewien stereotyp swojego życia, jak ono powinno wyglądać i boisz się zbyt daleko od niego odejść. Ale gdybyś musiała, to znaczy, powiedzmy tak teoretycznie. Wyobraź sobie, że coś dużego rąbnęło i całe miasto płonie. A ty jakoś wylądowałaś na wsi i tu jesteś. Jedyny sposób, żeby przeżyć - musisz wytwarzać własne jedzenie. Przecież mogłabyś to robić. Nawet mogłabyś to polubić. Może nawet zdecydowałabyś, że takie życie pasuje ci bardziej niż obecne.

- A miałabym tam MTV? - zapytałam, wlewając drugą porcję lemoniady z zimnego, metalowego dzbanka.

- Nie.

- Jeździłabym do miasta na zakupy i pożyczać książki z biblioteki?

- Nie. Wszystkie sklepy spalone. Biblioteki też. Nic nie ma. Musisz sobie sama uszyć ubrania z zasłon, tak jak Scarlet O'Hara. Dla rozrywki będziesz opowiadać różne historyjki przy ognisku.

- Nie mogłabym tego robić - odpowiedziałam. - Zagłodziłabym się, chodziłabym naga i ostatecznie umarłabym z nudów.

- Ależ mogłabyś - nalegała Lila. - Musiałabyś przestawić swój umysł na zmienioną rzeczywistość, nowy zbiór zasad.

- A ty? - zapytałam. - A gdybyś tak ty nie mogła dłużej robić tej swojej matmy?

- To, co mówisz, nie ma sensu - odpowiedziała. - Matma zawsze będzie. To jest fundamentalny element składowy wszechświata. Rodzaj ludzki może żyć bez MTV i republik bananowych, nawet bez literatury, jeśli dojdzie do aż tak trudnej sytuacji, ale nie bez matematyki.

- Dobrze, założmy, że nie ma dla ciebie matematyki. W ogóle - upierałam się. - Umówmy się teoretycznie, że to jest część tego całego założenia.

- To jest co innego - powiedziała. - Wszystko w twoim życiu jak do tej pory jest jak hobby, można bez tego żyć. Ale matematyka jest moim powołaniem. Nie rzuca się powołania, bez względu na wszystko.

Wstałam i odeszłam kawałek na bok, wlewając resztkę mojej lemoniady na ziemię. Szybko wsiąkla, zostawiając ciemne miejsce.

- Poczekam na ciebie w samochodzie.

- Nie bądź taka drażliwa - odpowiedziała Lila.

- To twoje powołanie! Co ono ci dało? Żadnych przyjaciół, to pewne. Żadnego chłopaka. Może nie wiem, co powinnam zrobić ze swoim życiem, ale przynajmniej nie umrę dziewicą.

To była najbardziej wredna rzecz, jaka mi przyszła do głowy. Potem tego żałowałam, ale wtedy chciałam jej dopiec, tak jak ona mnie, pokazując to, co uważałam za swoją największą wadę. Dla geniusza znalezienie celu w życiu jest łatwe. Dla nas, całej reszty, to stosunkowo trudne zadanie.

Siadłam w samochodzie stojącym opodal, otwarłam drzwi, Billy Idol głośno śpiewał z taśmy. Przez okulary słoneczne obserwowałam Lilę jeżdżącą na Dorothy po pastwisku. Wyglądała na koniu naturalnie, jakby do siebie należeli. Trwało to ze dwie godziny, nim wróciła do samochodu. W którymś momencie zdrzemnęłam się. Kiedy się obudziłam, taśma już się skończyła, a Lila na miejscu kierowcy usiłowała uruchomić samochód.

- Chyba wykończyłaś akumulator - stwierdziła Lila.

- Przepraszam.

- Nie. To ja przepraszam. Będiesz świetna we wszystkim, czymkolwiek się zajmiesz.

- Dziękuję - wymruczałam.

Jeszcze nie mogłam jej całkowicie wybaczyć, ale doceniłam przeprosiny. To było dziwne u Lili; potrafiła powiedzieć coś takiego, że ja nie mam do niczego powołania, bez złośliwości. Dla niej to było tylko stwierdzenie faktu. Jej nie przyszłoby do głowy, że prawda może ranić.

- Naprawdę tak uważam - dodała. - Uda ci się - delikatnie ucisnęła moje ramię. - Pójdę poszukać Williama i poproszę, żeby nam odpalił ze swojego.

Kilka minut później wyszła z domu z dużym facetem w kombinezonie i czapeczce Giantów.

- Williamie, poznaj moją siostrę, Ellie - przedstawiła nas. - Ellie, to William.

William dotknął palcem czapki.

- Miło cię poznać - wymamrotał.

Poszedł po swój samochód i kable. Podpiął je, Lila siadła za kierownicą, przekręcając kluczyk na jego znak. Po kilku minutach silnik pracował. Kiedy skończył, oparł ramię na otwartym oknie Lili, pochylił się do niej i powiedział:

- Powinno być dobrze, dokąd nie wyłączycie silnika.

- Pachnie potem i szarlotką - rzuciłam, kiedy skręcałyśmy na główną drogę.

- Mówisz to tak, jakby było w tym coś pozytywnego - stwierdziła Lila.

- A nie jest?

Nie odpowiedziała.

- Chyba cię lubi.

- William? - zaśmiała się. - Nie mamy ze sobą absolutnie nic wspólnego. Właściwie jest bardziej w twoim typie niż moim.

- Dlaczego?

- Siedzi w muzyce. Grał w jakiejś dziwnej kapeli.

Uwaga nie była szczególnie ciekawa, więc natychmiast o niej zapomniałam. Rzadko jeździłam z Lilą na farmę. Następnym razem widziałam Williama dopiero po roku czy dwóch, kiedy pojechaliśmy tam sprzedać Dorothy. A teraz, kiedy siedziałam przy krowie i doiłam ciepłe mleko, które z pluskiem wpadało do kubka, myślałam o tym popołudniu, które było tak dawno temu. O przystojnym faciecie, który był chyba trochę zadurzony w Lili. Wtedy to było zupełnie nieważne. William, Billy - teraz zaczynało nabierać sensu. *Co ja zrobiłem, moja piękna, co ja zrobiłem?*

Po wydojeniu krów Frank zabrał dzieci na przejażdżkę na wozie pełnym siana.

- A foteliki dla dzieci? - zapytała ta blondynka, która wyjmowała dzieci z samochodu, kiedy przyjechałam.

- To wóz z sianem, złotko. Nie wyposażają ich w pasy bezpieczeństwa.

- No to ja nie wiem - powiedziała mamuśka, ale dzieci tak długo wrzeszczały, aż im pozwoliła.

Potem Frank oprowadził wszystkich po wędzarni, gdzie cała świnia wisiała za nogi, a jej łeb się kołysał. Miała poderżnięte gardło, ale ryj wyglądał zdumiewająco żywo. Chłopiec, który zaczął namawianie mnie do wypicie mleka, wybiegł z wędzarni z płaczem.

Po wędzarni były zawody rzeźbienia w dyni. Dokładnie o czwartej trzydziści Frank podziękował za wizytę i odprawił wszystkich do domu z kawałkiem ciepłej, świeżutkiej tarty. Stałam z nim przed domem i patrzyłam, jak ostatni samochód wytacza się z placu.

Hol w ich domu był obszerny, kwadratowy, podłoga ułożona z szerokich desek, a na ścianach płowiejące tapety w kwiaty. Na środku stół zrobiony z maszyny do szycia o kutyh elementach. Na nim wazon pełen słoneczników. Wchodząc do wnętrza, doznałam silnego *déjà vu*. Musiałam być w tym domu z Lilą podczas któregoś z moich przyjazdów na farmę, ale nie pamiętałam tego. Dom pachniał pastą do podłogi i mieszanką suszonych płatków różnych kwiatów i ziół oraz tym stęchłym, nieco przypalonym zapachem, który na długo pozostaje po czyszczeniu dywanu starym odkurzaczem. Po prawej stronie leżał bladozielony dywan, na którym były ślady szczotki po niedawnym odkurzaniu oraz stały stare sofy i krzesła z wysokimi oparciami.

## 35.

Schody naprzeciwko drzwi wejściowych prowadziły na górę. Działo się tam coś gwałtownego, skrzypiały deski w podłodze. Kiedy zerknęłam do góry, zobaczyłam kogoś przechodzącego z pokoju do pokoju, na szczycie schodów mignął mi łokieć i cień buta.

- Tędy - powiedział Frank.

Prowadził mnie przez pokój wyłożony dywanem, mineliśmy duży telewizor z płaskim ekranem, biblioteczkę wypełnioną filmami video i DVD i weszliśmy do kuchni. Była przestronna i skąpana w świetle. W rogu stała błyszcząca lodówka ze stali nierdzewnej tuż obok zabytkowej kuchenki firmy Wedgwood, kącik do jedzenia z czerwonymi winylowymi fotelikami był wstawiony w okno wykuszowe. Efekt był czarujący i nieco niepokojący. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak w takim domu toczy się życie małżeństwa albo całej rodziny, w sposób niezdecydowany, przypadkowy, zgodnie ze stylem domu. Wydaje mi się, że większość domów miała o wiele więcej wspólnego z tym miejscem niż z domem mojego dzieciństwa, gdzie każdy mebel był wybrany tak, żeby pasował do reszty i gdzie każdy przedmiot miał swoje miejsce.

- Siadaj - powiedział Frank.

Winył zaskrzypiał, kiedy wsuwałam się w fotelik jak wabinę. Siedziska pachniały, jakby je ktoś wyszorował lizolem, a błyszczące okna jakimś płynem do szyb typu windex.

- Prawdziwa czy bezkofeinowa?

- Prawdziwa.



Z szafki wziął pojemnik z napisem, że to kawa z cykorii, odmierzył mieloną kawę do starego ekspresu. Kiedy stawiał go na kuchence, zadzwonił telefon, więc przeprosił mnie na chwilę. Nie było go przez kilka minut. Kiedy ekspres zaczął bulgotać, wyłączyłam palnik i wlałam kawę do filiżanek, ciesząc się, że mam zajęcie. Spacerowałam po kuchni, mając nadzieję zauważyć coś, co będzie jakąś wskazówką na temat nieuchwytnego Billy'ego Boudreaux. Ale zdjęcia na lodówce przedstawiały tylko małą dziewczynkę w szkole, na obozie harcerskim, na zakończeniu szkoły średniej i coś, co wyglądało jak wakacje na Hawajach. Na półce stała kolekcja ceramicznych pojemników w kształcie różnych postaci disnejowskich, a za nimi, nad metalowym blatem wisiały miedziane rondle i patelnie.

- Przepraszam za zamieszanie. Dzwoniła córka - powiedział Frank po powrocie.

- Ta, która jest na zdjęciach?

- Owszem. Ten semestr robi na archipelagu Florida Keys, bada tam wpływ globalnego ocieplenia na życie gąbek i raf koralowych. Mają tam laboratorium zwane Aquarius osiemnaście metrów pod powierzchnią wody i wysyłają sprawozdanie na żywo do Internetu. Pierwsza rzecz, którą robię rano, to siadam do komputera, mając nadzieję zobaczyć choćby kawałek Tally z butlami na plecach. To uzależnienia jak narkotyk.

Na stole postawił talerz czekoladowych ciasteczek.

- Nigdy w życiu bym nie zgadł, że wybierze biologię morza - kontynuował. - My z żoną jesteśmy stworzeniami absolutnie lądowymi. Wstyd się przyznać, ale nawet nie umiem pływać. Ale tak jest z dziećmi - zdumiewają cię. A ty masz? - zerknął na moją lewą dłoń.

- Jeszcze nie.

Przez kilka minut rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, jakby żadne z nas nie wiedziało, jak rozpocząć interesujący nas temat. Mówiliśmy o Tally, o farmie, o poprzedniej pracy jego żony jako organizatora wystaw w małej galerii w city. Zapytałam go o tę ogromną kolekcję filmów, którą widziałam w pokoju z telewizorem, na co odpowiedział, że jest trochę fanem filmów.

- Właściwie odziedziczyłem je po bracie, Willym - powiedział. - Ponad połowa tego zbioru jest jego. Przez lata go powiększyłem.

- Odziedziczyłeś?

- Przecież jemu już są niepotrzebne.

Oczekiwałam, że wyjaśni coś więcej, ale nie rozwodził się nad tym. Przez kilka sekund milczeliśmy. Frank nerwowo pogryzał ciasteczka. Zjadł chyba cztery, zanim wreszcie przeszliśmy do tematu, wokół którego kręciliśmy się cały dzień.

- Powiedziałaś, że czekałeś na mnie - zapytałam wreszcie. - Dlaczego?

- Jednej rzeczy nauczyłem się w życiu, że przeszłość zawsze kiedyś się przypomni. Po prostu to było rzeczą oczywistą, że zjawisz się któregoś dnia. Byłaś tu już kiedyś. Zatoczyłaś wielkie koło, prawda?

- Nie jestem pewna, czy cię rozumiem.

Popatrzył na mnie. Źrenice miał tak duże, że jego ciemnobrązowe oczy wydawały się prawie czarne. Matka powiedziała mi kiedyś, że źrenica powiększa się w ciemnościach i ława przysięgłych lubi patrzeć ludziom w oczy, by wiedzieć, czy mówią prawdę, czy nie i przyćmione światło sali rozpraw pracuje na ich korzyść, kiedy świadek zeznaje.

- To naturalne przeświadczenie prawdy, kiedy ktoś ma duże źrenice - powiedziała. - Jeśli umiesz zatrzymać to dla siebie, powiem ci, jakiego triku używam. Otóż, nim idę w stronę ławników, by przedstawić końcowe argumenty, specjalnie doprowadzam się do tego, żeby mieć zamazany obraz. Aby to osiągnąć, wpatruję się w notatki i specjalnie zezuję, aż stracę ostrość widzenia. To rozszerza źrenice i kiedy staję przed ławnikami, patrzę na nich szeroko otwartymi, pełnymi uczciwości oczami jak prezydent Lincoln.

To mi dało całkiem nowe spojrzenie na naturę matki jako osoby w pracy. Ale nie jestem pewna, czy taką osobę chciałam widzieć w domu jako matkę. Po tym, jak mi to powiedziała, zastanawiałam się, czy mogłam wierzyć jej uczuciom. Kiedy patrzyła mi w oczy i mówiła, że jest ze mnie dumna: czy mówiła prawdę, czy karmiła mnie frazesami, a wszystko było tak wykalkulowane, żeby przekonać mnie o mojej wartości i w ten sposób zrobić ze mnie lepszą osobę?

- Lubisz słuchać opowieści? - zapytał Frank, odsuwając talerz z ciasteczkami na bok.

- Każdy lubi.

- To mam coś dla ciebie. Wzięłam głęboki oddech.

- Zaczynaj.

- Wcześniej rano pewnego październikowego dnia 1989 roku mój młodszy brat Will pojawił się w drzwiach naszego domu. Miesiąc wcześniej wyrzuciliśmy go. Już wcześniej mieszkał z nami przez jakiś czas, usiłując oczyścić organizm. Szło mu świetnie, tak świetnie, że wydawało się, że tym razem mu się uda i zmieni swoje życie na dobre. Ale potem nastąpił nawrót do nałogu. Mieliśmy wtedy małe dziecko i Nancy, moja żona, nie chciała go w domu, co było całkowicie zrozumiałe. Przecież tyle razy dawaliśmy mu szansę. Kiedy Will był trzeźwy, ogromnie nam pomagał na farmie. Ciężko pracował, dobrze traktował zwierzęta, ze wszystkimi był w dobrej komitywie. Kiedy Nancy była w ciąży, był dla niej taki troskliwy, jakby to było jego dziecko. Kilka razy w ciągu dnia zaglądał do domu, żeby sprawdzić, czy dobrze się czuje. Kiedy kończył swoje obowiązki, to wykonywał różne prace koło domu, żeby ona nie musiała tego robić. Wstawał w środku nocy, by udoić mleka od jednej z krów, bo wbił sobie do głowy, że Nancy powinna pić tylko najświeższe mleko. Jeśli stało w lodówce przez godzinę, to dla niej nie było już dobre. „Tylko prosto od krowy - mawiał. - Wtedy dziecko będzie silniejsze”. Do dzisiaj nie jestem pewien, czy coś w tym nie było, bo po wypiciu przez Nancy świeżego mleka, maluch niezmiennie strasznie kopał. Tak czy owak, przez całe miesiące Will był w stanie mówić tylko o tym.

No i urodziła się Tally. Wciąż miała kolki i pierwszych sześć miesięcy życia spędziła, wrzeszcząc piekielnie, ale jej płacz ani trochę nie przeszkadzał Willy'emu. Był niesamowity. Kiedy pracował gdzieś w polu, cokolwiek by Nancy robiła - nie skutkowało, mała płakała przez całe godziny. Kiedy Will wchodził do domu, szybko się mył i brał Tally na ręce. Zaczynał dmuchać jej do ucha, wydawał taki przedziwny dudniący dźwięk... powinnaś go słyszeć, miał taki głos... Zawsze wydawało mi się, że powinien być liderem w swoim zespole. No i krzyki dziecka przechodziły w spokojny płacz, potem zamieniały się w pochlipywanie i w ciągu minuty czy dwóch mała była całkowicie szczęśliwa. Szczerze, nie wiem, jak byśmy przetrwali te kilka pierwszych miesięcy bez niego.

Tak czy owak, w jakiś rok po urodzeniu Tally, Will załatwiał jakieś sprawy w Petalumie i wpadł tam na jakiegoś gościa, którego znał z biznesu muzycznego. Zadzwoił z jego studia nagrań, że nie wróci na obiad. Nie przyjechał też wieczorem, ani następnego dnia. Kiedy pokazał się po tygodniu - był strzępem człowieka: nieogolony, niemyty, z tym paranoicznym spojrzeniem. Podszedł, żeby wziąć Tally na ręce, ale Nancy powiedziała mu, że nie chce go widzieć przy dziecku. Zaprzeczał, że ponownie wpadł w ciąg, ale to było widać. Nancy nalegała, żeby poszedł na terapię i ja ją poparłem, ale odmówił. W którymś momencie naszej kłótni rozwalił pięścią ścianę.

Pobiegłam wzrokiem za ręką Franka. Na ścianie wciąż było widać ślad po naprawie i malowaniu.

- To było wtedy, kiedy Nancy powiedziała mi, żeby się pakować i wynosić - opowiadał Frank. - Próbowałem ją przekonać, żeby dała Willy'emu jeszcze jedną szansę. Obawiałem się, że bez nas zupełnie się stoczy. Bałem się o jego życie. Przecież to był mój młodszy brat. Pamiętam, jak się urodził, jak grywałem z nim w piłkę, kiedy byliśmy dziećmi, pomagałem wybrać pierwszą gitarę, wyciągnąłem go za poręczeniem z więzienia, kiedy pierwszy raz wpadł w kłopoty za prowadzenie pod wpływem. Nancy postawiła sprawę twardo, że albo ona, albo on, i chociaż bardzo kochałem brata, nie miałem zamiaru stracić Nancy ani dziecka. Will błagał, by mu pozwolić zostać, obiecywał, że to się już nigdy nie powtórzy, ale powiedziałem mu, co wtedy naprawdę czułem, że położyłem już na nim kreskę. Po dziś dzień tego żałuję.

Skończyło się na tym, że musiałem spakować jego manatki, bo on odmówił. Dzisiaj już nie jestem pewien, jak go ostatecznie wpakowałem do jego własnego samochodu, ale tak zrobiłem, odwiozłem do miasta, zapłaciłem za kilka tygodni pobytu w hotelu tuż przy plaży i wcisnąłem w garść kilkaset dolarów, żeby jakoś przetrwał. Tamtą noc spędziliśmy w hotelu, omawiając różne sprawy. Był na zmianę skruszony lub zły, płakał i krzyczał, ale przyrzekł trzymać się z daleka od kłopotów i znaleźć pracę. I że przyjadę zobaczyć się z nim za trzy miesiące, będzie wtedy czysty, trzeźwy i zatrudniony na etacie. „Może nawet napiszę kilka piosenek”, dodał. Było tyle nadziei w jego głosie, chciałem mu wierzyć.

Następnego dnia Nancy przyjechała do miasta i zabrała mnie do domu. Wstyd mi dzisiaj przyznać, ale wtedy mi ulżyło. Powtarzałem sobie, że nie jestem za niego odpowiedzialny, że albo się pograży, albo wypłynie. Teraz wiem, że to było złe podejście, gdybym tylko zdołał go utrzymać tu jakoś na farmie, nie doszłoby do tych wszystkich rzeczy, które się wydarzyły potem i może wciąż by żył. Ale wtedy byłem tak zmęczony, po prostu chciałem mieć go z głowy. Człowiek nie wie, jakie dany czyn będzie miał następstwa i dopiero kiedy jest za późno... Prawda?

Było to więcej niż retoryczne pytanie, oczekiwał ode mnie jakiejś odpowiedzi, ale mnie zastanowiła druga część jego ostatniego zdania.

- Nie żyje?

- Sześć lat temu - powiedział Frank. - To właśnie Tally go znalazła w jego samochodzie. Podpiął wąż do rury wydechowej i przeciągnął przez okno.

- Ale ja myślałam...

- Co?

- Kiedy weszliśmy, widziałam kogoś na górze. Myślałam...

- Och, to Roy - odpowiedział Frank. - Narzeczony Tally. Skończył mu się wynajem mieszkania w mieście. Mieszka u nas przez kilka tygodni, zanim coś znajdzie.

- Aha.

- Miałś nadzieję go zobaczyć? Kiwnęłam głową.

- Przepraszam, że o to pytam, ale jak go tutaj wytropiłaś? On tu się zaszył na dłuższy czas.

Opowiedziałam Frankowi o Benie Fong-Torresie, o artykule, który napisał i jego przypadkowym spotkaniu z Billem na Haight, i o taśmie.

- Taśma? Nigdy mi nie mówił, że pisał nowe piosenki. Przecież słyszałbym, że czasami gra na gitarze w swoim pokoju, że od czasu do czasu śpiewa, ale wydawało mi się, że już z tym skończył. Namawiałem go, by pograł dla nas, ale nie chciał. Powiedział, że to należało do innej części jego życia. Od czasu do czasu grał dla Tally, ale nigdy, kiedy jeszcze ktoś inny był w domu. - Pochylił się do mnie. - Masz ją ze sobą?

- Tak.

- Nawet nie wiesz, ile to będzie dla mnie znaczyć, móc jej wysłuchać.

Przeszliśmy do pokoju wyłożonego zielonym dywanem i Frank włożył kasetę do starego odtwarzacza.

- Poczekaj - powiedziałam. - Zanim jej posłuchasz, chciałabym usłyszeć resztę historii.

## 36.

- Sceniczne imię twojego brata to Billy, prawda?

Frank stał przy kominku. Obok niego stos drewna przygotowany w miedzianym wiadrze.

- Tak, jego zespół zdecydował, że Billy Boudreaux brzmiało lepiej niż William, ale dla mnie zawsze był Willem. Pamiętam, że kiedyś, jeszcze przed tymi wszystkimi kłopotami, byliśmy w centrum Petaluma i jedliśmy obiad w małej włoskiej restauracji. Jakiś dzieciak podszedł do nas i powiedział: „Hej, ty jesteś Billy Boudreaux”. Will dał mu autograf w zeszytce szkolnym i wtedy zdałem sobie sprawę, że on wie o podwójnym życiu. Dla mnie wciąż był tym małym braciszkiem, który miał mierne stopnie w szkole, facetem, który nigdy nie miał w banku więcej niż pięćdziesiąt dolarów, ale dla niektórych ludzi był wschodzącą gwiazdą rocka. Wydaje mi się, że człowiek musi być bardzo szczególną jednostką, żeby być w stanie to uciągnąć, utrzymać te dwie indywidualności z osobna. Jednego wieczoru stał przed setkami rozwrzeszczanych fanów, a innego jadł na obiad zupę Campbella z puszki w swoim nędznym mieszkaniu-studio w Tenderloin.

- Powiedziałaś, że zjawił się u was któregoś ranka w miesiąc po tym, jak wyrzuciliście go - powiedziałaś. - Co się stało?

Frank podszedł do mnie. Było mnóstwo krzeseł, ale siadł tuż obok mnie na brzegu sofy przodem do mnie. Był dużym, smutno wyglądającym mężczyzną. Tam w polu, przy Dorothy, wydawał się radosnym, wyluzowanym, ale tu, kiedy byliśmy blisko, nasze kolana prawie się dotykały, zrozumiałam, że emanował takim rodzajem smutku, który zabierał całe powietrze z pokoju. Zastanawiałam się, jak to jest być żoną takiego człowieka, budzić się co rano z takim smutkiem w łóżku obok ciebie, całować jego smutną twarz i słyszeć smutny głos wymawiający twoje imię.

- Wydaje mi się, że chyba nigdy nie wymyśliłem, co ci powiem, kiedy się zjawisz - powiedział Frank. - Wyobrażałem sobie nas dziesiątki razy siedzących tu, w tym pokoju, albo w kuchni, albo na ganku. Chciałem to sobie ułożyć, jak ci to wszystko powiem, co wiem, ale nigdy nie udawało mi się tego dobrze zrobić.

Wciąż nie mogłam pojąć, jak to wszystko miało razem pasować. Nie rozumiałam, jak fakt, że zostawił go w hotelu koło plaży, miał doprowadzić do historii, na którą, jak teraz widzę, czekałam dwadzieścia lat.

- Był zrozpaczony - podjął Frank. - Płakał. Moją pierwszą myślą było, że się znów stoczył, i to całkowicie. Ale zbyt wiele razy widziałem go na różnych zakrętach i nigdy nie było czegoś takiego. Nancy i Tally były w Arizonie u jej rodziców, więc nie musiałem się o to martwić. Jednak miałem duże obawy, czy go wpuścić do domu. Chyba się go po prostu bałem, nie odczuwałem tego nigdy przedtem, nawet w jego najgorszych dniach.

Włączyłem światło na ganku i wyszedłem. Jego samochód stał na podjeździe na jałowym biegu. Kazałem mu wyłączyć silnik, zrobił to. Potem przyjrzałem się samochodowi, cały odrapany, błoto na kołach, mnóstwo martwych much na przedniej szybie. Jeśli Will już niczym się nie przejmował, to jednak dbał o samochód. Bóg wie, dlaczego tak robił. To była smutna ruina, ten stary, biały Chevrolet, ale on go kochał. Może to polegało na tym, że nigdy nie był w stanie długo utrzymać żadnego mieszkania, więc samochód był dla niego trochę domem, bardziej niż cokolwiek innego. Nawet w swoich najgorszych okresach jakoś dawał radę, by opłukać samochód węzłem i umyć szyby. Ale nie tym razem.

Kiedy wszedł na ganek, zapytałem go, co się stało, ale nie chciał powiedzieć. Wspomniał tylko, że miał jakieś kłopoty i potrzebował się umyć i przespać. „Jestem czysty - powiedział. - Nie wpakowałem się w żadne gówno, odkąd mnie stąd wyrzuciłeś”. Nie wiem, co to było, czy coś w jego oczach, czy ton głosu - ale mu uwierzyłem. Natomiast przerażało mnie to, że cokolwiek to było, w co się tym razem wpakował, to było gorsze niż narkotyki. Ale wtedy, no cóż, to chyba polega na więzach krwi - był moim bratem. Nie mogłem go tak zostawić.

Kiedy się umył i ogolił, dałem mu czyste ubranie i usmażyłem jajka na bekonie. Pochłaniał je, jakby nie jadł od kilku dni. Wypił ze trzy czy cztery szklanki mleka. Usiłowałem z niego wyciągnąć, co się stało, ale kompletnie zamknął się w sobie. Powiedział tylko, że zrobił coś okropnego, że to był wypadek i że nie wiedział, co zrobić lub gdzie z tym iść. Prawdopodobnie, gdyby był kimkolwiek innym, nie moim bratem, zadzwoniłbym na policję. Ale nie mogłem się na to zdobyć. Przypomniałem sobie takie wydarzenie, kiedy byliśmy dziećmi, on miał siedem, a ja szesnaście. Wracałem ze szkoły drogą wzdłuż lasu i usłyszałem coś w krzakach, chyba śmiech dzieci. Wszedłem, by zobaczyć. Było tam kilku chłopaków z czwartej klasy, Will stał otoczony pod drzewem, a oni sikali mu na buty. To były nowiutkie trampki, białe w czerwone paski, z których był taki dumny. Wprawdzie Will był duży jak na swój wiek, ale oni byli jednak trzy lata starsi. Wyglądał tak bezbronne, przestraszony, i starał się nie płakać. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego oczu, kiedy mnie zobaczył, czystego i absolutnego zaufania. Wściekłem się i postanowiłem im pokazać. Po kilku minutach uciekali, kulejąc, z rozkwaszonymi wargami i sinymi oczami. Od tej pory już nikt nigdy nie dokuczał Willowi. Właśnie o tym myślałem, kiedy Will siedział tego wieczoru u nas i jadł jajecznicę. Wtedy myślałem, że jestem za niego odpowiedzialny.

Kilka dni później Nancy wróciła do domu. Will był zadbany, trzeźwy i bardzo uprzejmy. Pozwoliła mu zostać. Od tej pory już nigdy nie mieliśmy z nim problemu. Pracował na farmie, opiekował się Tally. Wtedy ta dziewczynka, która kupiła Dorothy od twojej siostry, przeprowadziła się i zostawiła nam Dorothy. Will opiekował się nią jak własnym koniem, którego wychował od źrebaka. Nigdy na niej nie jeździł, ale codziennie czyścił jej boks, karmił, czyścił, spacerował z nią do strumienia, z którego lubiła pić. Nigdy nie widziałem nikogo tak oddanego koniowi. Kilka tygodni po tym, jak wrócił



do nas, siedzieliśmy wszyscy przy obiedzie i Nancy zaczęła się zastanawiać, co się dzieje z tą słodką dziewczyną, która przywiozła do nas Dorothy. Obydwoje usiłowaliśmy sobie przypomnieć, jak miała na imię. Obydwoje mieliśmy je na końcu języka, kiedy Will bardzo spokojnie powiedział: „Lila”. Jeszcze nie zaczęliśmy jeść, kiedy Will powiedział, że jest mu niedobrze i musi iść do swojego pokoju.

Późnym wieczorem Nancy poszła sprawdzić, jak się czuje, ale nie otworzył drzwi i nie wyszedł z pokoju przez następnych kilka dni. Teraz, kiedy przypominam sobie to wszystko, widzę, że to trochę dziwne, że nie wiedzieliśmy, że ona zginęła. Dopiero później, kiedy przeglądałem stare gazety z tamtego okresu, zobaczyłem, że rozpisywały się na ten temat. Tyle mogę powiedzieć, że byliśmy tak zaważeni robotą na farmie, walcząc o przetrwanie, żeby działała i przynosiła dochody, starając się być dobrymi rodzicami, że nie zwracaliśmy uwagi na to, co się dzieje poza naszym małym światem.

No nic, imię twojej siostry nie padło w naszym domu, aż dopiero sześć lat temu. Nancy i Tally już spały. Siedziałem tu, w pokoju, przy kominku, ciesząc się dźwiękiem strzelającego drewna, kiedy usłyszałem kroki na schodach. Will musiał mnie nie zauważyć, bo gdyby wiedział, że tam jestem, to nigdy by nie zrobił tego, co zrobił.

Wzięłam głęboki oddech i zamknęłam oczy. Najchętniej nacisnęłabym klawisz pauzy, żeby się jakoś przygotować. Wiedziałam, że ta historia zmieni wszystko nieodwołalnie. Za kilka chwil książka Thorpe'a, ta, która nakreśliła jedyną mapę ostatnich dni Lili, okaże się całkowicie nieaktualna. Po osiemnastu latach od czasu narzucenia mi wersji Thorpe'a, jego historia już nie wytrzyma konfrontacji z faktami. Dziwne, bo wersja Thorpe'a wydawała się tak realna, przekonująca, każdy fakt i przypuszczenie poparte kolejnymi faktami. Każde zdanie twardo przekonywało czytelnika, że tak było, że to się naprawdę zdarzyło. A jednak, jakoś wiedziałam, że ta nowa wersja, taka inna, taka prosta i zwykła była prawdziwa.

Pochyliłam się do przodu. Chciałam wiedzieć, a jeszcze nie wiedziałam. Tak samo czułam się, kiedy jako małe dziewczynki po obiedzie wdrapywałyśmy się ojcemu na kolana, a on opowiadał nam historię o złotym ramieniu.

- Oddaj mi moje złote ramię - mówił głębokim, drżącym głosem.

Obie z Lilą piszczaliśmy z radości i przestachu, oczekując na ten nieuchronny moment, kiedy podnosił ręce do góry jak szpony i chwycił każdą z nas jedną ręką i krzyczał:

- Mam cię!

Myślałam, że to ulubiona historyjka ojca o duchach, kiedy byłam starsza przyznał, że jedyna, jaką znał.

- Will podszedł do biurka, tam - Frank wskazał na zabytkowy dębowy sekretarzyk - wyjął pęk kluczy z kieszeni i otwierał po kolei coraz to mniejsze schowki, aż dotarł do tego, którego szukał. Ten mebel był jego własnością, jedyną ważną rzeczą po samochodzie. Nasza cioteczna babka zostawiła mu go, kiedy był dzieckiem. Potem wyprowadziliśmy się, rodzice sprzedali dom i on nie miał gdzie tego

podziąć, więc stał u nas, ale to on zawsze miał do niego klucze. Przez te wszystkie lata, kiedy Will żył swoim własnym życiem, miło mi było mieć obok siebie coś, co należało do niego. Czułem, jakbym był blisko niego. Nie wiem, co tam trzymał, ale od czasu do czasu otwierał i wkładał coś do jednej z szufladek, na przykład wycinki z gazet o jego zespole, zużyty bilet, zdjęcie.

Nie wiem, czemu siedziałem tamtej nocy po ciemku, a kiedy wszedł, miałem zamiar coś powiedzieć. Wyciągnął klucze i nie wiem, mogę tylko zgadywać, chyba chciałem wiedzieć, czego tam szuka, cokolwiek by to było. Coś wyciągnął i zamknął na powrót szufladkę, a ja chyba musiałem wydać jakiś odgłos, bo odwrócił się zaskoczony.

Wtedy włączyłem światło i już miałem coś zażartować o jego skradaniu się po nocy, kiedy zobaczyłem, że trzymał naszyjnik.

- Jaki naszyjnik? - zapytałam, ale już wiedziałam, jaki.

Frank wstał i podszedł do półeczki nad kominkiem. Otworzył pojemnik z jadeitu w kształcie kury, wyjął mały ażurowy kluczyk i podszedł do sekretarzyka. A potem zrobił to, co Will musiał zrobić tamtej nocy sześć lat temu. Odsunął żaluzję i zaczął otwierać kolejne szufladki jak w chińskiej układance. Wreszcie dotarł do maleńkiego schowka ukrytego tak głęboko w biurku, że zaczęłam podziwiać pomysłowość stolarza, który je wykonał. Włożył dwa palce do szufladeczki i coś wyjął. Nie widziałam, co, bo przykrył zawartość ręką. Podszedł do mnie. Otwarłam dłoń, a kiedy był blisko, otworzył swoją dłoń, coś ześlizgnęło mi się do ręki, było chłodne, jakby zakopane głęboko w ziemi. To był złoty łańcuszek Lili z wisiorkiem z topazu, ten, który dałam jej na osiemnaste urodziny.

Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Nie mogłam oddychać.

- Brakuje naszyjnika - powiedział ojciec, kiedy zadzwonił do mnie z kostnicy w Guerneville. Siedząc tutaj u Franka, pamiętałam, jak się wtedy czułam: trzymałam słuchawkę przy uchu i słuchałam monotonnego sprawozdania ojca. Tyle zapamiętałam z tej rozmowy, nie bardzo byłam w stanie myśleć i przyjąć do wiadomości jej śmierć, piekło mnie poczucie niesprawiedliwości i obrzydzenia, że ktoś ukradł naszyjnik. To była tania błyskotka kupiona za moje zarobione przy pilnowaniu dzieci pieniądze, ale ona tak ją lubiła, że nosiła codziennie. Dla Lili jej wartość nie miała nic wspólnego z samym przedmiotem, a wszystko z miłością do mnie.

Brak siostry, osoby, którą najbardziej kochałam, naznaczył dwadzieścia lat mojego życia. A teraz przypominałam sobie, że ona też mnie kochała; bardzo i bezwarunkowo. Tajemnica ostatnich miesięcy jej życia, zatajenie przede mną prawdy o McConnellu nie zmieniły tych uczuć. Zapewne powiedziałyby mi o nim, o romansie - w swoim czasie, na pewno by mi powiedziała, ale to była ta część całej sprawy, do której jeszcze nie dojrzała.

Momentalnie zeszytniałam. Nie mogłam ani mówić, ani płakać. To był szok, ale także ogromne poczucie ulgi, że odzyskałam naszyjnik. Był częścią historii mojej siostry, był częścią mojej własnej historii.

## 37.

Po tym wszystkie zdarzenia, na które czekałam przez dwadzieścia lat, przyszły prawie jednym tchem.

- Nawet nie musiałem go o nic pytać - powiedział Frank. - Will po prostu zaczął mówić nawet bez namawiania. „To był wypadek”, powtarzał, a ja nie miałem pojęcia, o czym mówił. „Co za wypadek?” - zapytałam, a on odpowiedział: „Zależało mi na niej, nigdy bym jej nie skrzywdził”. „Na kim?” - zapytałam. I wtedy wymienił jej pełne nazwisko pierwszy i ostatni raz: „Lila Enderlin”.

Zatoczyliśmy koło. Ten mężczyzna, który pomógł Lili i mnie zapalić silnik lata temu, ten, którym myślałam jako o interesującej odmianie na farmie, ten, który nie miał nawet krótkiej wzmianki o sobie w książce Thorpe'a - jakoś wrócił do niego.

- Pamiętasz, jak zainstalowałem go w hotelu przy plaży, kiedy Nancy wyrzuciła go z domu?

Kiwnęłam głową. Ścisnęłam naszyjnik i czułam, jak wisiołek wbija mi się w dłoń.

- No cóż, on nigdy nie znalazł pracy. Właściwie próbował, ale nikt nie chciał go zatrudnić. Wydał wszystkie pieniądze, które mu dałem i wtedy nie miał za co żyć, ani gdzie mieszkać. Zaczął przemieszczać w samochodzie. Żeby zarobić na jedzenie i benzynę - śpiewał i grał na gitarze. Przekonał się, że najlepszy czas to wieczorem, kiedy ludzie wracali z barów do domu. Szedł na stację Muni, przeskakiwał kołowrotek wpuszczający podróżnych z biletami i szedł na peron, z którego pociągi odjeżdżały na zachód. Kładł futerał gitary na ziemi i zaczynał grać. Ludzie byli wstawieni i całkiem szczerzy, czekając na pociąg i słuchając go. Przecież był dobry. Wiedział, jak dotrzeć do ludzi. Dostawał około dwudziestu, trzydziestu dolców w jeden wieczór. To wystarczało na jedzenie, paliwo, żeby poruszać się po mieście i na kino od czasu do czasu. Ale za mało na pokój w hotelu, przynajmniej na przyzwoity. Starał się trzymać z daleka od tego gówna w Tenderloin, bo wiedział, jak łatwo dać się wciągnąć w narkotyki. Naprawdę usiłował być czysty. Także starał się oszczędzić trochę pieniędzy, żeby wynająć studio i nagrać kilka nowych piosenek. Powiedział mi, że robi to dla Tally. Chciał udowodnić sobie, że będzie czysty przez trzy miesiące. Wierzył, że jeśli uda mu się to samodzielnie, to pozostanie czysty na zawsze. Po tym czasie planował wrócić na farmę i pokazać mi, że się zmienił, że potrafi być porządnym wujkiem.

No i jednej nocy, tam na stacji Muni, śpiewał ostatnią piosenkę tego wieczoru, to była melodia Tima Hardina *Reason to Believe* i gdy już miał się pakować, zobaczył przystojną kobietę idącą w jego kierunku. Kiedy się przybliżyła, poznał ją. Zawsze lubiłem tę piosenkę *Reason to Believe*, ale teraz za każdym razem, kiedy ją słyszę, przypomina mi się, co mi William opowiedział. Najpierw spuścił głowę, mając nadzieję, że go nie rozpozna, ponieważ krępował się i nie chciał, żeby widziała go jako ulicznego grajka. Ona podeszła, zobaczyła jego twarz, chwilę przysłuchiwała się, nim wreszcie powiedziała: „Williamie, to ty?”.

Frank opowiadał w prosty sposób, bez ubarwiania, bez dramatycznych przerw czy teatralnych gestów. Kiedy opowiadał, widziałam Lilę w jej zielonej sztruksowej spódnicy, trampkach firmy Converse i bosmance. Widziałam, jak się zbliża w kierunku swego znajomego, nieco przekręcając głowę, by lepiej widzieć. Słyszałam ją, mówiącą: „Williamie, to ty?”. W jej głosie była życzliwość, zainteresowanie i kompletny brak jakiegokolwiek oceniania.

- To była oczywiście twoja siostra - powiedział Frank. - Kiedy tylko minęło skrępowanie, poczuł się zadowolony, że ją widzi. Było tak, że ona jest właśnie po kolacji w drodze do domu, wygląda na zmartwioną, ale on nie chce być wścibski, więc się nie dopytuje, co ją dręczy. Kilka minut rozmawiają o wszystkim i o niczym. Wreszcie ona pyta, jak sobie radzi. Sposób, w jaki o to zapytała sugerował, że wie, że nie jest dobrze, ale on chciał z tego wybrnąć i mówi, że to tylko chwilowy, krótki niefart.

W pewnym momencie popatrzyła na tablicę informacyjną. Na stacji Montgomery Street był wypadek i musiała czekać przynajmniej pół godziny na swój pociąg. Will zaproponował, że zaczeka z nią, bo na stacji o tej porze robiło się nieprzyjemnie. Ale ona nie chciała go zatrzymywać. Wtedy powiedział jej, że jego samochód jest zaparkowany kawałek dalej i zaproponował, że odwiezie ją do domu. Ona twierdziła, że nic jej nie będzie, ale on nalegał, że nie sprawi mu to kłopotu.

Kiedy tak słuchałam Franka, czułam się jak człowiek oglądający przerażający film, w którym bohaterka wchodzi do ciemnego domu. Scenariusz już jest napisany, film jest nakręcony, ale nie możesz się pohamować i mówisz do osoby na ekranie. *Nie idź tam* - mówiłam w myślach. - *Nie idź tam*. Ale oczywiście wiedziałam, że ostatecznie wsiadła do jego samochodu. Nie da się zmienić scenariusza, nie da się cofnąć filmu i czegoś w nim zmienić.

- Jechali w stronę Market, kiedy Will przypomniał sobie, że mieliście domek w Russian River. Rozmawiali o nim, kiedy Lila trzymała u nas Dorothy. Kiedyś nawet pokazała mu zdjęcie. On rozpaczliwie potrzebował kąpieli, spokojnego miejsca, gdzie mógłby chwilę pobyc i przemyśleć to i owo. I zapytał ją otwarcie, czy mógłby się tam zatrzymać. Chwilę się zastanawiała, widać było, że bierze różne rzeczy pod uwagę, ale ostatecznie powiedziała, że nie może mu na to pozwolić. To był dom jej rodziców, nie jej, i wiedziała, że rodzice nie byliby zadowoleni.

I w tym miejscu zaczęły się schody. To jest tak, że z jednej strony opowiadam ci, że Will był z gruntu dobrym facetem i w dalszym ciągu w głębi serca wierzę w jego dobro. Ale była jeszcze ta jego druga strona, nie wiem, jak to nazwać, swego rodzaju zuchwałość. Kiedy wpadło mu coś do głowy, to już nie popuścił, a jeśli widział piętrzące się przeszkody na swojej drodze, to go tylko bardziej nakręcało, żeby osiągnąć to, co chciał. Czasami było to u niego wspaniałą cechą charakteru, w dużym stopniu dzięki niej jego kapela przez chwilę odnosiła sukcesy, nie ma co do tego wątpliwości. Ale czasami ta cecha była przerażająca. Jeśli wymyślił coś, co jemu wydawało się całkowicie racjonalne, a ktoś chciał mu w tym przeszkodzić, zdarzało mu się tracić całkowicie poczucie rzeczywistości. I ja wiem, że doszło do tego tamtej nocy. Jego mózg... po prostu mu odbiło.

- Dlaczego Lila zgodziła się, żeby ją podwiózł? - zapytałam. - Nie widziała twojego brata przez całe lata. Dlaczego nie zadzwoniła do mnie? Przyjechałabym po nią. To była środa, w środy ja używałam samochodu. Gdybym tylko dała jej samochód rano...

Frank wyciągnął rękę, jakby chciał dotknąć mojego ramienia, ale ją cofnął.

- Przepraszam - powiedział. - Pewna jesteś, że chcesz tego teraz wysłuchać? Mogę poczekać tak długo, jak chcesz.

- Nie. Opowiadaj dalej.

- Will nie przyjmował odpowiedzi typu „nie”. W którymś momencie twoja siostra zauważyła, że skręcił nie tam, gdzie trzeba, ale kiedy mu zwróciła uwagę - on tylko jechał dalej. Kiedy dotarli do Golden Gate Bridge, już wiedziała, dokąd zmierza. Zażądała, żeby zawrócił, ale odmówił. Przepraszał, przyrzekał, że jej nie skrzywdzi. Powiedział, że musi dojechać do waszego domku - wtedy uważał, że to rozwiąże wszystkie jego problemy. Liczył na to, że kiedy dojadą, ona go wypuści. Chciał tam wejść w normalny sposób, jak zaproszony gość.

Setki razy rozpatrywałem to i nie widzę w tym żadnego sensu. Zapytałem go wyraźnie, co chciał zrobić po przyjechaniu do domku, czy chciał trzymać tę biedną dziewczynę jako jeńca? Odpowiedział, że wtedy jeszcze nie myślał tak bardzo do przodu. Ale był na mnie zły, że w ogóle coś takiego sugerowałem. „Nie jestem porywaczem” - odpowiedział. Kiedy mu uświadomiłem, że tak właśnie chciał postąpić, zaczął płakać, że nic nie poszło po jego myśli i wszystko się spieszyło.

Szczerze wierzył, że podczas jazdy będzie w stanie odwołać się do jej litości, że ją przekona i ona pozwoli mu tam pozostać, choćby przez tydzień czy dwa. Był przekonany, że znajdzie jakąś pracę fizyczną w Guerneville i kiedy tylko dostanie czek z wypłatą, to wynajmie coś, bo tam byłoby taniej niż w centrum. W tym czasie porobiłby co trzeba w domku, żeby pokryć swoje utrzymanie tam. On jej to wszystko opowiadał, a ona powtarzała „nie” i błagała, żeby odwiózł ją do domu. A on jechał przed siebie.

Pomyślałam sobie o tej drodze przez Golden Gate Bridge w środku nocy, jechałyśmy tak kiedyś z Lilą jako małe dziewczynki, tuląc się na tylnym siedzeniu, a samochód podskakiwał na moście. Patrzyłyśmy na mgłę, która wyglądała jak duchy w latarniach oświetlających most. Zazwyczaj wybieraliśmy się w piątki wieczorem w kierunku rzeki, a ostatnie pół godziny drogi jechaliśmy ciemnymi, wijącymi się drózkami - zawsze napawało mnie to strachem. Wydawało mi się, że coś może nagle wyskoczyć z lasu, sarna albo leśny potwór. Wtedy Lila zawsze uspokajała mnie mówiąc, że sarna będzie unikała świateł samochodu, a leśne straszdyło było głównym bohaterem wszystkich przerażających filmów.

- Kiedy tak jechał - opowiadał Frank - Lila denerwowała się coraz bardziej. Zaczęła na niego wrzeszczeć, żądając, żeby się zatrzymał i wypuścił ją, ale nie zrobił tego. Zaczęła szaleć, a on ją uspokajał. Wreszcie na tym leśnym odcinku dwupasmowej drogi, tuż za Korbel - wyskoczyła z samochodu.



- Will mówił, że stało się to tak szybko, że nie zdołał jej powstrzymać. Natychmiast zatrzymał się na poboczu, zbiegł z nasypu i znalazł ją leżącą. Nie ruszała się. Wtedy zdał sobie sprawę, jak głupi był jego plan, jaki straszny błąd popełnił. „Ona nie miała powodu, żeby się mnie bać” - powiedział mi Will. To tylko pokazuje, że jego mózg był już jak sito, pełen dziur, może po narkotykach. Nie wiem. Chodzi o to, że on wiedział, że nie chciał jej skrzywdzić i oczekiwał, że ona to też zrozumie.

A ja myślałam o Lili, tej racjonalnej Lili. Jak ona musiała rozważać, co zrobić, jadąc samochodem ze swoim porywaczem. Jak musiała przekalkulować swoje szanse na przeżycie upadku i ucieczkę, i przeciwstawić argumentom za pozostaniem w samochodzie. Kilka godzin wcześniej jadła kolację z Peterem McConnellem, pochłonięta sprawami ich romansu, myśląc zapewne, że nie mogła znieść tego, co się z nią działo, bo nie umiała sobie poradzić z faktem, że zakochała się w żonatym mężczyźnie. Musiała wszystko przewartościować. Może pragnęła wrócić do codziennych spraw ich związku, może podjęła decyzję, że jak wróci szczęśliwie do domu, to zerwie z McConnellem. Może myślała o hipotezie Goldbacha, problemie, który miała rozwiązać, o dowodzie, który wybrała jako swój cel. A potem wyskoczyła. Z jednej strony, to miało sens. Przecież Lila była człowiekiem czynu. Dla niej siedzenie i czekanie na to, co się stanie, pozwolenie, by ktoś inny przejął kontrolę nad jej losem, było nie do przyjęcia.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Frank.

Skurczyłam się i drżałam. Był na dywanie taki biały punkt wielkości ćwierćdolarówki. Koncentrowałam się na nim.

- Mów dalej.

- Leżała obok dużej, poszarpanej skały, były na niej ślady krwi, Will domyślił się, że musiała w nią uderzyć. Nie słyszał jej oddechu, więc przyłożył ucho do piersi. Też nic nie usłyszał, rozerwał bluzkę na piersiach, by posłuchać serca, ale nic nie usłyszał. Próbował usta-usta, nie był pewien, jak to się robi, ale robił tak, jak widział w TV. Podniósł rękę, szukając pulsu. Siedział przy niej dziesięć, piętnaście minut, usiłując ją reanimować. „Ale - powiedział mi - nic już nie mogłem dla niej zrobić”. Opowiadając mi to, wciąż płakał, wciąż ścisnął w dłoni ten naszyjnik. Wreszcie podniósł ją i zaniósł do samochodu.

Pomyślałam o opisie Thorpe'a, jak ją znaleziono. Ubrana, ale z rozdartą z przodu bluzką, nie było czterech górnych guzików. Fakt, że guzików nie znaleziono przy niej był wskazówką, że przestępstwa dokonano gdzie indziej, ale nikt nie wiedział, gdzie. Thorpe zlekceważył sprawę guzików. Zmarła w miejscu, gdzie ją znaleziono.

- Zanim włożył ją do samochodu - powiedział Frank - rozłożył koc na siedzeniu. To jest coś, czego właściwie nigdy mu nie wybaczyłem. Wszystko inne i ten koc - wciąż do tego wracam. Bo to oznacza, że nie chciał śladów krwi w samochodzie. Z jakiegokolwiek powodu, ale, podczas gdy ona leżała tam martwa, on miał tyle przytomności, żeby zatrzeć ślady.



Nie było żadnych innych samochodów na drodze. Szalał, nie wiedział, co zrobić. W pierwszej chwili chciał ją zabrać do szpitala, ale potem zobaczył, że ma krew na rękach i na ubraniu. Uświadomił sobie, co tam pomyślał, że jego posądzą o coś okropnego, podczas gdy nigdy nie zamierzał jej skrzywdzić. Pojechał do Armstrong Woods, zaniósł ją między drzewa i położył na ziemi i upozorował, jakby spała, zrobił to jak umiał. Siedział przy niej, patrzył na nią, zobaczył ten naszyjnik i poczuł, że potrzebował coś zabrać ze sobą jako dowód, że to, co się stało, było prawdą. Część jego mózgu uznawała, że to tylko jakieś halucynacje, odłot po narkotykach. Kiedy ją zostawił, pojechał do Johnson's Beach, zapakował swoje ubranie w kilka toreb foliowych i wrzucił do Dumpster. Umył się w rzece, a jej plecak wpakował do kosza na śmieci za restauracją. Nie chciał, żeby jego ubranie i jej ciało były blisko siebie. A potem przyjechał tutaj, do jedyne miejsca, jakie mu przyszło do głowy, i tak znalazłem go na ganku o świcie.

Siedziałam, milcząc zaskoczona. Wszystko w tym opowiadaniu było tak zupełnie różne od tego, w co wierzyłam do tej pory przez taki długi czas. W tej wersji nie było złych intencji, nie było morderstwa z premedytacją. Natomiast było to przypadkowe spotkanie na stacji kolejowej z ćpunem, nieudane porwanie i okropny wypadek. Błąd, który popełniła Lila, nie miał nic wspólnego z McConnellem. Jej błąd polegał na zaufaniu nieodpowiedniej osobie, w zakładaniu dobrej woli w ludziach. Wreszcie udało mi się wykrztusić:

- Skąd wiesz, że powiedział ci prawdę?

- Wiem - odpowiedział Frank. - Mój brat miał wiele problemów, ale nie mógłby jej skrzywdzić celowo. Po prostu nie mógłby.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - zapytałam. - Wiedziałaś, co zrobił. Powinieneś być iść na policję.

Frank popatrzył na swoje ręce.

- Planowałem. Naprawdę planowałem. Powiedziałem Willowi, że musi się oddać w ręce policji. Powiedziałem, że tam z nim pójdę. Powiedziałem, że jeśli sam tego nie zrobi, to ta sprawa tak czy owak do niego wróci. Zagroziłem, że jeśli sam tego nie zrobi, to ja to załatwię. Wiedziałem, że to nie jest rzecz, którą da się ukryć na zawsze. Chroniłem go od wielu rzeczy, przed tą nie mogłem. Odmówił. Powiedział, że mieszkał w różnych górnianych miejscach, ale jednego miejsca był pewien, że nie wytrzyma - to więzienie. Dwa dni po tych wyznaniach Tally znalazła go martwego w samochodzie. I po tym już nie mogłem się zmobilizować, żeby coś z tym zrobić. Przeanalizowałem całą sprawę - twoja siostra nie żyła od czternastu lat. Wiem, że nikogo nie zaarrestowali. To nie było tak, że jakiś niewinny gość siedział w więzieniu, płacąc za przestępstwo Willa. Ja czułem się odpowiedzialny za jego samobójstwo. Gdybym nie naciskał, żeby się przyznał, może by się nie zabił.

- Tego nie możesz wiedzieć - powiedziałam.

- Nie, ale zawsze się będę zastanawiał. I doszedłem do wniosku, że już nic nie mogę dla niego zrobić, poza trzymaniem jego nazwiska z dala od gazet.

Właśnie to, czego nie udało mi się zrobić dla Lili. Trochę byłem zła na Franka, że przez tyle lat utrzymywał to w sekrecie. Gdyby wystąpił z tym po wyznaniu Willa, dla mojej rodziny byłoby sześć lat mniej niepewności, może sześć lat mniej wygnania dla McConnella. A równocześnie czułam dla niego współczucie. Rozumiałam jego powody. On stracił brata, ja straciłam siostrę. Wydawało mi się, że on lepiej niż inni rozumiał, co się stało w moim życiu.

Frank przysunął się do mnie, wziął mnie w ramiona i powiedział:

- Wiem, jest mi przykro.

To było surrealistyczne. Byłam w ramionach tego mężczyzny, w tym miejscu, gdzie do tej pory była schowana tajemnica śmierci Lili. Zauważyłam, że ma mokrą koszulę, a potem zrozumiałam, dlaczego mnie trzymał. Płakałam i nie mogłam przestać.

Myślałam, co Lila robiła i mówiła tamtego ranka, zauważyła tę ułamaną gałąź na werandzie, ale nic z nią nie zrobiłyśmy. Myślałam o tej nocy, kiedy leżałyśmy w ogrodzie na trawie, wypatrując Lutni, a ona opowiadała mi historię Orfeusza, który nie mógł ożywić swojej żony. Myślałam, kim i jaka była - piękna, bardzo uzdolniona, tajemnicza siostra i kim mogłaby być, gdyby żyła. Rozmyślałam o rodzicach, z których każde musiało nauczyć się żyć z jedną córką zamiast z dwiema. Tak niewiele mogłam im dać przez te lata. Teraz wreszcie mogłam dać im tę historię.

Nie wiem, ile czasu minęło, zanim znów zaczęłam normalnie oddychać. Wiem, że w pokoju pojaśniało, ktoś włączył wodę na górze i stare rury zaczęły grać. Wreszcie Frank wypuścił mnie z objęć. To była dziwna, niezręczna chwila - obydwójce wycofywaliśmy się z tej nieoczekiwanej intymności. Chciałam mu coś powiedzieć, ale nie miałam pojęcia, co. Przez minutę czy dwie siedzieliśmy, nie patrząc na siebie. Wreszcie on przerwał ciszę.

- Odkąd Will zmarł, miałem taką nadzieję, że któregoś dnia jego muzyka wróci. Jakiś DJ zagra ją w którejś radiostacji albo jakiś dziennikarz napisze coś o niej w czasopiśmie i ludzie przypomną sobie o nim, znów zaczną słuchać jego piosenek. Chciałbym, żeby pamiętano go jako Billy'ego Boudreaux, który grał wspaniałą muzykę.

- Powinieneś tego posłuchać - powiedziałam. - To piękna piosenka.

Podszedł do odtwarzacza i nacisnął klawisz. Usłyszeliśmy głos Billa, surowy i chropawy, coraz mocniejszy wraz z piosenką.

*Głęboko w lesie klęczę na ziemi*

*Patrzę na ciebie i nie wierzę*

*Co ja zrobiłem moja piękna*

*Co ja zrobiłem*

Piosenka się skończyła. Popatrzyłam na Franka. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby odwrócić głowę. Stał przy odtwarzaczu, jedną ręką oparty nad kominkiem; wpatrywał się w punkt na ścianie, po policzkach bezgłośnie spływały mu łzy.

## 38.

Thorpe zobaczył najpierw moje odbicie w oknie, a dopiero potem mnie. Podskoczył i odwrócił się. Jedyne źródło światła w pokoju pochodziło z monitora. W jego blasku Thorpe był blady i wyglądał na chorego.

- Jak ci się udało...

- Stukałam, ale nie otwierałeś. Drzwi frontowe były otwarte, więc... Wyraz twarzy zmienił mu się z zaskoczonego na pełen nadziei.

- Dorobię klucz. Będiesz mogła przychodzić, kiedy zechcesz. Będzie mnie motywowało to, że możesz przyjść w każdej chwili. Będę siedział w środku nocy przy biurku...

- Chciałam cię zapytać, czemu piszesz w środku nocy?

- Mam jaśniejszy umysł.

- Rozumiem.

- Tak jak mówiłem. Będę tu siedział walcząc, by wydusić z siebie następne zdanie i usłyszę, jak przekręcasz klucz. Nie wstanę. Nawet nie musisz przychodzić, by powiedzieć „cześć”. Ale będę słyszał, jak chodzisz na dole, szykując sobie w kuchni coś do jedzenia, biorąc książkę z półki. Może nawet usłyszę, jak przewracasz kartki. I pisząc, będę wyobrażał sobie mojego idealnego czytelnika. Każde słowo, które będę pisał, będzie skierowane do ciebie. Wieki temu pewien nauczyciel powiedział mi, że piszący zawsze musi myśleć o swoich czytelnikach. Nigdy nie mogłem zrozumieć, co miał na myśli. Jak człowiek może wiedzieć, kto będzie tą publicznością?

- Ja nią prawdopodobnie nie jestem - powiedziałam.

- Słucham?

- Twoją publicznością.

- Mogłabyś być.

- Wolę fikcję, pamiętasz?

- Masz szczęście. Moja powieść się posuwa do przodu. Kto wie, może ci się spodoba. - Thorpe wskazał na krzesło przy biurku. - Siadaj.

On sam wisiał na jakimś ergonomicznym siedzisku, ubrany w zniszczoną flanelową piżamę.

- Nie wygląda na wygodne - powiedziałam, zerkając na jego stołek.

- Kupiłem to za radą mojej terapeutki. Stawia ciało do pionu, zanim zaczniesz przytomnie myśleć, tego rodzaju zabawa.

Pozostałam na stojąco i przyjrzałam się temu, co miał na biurku; było zavalone papierami i małymi, kolorowymi, samoprzylepnymi karteczkami. Obok klawiatury leżała biała kartka papieru z jakimś schematem narysowanym ołówkiem. Podniosłam i przyjrzałam się. To był plan mojego starego domu. Tam, na oknie pierwszego piętra, była zainstalowana mała, wiktoriańska budka dla ptaków.

- Słuchaj - powiedział Thorpe. - Co ja mam zrobić, żeby ci wynagrodzić to, co się stało? Co mam powiedzieć, żebyśmy znowu byli przyjaciółmi?

- Trochę pachniał papierosami. Prawie było mi go żal. Wiem, jak bardzo mocno próbował walczyć z nałogiem. A gdyby tak mój lekarz kazał mi skończyć z kawą? Byłam niemal pewna, że nie zrobiłabym tego.

- Myliłeś się co do Billy'ego Boudreaux - powiedziałam.

Thorpe podniósł brew. Dziś wieczór wszystko na nim było krzaczaste i zaniedbane, włosy, broda, brwi. Utył, odkąd widziałam go ostatnio. Jeszcze coś było z jego włosami. Wzdłuż linii, gdzie zaczynała się łysina, miał małe kropki, jakby mieszki włosowe.

Lekko się uśmiechnął.

- W jakim sensie?

- Byłby dobrą postacią.

- Spotkałaś się z nim? - trochę się zdziwił.

- Tak.

Nie powiedziałam mu, że spotkaliśmy się ponad dwadzieścia lat temu, ani że potem popełnił samobójstwo. Nic mu nie chciałam powiedzieć. Już widziałam tytuł jego nowej książki: *Muzyka i szaleństwo. Nieautoryzowana biografia Billy'ego Boudreaux*. Kiedy jechałam do Thorpe'a, żeby przedstawić mu wachlarz jego kłamstw, jeszcze nie byłam pewna, co mu powiem. Teraz już rozumiałam swoje powody, które nie były dla mnie jasne przedtem. Byłam tu po to, żeby udowodnić sobie, że tym razem ja mam przewagę. Nie zamierzałam powiedzieć mu nic, ani kto zabił Lilę, ani dlaczego. Nie zasługiwał na otrzymanie takich informacji. Będzie mógł o tym przeczytać, tak jak wszyscy inni. Już wiedziałam, kto będzie umiał sobie z tym poradzić.

- Naprawdę, powinieneś był wspomnieć go w książce - powiedziałam. - I Steve'a Strachmana także. I dozorcę Jamesa Wheelera. I Don Carrolla, ich wszystkich.

- Podpucha - powiedział Thorpe i znów się uśmiechnął, jakby czekał na to, co powiem dalej. - Prawda?

- Może, ale gdybyś się przyjrzał wystarczająco dokładnie, z każdego z nich mógłbyś zbudować osobny rozdział. Zanim tu przyszedłam, przypomniałam sobie coś, co kiedyś nam powiedziałeś, kiedy przerabialiśmy *W Brighton*.

- Mmm?

- Rozmawialiśmy o Pinkie, o tych złotych koronach na wyściełanych czerwonych krzesłach w hotelu. Ktoś podniósł rękę i zapytał, czemu Graham Greene poświęcił tyle miejsca Pinkie, skoro był tylko drugorzędną postacią. A ty powiedziałaś, że aby książka była dobra, nie wystarczy rozwinięcie wątków głównych bohaterów. Drugorzędni też muszą być rozpoznawalni. Kiedy czytelnik zamyka książkę, powinien pamiętać nie tylko protagonistę i antagonistę. Powinien zapamiętać wszystkich, którzy przewinęli się przez książkę.

Thorpe dotknął palcami tych kropek na czole, jakby sobie dopiero przypomniawszy, że tam są.

- Ja tak powiedziałem?

- Bo takie jest życie, dodałeś. Nie tylko o bohaterach i wielkich wydarzeniach, ale o wszystkich i wszystkim pomiędzy.

- Tak - powiedział. - To mi brzmi znajomo.

- Wciąż w to wierzysz?

- Nie jestem pewien, czy kiedykolwiek w to wierzyłem. Może to tylko było coś, co powiedziałem, ot, żeby wypełnić czas zajęć.

- No, cóż. Myślałam o tym, jadąc tutaj. To jest prawdopodobnie słuszne, jeśli chodzi o książki, nie wiem, czy jest tak samo prawdziwe w życiu. Jestem, żyję, dobiegam czterdziestki i mogę policzyć na palcach ludzi, którzy rzeczywiście coś znaczyli.

- Którzy to? - zapytał.

- Oczywiście Lila. Moi rodzice. Peter McConnell. Henry - zrobiłam przerwę. - Ty.

- Ja?

- Miałam nieledwie dwadzieścia lat, kiedy przeczytałam twoją książkę - wyjaśniałam. - I uwierzyłam w każde słowo. Napisałeś historię mojego życia, zanim zdążyłam je przeżyć. Określiłeś je jako bezcelowe, ale skąd to mogłeś wiedzieć? Byłam jeszcze bardzo młoda. Ale myślałam, że jesteś taki mądry, że znasz odpowiedzi. Nikt nigdy nie prześwietlił mnie tak dokładnie jak ty wtedy, nikt nigdy nie wykazał takiego dużego zainteresowania. Wydawało mi się, że potrafiłeś przejrzeć mnie na wskroś i ocenić lepiej niż ktokolwiek inny, kim byłam. Nie było to zbyt mądre z mojej strony. Wiem, że mogę równie dobrze winić siebie, jak i ciebie, może siebie więcej. Ale stałam się taką postacią

- Napisałem także, że byłaś zdolna i piękna - powiedział Thorpe. - Napisałem, że byłaś pełna namiętności.

- Tego nie pamiętam.

- Ale tam jest.

- Pisałeś o Lili jako o „dobrej córce”.

- Tak, ale nie nazwałem ciebie złą córką.

- Nie musiałeś.

Thorpe popatrzył na zegar na ścianie, potem odwrócił się ode mnie i popatrzył przez okno. Powiodłam za nim wzrokiem. Za moment ktoś przesunął się przed oknem mojej starej sypialni. Zasłony opadły, światło zgasło.

- Przepraszam - powiedział, zwracając się znów ku mnie.

- Co?

- Opuszcza zasłony i gasi światło dokładnie o tej porze każdej nocy. Dwunasta czterdzieści pięć. Mógłbym według niej regulować zegarek. I natychmiast potem ja włączam światło. To taka gra, którą prowadzę. Lubię myśleć, że zauważa, jak włączam światło, jakbyśmy to przygotowali, taka komunikacja bez słów. A każdego ranka pięć po siódmej odsłania. Z wyjątkiem niedzieli. W niedziele odsłania o szóstej trzydzieści, pojawia się przed drzwiami o siódmej piętnaście i idzie w dół do St. Paul. W ciągu tygodnia zawsze wygląda bardzo stylowo, lśniąca czarna sukienka, czarne buty, eleganckie szaliczki. Ale w niedziele, w drodze na mszę, nosi taki żółty płaszcz, fatalnie na niej leży. Każdego tygodnia bez wyjątku, bez względu na pogodę.

- Może w kościele jest zimno - powiedziałam.

- Jest.

- Poszedłeś za nią?

- Przecież to kościół. Wszystkie dusze są mile widziane, tak? Po prostu byłem ciekawy. Mieszka sama i przypuszczałem, że podczas mszy też będzie sama. Ale nie. Spotyka tam faceta, gość kuleje; siadają razem w ostatnim rzędzie.

- No i co jeszcze odkryłeś na jej temat? Datę urodzin? Jej ulubiony kolor? Pierwsze wydarzenie, które jej rozdarło serce?

- Właśnie o to chodzi - odpowiedział. - Nie muszę tego wiedzieć. Jest tematem mojej powieści. Te wszystkie szczegóły muszę wymyślić sam.

- Powiedzmy, że któregoś dnia przeczyta książkę - drążyłam.

- To byłby łut szczęścia, prawda? Nawet nie wiem, czy mogę ją wydać. Może nikt nie będzie chciał czytać fikcji, i to powieści o miłości napisanej przez autora prawdziwych kryminalnych historii.

- To historia o miłości?

- Tak. Mam dość krwi. Chciałem napisać o czymś pięknym. O czymś, czego doświadczyłem. Te wszystkie książki o morderstwach... jestem obserwatorem, nie uczestnikiem.

- *A Second Time's a Charm?* To była historia o miłości.

- Ta książka jest taką farsą, jaką było moje małżeństwo. Nie, ta jest o prawdziwej miłości, nie o miłości fizycznej, o czymś głębszym. O takim uczuciu, które istnieje nawet, jeśli jest jednostronne, które może trwać bez wzajemności tak długo jak życie. Miłość nieszczęśliwa, jeśli wolisz.

- To można nazwać obsesją, nie miłością.



Lewe oko mu drgnęło. Taki prawie niezauważalny ruch, ale wiedziałam, że dotarłam do niego. Wreszcie moje słowa potrafiły dotknąć. Zdziwiło mnie, że nie przyniosło mi to satysfakcji, a tak chciałam ją zabrać ze sobą. Może dlatego książki są tak niebezpieczne, zapis jest trwały, nie do zma-zania.

- Kobieta, która mieszka w twoim dawnym domu - powiedział Thorpe. - Widziałem jak grała na pianinie, wydawała przyjęcia, chodziła do kościoła, ale nigdy nie widziałem, żeby czytała. Jeśli uda mi się wydać tę książkę, może przemknąć bez fanfar. Ale jeśli przejdzie przez wszystkie przeszkody i stanie się hitem, to szanse, żeby ona to przeczytała, są bardzo marne.

- Ale założmy teoretycznie, że przeczyta. Rozpozna się?

Thorpe odwrócił się znów do mnie, ręce w kieszeniach. Ponownie usiadł na tym swoim małym stołku.

- Już od pewnego czasu chciałem ci coś powiedzieć. Szukałem dobrej okazji, żeby to włączyć do jakiejś rozmowy, ale taka się nie zdarzyła.

Nie miałam pojęcia, z czym teraz wyskoczy. Ale cokolwiek to by miało być - byłam już gotowa do zakończenia z nim wszystkiego. Kiedy wychodziłam od niego ostatnio, byłam pewna, że już nie wrócę. Ale teraz otwarły się nowe rozdziały, nowe fabuły, moja historia.

- Jest taki facet w L.A. - zaczął. - Wade Williams. Był dzieciakiem z college'u, kiedy pierwszy raz przeczytał tę książkę. A teraz bajeruje w Hollywood jako producent. Chce zrobić adaptację filmową historii Lili.

Wiedziałam, co miało nastąpić. W literaturze postacie zwyczajowo są poddane poważnym transformacjom wraz z rozwojem akcji. Ale w rzeczywistości większość ludzi się nie zmienia. Można w nich rzucić nie wiem czym, a oni pozostaną tacy sami w tym zasadniczym zakresie, który ma znaczenie. Odwróciłam się, żeby wyjść.

- Poczekaj - położył mi dłoń na ramieniu. - To było moje marzenie, odkąd tylko zacząłem pisać, żeby jedna z moich książek została przeniesiona na ekran.

Już byłam przy drzwiach, tyłem do niego. Z korytarza dochodził dziwny zapach - znów te wani-liowe świece.

- Byłem przygotowany, by podpisać umowę - powiedział. - Ale potem ty się pojawiłaś. I odmówiłem mu.

Zatrzymałam się, chwilę stałam i odwróciłam się do niego. Chciałam widzieć jego twarz, żeby wiedzieć, czy mówi prawdę.

- Nie wiem, na ile to ma wartość, ale chcę, żebyś wiedziała, że nie będzie z tego filmu. Już nie będę rozmawiał o tej książce. To o niej wszyscy chcą mówić, nie o innych, też należących do literatury faktu. Przez najdłuższy czas moje ja karmiło się tą książką. Ale chcę, żebyś wiedziała, że skończyłem z tym.

Oparłam się o framugę drzwi. Ściana naprzeciw mnie zaskrzypiała, ten odgłos rozciągał się ukośnie od sufitu, przez ścianę i kończył gdzieś za biurkiem. Wszystkie budynki w centrum to miały. Dom, w którym dorastałam, także skrzypiał. Przy każdym wstrząsie matka obchodziła cały dom, poszukując tych wiele mówiących linii na ścianach i podłogach.

Jako dziecko byłam pewna, że któregoś dnia przyjdzie tak duży wstrząs, że nasz dom tego nie wytrzyma i rozpadnie się.

- Czemu? - zapytałam.

- Kiedy pisałem tę książkę, nie miałem zamiaru sprawić ci przykrości. Patrzyłem na świat tunelowo. Widziałem tylko moją szansę, moją możliwość odejścia od nauczania i wejścia w świat robienia rzeczy, których pragnąłem najbardziej na świecie, czułem je wszystkimi zmysłami. Tak bardzo chciałem zostać pisarzem. Zapomniałem o wszystkim innym. Więc myślę, że to jest mój sposób, by powiedzieć „przepraszam”. Pewnie, że to za późno. Ale mówię to szczerze, Ellie. Przykro mi. To właśnie chciałem ci powiedzieć.

- Dziękuję.

Patrzył na mnie tak, jakby chciał powiedzieć coś więcej. Byłam mu wdzięczna, że tego nie zrobił.

Odprowadził mnie na dół. Nad kominkiem wisiało zdjęcie Munkacsiego, o którym mi wcześniej opowiadał - dwóch mężczyzn w ciemnej uliczce walczących ze sobą, splecionych ramionami. Scena była brutalna, ale na swój sposób piękna, pełna życia.

Przy wejściu coś się zmieniło - panowała cisza. W mdłym świetle lampy ulicznej, które padało przez okno zobaczyłam, że nie ma fontanny, miejsce jest zupełnie puste. Thorpe otworzył mi drzwi. Kiedy wyszłam za próg, wziął mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Nie opierałam się. Pozwoliłam mu się przytulić i przez sekundę czy dwie i ja go przytuliłam.

Jadąc do domu, znów myślałam o tym, co Thorpe mówił nam na zajęciach tyle lat temu. Życie to nie tylko główne postaci i wielkie wydarzenia. Życie to wszyscy inni i wszystko inne pomiędzy. Za trzydzieści lat od dzisiaj, czy ja będę pamiętała Jesusa na farmie, Marię w kafejce w Nikaragui, mojego szefa Mike'a? Mając trzydzieści osiem lat pamiętałam nazwiska tylko trzech czy czterech nauczycieli, którzy mnie uczyli i to niekoniecznie ci najlepsi wryli się w pamięć. Pamiętałam Mrs. Smith z przedszkola tylko dlatego, że żuła z otwartymi ustami, złośliwą Mrs. Johnson z trzeciej klasy, ponieważ jej sukienka podnosiła się zdecydowanie za wysoko z tyłu na jej pulchnych nogach, nauczycielkę od WF z siódmej klasy bo kiedyś zawstydziła mnie przy wszystkich, kiedy nie złapałam piłki w czasie gry w baseball. Pamiętałam mężczyzn, z którymi spałam, ale tylko z imienia. We wszystkich przypadkach szczegóły umknęły. W końcu wiedziałam, że Thorpe'a nie zapomnę, ani McConnella czy Franka Boudreaux.

Szkoda, że nie mogę się cofnąć i postawić pewnych pytań Lili. Na jej krótką historię składali się przede wszystkim rodzice, ja i Peter McConnell. Zanim natknęła się na stacji Muni na Billa, czy zadałaby sobie trud, żeby umieścić go na swojej liście ważnych dla niej ludzi? Mało prawdopodobne.

Mijając Clipper i jadąc przez Castro, myślałam uporczywie o Thorpie. Przez cały czas czułam, że było jeszcze coś, co chciał powiedzieć. Nie chciałam tego słyszeć uważając, że już wiem, co to było - coś o mnie, o nas. Ale potem w samochodzie zastanawiałam się, czy przypadkiem nie chodziło mu o coś innego.

„Podpucha - powiedział - prawda?” Wcześniej, kiedy wspomniałam Billy'ego Boudreaux, uśmiechnął się nieco. Czy to możliwe, że on wiedział więcej, niż się do tego przyznawał?

Pomyślałam o pierwszym adresie, który mi podał, kiedy staliśmy u niego w garażu. Ten niewinny dozorca dożywający swoich dni w skromnym domku w Bernal Heights. Czy Thorpe wiedział, że to nazwisko zaprowadzi mnie donikąd? Porem byli Boudreaux i Strachman. Czy Thorpe dziękował mi za przychodzenie za każdym razem? Czy dziękował mi za danie mu drugiej szansy? To ja podjęłam poszukiwania, ale on zaopatrzył mnie w narzędzia.

Thorpe to był Thorpe. Trudno byłoby mi przyznać, że zmienił się w jakiś zasadniczy sposób. To przecież dwadzieścia lat. Zawsze myślałam, że ludzie zmieniają się tylko w książkach, nie w prawdziwym życiu. Ale tu miałam przed sobą Thorpe'a, żyjącego i oddychającego człowieka, który robił coś, co kiedyś wydawało mi się niemożliwe. W końcu, tym razem zdołał mnie zaskoczyć.

## 39.

Był październik, końcówka pory deszczowej i Dirियोmo było chłodne i mokre. Całe miasto pokrywał dywan orchidei. Przyleciałam we wtorek rano nocnym samolotem, potem podskakiwałam w autobusie na wyboistej drodze z Managui i zatrzymałam się w tym samym hotelu co zwykle. Jeszcze tego popołudnia chciałam iść do spółdzielni, by spróbować nowych rodzajów kawy. Miałam podarki dla dzieci Jesusa: książkę z obrazkami ptaków dla Rosy i zestaw do malowania dla Angela. Ale najpierw chciałam kogoś spotkać.

Włożyłam lekką sukienkę i sandały i poszłam piechotą. Na prowizorycznym boisku do baseballu dzieci grały za pomocą kijów i starej piłki do tenisa. Wkrótce stałam przed znajomym progiem, dzwoniłam znajomym, miedzianym dzwoneczkiem. Usłyszałam szuranie dochodzące z domu i pojawiła się Maria, której siwe włosy były upięte na jednym ramieniu w długi warkocz związany żółtą wstążką.

- Witaj - powiedziała, uśmiechając się.

Miejsce pachniało tak samo jak trzy miesiące wcześniej, kiedy Peter McConnell podszedł do mojego stolika i powiedział: „Czy wiesz, kim jestem?”. Tak jak i wtedy, tak i teraz czułam bogaty,

słony zapach smażącej się wieprzowiny, mocny aromat kawy i delikatny mąki kukurydzianej. Ale wtedy było tu ciemno, tylko świece dawały trochę światła. Teraz salę jadalną wypełniało światło słoneczne, nawet porcelanowe lalki Marii były zdziwione. Czerwona zasłonka odgradzająca kuchnię była podwieszona, widziałam oświetlony słońcem piec.

- Co dzisiaj podajesz?

- *Nacatamal* - powiedziała - *Esta usted sola?*

- *Si, señora.* Jestem sama.

Potrząsnęła głową i przyłożyła rękę do serca, jakby zabolą ją to, że widzi mnie ponownie w takiej sytuacji. Siadłam przy moim stoliku. Chwilę później przyniosła kawę i zniknęła w kuchni. Sięgnęłam do torby i wyjęłam notes Lili.

Tyle razy go czytałam, ale każde kolejne przejście przynosiło nową niespodziankę. Tym razem była to krótka linijka odręcznego pisma wciśnięta pod samą oprawę, gdzieś w środku notesu, który sam się otwierał w tym miejscu. Podniosłam blisko oczu i z trudnością odczytałam słowa: *Równanie nic dla mnie nie znaczy, o ile nie wyraża myśli Boga.*

Maria przyniosła *nacatamal*. Był pyszny jak zwykle. Kiedy ponownie przyszła, by zabrać talerz, zapytałam ją moim kiepskim hiszpańskim o tego dżentelmena, którego spotkałam trzy miesiące wcześniej w jej restauracji.

- *Ah, si, señor Peter!* - powiedziała.

- *Si* - potwierdziłam. - *Donde vive?\**

Poszła do kuchni i przyniosła pióro i kawałek papieru, na którym narysowała drogę.

- *Estamos aqui\*\** - powiedziała, wskazując na mały kwadracik z figurką oznaczającą kobietę.

- *El esta aqui\*\*\*.*

Teraz narysowała kółko, które łączyły z kwadratem kręte linie oznaczające uliczki.

- Dziękuję.

Śmiejąc się, zrobiła gest, jakby chciała mnie wypłoszyć za drzwi.

- *Señor McConnell el es muy guapo!\*\*\*\**

- O, tak - zgodziłam się.

\* Gdzie mieszka? (hiszp.)

\*\*Jesteśmy tutaj (hiszp.).

\*\*\* On jest tutaj (hiszp.).

\*\*\*\* Pan McConnell jest bardzo przystojny (hiszp.).

Wychodząc, zatrzymałam się, żeby zobaczyć muchołówkę amerykańską stojącą na parapecie. Jej bladozielone liście były otwarte, rozcięte w środku jak owoc. Mucha bzycała tuż nad rośliną. Wreszcie wylądowała na kolcach. Liście zamknęły się z szelestem. Zastanawiałam się, czy Lila wi-

działa kiedyś muchołówkę. Wydawało mi się, że mieliśmy taką w klasie w podstawówce, ale nie byłam pewna. Było moim zwyczajem, którego nie umiałam się pozbyć nawet teraz, że kiedy widziałam coś nieznanego, doświadczałam czegoś nowego, zastanawiałam się, czy Lila też się z tym zetknęła. Czasami odnosiłam wrażenie, że każdej nowej rzeczy próbowałam dwa razy, raz dla siebie i raz dla niej. Po latach jej braku to wrażenie zaczęło gwałtownie ustępować. Jest tylko określona ilość nowych rzeczy na świecie i wraz z wiekiem trudniej je spotkać.

Ulice w Dirio mo przypominały sieć, biegnąc i krzyżując się w zupełnie niezrozumiały sposób. Mapa Marii była doskonała. Idąc, zaznaczałam przebytą drogę, dorysowywałam punkty orientacyjne, takie jak skrzynka na listy, osioł przywiązany do słupa, stara huśtawka z opony zamocowana na drzewie. Chciałam potem bez kłopotu wrócić.

Po półgodzinie dotarłam do białego domku stojącego na końcu pustej ulicy. Patrząc z zewnątrz, wydawało się, że nie może tam być więcej niż dwa pokoje. Za domem i po jego bokach rósł las. Porządny, bity gościniec obsadzony był palmami bananowymi i jakimiś roślinami o kolczastych liściach. Ścieżka od gościńca do betonowego ganku była wyłożona kolistymi kamieniami. Na każdym były wyryte liczby: 1-12-9-12-1-12-9-12. Właśnie podniosłam rękę, by zastukać, kiedy usłyszałam za sobą głos.

- Ellie?

Odwróciłam się. To był Peter, ubrany w koszulę przesiąkniętą potem, niósł dwa metalowe wiadra pełne wody i postawił je na ganku.

- No cóż, woda - powiedział, ciężko oddychając. - Kiedy przeprowadziłem się tutaj, myślałem, że nie wytrzymam. Nie wyobrażałem sobie życia bez kanalizacji. Ale człowiek się do tego przyzwyczaja. I ma pewną satysfakcję, że używa dokładnie tyle, ile potrzebuje, nie więcej.

- Gdzie jest studnia?

- Jakies 800 metrów w tamtą stronę - wskazał na las. - To dobra woda. Chcesz spróbować?

- Z przyjemnością.

McConnell otworzył drzwi i zaprosił gestem, bym weszła pierwsza. W środku było ciepło i ciemno. Staliśmy w dużym, bardzo prosto urządzonej pomieszczeniu. Odciągnął zasłony, żeby wpuścić trochę światła. Po lewej stronie przy ścianie stało łóżko i szafka nocna, na niej notes, nakręcany zegarek i duża świeca. Zdziwił mnie rozmiar łóżka w tym skromnym otoczeniu. Łoże było wielkie, posłane świeżo założonymi zielonymi prześcieradłami i dwoma puchatymi poduszkami obleczonymi w śnieżnobiałe powłoczki. Metr od łóżka stało biurko przysunięte do ściany. Nad nim okno z żółtymi zasłonkami. Obok biurka wbudowana szafka, której półki uginały się pod ciężarem kilkudziesięciu książek. Rozpoznałam kilka tytułów ze zbioru Lili; *Principia Mathematica* Whiteheada i Russella, *Elementy* Euklidesa, *Myśl matematyczna od starożytności po współczesność* Kline'a i *Disquisitiones Arithmeticae* Gaussa. Były też żółto oprawione reprodukcje z notesu Ramanujana, a na nich leżała ta

jedyna, z którą byłam dobrze zaznajomiona: *Apologia matematyka* Hardy'ego. Po śmierci Lili wzięłam jej egzemplarz.

Wprawdzie pokój był spartański, ale niezaprzeczalnie radosny z powodu kolorów. Nawet betonowa podłoga była pomalowana na bladoniebieski, a koło łóżka leżał tkany chodnik w jaskrawych czerwieniach i żółciach. W prawym rogu okrągły stół i pojedyncze drewniane krzesło. Za nim przy ścianie prowizoryczna kuchenka: zabytkowa lodówka, palnik Bunsena, miedziana miska na postumencie.

- Nie było elektryczności, kiedy się wprowadziłem - powiedział McConnell. Kilka lat mieszkałem bez. Na stole zauważyłam telefon komórkowy.

- Modernizujesz się.

- Poddałem się pod przymusem. Firma, z którą współpracuję wymaga, żeby mieć ze mną kontakt. Cały czas usiłują mnie jeszcze wrobić w e-maile, ale na razie nie dają się. Wszedł na ganek, by wnieść wodę. Postawił wiadra na stole. Wziął dwie szklanki z szafki i chochlą nalał wody. Woda była chłodna i dobra, miała lekko metaliczny posmak i ledwie wyczuwalny zapach trawy.

- Siądź, proszę - powiedział.

Rozejrzałam się, było tylko to jedno wiklinowe krzesło przy stole.

- Przepraszam - powiedział. - Rzadko miewam towarzystwo. Podniósł krzesło, przeniósł przez pokój i postawił nieopodal łóżka.

Ja siadłam na krzesło, które zaczęło pode mną trzeszczeć, a on naprzeciwko mnie na łóżku.

- Prawdę mówiąc, jesteś pierwszą osobą od czterech lat.

- Kto był przede mną?

Zawahał się.

- Kobieta z miasteczka.

- Mogę zapytać, co ją sprowadziło?

- Chciała dzieci. Powiedziałem jej, że jestem na to za stary.

- Masz tylko pięćdziesiąt - powiedziałam.

- I już mam syna.

- Jeden wystarczy?

- Był taki czas, kiedy marzyłem, żeby mieć troje albo czworo. Ale raczej zawiodłem jako ojciec, prawda? Pewnych błędów nie da się naprawić - uśmiechnął się smutno. Technicznie rzecz biorąc, jedynka jest piękną liczbą. Jeden jest swoją własną silnią, kwadratem samej siebie i swoim własnym sześcianem. Nie jest ani liczbą pierwszą, ani złożoną. To dwie pierwsze cyfry ciągu Fibonacciego. Jakakolwiek liczba podniesiona do potęgi zerowej równa się zero. Można nawet się upierać, że jedynka jest najbardziej niezależną liczbą znaną człowiekowi. Jedynka może dokonać takich rzeczy, jakich żadna inna liczba nie zdoła.



- Ciąg liczb naturalnych zawsze kończy się liczbą naturalną - powiedziałam.

- Odrobiłaś pracę domową.

- Tego nie było w notesie Lili. To hipoteza Collatza. Według Erdosa, „matematyka nie jest jeszcze gotowa na taki problem”.

Wypił łyk wody, wytarł usta wierzchem dłoni.

- Byłaś się zobaczyć z moim starym przyjacielem.

- Tak, Don Carroll. Z ogromnym uznaniem mówił o twojej pracy. McConnell popatrzył skrepowany na podłogę.

- Zawsze mnie wspierał.

- U niego w gabinecie widziałam książkę z podwójnym torusem na okładce. Chciałam zapytać cię o tatuaż Lili. Dlaczego wybrała podwójny torus?

- Miała bzika na punkcie topologii. W topologii możesz wyginać i rozciągać figury, a pozostaną tym samym. Kula jest identyczna z każdą inną kulą czy kostką, czy nawet z dowolnym obiektem stałym, jak na przykład łóżko, na którym siedzisz, lub dywanik pod stopami. Ale w momencie, kiedy wycinasz dziurę w tej figurze, przestaje już być równoważna z kulą. Tak więc podwójny torus, który wygląda jak dwa sklezione obwarzanki, będzie równoważny ze wszystkim, co ma dwie dziury, powiedzmy puchar, który ma dwa uszka. Lili bardzo podobał się pomysł, że można rzecz całkowicie zmienić, a jednocześnie pozostanie ona we wszystkich ważnych aspektach tym samym. Podwójny torus jest szczególnie bogatą formą pod tym względem.

- W notesie Lila zapisała cytat: „Równanie dla mnie nic nie znaczy, jeśli nie wyraża myśli Boga”.

Peter uśmiechnął się.

- Ramanujan. On wierzył, że wszystkie pomysły pochodziły od Namagiri, jego *kuladevaty*, bóstwa rodzinnego.

- A ty widzisz Boga w liczbach? - zapytałam.

- Równanie niekoniecznie dotyczy liczb. Raczej wzorów. Wszechświat jest rządzony za pomocą wzorów matematycznych. Grawitacja, teoria strun, teoria chaosu, mechanika kwantowa - te wszystkie zagadnienia można wyrazić za pomocą wzorów. Na przykład  $F = GMm/R^2$ , jedno z najbardziej podstawowych równań w świecie. Jest taki pogląd, że jeśli umiesz stworzyć wzór na cokolwiek, to to coś istnieje. Ponieważ można napisać równanie, które reprezentuje rozległą, pustą trójwymiarową przestrzeń - to taka przestrzeń istnieje. Jeśli istotą Boga jest tworzenie, to wtedy owszem, można powiedzieć, że piękne równanie wyraża myśl Boga.

Popatrzył przed siebie i uśmiechnął się.

- Zawsze byłem trochę mniej intelektualny w porównaniu z Lilą. Moja ulubiona historyjka z Ramanujana jest o tym, jak Hardy odwiedzał go w szpitalu. Hardy powiedział: „Jechałem tu dzisiaj

taksówką, która miała numer 1729. To bardzo nieciekawa liczba". Ramanujan odpowiedział: „O nie, jest bardzo ciekawa; to najmniejsza liczba, którą da się wyrazić na dwa różne sposoby jako sumę dwóch kwadratów". Ale przecież nie przyszedłeś tu na lekcję matematyki.

- Chodzi mi o notes Lili - powiedziałam z wahaniem. - Jak to się stało, że był u ciebie?

- Dała mi go tego wieczoru podczas kolacji. Przyszedł jej do głowy nowy pomysł, nazywała to „błyskiem umysłu", chodziło o podejście do hipotezy Goldbacha i chciała wiedzieć, co ja o tym myślę. Ale, niestety, powiedziałem jej, że nie chcę rozmawiać o matematyce. Na jeden wieczór chciałem odłożyć pracę na bok, porozmawiać o innych sprawach, naszych osobistych. Musieliśmy omówić moje małżeństwo, to, co zrobimy w przyszłości. Poza tym było tyle rzeczy, których o niej nie wiedziałem, tyle pytań chciałem zadać. Ostatecznie zgodziła się pod warunkiem, że wezmę jej notes do domu i sprawdzę jej tok myślenia, żebyśmy mogli przedyskutować to następnego dnia.

- I co ci powiedziała? - dopytywałam się. - Wtedy, przy kolacji, czego się o niej dowiedziałeś, o czym nie wiedziałeś przedtem?

- Poprosiłem ją, żeby mi powiedziała, jaki był najwspanialszy moment w jej życiu.

- Powiedziała?

- Tak. Opowiedziała mi o podróży, jaką odbyłyście do Europy zaraz po ukończeniu przez ciebie szkoły średniej.

- Pascal w Paryżu - powiedziałam, uśmiechając się. Popatrzył na mnie pytająco.

- To było jej marzenie - powiedziałam - Odwiedzić w Paryżu grób Pascala. Wtedy się udało. Nigdy nie widziałam jej tak podekscytowanej.

- To nie to - zaprzeczył Peter.

- Nie?

- Nie, to było, w schronisku w Wenecji. Od kilku tygodni podróżowałyście i wszystkie rzeczy były brudne. Tobie to bardzo nie przeszkadzało. Lila powiedziała, że ty radziłaś sobie z takimi trudnościami, dla ciebie wszystko związane z tą podróżą było wspaniałą przygodą, nawet brudne ubrania. Ale Lila lubiła wszystko w pewnym stylu i nienawidziła brudu. Tamtego dnia poszła szukać samoobsługowego punktu pralniczego, ale nie znalazła żadnego. Ty spałeś w sali schroniska razem z innymi kobietami i mężczyznami. W środku nocy Lila obudziła się i zobaczyła, że cię nie ma w łóżku. Pomyślała, że poszłaś do łazienki, ale kiedy po kilku minutach wciąż nie wracałaś, zaczęła się martwić. Zeszła z piętrowego łóżka i poszła cię szukać do łazienki. Tam też cię nie było. Zaczęła chodzić po korytarzach i cicho wołać twoje imię. Kilka sal było służbowych, więc zamkniętych. Z tego niepokoju zaczęła przykładać ucho do tych drzwi. Potem usłyszała hałas dochodzący z piwnicy. Zaniepokojona zeszła tam ciemnymi schodami. Zobaczyła ciebie, jak pracowałaś w marnym świetle jednej żarówki. Stałaś nad starą ręczną pralką. Zapytała cię, co robisz. „A na co to wygląda? - odpowiedziałaś, śmiejąc się. Lila pamiętała z tamtej nocy, że byłaś szczęśliwa, stojąc w tej zimnej piwnicy w środku nocy i

piorąc rzeczy ręcznie. Wiedziała, że mogłabyś nosić brudne rzeczy przez kolejny tydzień czy dwa. Ty prałaś dla niej.

- Tak powiedziała? - zapytałam.

Miałam jakieś mgliste wspomnienie schroniska w Wenecji, ale zupełnie nie pamiętałam wycieczki do piwnicy w środku nocy i prania naszych ubrań. Zdumiało mnie, że Lila to pamiętała i że to tyle dla niej znaczyło.

- Tak. Kiedy zapytałem ją o najwspanialszy dzień w życiu, opowiedziała mi tę historyjkę.

- Ale to przecież nic takiego.

- Dla niej było ważne.

- Dziękuję, że mi to opowiedziałeś.

Usłyszałam kroki na ganku. Wyjrzałam przez okno. Młody chłopak podrzucił mały pakunek pod drzwi i odjechał na starym rowerze, który skrzypiał.

- To Pedro - wyjaśnił McConnell. - Co miesiąc przynosi mi ołówki.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedziałam.

Skrzypienie roweru powoli cichło.

- Mmm? - wyciągnął rękę i poprawił powłoczki na poduszkach.

Powędrowałam wzrokiem za jego ręką i zobaczyłam delikatne ruchy długich palców na białym materiale. Przez chwilę poczułam się przetransportowana do innego miejsca i czasu i otrzymałam możliwość zobaczenia najbardziej intymnego momentu: McConnell w hotelu Half Moon Bay po wyjściu Lili wyrównujący ręką poduszkę, na której leżała i wyobrażający sobie jej głowę na poduszce. Jego głos przywiódł mnie tu z powrotem.

- Ellie? Gdzie jesteś? Popatrzyłam mu w oczy.

- Przepraszam, myślałam o czymś.

- Twoja siostra robiła to samo. Odpywała w środku rozmowy. Na początku czułem się obrażony, zanim mi wyjaśniła...

- Że to było tak, jakby weszła do innego pokoju - dokończyłam. - I była tak skoncentrowana na rzeczach z tego drugiego pokoju, że drzwi się za nią zamykały. Trzeba było ją dotknąć, żeby wróciła do rzeczywistości.

- To dokładnie tak było. Wystarczyło, że dotknąłem jej ramienia lub ręki - zaraz wracała do mnie i wyjaśniała w najbardziej przytomny sposób, nad czym się tak zamyśliła. Za każdym razem miałem wrażenie, że dokonywałem jakiegoś magicznego triku, jakby mój dotyk wystarczał, żeby przyprowadzić ją z innego świata. To zabawne, przypuszczałem, że jestem jedynym, który to może zrobić - przerwał. - Chciałaś mnie o coś zapytać.

- Dlaczego zwróciłeś mi notes?

- Każdej strony nauczyłem się na pamięć, nie potrzebuję fizycznej obecności przedmiotu, kiedy każdą liczbę, każdą notatkę mam w głowie. Poza tym uważałem, że ty powinnaś go mieć.

- Ja myślałam, że on da mi jakieś wskazówki - powiedziałam. - Że będzie tam jakiś klucz, który otworzy mi tajemnicę jej śmierci. Byłam rozczarowana, bo nic nie znalazłam.

- Przyszłaś, bo wciąż nie jesteś pewna, prawda? Pojechałaś do domu, szukałaś odpowiedzi i ich nie znalazłaś. Ale ja powiedziałem ci wszystko, co wiem. Przykro mi, pragnąłbym ci pomóc, ale nie mam nic więcej do dodania.

Jego spojrzenie osunęło się na moją szyję. Pochylił się do przodu, sięgając w moją stronę. Przez ułamek sekundy poczułam jego ciepłe palce dotykające mojej szyi. Myślałam, miałam dziwne odczucie, że chce mnie pocałować. Postanowiłam nie odsuwać się.

- To jej? - powiedział zdziwiony.

Źle zrozumiałam. Czulałam lekki nacisk złotego łańcuszka na szyi, kiedy trzymał w palcach wiśniewki z topazu. Puścił i maleńki kamyczek opadł mi na skórę. Dotknął kamyka ponownie. Popatrzyłam mu w oczy, a on był oddalony o miliony kilometrów.

Sięgnęłam do torby i wyjęłam czasopismo. Wręczyłam mu. Popatrzył na okładkę, nic nie rozumiejąc. „Rolling Stone”.

- Odwróć na stronę sześćdziesiątą trzecią.

Przez chwilę na mnie patrzył, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ostatecznie zaczął przewracać kartki. Górna część strony zawierała zdjęcie Potrero Sound Station. Tytuł brzmiał: „Billy Boudreaux - ostatni akt”. Trochę mniejszą czcionką było nazwisko autora: Ben Fong-Torres. Ben pociągnął za różne wpływowe sznurki i udało mu się zamieścić artykuł w ostatniej chwili.

- Co to jest?

- Popatrz na grającego na basie - powiedziałam.

Przez tak długi czas przyglądałam się zdjęciu, że było wyryte w mojej pamięci. Na pierwszym planie był Kevin Walsh, mikrofon trzymał tak blisko twarzy, jakby chciał go połknąć. Billy był w cieniu, twarz ledwie widzialna. Ale dzięki takiemu, a nie innemu oświetleniu sceny widać było jego potężne ramiona i palce na strunach.

- To Billy Boudreaux. Peter popatrzył na mnie.

- Nie rozumiem.

- Spokojnie, nie spiesz się - powiedziałam. - Ja pójdę na powietrze.

Stałam na ganku i czekałam. Podniosłam paczuszkę z ołówkami i wdychałam czysty zapach drewna. Stałam jakieś dwadzieścia minut, obserwowałam psy przebiegające drogą, patrzyłam na ptaki na gałęziach drzew, aż usłyszałam skrzypienie sprężyn łóżka. Peter wyszedł na ganek i stanął obok mnie.

- Skąd to się wzięło? - zapytał cicho.

- To długa historia.

Staliśmy tak przez kilka minut, patrząc na drogę. Zaczęło padać. Krople deszczu były wielkie, zostawiały ślady na ziemi. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Miałam nadzieję, że wie, że w pewien sposób czułam się odpowiedzialna za to, co się z nim stało. Miałam też nadzieję, że rozumiał, że to było najlepsze, co mogłam zrobić.

- Teraz możesz wracać do domu - powiedziałam. - Wiesz, to było w wiadomościach. Wiem, że są ludzie, którzy chcą cię przeprosić.

- Może któregoś dnia. Na razie to jest mój dom.

- A te liczby na kamieniach przed domem - zapytałam. - Co one oznaczają?

- 12-9-12-1 - powiedział. - L-i-l-a. Użyłem ośmiu kamieni, napisałem to dwa razy, ponieważ osiem oznacza nieskończoność.

- Podobałoby jej się to. Zaśmiał się lekko.

- Właściwie, myślę, że uznałaby to za strasznie sentymentalne. Ale miałem mnóstwo czasu, z którym musiałem coś zrobić. Facet może stać się sentymentalny, kiedy za długo mieszka na końcu wiejskiej drogi.

Przysunął się bliżej i na moment objął mnie ramieniem, po czym puścił.

- Pierwszy raz, kiedy zobaczyłem cię w miasteczku - powiedział - stałaś obok straganu z owocami, tyłem do mnie. Miało zacząć padać. Tutaj łatwo odróżnić obcokrajowca, chciałem podejść i powiedzieć ci, żebyś gdzieś przeczekała burzę. Obcokrajowcy są zawsze zaskoczeni deszczem. Spada tak mocno, tak szybko, że nie ma czasu na ucieczkę. Potem uderzył piorun. Wystraszył cię. Odwróciłaś się i popatrzyłaś na niebo. I przez chwilę myślałem, że wszystko, co mówią o Dirियोmo, jest prawdą. Uwierzyłem, że to jest *pueblo brujo*, zaklęte miasteczko. Bo w tym momencie, kiedy popatrzyłaś w niebo, pomyślałem, że widzę ją. Przez ułamek sekundy miałem taki obrazek w głowie, że wszystko przychodzi razem. Całe moje życie uległo przeorientowaniu, jakby cała ostatnia dekada była tylko snem.

Staliśmy tak jeszcze minutę czy dwie, po czym powiedziałam:

- Powinnam iść. Dziś po południu jadę jeszcze na farmę.

- Poczekaj. Przecież nie możesz wyjść na taki deszcz.

Wszedł do domu i po kilku sekundach pojawił się, niosąc białe poncho, takie, jakie miał na zdjęciu w biurze u Carrolla.

- Podnieś ręce - polecił.

Uniosłam i naciągnął mi poncho przez głowę. Sięgało mi do kostek.

- Wyglądasz jak duch - uśmiechnął się.

Przytuliliśmy się do siebie, tym razem całkowicie. Wdychałam zapach deszczu i ołówków, jakim pachniała jego skóra. Podziękowałam i poszłam na tę ulewę. Powoli szłam po kamieniach ozna-

czonych 12-9-12-1-12-9-12-1, które tworzyły ścieżkę przed gankiem, teraz zalaną deszczem. Kiedy dotarłam do końca, jeszcze raz zawołał:

- Poczekaj!

Zanurkował do domu. Po kilku minutach pojawił się i przeszedł po mokrych kamieniach. Koszula i spodnie przemokły mu natychmiast i przyłgnęły do ciała, włosy przykleiły się do głowy. Wręczył mi pakiet, coś dużego i ciężkiego, jak książka, opakowane w kilka warstw plastikowych worków.

- Co to jest?

Deszcz, tak jak nagle się zaczął, tak się skończył. Odwinęłam worki i wyciągnęłam solidną, beżową kopertę na dokumenty. Wewnątrz był plik papierów gruby na 5 centymetrów, cały pokryty liczbami i symbolami.

## 40.

Nowa kawiarnia była przy Dwudziestej Pierwszej ulicy, pomiędzy Mission a Valencia, wciśnięta pomiędzy księgarnię a butik z ubraniami. Kiedy dotarłam tam o trzeciej po południu, całe sąsiedztwo przygotowywało się na procesję *Dia de los Muertos*, meksykańskie Święto Zmarłych. Kiedy wyszłam zza zakrętu, z daleka zobaczyłam Henry'ego stojącego na drabinie opartej o fronton budynku. Kiedy się zbliżyłam, zauważyłam, że ręce ma pochłapane farbą i zamalowywał plamę na szyldzie nad witryną. Cały napis był zrobiony małymi literami w bladzielonym kolorze.

- Świetny napis - powiedziałam.

- Podoba ci się?

- Odcień jest doskonały.

- Uściskałbym cię, ale jestem pobrudzony farbą i pyłem.

- Wszystko gotowe na dzień otwarcia?

- Prawie. Masz czas na filiżankę kawy?

- Zawsze.

W środku pokazał mi piękny chromowany ekspres i zabytkową maszynę do palenia kawy. Seria oprawionych w ramki zdjęć przedstawiała plantatorów ze spółdzielni, która dostarcza kawy do kawiarni. Wszystko jest z odzysku albo pochodzi z recyklingu - powiedział dumnie Henry. - To są oryginalne oprawy oświetleniowe z kinoteatru Coronet. Bar i stoliki zrobione z drewna sekwoi odzyskanego ze starego domu typu Doelger w Sunset, który burzyli w zeszłym roku. Krzesła są z amerykańskiej mennicy.

- Piękne - wyciągnęłam z torby małą papierową torebkę. - Proszę. Przywiozłam ci coś. Nowa mieszanka od Jesusa.

Otwarł torebkę i powąchał.



- Mmm, czekolada i pieczone włoskie orzechy.

- Poczekaj, najpierw spróbuj - powiedziałam. - Cayenne i cytrusy. Cudowny waniliowy posmak na końcu. Myślę, że ta kawa powinna być twoją wizytówką.

Wszedł za ladę i wsypał ziarna do młynka. Hałas maszynki przerwał nam na chwilę rozmowę, i dobrze. Od tej niedokończonyj rozmowy widziałam Henry'ego już wielokrotnie w pokoju testowym, ale zawsze byli z nami inni ludzie.

- Nie wiem, czy Mike ci powiedział - odezwał się. - Ale zażądałem, żebyś to ty prowadziła moje rachunki. Nikt inny.

Pokiwałam głową.

- Jak podróż do Nikaragui?

- Całkiem dobrze. Myślałam, czyby ci nie zaproponować wyjazdu, ale...

Stał z rękami w kieszeniach. Wyglądał na zmęczonego. Kiedy się uśmiechnął, zauważyłam, że tworzą mu się kurze łapki wokół oczu. Kiedy go poznałam, wyglądał tak młodo. Bo wtedy był młody. Przypomniałam sobie, że ja też byłam młoda.

- Zabawne - powiedział. - Kiedy Mike zasugerował, żebym jechał z tobą, to od razu miałem cały film w głowie, jak to będzie - ty i ja tam, jemy w jakiejś dziurze, pędzimy do hotelu w ulewnym deszczu. Tak jak to już bywało. Czekałem, że dasz mi zielone światło. Za każdym razem, kiedy widziałem cię w biurze, miałem nadzieję, że to właśnie ten dzień, kiedy zmienisz zdanie. A przynajmniej pozwolisz zabrać się na kolację, żebyśmy mogli nadrobić. Zawahałam się.

- Chciałam się tam z kimś spotkać.

- Wiem. Słyszałem. To wszystko jest zdumiewające.

Nagle przez otwarte drzwi wdarła się muzyka, przechodziła grupa starszych mężczyzn z trąbkami.

- Tak naprawdę nigdy nie porozmawialiśmy o tym, co zdarzyło się w Gwatemali - dodał.

- Nie ma o czym mówić, Henry. To było dawno temu.

- Nie tak dawno - wsypał zmieloną kawę do dzbanka i dolał wrzątku.

- Zapomniałam, że ty tak to robisz. Wierny francuskiemu zaparzaczowi.

- To jedyny cywilizowany sposób.

Wyglądałam na ulicę, czekając, aż kawa się zaparzy. Przyniósł i postawił na stole dwie porcelanowe filiżanki, niebieską i żółtą.

- Ładne.

- Z wyprzedaży garażowej. Myślałem, że to będzie zabawne, jeśli wszystkie naczynia będą przypadkowe.

Przejechał autobus numer 21 do Valencii i kandelabr nad nami zadźwięczał. Nalał kawy i usiadł.

- Tego wieczoru w Gwatemali - nawiązał - chyba byłem przestraszony. Już nie chciałem więcej walczyć. Nieustannie walczyliśmy.

- Wiem - powiedziałam. - Przepraszam.

Doszła do nas z zewnątrz seria wybuchów, a potem krzyki i śmiechy. Odwróciłam się, grupa nastoletnich dziewczynek szła w kierunku Mission, odpalając petardy na ulicy. Wszystkie były ubrane w identyczne czarne sukienki i na ustach miały ciemnoczerwoną pomadkę, włosy gładko zaczesane w końskie ogony. W tym momencie chyba któraś dziewczyna poczuła moje spojrzenie, odwróciła się, popatrzyła na mnie i zwolniła. Pomachałam do niej, a ona odpowiedziała.

Henry popijał kawę.

- Jesteś jakaś inna.

- Jak inna?

- Zawsze byłeś niespokojna, nerwowa, zawsze spoglądałaś za siebie przez ramię.

- A teraz?

- Nie wiem. Jesteś zrelaksowana.

- To jeszcze jedna rzecz dotycząca ciebie, o której zapomniałam.

- Hm?

- Zawsze umiałaś mnie przejrzeć. Krępowало mnie to. Znałeś mnie za dobrze.

- Czy to źle? - zapytał.

- Wtedy wydawało mi się, że tak.

Jeszcze przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, obserwując policjantów zakładających płotki, by ułatwić przemarsz.

- Pamiętasz, jak to było?

- Tak.

Wiedziałam, że mówi o tym wieczorze kilka lat temu, kiedy braliśmy udział w procesji z okazji Święta Zmarłych. To był jego pomysł.

- Dobrze wyglądałaś w tym kostiumie przebrana za szkielet - powiedział.

- Tak? - zaśmiałam się.

Pamiętam, że biały makijaż strasznie ściągał mi skórę na twarzy. W kieszeni miałam zdjęcie Lili. Zrobiłam je kiedyś małym aparatem kompaktowym w stadninie w Montarze, niedługo po tym, jak kupiła Dorothy. Zapomniałam wyłączyć lampę błyskową i Dorothy, przestraszona światłem, staje dęba. Lila pochyła się do przodu, mocno trzyma się konia i nie jest ani trochę przestraszona. Raczej bawi się, jak nigdy w życiu.

- Pamiętasz jej zdjęcie? - zapytałam.

- Oczywiście. Położyłaś je na ołtarzu, a jak odchodziliśmy - zabrałaś.

- Widziałeś to? Henry kiwnął głową.

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- Myślałem, że masz swoje powody.

Po tym, jak położyłam tam jej fotografię - zmieniłam zdanie. Nie chciałam, to byłaby rezygnacja z niej, mimo że to było tylko zdjęcie.

Przez otwarte drzwi poczułam zmianę temperatury, wieczór stawał się chłodniejszy. Było coraz ciemniej.

- Miałaś rację - powiedział wreszcie. - Ta kawa powinna być specjalnością zakładu. Jest niesamowita.

Sięgnęłam przez stół i wzięłam go za rękę. Był zdziwiony, ale nie wycofał swojej. Jego niebieskie oczy były takie niezwykle, takie piękne. To pierwsze co zauważyłam, kiedy się poznaliśmy. Myślałam, że chyba każdy najpierw zauważa oczy, czyż mogłoby być inaczej? W pewnego rodzaju oświetleniu jego oczy były takie blade, prawie przezroczyste. Siedząc i patrząc, zaczęłam analizować niezbadane prawa genetyki, dziwną mieszankę chromosomów jego rodziców, które w głębokiej konspiracji uknuły, żeby dać mu najbardziej charakterystyczne cechy. Przez całe dorosłe życie wierzyłam w to, co powiedziała Mrs. Wood, nauczycielka biologii w średniej szkole, że za pewien czas takie oczy znikną. Pozostaną tylko odległym wspomnieniem zanikającej cywilizacji. Niebieskie oczy są wynikiem genów recesywnych, powiedziała, i z tego powodu któregoś dnia po prostu ich nie będzie. Wtedy na świecie będą tylko ludzie o brązowych oczach z powodu tego genu, który teraz dominuje i zwycięża na naszej planecie. Dodała, że to przeznaczenie miernoty, a dominujące geny będą dotąd walczyć z recesywnymi, aż kiedyś wszyscy ludzie będą jednakowi.

Nigdy nie podawałam w wątpliwość poglądów Mrs. Wood, akceptowałam je tak jak tyle innych, złych rzeczy, o których dowiedziałam się w szkole. I tak przez lata spędzone z Henrym zawsze patrzyłam w jego oczy z odrobiną melancholii, spodziewając się, że nasze dzieci nie będą miały szans na odziedziczenie jego oczu. Były jak piękne, jasne światło przychodzące z gwiazdy, która wypaliła się wiele lat temu.

Dopiero niedawno odkryłam, że Mrs. Wood źle zinterpretowała jedną z podstawowych i najważniejszych zasad biologii. To McConnell wyjaśnił mi podczas naszej rozmowy w Dirio. mo.

- Tak bardzo jesteś do niej podobna - powiedział. - Oczywiście z wyjątkiem rudych włosów.

W odpowiedzi rzuciłam coś, że za sto lat rude włosy będą już przestarzałe.

- Nieprawda - zaprzeczył.

I zaczął opowiadać o Reginaldzie Punnetcie, który uważał, że geny recesywne będą się pojawiać w populacji w stałej proporcji w nieskończoność. Nie będąc w stanie poprzeć tego jakimikolwiek badaniami naukowymi, Punnett zwrócił się do kolegi, G.H. Hardy'ego. Według Punnetta, Hardy pomyślał przez chwilę, a potem szybko napisał proste i eleganckie równanie, które udowadniało teorię Punnetta ponad wszelką wątpliwość. Biolog był zdumiony. Zaraz zaproponował, żeby Hardy dołączył

swoją pracę do publikacji. Na początku Hardy wahał się, wierząc, że taki problem już kiedyś musiał być rozwiązany, a poza tym to nie jest miejsce dla matematyka, żeby sugerować swoje pomysły związane z dziedziną zupełnie dla niego obcą.

- No i w końcu - powiedziała McConnell - Hardy ustąpił i dołączył swoje równanie do pracy, która jest teraz znana jako prawo Hardy'egoWeinberga i jest nauczana w lepszych szkołach średnich i uniwersytetach na całym świecie. Ludzie o niebieskich oczach i rudych włosach będą zawsze pośród nas, dokąd będzie istniał człowiek. To wielkie odkrycie w biologii, ale kiedy napisał *Apologię matematyka*, nawet nie zadał sobie trudu, żeby o tym wspomnieć.

Teraz popatrzyłam w oczy Henry'ego i po raz pierwszy nie poczułam tej melancholii. Za sto lat jego prawnuki mogą popatrzeć na zdjęcia i będą wiedziały, skąd wzięły się u nich takie oczy.

- Czemu się uśmiechasz? - zapytał.

- Bez powodu.

Przez kolejne kilka minut po prostu siedzieliśmy. Przypomniałam sobie, co powiedział mi Don Carroll, że „doskonały związek jest tak samo rzadki, jak liczba doskonała”.

- Tamtego dnia w biurze - zaczęłam - już miałeś mi coś powiedzieć, ale wszedł Mike. Pamiętasz? Chciałam cię prosić, czy mógłbyś mi powiedzieć, kiedy się poznaliśmy, co właściwie wskazywało na to, że się nam nie uda?

Henry pochylił się ku mnie, wziął moje obie ręce. Nie było wahania w jego głosie, zastanawiałam się, czy będzie długo zwlekał z odpowiedzią.

- Kiedy byłem dzieckiem, strasznie marzyłem o rowerze, pięciobiegowym schwinnie z wysoką kierownicą i wydłużonym siodelkiem, dopóki wreszcie ojciec mi go nie kupił. Był ciemnozielony i nazywał się „Pea Picker”. W tym marzeniu, kiedykolwiek sięgałem po niego - odjeżdżał, nigdy nie mogłem go złapać. W Gwatemali uświadomiłem sobie, że ty jesteś jak ten rower. Byłaś tam ze mną, ale jakby nieco poza moim zasięgiem.

- Więc jestem jak ten Pea Picket?

- No...

Kolejne hałasy na ulicy, petardy, ale tym razem żadne z nas się nie odwróciło.

- Znasz historię konstelacji Lutni? Pokręcił głową.

Opowiedziałam mu, jak Lila zapoznała mnie z tą historią trzydzieści lat temu. O tym, jak Orfeusz poszedł do świata umarłych, żeby zabrać stamtąd swoją żonę Eurydykę i jak w ostatnim momencie złamał przyrzeczenie złożone bogom i odwrócił się, żeby na nią popatrzeć.

- Kiedy spojrzał na nią - wyslizgnęła się mu. A kiedy Orfeusz umarł, Zeus rzucił jego lirę na niebo, tworząc konstelację Lutni.

- Smutna historia.

- Tak - zgodziłam się. - Ale fakty są raczej całkiem konkretne: rektascencja Lutni wynosi 19 godzin, a deklinacja 40 stopni. W jej skład wchodzi Wega, Sheliak, Sulafat, Aladfar, Alathar i podwójna gwiazda Epsilon. O czterech gwiazdach konstelacji Lutni wiadomo, że mają swoje planety. Najlepszy czas na ich obserwację to sierpień.

Henry uśmiechnął się.

- Nie jestem pewien, czy nadażam.

- Cała historia dotycząca Orfeusza i Eurydyki, jak on popełnił ten straszny błąd i stracił ją na zawsze - to po prostu jeden z mitów. Wierzysz albo nie wierzysz. Takie opowieści nie podlegają zmianom. Najwięcej czasu zabrało mi uświadomienie sobie tego.

Później pomogłam Henry'emu z ostatnimi detalami, jak powieszenie lustra w toalecie, ustawienie na stołach świec i wysokich wąskich wazoników na pojedyncze kwiaty oraz pozamiatanie podłóg. Kiedy wychodziłam, było już ciemno, a ulice zatłoczone uczestnikami święta. Szłam Valencią, przeciskając się przez tłum. Trupa skąpo odzianych tancerzy zawirowała obok mnie, poruszając się w rytm ogłuszającego dudnienia bębnów. Powietrze przesycone było zapachem kadzideł. Para policjantów jechała powoli na motocyklach, robiąc sporo hałasu. Zeszłam na bok, żeby uniknąć grupy mężczyzn ubranych w potargane garnitury, niosących ogromny stos pogrzebowy, na którego szczycie była naga kobieta wymalowana od stóp do głów na biał.

Usiłowałam przedrzeć się przez tłum, ale szłam w złym kierunku. Wkrótce porwała mnie rozkruczana i wibrująca masa ludzka, poruszająca się w stronę Osiemnastej ulicy. Muzyka, głosy, ciała, zapach potu, alkoholu i kadzideł uwięził mnie jakby w niewiarygodnym śnie. Kostiumy były ciemne i makabryczne, ale atmosfera zabawowa. Przez chwilę szłam ramię w ramię z wysokim, chudym mężczyzną w wizytowej marynarce i meloniku. Wargi ostro czerwone na tle pomalowanej na biał twarzy. Trzymał za rękę drobną kobietę w długiej białej sukni i płaszczu z fioletowych piór tak ciężkich, że garbiła się pod nimi. Minął nas facet w rękawiczkach imitujących ręce szkieletu, grający na puzonie. Gość w marynarce wyłamał się z tłumy i skręcił w inną uliczkę, a ja zostałam otoczona przez meksykańskich uczniów ubranych na czerwono i śpiewających jakąś znajomą mi melodię do rytmu cichych grzechotek. Ich nauczycielka, piękna, mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna, ubrana również na czerwono, z białą twarzą śmiejącego się kościotrupa. Z boku dołączył do dzieci uliczny zespół meksykański z gitarami.

Nie wiem, ile minut przepychałam się przez tłum, zanim dotarłam do Garfield Park. Stało tu mnóstwo ołtarzy wzniesionych ku czci zmarłych, dziesiątki różnych, od bardzo prostych do niezwykle wypracowanych. Ludzie zostawiali tam kwiaty, małe szkielety-zabawki, kości, książki, małe kieliszki wypełnione tequilą i równie małe czaszki zrobione z cukru. Poza tym na wszystkich ołtarzach rozciągających się wzdłuż parku i ciemnych okolicznych ulicach były zdjęcia. Tysiące oczu patrzyło z oświetlonych świecami ołtarzy. Tutaj tłum zachowywał się mniej hałaśliwie. Ludzie spokojnie parli w

kierunku ołtarzy, by umieścić tam zdjęcia. Kiedy dotarłam bliżej, zobaczyłam, że stoję w długiej kolejce posuwającej się bardzo powoli do największego ołtarza. Przede mną stała młoda dziewczyna ubrana na białe, obiema rękami kurczowo trzymała zdjęcie, w oczach miała łzy. Zerknęła w kierunku McDonalda, gdzie jej ojciec czekał na nią. Za mną dwie starsze kobiety trzymały się za ręce i rozmawiały po hiszpańsku.

Przez tyle lat wiodłam samotne życie, chowając i pielęgnując moje wspomnienia o Lili jak skarb. Nie mogłam sobie pozwolić, żeby je stracić, przesiewając je dzień po dniu na własną rękę, jakby śmierć mojej siostry była sprawą, której nikt inny poza mną nie rozumiał. A teraz, gdziekolwiek spojrzę, widziałam twarze zmarłych.

W wewnętrznej kieszeni marynarki miałam zdjęcie Lili zrobione na jakiś miesiąc przed jej śmiercią. Siedzi na nim przy stole w pokoju stołowym, głowa lekko pochylona nad notesem, ołówek skierowany na kartkę. Biorąc pod uwagę kąt, pod jakim zrobiłam zdjęcie - musiałam stać przy przeciwnym rogu stołu, kilkadziesiąt centymetrów od niej. Nie patrzy do aparatu, lecz do notesu, jakby zupełnie nieświadoma obecności jeszcze kogoś w pokoju. Ciemne włosy są zwinięte na czubku głowy i spięte sztykretową klamrą. Na twarzy wyraz najwyższego skupienia. Ale jeśli się dobrze wpatrzeć w jej usta i oczy - coś innego staje się oczywiste na jej twarzy. To wyraz zachwyty, jakby właśnie przyszedł jej do głowy jakiś wspaniały pomysł.

Przez całe lata trzymałam to zdjęcie w szkatułce, żeby się nie pomięło, albo co gorsza nie zagubiło. Ale teraz, stojąc przed tym wspólnym ołtarzem, wyciągnęłam zdjęcie z kieszeni i podniosłam w stronę światła. Pomyślałam o Peterze McConnellu, on nigdy nie potrzebował żadnych zdjęć, żeby jego przywiązanie do Lili było wciąż żywe. Miał notes i swoje wspomnienia. One mu wystarczały.

- Co to jest? - zapytałam kilka dni wcześniej, stojąc na kamiennym schodku McConnella, ociekając wodą i trzymając kopertę.

- To dowód.

- Dowód?

Kiwnął głową. Przez chwilę patrzyłam na niego, nie rozumiejąc. A potem pojęłam.

- *Ten dowód?* - dopytywałam się, nie dowierzając.

- *Ten dowód.*

- Hipotezy Goldbacha?

- Tak.

Z wyrazu jego twarzy widziałam, że był tak samo zaskoczony jak ja.

- Nie rozumiem. Myślałam, że dałeś spokój.

- Dałem - powiedział. - A potem spotkałem ciebie, rozmawiałem z tobą i wszystko wywróciło się do góry nogami. Rozmowa z Lilą tamtego wieczoru przy kolacji błyskawicznie do mnie wróciła. Przypomniałem sobie, że powiedziała coś, zanim przeszliśmy na tematy bardziej osobiste. Coś na temat



kombinacji sita Bruna\*, twierdzenia Winogradowa i czegoś, co nazwała „niezwykłą i absolutnie elegancką trzecią częścią”. Wtedy niewiele o tym myślałem. Spenetrowaliśmy już tyle ślepych zaułków w poszukiwaniu dowodu na Goldbacha i przypuszczałem, że jeszcze zbadamy wiele, wiele innych. Dla mnie było pewne, że złożoność problemu polegała na tym, że klucz, którego szukamy, leży w przyszłości odległej o całe dziesiątki lat. W kilka miesięcy po przeprowadzeniu się tutaj, na początku lat dziewięćdziesiątych, wreszcie zmusiłem się, by otworzyć notes Lili i poszukać owej „niezwykłej i absolutnie eleganckiej trzeciej części”, o której mówiła. Jeszcze raz przeczytałem notes i bardzo szczegółowo, nie szczędząc czasu, rozpatrywałem tysiące różnych wariacji. Nic nie działało. Ale wciąż pracowałem i, jak wiesz, udało mi się uzyskać od Carrolla ciekawe rezultaty w trakcie tego procesu. Ale w żadnym momencie nie czułem, że jestem trochę bliżej ostatecznego rozwiązania hipotezy Goldbacha.

\* Od imienia włoskiego probabilisty i statystyka Bruna de Finetti (1906-1985).

I wtedy spotkałem ciebie. Ta noc spędzona u ciebie w hotelu była prawie nierealna. Mieszanka rumu, ciemności, całkowitej obcości otoczenia, miała na mnie prawie halucynogeny wpływ. Zauważyłem, że jeśli przymknę nieco powieki, wtedy obraz jest lekko zamazany, a jeśli odrobinę wyłączę słuchanie, jakbym tylko w połowie słyszał - miałem wrażenie, że Lila jest ze mną w pokoju. Kiedy wracałem tamtej nocy do domu, odtworzyłem w wyobraźni jej głos, twarz, sposób, w jaki poruszała rękami, kiedy mówiła.

To było bardziej niż niesamowite; nigdy nie byłem emocjonalnie tak blisko niej, w tak silnym kontakcie i wtedy właśnie po raz pierwszy zrozumiałem, dlaczego Ramanujan powoływał się na boską inspirację. Kiedy tak szedłem sobie nocą mokrymi ulicami Diriamo, jakbym ją widział na gruboziarnistym filmie, kiedy klatka po klatce przewijają się ze szpuli i widzę Lilę, jak formułuje zdanie, widzę, jak poruszają się jej usta. Właściwie *słyszałem, jak to mówi*. Wtedy uświadomiłem sobie, że błędnie zapamiętałem jej słowa. Mówiła je, uśmiechając się tym spokojnym, figlarnym uśmiechem. To nie było tak: „niezwykła i absolutnie elegancka trzecia część”. Jej słowa były o wiele bardziej liryczne. Powiedziała, teraz jestem tego pewien: „Niezwykły i absolutnie elegancki trzeci *element*”.

- Nie rozumiem.

- Nie widzisz? To była zagadka. Jestem pewien, że zamierzała mi to wkrótce wytłumaczyć, gdybym sam na to nie wpadł. Ale już nie miała okazji. Tamtej nocy, po spotkaniu z tobą, przyszedłem do domu kompletnie przemoczony i na wpół pijany. Siadłem przy biurku i umieściłem sito Bruna po lewej stronie, tekst twierdzenia Winogradowa po prawej, a pomiędzy nimi położyłem mój zniszczony, odziedziczony po kimś egzemplarz *Elementów* Euklidesa - ten „niezwykły i absolutnie elegancki trzeci element”, jak to powiedziała. Wskazówka. Ona tam była cały czas, gdybym tylko zwrócił baczniejszą

uwagę. *Elementy* składają się z trzynastu tomów i w obawie, żeby czegoś nie przeoczyć, zacząłem studiować strona po stronie. Analizowałem strona po stronie, przerywając tylko po to, żeby chwycić coś do jedzenia albo paść na łóżko, by przespać się dwie godziny, albo przynieść wody ze studni... Robiłem to dzień i noc, równo przez czterdzieści trzy dni. Zużyłem dziesiątki ołówków, całe rzyzy papieru. I wreszcie, w miejscu, do którego nie przyszedłoby mi do głowy zajrzeć, znalazłem klucz, o którym mówiła Lila. Klucz, który wszystko otwierał.

Słońce prześwitywało przez mokre gałęzie, nadając wszystkiemu szalony, świetlisty połysk. Wielkie krople deszczu zebrały się na końcach włosów McConnella i ciężko opadały na kołnierzyk koszuli. Wyglądał na nawiedzonego, owładniętego jakimś pomysłem i wiedziałam dokładnie, bez żadnych wątpliwości, dlaczego Lila, która zarzekała się, że nigdy nie będzie traciła czasu na miłość - zakochała się w nim.

- Co z tym zrobisz? - zapytałam.

- Daję tobie. Ty zdecydujesz. To już nie jest dla mnie ważne. Zrobiłem to tylko dla Lili.

- Chyba nie mówisz poważnie.

Popatrzył na mnie, jakbym zupełnie pominęła temat naszej rozmowy, jakbym nie zrozumiała ani słowa z tego, co mi mówił.

- Oczywiście, że tak. Ogromny ciężar został podniesiony. Zrobiłem największą rzecz w życiu, o jakiej w ogóle mogłem pomyśleć i zrobiłem to tak, jak planowałem dwadzieścia lat temu - we współpracy z Lilą.

Po powrocie do hotelu patrzyłam ponownie na te kartki, usiłując zrozumieć choćby kilka linijek z tej gęstej, nieprzeniknionej masy liczb i symboli. Ale to było bez sensu. To był język Lili, nie mój.

Zrobiłam dla siebie kopię. Myślę, że to był instynkt szalonego archiwisty, pragnienie, żeby posiadać zapis czegoś, czego nigdy nie będę rozumieć. A potem zaniósłam oryginał Don Carrollowi, który przyjął kopertę z niedowierzaniem. Powiedział, że to opublikuje jako pracę wspólną pod nazwiskiem McConnella i mojej siostry. To będzie wymagało trochę zabiegów, jednego czy dwóch telefonów z prośbą o wstawiennictwo. Chodzi o to, że McConnell był nieobecny w świecie matematyków przez dwadzieścia lat i wobec tego jego twierdzenie, że zdołał udowodnić jeden z najtrudniejszych problemów w historii matematyki - spotka się z silnym oporem. Ale to się da przeprowadzić. Będzie recenzja naukowa i jeśli okaże się, że dowód jest właściwy, a Carroll wierzył, że taki jest - świat się zainteresuje. Jeszcze raz miło było mi pomyśleć, że siostra będzie sławna. Ale tym razem znana z powodu swojego talentu, umysłu. Nie z powodu tego, co ją spotkało, ale czego dokonała.

A teraz patrzyłam po raz ostatni na to zdjęcie Lili z notesem zrobione przy stole i umieściłam je na ołtarzu: Lila w swojej najlepszej formie, w chwili dokonywania odkrycia.

Przedzierałam się przez wijące się ścieżki parku do ciemnych uliczek. Jeszcze raz doznałam tu naporu dziesiątek, setek ciał, rzeki nieboszczyków płynącej przez miasto, powoli rozlewającej się na

przylegające ulice i dalej. Szukałam swojej własnej drogi, ale nie było przejścia. Jedna pomalowana twarz wiodła do następnej i kolejnej i wydawało mi się, jakbym ponownie głębiej wchodziła w tłum. Po chwili spotkałam czterech mężczyzn w czarnych czapkach niosących drewnianą altanę ogrodową udekorowaną szkieletemi. Miała ona uchwyty i nieśli ją bardzo powoli tuż nad ziemią. Utknęłam za nimi, nie mogłam przejść. Zaczęli wznosić altanę do góry, jeden z nich ściągnął mnie wzrokiem. Dał mi wzrokiem znać, co rozumiałam jako zaproszenie do przejścia pod spodem. Kiedy ruszyłam, opuścili konstrukcję i zostałam w niej uwięziona. Oświetlały ją trzy mocne światła zasilane z baterii, ściany były pomalowane na biało i wytapetowane zdjęciami. Widziałam jedynie wewnątrz tego pudła i poruszające się stopy mężczyzn. Za chwilę już nie odróżniałam stóp czterech tragarzy od innych ludzi przewijających się dookoła nas. Stukałam w ściany altanki, ale nikt mnie nie słyszał, a jeśli słyszeli, to nie zwracali na mnie uwagi. Słyszałam napór tłumy na altanę i dobiegający z oddali głuchy łoskot bębnow. Zapach świeżej farby przyprawiał mnie o zawroty głowy. Ale ku mojemu zdumieniu nie czułam paniki. Za moment poddałam się szaleństwu chwili. Dopóki dotrzymałam kroku mężczyznom, nie było to trudne, idąc, przyglądałam się zdjęciom. Mężczyźni, kobiety, dzieci w różnym wieku, w różnych sytuacjach. Na jednym z nich wydawało mi się, że rozpoznałam mgliste lasy w Gwatemali, a na innym pola z czosnkiem w Gilroy, a jeszcze na kolejnym smaganą wiatrem plażę w zachodniej części miasta. Zapach farby był coraz silniejszy i głowa zaczęła mi ciążyć. To było jak sen, nad którym mój racjonalny umysł nie panował. Po prostu czekałam, aż się to wszystko skończy.

Nie wiem, ile minęło minut - pięć, dziesięć, piętnaście? - kiedy konstrukcja zaczęła się podnosić. Gdy dół altanki był na wysokości moich ramion - zanurkowałam i wyszłam. Odetchnęłam głęboko, wypełniając płuca chłodnym, nocnym powietrzem. Mężczyźni byli pijani i zatoczyli się w lewo, zupełnie nieświadomi mojej obecności, chyba nawet nie wiedzieli, że tam byłam.

Rozejrzałam się, by zorientować się, gdzie jestem. Odgłos bębnow oddalił się. Tłum zniknął i byłam sama w nieznanym mi dzielnicy. Nie było znaków, napisów, żadnych punktów odniesienia. To nie była nawet ulica, ale wąski pas alejki wysadzonej drzewami, za którymi stał rząd starych wiktoriańskich domków. Każdy z nich naznaczony innego rodzaju postępującym rozkładem szlachetnej ruiny. W oddali popłakiwał jakiś kot. W mieszkaniu na pierwszym piętrze dziewczyna w żółtej koszuli nocnej przeszła koło okna. Wysoka postać szła za nią. Szczupłe ramię wyciągnęło się, by wyłączyć lampę i zrobiło się ciemno. Wszystko w tym momencie było dla mnie uderzająco znajome. Czy ja już tu kiedyś byłam? Czy ktoś kiedyś opisywał mi to miejsce? A może po prostu czytałam o tym w jakiejś książce? Czasami wydawało mi się, że książki i życie tworzyły dziwne origami, skomplikowane składanki, tajemnicze cienie, połączone nierozzerwalnie tak, że nie dało się odróżnić jednego od drugiego.

Przy końcu ulicy jakoś instynktownie skręciłam w prawo. Zabudowa wiktoriańska ustąpiła apartamentowcom, meksykańskie *taquerias* - barom i kafejkom. Nie wiem, ile minut minęło, zanim doszłam do Dolores. Po lewej stronie, tam na wzgórzu, za małym parkiem zaśmieconym po wieczor-

nych paradach pustymi butelkami, porzuconymi czerwonymi pelerynami, sznurami papierowych szkieletów wiszących z lamp, wznoszących się i opadających w podmuchach wiatru. Bolały mnie stopy, ale wędrowałam dalej. Dopiero gdy dotarłam do Dwudziestej Ósmej ulicy, zobaczyłam, w jakim kierunku szłam przez cały czas. Kiedy zaczęłam iść pod górę, poczułam jak bardzo bolą mnie nogi, wydawało mi się, że idę już całe godziny. W okolicy mojego dawnego domu było spokojnie. Mimo że było jeszcze ponad kilometr od centrum Mission, ale to było już zupełnie inne miasto. W połowie drogi stanęłam przy znajomym drzewie kalistemonu, odwróciłam się i popatrzyłam wstecz. Światło w moim pokoju paliło się. Budka dla ptaków na parapecie rzucała dziwne cienie na chodnik. Popatrzyłam na zegarek - wpół do pierwszej. Siadłam na schodku domu i czekałam. Bryza wzmagala się i owiewała mnie zapachami z ogrodu matki: mięta, lawendą i szalwią.

O 12.43 wstałam i stanęłam twarzą do domu, patrząc w moje okno. O 12.45, tak jak mówił Thorpe, ktoś spuścił zasłony i wyłączył światło. Teraz popatrzyłam na wzgórze, w kierunku Diamond Heights. Stał tam dom Thorpe'a, sterczał na wzgórzu jak statek kosmiczny, jego nowoczesne kształty nie pasowały do wzgórza i okolicznych drzew. *Teraz.* Już nawet nie wiem, czy wypowiedziałam to słowo głośno, ale zaraz potem zapaliło się światło w pokoju Thorpe'a.

Pomyślałam sobie o Dirियो, gdzie zarówno przedmioty, jak i czas zdawały się podlegać prawu pewnej ukrytej symetrii, gdzie najbardziej prozaiczne chwile wydawały się odgórnie zarządzane, zaaranżowane, nic nie było pozostawione przypadkowi. Od dawna wierzyłam, że Dirियो było wyjątkowym miejscem, gdzie zwykle przypadki nie miały prawa wystąpić. Ale może nie miałam racji. Może prawo symetrii panowało wszędzie i wzór naszych dni był nie mniej pewny niż matematyczny wzór świata. Możliwe, że, by zobaczyć ten wzór, człowiek potrzebował cofnąć się parę kroków do tyłu, odwrócić kartkę do góry nogami, podejść do wszystkiego od innej strony.

Wyobraziłam sobie kobietę mieszkającą obecnie w moim dawnym pokoju, jak wchodzi do łóżka. Czy zasypiała natychmiast, kiedy tylko przyłożyła głowę do poduszki? Czy też leżała i robiła plany, albo rozmyślała nad wydarzeniami z minionego dnia? Co wiedziała na temat rodziny, która mieszkała tutaj przed nią? I w tym momencie, bez swojej wiedzy, stała się postacią w powieści Thorpe'a. Zastanawiałam się, co ona robi w tej powieści, czego nie robi w swoim prawdziwym życiu? Jakie decyzje zostaną za nią podjęte, których sama by nigdy nie podjęła? Jakie imię nadał jej Thorpe i jakie słowa włożył w jej usta? Czy kiedykolwiek przeczyta tę książkę i rozpozna siebie?

To było miasto okien. Za każdym oknem toczyło się życie, które wypełniłoby niejedną książkę. Myślałam o zdjęciach z białej altany, każda z tych twarzy to jedna z tysięcy powieści. Niektóre z nich prawdziwe, inne nie. Pomyślałam o historii mojej rodziny. Przez tak długi czas pozwalaliśmy, żeby opowiadał ją ktoś inny.

Zamknęłam oczy. Jeśli wystarczająco mocno się skupiłam, to prawie słyszałam głosy rodziców dochodzące z domu. Oczywiście ich tam nie było, ale jest coś, co trzeba napisać o ponownym odkry-

ciu. W świecie, który ja zarejestrowałam w tamtym momencie, stojąc na stopniach domu mojego dzieciństwa, moi rodzice nigdy się nie rozwiedli, nigdy stąd się nie wyprowadzili. Siedzieli teraz przy kuchennym stole i rozmawiali. Ojciec opowiadał mamie o swojej służbowej podróży, którą właśnie odbył do Szwecji, o przypadkowym spotkaniu ze starym znajomym na lotnisku w Sztokholmie. Mama odwzajemniła mu się swoim opowiadaniem o błędnym werdykcie wydanym na jednego z jej klientów dziesięć lat temu i teraz udało się go unieważnić. Każda z tych historyjek była także opowiedziana mnie w ostatnim tygodniu, ale każda osobno. Matka opowiedziała mi swoją, kiedy siedziałyśmy w ogródku w Santa Cruz wśród jaskrawych bugenwilli i miękkich, srebrnych liści czyścica wełnistego. Ojciec opowiedział mi swoją przez telefon, dzwoniąc z Londynu, z kolejnej podróży służbowej. Naprawdę obydwójce byli oddaleni od siebie o tysiące kilometrów. Tylko w mojej wyobraźni rodzice byli razem, rozmawiając ze sobą z tą ich dawną lekkością, jakby nigdy nic się nie zdarzyło, co wywróciło cały ich świat. Mogłabym tu siedzieć przez całe godziny, wsłuchując się w ich głosy i wymyślając.

- Było tylko jedno doskonałe zakończenie - powiedział kiedyś Thorpe na temat swojej pierwszej książki. - Kiedy sobie to uświadomiłem, pisanie książki poszło jak podążanie z mapą w ręce. Siedział teraz przy stole w swoim domu tam, na szczycie wzgórza, i patrzył na mnie, jakby chciał dojrzeć, czy byłam tu naprawdę, czy tylko mnie sobie wyobrażał.

Nawet wtedy wiedziałam, że nie miał racji. Nie ma czegoś takiego, jak doskonałe zakończenie, jak nieomylny plan wypracowania. „Człowiek arbitralnie wybiera ten moment ze swoich doświadczeń, z którego może popatrzeć do tyłu, albo z którego da się popatrzeć do przodu”.

Każda historia jest niedoskonała, każda może podlegać zmianom. Nawet wtedy, kiedy już jest wydrukowana, powieść między okładkami nie jest odporna na zmiany. Ludzie będą o niej opowiadać swoimi własnymi słowami, pamiętając te fakty, które chcieli. I w każdej takiej relacji zakończenie może ulec zmianie, a co dopiero początek. Nieuchronnie w niektórych przypadkach dana relacja będzie gorsza, w innych lepsza. Opowiadanie nie należy wyłącznie do tego, kto je opowiada. Należy w równym stopniu do tego, kto go słucha.